

Papi Teresa Jadwiga

CICHE NIEWIASTY

*Opowiadania historyczne
dla dorastającej młodzieży*

I.

PATRYCYUSZKA.

Im kto wyżej stoi, tem jaśniej
świecić powinien przykładem.

T. J.

Za czasów, kiedy cała zachodnia Europa należała do Rzymian, w pobliżu miasta Toledo, w dzisiejszej Hiszpanii, znajdowała się piękna willa. Pewnego razu o zmroku siedziała tam właśnie w ogrodzie młoda dziewczyna; biała lniana jej szata, srebrem haftowana, świadczyła o pochodzeniu wysokiem. Była to Leokadya, sierota po możnym Rzymianinie, którego ród od dawna w Hiszpanii był osiadł. Klomby cudnych traw i kwiatów otaczały młodą dziewczynę; z pośród mirtów i pomarańcz wyzierały marmurowe fauny i nimfy; wodotryski miłym szmerem

napełniały ogród, wtórując szczebiotowi ptasząt przeróżnych.
Lata dziecinne Leokadyi upłynęły w pieszczotach i zbytkach. Rodzice oboje już zeszli ze świata, zostawiwszy jej jednak niezależność majątkową. Przyjaciół jej nie brakło; wykształcona, wychowana w zasadach religii chrześcijańskiej, miała ona prócz tego skąd czerpać pociechę, — to też, mimo sieroctwa, czoło jej było zawsze pogodne, a wzrok jasny. U stóp jej stał w tej chwili kosz, pełen kwiatów świeżo zerwanych, z których ona wiała wieńce, uwite kładąc obok siebie na kamiennej ławce. Snać jednak myśl jej nie samymi tylko wieńcami była zajęta, gdyż co chwila oglądała się poza siebie, jak gdyby kogoś wyczekując. I nie wyczekiwała na próżno, bo niebawem ukazała się w ogrodzie jakaś postać niewieścia, śpiesznym krokiem zdążająca widocznie ku niej. Była to kobieta co najmniej trzydziestoletnia. Leokadya powitała ją uśmiechem. — Jesteś nareszcie! — rzekła — usiądź na chwilę. — Już wszystko gotowe — odparła tamta, siadając na kamiennej ławce obok pięknej patrycyuszki. — Pewna jestem, że będziesz zadowolona — ciągnęła dalej: — kaplica tak pięknie przystrojona, ojciec Jan obiecał, że stawi się o północy; uprzedziłam przeto wszystkich, by się zebrali nieco wcześniej; prócz ojca Jana, z księży obiecali przyjść jeszcze bracia Franciszek i Karol... — Jakże to dobrze! Obaj śpiewają tak pięknie, obecność ich podniesie uroczystość — przerwała mówiącej Leokadya. — A czy o nikim z naszych nie zapomniałaś?

— Zdaje mi się, że nie.

Dziewczę uśmiechnęło się.

— Dziękuję ci, Łucyo — rzekła serdecznie. — Oto wieńce. Czy dość ich uwiłam?

— Aż nadto. Zaniosę je zaraz do kaplicy, a potem wrócę do ciebie.

— I pójdziemy na przechadzkę. Wracaj więc natychmiast.

Łucya była przyjaciółką a zarazem opiekunką młodziuchnej patrycyuszki. Krewna

daleka jej matki, także samotna — gdy dziewczyna sierotą została, zamieszkała

przy niej i pokochały się serdecznie obie samotnice. Łucya niebawem powróciła.

Powstawszy z ławki, Leokadya podała jej ramię i już miały odejść w głąb' ogrodu,

gdy naraz Łucya przystanąła.

— Zdaje mi się, że brat twój stryjeczny Knejusz idzie ku nam — rzekła.

— A tak, to on. Trzeba mu przypomnieć dzisiejszą uroczystość — zawołała

Leokadya. — Czyś go uprzedziła?

— Jednego z najpierwszych. Jakżebym go pominąć miała! Toż brat twój i

chrześcijanin od kolebki — odparła Łucya.

Po chwili Knejusz witał kuzynki głębokim, pełnym szacunku ukłonem.

— Widzę cię nareszcie, piękna Leokadyo! — za wołał.

— Czy masz mi coś ważnego do powiedzenia? — zapytała dziewczyna, patrząc

badawczo na jego twarz chmurną i stroskaną.

— Czy nas kto nie słyszy? — zapytał niespokojnie.

— Czy dobrej, czy złej wieści jesteś zwiastunem? — zapytała Leokadya.

— Złej, bardzo nawet złej; lecz tą wieścią ustrzedz cię mogę od nieszczęścia.

— Niema nikogo koło nas; mów więc, nie dręcz...

Knejusz westchnął; zdawał się namyślać, w jakie słowa przybrać
wieść, by mniej
przeraziła obie kobiety.

Zniecierpliwiło to Leokadyę.

— Sądziłoby można, że masz mnie za dziecko bojaźliwe — odezwała
się tonem
niezadowolenia.

— A więc słuchaj: Cesarz Dyoklecyan przysłał nowego wielkorządcę
do Hiszpanii.

— Kogo? — spytała Łucya.

— Dacyana.

Na twarzy Leokadyi odmalował się niepokój.

— Czy tego zaciętego wroga chrześcijan? — spytała zniżonym tonem.

— Tego samego — potwierdził Knejusz.

Nastała chwila milczenia. Nie mówiąc nic do siebie, dotarli zwolna do
bramy

willi; tutaj zatrzymali się.

— Przypominam ci, bracie, uroczystość dzisiejszą — odezwała się
Leokadya

spokojnym już zupełnie głosem; — dziś, koło północy, znajdziesz
mnie w

podziemnej naszej kaplicy.

— Ależ to szaleństwo ta uroczystość! — głosem podniesionym odparł
młody

człowiek. — Czyż zgubić chcesz siebie koniecznie? Dlatego właśnie
tu przybie-

głem, byś miała jeszcze czas ją odwołać. Dacyan przywiózł podobno
ze sobą cały

zastęp szpiegów, którzy wyśledzą nas niechybnie...

Leokadya dumnie podniosła głowę.

— Rzymianką i chrześcijanką jestem — odparła, — a więc uczucie
trwogi mi obce.

Pamiętać o tem winnam tylko, że świecę przykładem niżej stojącym,
że oczy tłumu

na mnie są zwrócone.

— Ależ Dacyan ma moc karania śmiercią tych, co chrześcijanami
wyznawać się będą
— przekładał Knejusz.
— Na śmierć jam gotowa. By życie ocalić, nie wyrzeknę się tego, w
co wierzę, co
ojciec nauczył mnie od kolebki czcić i szanować.
— Czyż nie możemy czcić w tajemnicy, nie wyjawiając tego, co w
sercu mamy?
— O, nie, nie! my musimy głośno swoje przekonania wyznawać, aby
dodać otuchy
innym. Przyrzekaliśmy im niebo za męczeństwo; dziś więc, jeśli
cofniemy się
przed niem, powiedzą, żeśmy kłamali... bo gdybyśmy w niebo
wierzyli, szlibyśmy z
uśmiechem na śmierć.
Knejusz głowę pochylił.
— Podziwiam — rzekł — twą odwagę, lecz nie pójdę za twym
przykładem; tuszę
jeszcze, że, wróciwszy do domu, rozważysz me słowa, każesz dom
swoją szczelnie na
noc zamknąć i nie dopuścisz do siebie nikogo. Dacyan wie, co to dziś
za dzień
dla chrześcijan, i pewien jestem, że pilnie nakazał nas śledzić. Kto
życie
ocalić pragnie, jak najciszej zachować się teraz powinien.

— Nie ten żyje, według mnie, kto wstaje ze snu do to, by dzień
wesoło spędzić,
lecz ten, który kocha i działa — odparła Leokadya.
I z temi słowy skinęła wyniośle głową młodzieńcowi, i nie ponawiając
zaproszenia, oddaliła się do siebie.
— Jeśli wielu takich wśród nas, jak on, Chrystus nigdy nie zwycięży
— rzekła
smutnym głosem, wchodząc do pałacu.
— Nie lękaj się — odparła Łucya; — dziś nas garstka, jutro miliony
będą;

męczeństwo jednych obudzi drzemiących i zawołają głośno: "my także chrześcijanami jesteśmy!" a męczeństwa upamiętnią niezawodnie rządy Dacyana w Hiszpanii. Chodźmy do kaplicy; modlić się nam trzeba teraz gorliwiej, niż kiedykolwiek, bo nie wiemy, czy godzina nasza już nie nadeszła. To mówiąc, objęła ramieniem Leokadyę i pociągnęła ją ze sobą. I podążyły do podziemnej kaplicy, którą jeszcze ojciec Leokadyi zbudować kazał. Był to dzień Wielkiej Soboty. Łucya przystroiła już w wieńce i krzewy całą kaplicę, która czyniła w tej chwili, przy migotaniu słabych światełek lamp olejnych, wrażenie wielkiego grobu, umajonego kwiatami. Leokadya i Łucya ukłękły u stóp krzyża; lubo nie zdradziły one tego, jednakże wieść, jakiej Knejusz im udzielił, przejęła je nie tylko smutkiem, lecz i trwogą, — ale cisza uroczysta, panująca w kaplicy, i gorąca modlitwa zwyciężyły niebawem uczucie, którego obie się wstydziły, i spokój wrócił im do serc. Zaczęły się wsłuchiwać, czy pobożni nie nadchodzą. Upłynęła

jeszcze długa godzina w zupełnym spokoju, który powrócił im ostatecznie równowagę, wreszcie rozległ się poza drzwiami kaplicy hałas niewyraźny.
— Idą! — szepnęła Leokadya.
— Słyszę — odparła Łucya, i podniósłszy się, podążyła ku drzwiom przedsionka.
— Kto idzie? — spytała.
— Brat w Chrystusie — odparł głos nieznajomy. Było to hasło. Drzwi się rozwarły i ukazało się kilka niewiast, zakwefionych czarnymi welonami. Znalazłszy się w

kaplicy, odsłoniły one twarze i podążyły w milczeniu do grobu
Chrystusa; uklęknęły
rajeni i modlić się poczęły cicho. Lucya zbliżyła się do Leokadyi.
Niebawem znów odgłos kroków i hasło "Brat w Chrystusie" słyszeć
się dały.
Kaplica zaczęła się napełniać. Lucya podeszła do ołtarza, wydobyła z
pod stopni,
do niego prowadzących, pęk świec woskowych, i zapaliwszy je,
rozdała wszystkim.
Jasność niemal dzienna rozlała się w kaplicy; czuć było zbliżającą się
uroczystą
godzinę, godzinę zmartwychwstania Bogaczłowieka.
Przybył nareszcie ksiądz Jan, a z nim dwaj młodzi kapłani — wszyscy
trzej w
świętecznych szatach, stosownych do chwili; zbliżyli się naprzód do
ołtarza i
tam, klęcząc na stopniach, czas jakiś modlili się w cichym skupieniu,
poczem
przystąpili do grobu. Ksiądz Jan ukląkł, ujął drżącemi od wzruszenia
rękami
krzyż, a wzniosłszy go w górę, głosem brzmiącym szczerą radością
zaintonował:

"Wesoły nam dzień dziś nastał, którego z nas każdy żądał:
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał — Alleluja! Alleluja!"

I postąpił z krzyżem, wzniesionym, w górę ku drzwiom kaplicy. Obok
niego szli
bracia Karol i Franciszek. Piękne ich głosy łączyły się z głosem starca
i
wzbijały się ponad wszystkie inne. Pobożni, skupiwszy się poza nimi,
obchodzili
razem dookoła obszerną kaplicę. Radosny śpiew odbijał się od ścian
podziemia.
Była to w istocie piękna, wspaniała uroczystość. Wszystkie twarze
stały się

pogodne, wszystkie spojrzenia weselem jaśniały.

"Król niebieski k' nam zawitał, jako śliczny kwiat zakwitał. Po śmierci się nam

pokazał — Alleluja! Alleluja!"

Gdy obeszli trzykrotnie wokoło kaplicę, ojciec Jan postawił krzyż na ołtarzu,

poczem zwrócił się do zebranych.

— Dzieci! oto wieścią smutną z wami się podzielę — odezwał się drżącym głosem: —

przybył do miasta naszego Dacyan, nowy wielkorządca Hiszpanii, zacięty wróg

chrześcijan, wysłany do nas przez prześladowcę wyznawców

Chrystusa, cesarza

Dyoklecjana. Już na placach miasta wznoszą rusztowania, na których mają męczyć

wiernych. Dacyan kazał spisać sobie nazwiska posądzonych o wyznawanie nauk

Chrystusa... Dzieci, oto godzina próby nadeszła! Ufam, że wytrwacie, że nie

zapomnicie, jaki jest cel waszego życia, że krzyża żaden z was ze strachu się

nie zaprze.

Obecni ukłękli wszyscy.

— Pobłogosław nas, ojczy, abyśmy męki się nie zlekli, nie ulegli pokusom —

odezwała się czystym i spokojnym głosem Leokadya.

Starzec wyciągnął dłonie nad pochylonemi przed nim głowami, wzrok wzniosł w

górze.

— Panie! daj im tę łaskę, aby przez nich chwała Twoja głośniejszą się stała; daj

im męstwo, by nie ulękli się groźby; siłę, by wytrwali; wiarę, by nie zwątpili!...

Głos jego scichł ze wzruszenia, kończył po cichu modlitwę.

— Teraz rozejdziemy się — przemówił po chwili znów głośno; —
niechaj każdy w
ciszy i skupieniu przygotowuje się w domu do wielkiej próby, jaka go
czeka może
niedługo.

— Pozwól im, ojcze, spożyć jeszcze ucztę, którą dla swych gości
przygotować
kazałam; mam nadzieję, że i ty do niej zasiądziesz — odezwała się
Leokadya.

— Nie pora teraz na ucztę — odparł poważnie starzec; — jutro
niejedna matka nad
zgonem syna lub córki, niejedne dzieci nad stratą rodziców płakać
będą. Nie pora
na ucztę; modlić się teraz przystoi, wzywać łaski nieba. Ostrożność
naszem
hasłem być winna. Spełniłszy to, czego serca nasze żądały:
uczciłszy dzień
Zmartwychwstania Chrystusa. Teraz rozejdźmy się.

— Lepiej wiesz ode mnie, ojcze, co czynić należy — odparła
Leokadya i kornie
pochyliła głowę.

Starzec krzyż nakreślił nad jej głową, poczem ku drzwiom kaplicy się
skierował.

Za chwilę pusto się w niej całkiem zrobiło.

Leokadya z Łucyą oddaliły się również i na spoczynek się udały.

Usnęły cicho,

jak gdyby nie wiedziały nic o tem, że okrutny Dacyan już gości w
Toledo, że lada

dzień przywołać je może do siebie, by zapytać, czy prawdą jest, iż
szerzą w

mieście naukę Chrystusa.

Nazajutrz, spokojne i pogodne jak zwykle, udały się do kaplicy na
msze, którą

każdej niedzieli odprawiał

u nich ksiądz Jan. Właśnie wracały z niej, z zamiarem udania się do ogrodu, gdy

stanął przez nimi stary sługa domu blady i drżący.

— Pani! — odezwał się głosem, w którym smutek i trwoga mieszały się razem —

przyszli dwaj wysłańcy Dacyana.

— I czegoż drżysz, Jakóbie? — odparła spokojnie Leokadya. — Kto wyznaje dziś

wiarę Chrystusa, wie, że wcześniej czy później śmierć za nią poniesie.

Jam się z

tą myślą dawno już oswoiła... Czego chcą ode mnie?

— Mówią, że Dacyan wzywa cię, pani, do siebie — rzekł Jakób i łyzy wielkie polały

się z jego oczu.

Lekka bladość pokryła twarz Leokadyi; nie zdradziła jednakże ani jednym słowem

obawy.

— Powiedz im, że Leokadya zjawi się za godzinę w pałacu wielkorządcy — rzekła

spokojnie.

A gdy stary sługa oddalił się chwiejnym krokiem, zwróciła się również spokojna

do Łucyi:

— No, bądź zdrowa!...

— I tyś mogła choć na chwilę przypuścić, że cię; puszczyć samą? — przerwała

Łucya. — O, Leokadyo, czyż zasłużyłam na to?

Leokadya nic nie odrzekła, rzuciła się tylko przyjaciółce na szyję i uścisnęła

ją czule.

Otoczony urzędnikami rzymskimi i strażą, Dacyan czekał niecierpliwie na dumną

patrycyuszkę. W spisie chrześcijan, który usłudni pochlebcy podali wielkorządcy,

na pierwszym miejscu wymienione było imię Leokadyi, — a kiedy zapytał, co to za

jedna, powiedziano mu, że przodkowie jej zajmowali wysokie urzędy w Hiszpanii,

że jest właści-

cielką pięknego majątku, że, dzięki wykształceniu wysokiemu,
wywiera wpływ nie
tylko na niższe klasy, lecz i na możnych.
Dacyan był pewien, że stanie przed nim kobieta już w wieku
dojrzałym, — to też,
gdy Leokadya z Łucyą stawily się przed nim, nie patrząc na dziewczę,
zwrócił się
do Łucyi i głosem surowym zapytał:
— Czy prawdą jest, Leokadyo, że, do rodu patrycyuszów należąc,
połączyłaś się z
motłochem, czczącym Galilejczyka, co głosił, że niewolnik panu jest
równy?
— Jam jest Leokadya — odezwała się śmiało młoda patrycyuszka; —
to, co mówili o
mnie, prawdą jest: schylam pokornie czoło przed nauką, jaką Chrystus
głosił; nie
tylko sama ją wyznaję, lecz drugich jej uczę.
Dacyan spojrział na nią bardziej zdumiony, niż. gniewny.
— A czy wiesz, nierozważne dziecko, że cesarz Dyoklecyan wysłał
mnie po to do
Hiszpanii, bym karał surowo tych, którzy tę naukę rozszerzają? —
zapytał.
— Wiem, lecz nie przestrasza mnie to wcale. Umrzeć za prawdę,
umrzeć za to, co
się kocha, toć chwała i szczęście najwyższe — odparła Leokadya.
— Umrzeć ci nie pozwolę, boś za młoda na to, by śmierć poślubiać;
zmuszę cię,
byś się wyrzekła Chrystusa; będę cię póty dręczył, póki uporu twego
nie złamię —
rzekł Dacyan.
Leokadya podniosła na niego wzrok spokojny.
— Nie zmusisz mnie, Dacyanie — odparła z godnością. — Innego
Boga, niż tego,
którego czczę,

nigdy wyznawać nie będę; chrześcijanką jestem i zostanę nią do śmierci.

— Niegodnaś rodu, z którego pochodzisz! — krzyknął Dacyan. —
Przodkowie twoi nie
bratali się z pospólstwem, szanowali siebie. Raz jeszcze wzywam cię,
wyrzeknij
się Chrystusa. Patrycyuszce nie przystoi wyznawać wiarę
niewolników.

Leokadya uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Nie znasz tej nauki, dlatego tak mówisz — rzekła; — gdybyś ją
znał,
powiedziałbyś: "patrycyuszką jesteś, powinnaś więc wytrwać w tem,
co głosiłaś
ciemnym i biednym... " Kamienne wasze bogi nigdy ode mnie
pokłonów nie odbierały
i odbierać nie będą, bo gardzę nimi.

— Dosyć! — stłumionym z gniewu głosem syknął Dacyan. —
Ponieważ uznajesz się być
służebnicą Galilejczyka, który umarł haniebnie na krzyżu, będę cię
miał za
niewolnicę.

To powiedziawszy, zwrócił się do żołnierzy, stojących opodal.

— Różgami niech ją ćwiczą dopóty, dopóki nie zawoła: "wyrzekam
się Galilejczyka,
" lub póki z bólu nie omdleje.

— Panie! toż dziecko jeszcze! — zawołała Łucya, padając na kolana
przed Dacyanem
i składając ręce błagalnie.

— Skłoń, by się wyrzekła wiary, jaką wyznaje, a ocalisz ją — odparł
Dacyan; —

inaczej zaś i siebie zgubisz. Łucya podążyła za Leokadya. Żołnierze
obie otoczyli

i wyprowadzili z pałacu. Gdy wyszły na dziedziniec, spotkały tam
tłum

chrześcijan; spisani

na liście, podanej Dacyanowi, już wszyscy byli zwołani do pałacu wielkorządcy;
ujrzawszy Leokadyę, otoczoną żołnierzami, poczęli płakać, cisnęli się do niej z pytaniami:

— Czy prawdą jest, że idziesz, siostró, na męki?

— Nie płaczcie, mili bracia — mówiła im łagodnie, — raczej dziękujcie za mnie

Bogu, że mi pozwala cierpieć za Chrystusa, i proście Go, aby mnie do końca nie

opuszczał. A ty, Łucyo, wróć do domu — dodała: — póki możesz, czyń, cośmy

dotychczas razem czyniły.

Wiedząc, iż oporem sprawi tylko przykrość dziewczęciu, Łucya wróciła zgnębiona

do domu.

Bez jęku, bez łzy zniosła odważnie Leokadya sromotną karę; omdlała i krwią

zbroczoną zawleczono przed Dacyana i tam, gdy przytomność odzyskała, dźwignąwszy

się z wysiłkiem z ziemi, rzekła:

— Męcz dalej... Nie wyrzekłam się Chrystusa. Rozgniewany wielkorządca kazał ją

wtrącić do więzienia; odwiedzał ją tam codziennie i to łagodnie przemawiał do

niej, obiecując łaskami obsypać, jeśli wyrzeknie się swej wiary, — to groził i

skazywał na nowe katusze.

Leokadya obietnic i grózb słuchała w milczeniu, męki znosiła odważnie, a gdy

zostawała sama w więzieniu, klęcząc, błagała Boga o siłę do wytrwania.

Pewnego dnia, gdy zboleła i zmęczona pytała siebie, na jakie męki skaże ją jutro

okrutnik, otwały się drzwi więzienia i na progu ukazał się Knejusz, a
za nim
jej stary, wierny sługa, Jakób, z jakimś zawiniątkiem w ręku. Okrzyk
radości
wyrwał

się z ust Leokadyi. Zapomniała o żalu do kuzyna, towarzysza zabaw
dziecinnych.

Podniósłszy się przeto śpiesznie, biegła ku niemu z wyciągniętymi
rękami na
powitanie.

— Leokadyo — odezwał się Knejusz, kładąc braterski
pocałunek na jej
czole, — jesteś wolną. Byłem u Dacyana... póty błagałem go, póty za
tobą
przemawiałem, aż wreszcie pozwolił wyprowadzić cię z tego lochu
ciemnego.

Stary Jakób przyniósł ci szatę, stosowną do twego położenia.

Przebierz się;

wrócę tutaj za chwilę po ciebie.

To powiedziawszy, odebrał z rąk sługi zawiniątko i, nie czekając
podziękowań

odurzonej niespodzianem szczęściem siostry, oddalił się szybko, a z
nim razem

Jakób.

Rumieniec życia oblał twarz Leokadyi. Zrzuciła prędko zbrudzoną w
wilgotnem

więzieniu suknię i świeżą poczęła przywdziewać.

— A więc będę wolną! — szeptała sama do siebie — wróć do
domu, do Lucyi.

I roiła, iż wkrótce usiądzie w cieniu kwitnących oleandrów w
pięknym swoim

ogrodzie, oprze głowę o ramię wiernej przyjaciółki, a ta szeptać jej
będzie o

tem, jak tęskniła za nią; i marzyła biedna, jak patrzeć będzie w jasne błękity,
nad nią rozpostarte, napawać się wonią kwiatów, słuchać śpiewu ptasząt i szmeru wodotrysków; a potem przyjdą witać ją znajomi... między nimi będzie i Knejusz.

Przebaczyła mu już całkiem jego chwilową bojaźliwość, będzie go teraz kochała
nie tylko jako brata, lecz także jak tego, któremu życie winna. Ona kocha

życie i pragnie żyć jeszcze — wszak ma dopiero lat ośmnaście... a świat taki
piękny!

Nareszcie włożyła suknię. Już nie usiadła, lecz stojąc, czeka niecierpliwie
powrotu brata.

— Oby nie kazał tylko czekać długo na siebie! — mówi w duszy.
To więzienie, w którym tyle tygodni cierpliwie przeżyła, teraz wydaje się jej
nie do zniesienia.

Drzwi lochu niebawem znowu się rozwarły i "dobry" Knejusz wszedł, radością
promieniejący. Tym razem był sam.

— Jużes przebrana — rzekł z zadowoleniem; — podaj mi ramię, pójdziemy do
Dacyana.

— Do Dacyana? — powtórzyła z lękiem. To imię dreszczem ją przejęło.

— Czemu Lucya nie przyszła z tobą, Knejuszu? — zapytała znów niespokojnie
dziewica, zatrzymując się na progu więzienia i patrząc badawczo w twarz brata.

— Łucya w więzieniu — odparł Knejusz. — Chodź do Dacyana... uczyn to, co ja
wczoraj dla ciebie uczyniłem, a on Łucyę uwolni.

— A cóżeś ty uczynił?

— Pokłoniłem się bogom rzymskim — odpowiedział cicho Knejusz i oczy spuścił ku ziemi.

Leokadya wyrwała gwałtownie dłoń swoją z dłoni brata i cofnęła się w głąb' więzienia.

— Pokłoniłeś się bogom rzymskim, by mnie ocalić? — powtórzyła jakby senna. —

Nie, to nie. prawda!.. powiedz, że to nieprawda! — dodała gwałtownie.

On zbliżył się ku niej i rękę wyciągnął.

— Bądźże rozsądną — rzekł niecierpliwym tonem; — czyż przez to przestałem być

chrześcijaninem? Drwię sobie z ich bałwanów, czczę Chrystusa, jak zawsze. A czyż

uczyniłem komu krzywdę, zginając przed Jowiszem kolano? Ciebie zaś ocaliłem.

— Kosztem ilu dusz! — przerwała Leokadya. — Iluż zgorszyłeś! A jeśli jutro za

twoim przykładem choćby tylko kilku z pośród nas toż samo uczyni, cóż

wówczas?...

Knejusz stał, milcząc, z głową zwieszoną.

— Nie chcę wolności, za którą zbawieniem duszy bliźni moi płacić będą — po małej

chwili ciągnęła Leokadya; — tyś dał im przykład złego, ja twój błąd naprawię:

pójdę odważnie na męki i zawołam na cały głos, by najdalsi mnie słyszeli:

"Umieram z radością! z palmą męczeńską do nieba idę!"

— Leokadyo! błagam cię, nie upieraj się!.. Jesteś młoda, piękna, bogata!... Czyż

ci nie żal tego wszystkiego? — odważył się znowu przemówić

Knejusz, z błagalnym

wyrazem twarzy, zbliżając się do siostry. — Pomyśl, że w twojej
mocy Łucyę
ocalić.

— Idź i nie kuś mnie! — złamanym głosem rzekła Leokadya i
powlokła się blada
śmiertelnie w głąb lochu, gdzie oparłszy głowę o wilgotną ścianę
więzienia,
wyszeptała:

— Zabiłeś mnie, bracie!

On sądził, że zachwiał jej stałość, gdyż słów tych nie dosłyszał i rzucił
się ku
niej, obie ręce wyciągnawszy.

— Leokadyo, wesprzyj się na mem ramieniu... pójdziemy razem.
Lecz ona podniosła głowę i groźnie spojrzała na niego.

— Precz ode mnie! — krzyknęła i usunęła się nawpół zemdlona na
ziemię.

Powiadomiony o stanowczym oporze Leokadyi, Dacyan wydał na nią
wyrok śmierci:

miała być rzucona dzikim zwierzętom na pożarcie; chciał wszakże raz
jeszcze

spróbować zmiękczyć jej opór, wybrał się przeto sam raz jeszcze do
więzienia.

Był to pogodny ranek — złoty promień słońca wkradł się przez szparę
więziennej

ściany i oświecił ciemną celę męczennicy. Dacyan zatrzymał się w
progu. Leokadya

zdawała się drzemać. Leżała ona na ziemi, z głową opartą na
kamieniu, na którym

sama krzyż sobie wyrzeźbiła. Spokój błogi świecił z jej twarzy, na
której ani

ślądu cierpienia widać nie było. Dacyan chciał ją obudzić — zbliżył
się więc, i

pochyliwszy się ku niej, rzekł:

— Leokadyo, przyszedłem wolność ci oznajmić... Jednej rzeczy tylko
żądam:

przrzeknij mi, iż wiary, jaką wyznajesz, uczyć drugich nie będziesz.
Leokadya nie zbudziła się wszakże. Powtórzył więc głośniejszą swoją
obietnicę, lecz
i tym razem milczenie mu odpowiedziało. Wówczas ręką dotknął jej
ramienia i
nagle odskoczył w tył: na twarzy jego odmalowało się przerażenie;
chłód, jaki
poczuł, przejął go zabobonna trwoga. Wyszedł natychmiast z celi
więziennej,
przywołał żołnierzy i kazał im zbudzić Leokadyę. Żołnierze wrócili
niebawem i
oznajmili mu, że męczennica nie żyje.

Wtedy Dacyan wpadł w tak szalony gniew, że kazał ciało Leokadyi
dzikim
zwierzętom rzucić na pożarcie. Gdy wierni przyjaciele Leokadyi
dowiedzieli się o
tem, zbiegli się na miejsce, gdzie wyrok był spełniony, i zebrawszy
poszarpane
szczątki, ze czcią je pochowali. Dziś na miejscu tem wznosi się w
mieście Toledo
piękny kościół katolicki. Leokadya umarła roku .

II.

MĘCZENNICE.

Z najcięższych chwil życia wypływa często dla nas radość i
zbawienie.

T. J.

Pięć kołowroteków warczy wesoło, pięć młodych dziewcząt śpiewa
przy nich,

chichocze i żarty sypie. Jedna z nich, w białej szacie, złotą przepaskę
ma na
czole — to Urszula, córka Doniata, jednego z dzielnych królów starej
Brytanii,
którzy nie ulegli panowaniu Rzymian . Pięć kołowroteków warczy
wesoło; przy
szóstym brak pracownicy, lecz

nasnute nici świadczą, że i przy tym ktoś przed chwilą pracował, dziś
może
jeszcze. Wtem w przyległej komnacie rozległy się kroki lekkie, chyże
—

rozchyliła się opona, kryjąca wejście do pokoju, i szosta towarzysza
w nich
stała.

— Wesołą wieść wam niosę, siostry — rzekła wchodząca z
uśmiechem: — dziedziniec
pełen gości, podobno z Armoryki...

— A więc goście bratni — ozwała się poważna, ciemnooka Julia, od
kołowrotka
wzrok podnosząc na zwiastunkę dobrej wieści.

— Armoryka przecież w Gallii się znajduje — odparła tamta.

— A czyż nie wiesz o tem, Teklo, że w Gallii mieszkają również
Celtowie? —

wtrącała się do rozmowy Urszula. — Mieszkańcy zaś Armoryki tem
jeszcze z nami

zbratani, iż światło wiary chrześcijańskiej już ożywia ich serca. Mówił
mi

ojciec jeszcze wczoraj, że Konan Meriadek, wielkorządca Armoryki,
jest jego

przyjacielem, że go szanuje wielce za pracę gorliwą nad
rozszerzeniem pięknej

nauki chrześcijańskiej wśród Gallów.

— Mniejsza o to w tej chwili, co szlachetny Konan robi u siebie —
odparła z

uśmiechem Tekla; — to ważniejsze dla nas, że gości mamy. Król
Doniat posłów
przyjaciela przyjąć pewno zechce godnie, wyprawi ucztę na ich cześć,
na ucztę
córkę zaprosi, a królowa dwór swój dziewiczy zabierze ze sobą i
gości
zobaczym... a już całe pół roku obcej twarzy nie widziałyśmy.
— Mówisz, jak pasta i płochy dziewczyna — odezwała się poważnie
Urszula. —
Sądziłam, że znasz

inne uciechy, których nam nie brak wszakże, a widzę, że te uciechy
cię nudzą.
Tekla się zarumieniła.
— Czyż pani moja nie zna mnie jeszcze? — odparła z wymówką. —
Lubię śmiać się,
bawić, lecz gdy potrzeba, umiem być poważną.
— Nie gniewaj się, Teklo; żartowałam tylko — odparła królowa;
wyciągnęła
ramiona do swej towarzyszki i uścisnęła ją czule. — Któż w państwie
króla
Doniata nie wie, że Tekla pierwszą jest między wesołymi, lecz
pierwszą także
wśród pracujących i najchętniejszą w niesieniu pomocy bliźnim?
— Urszulo! ojciec cię wzywa — ozwał się naraz poza niemi głos
poważny.
Dziewczęta wróciły do kołowrotek i kółka warczeć poczęły. Do
pokoju weszła
sędziwa niewiasta; wzrokiem zadowolenia obiegła pilne pracownice i
powtórzyła
wezwanie.
Królowa podniosła się.
— Czy mam iść natychmiast, Barbaro? — spytała.
— Natychmiast — odrzekła stara ochmistrzyni; — pójdziemy razem.
I wyszły obie z komnaty dziewiczej.

— Jestem pewną, że szlachetny Konan wysłał swatów do króla
Doniata — odezwała
się Tekla. — Jeśli Urszula swatów przyjmie, powiem jej:
"gdziekolwiek losy twe
cię zaprowadzą, mnie zawsze przy swym boku zobaczysz. "
— I mnie! i mnie! — zawtórowały jej dziewczęta.

Kołowrotki umilkły znowu — zaniepokojonym rzuconem przez Teklę
przypuszczeniem
dziewczętom było już nie do pracy; minęła długa, pełna wyczekiwania
niecierpliwego godzina, zmarnowana na. próżnej rozmowie, na
najrozmaitszych
domysłach. Wreszcie wróciła królowna. Ujrawszy ją wchodzącą,
wszystkie pobiegły
do niej i otoczyły kołem; każda miała jakieś pytanie na ustach, lecz
spojrzawszy
na Urszulę, żadna nie odważyła się go wymówić — tyle smutku było
w jej twarzy.
— A tobie co się stało, pani najdroższa? — odważyła się pierwsza
zapytać Tekla.
Urszula usiadła przy swym kołowrotku i ręce splecione opuściła na
kolana.
— Więc mam rzucić nasze łąki kwieciste i stare lasy, co tak szumią
pięknie;
nasze góry smutne, z których wzrokiem mogę sięgać tak daleko! —
mówiła głosem
złamanym sama do siebie; — więc mam pożegnać na zawsze kmiece
chaty, których
gościem codziennym bywałam, i to niebo ojczyste, i tę ziemię
kochaną, pełną
legend, podań bohaterskich, mogił praojców... O, nie! nie... ja tego nie
zdołam
uczynić! Łzy wielkie, czyste, potoczyły się po jej młodziutkiej
twarzyczce i
mówić dalej nie pozwoliły. Dziewczęta patrzyły na nią zdumione,
wylękłe, a pytać

nie śmiały o przyczynę łez. I znowu pierwsza odważyła się przemówić Tekla.

Zbliżywszy się cicho do płaczącej, przyklękła u jej nóg.

— Czego rozpaczasz, królowno? — zapytała nieśmiało.

— Konan Meriadek, wielkorządca Armoryki, wysłał poselstwo do ojca, prosząc, by mu mnie dał za żonę — odparła Urszula i z głośnym szlochaniem rzuciła się przyjaciółce na szyję.

— Wszakże wiedziałas od dawna, że kiedyś wyjdiesz za mąż — odrzekła Tekla; —

każdą z nas prawdopodobnie czeka ten sam los z czasem.

— Lecz nie sądziłam, iż pożegnam wówczas Brytanię, że będę zmuszona pożegnać

wszystkich i wszystko, co ukochałam od kolebki, miłą pracę, jakiej od lat paru

oddawać się poczęłam.

— Serc kochających cię, królowno, nie zbraknie ci, gdziekolwiek bądź losy cię

zagnają — rzekła Tekla; — zresztą pójdziemy wszystkie z tobą.

— Chociażbyście nie chciały, pojechać będziecie zmuszone, gdyż Konan prosił

ojca, by wystął ze mną kilka dziewcząt chrześcijańskich. Wodzowie jego wojsk

pragną bowiem również się żenić, a poganek nie poślubią. Wolałabym może, żeby

choć część was tutaj została, gdyż pracę przeze mnie rozpoczętą prowadziłybyście dalej... Lecz nie!.. ani wy, ani ja nie pojedziemy.

To powiedziawszy, Urszula otarła łzy i głowę śmiało podniosła.

— Ojcu sprzeciwiać się myślisz, zacnemu twemu ojcu, którego wszyscy poddani nie

tylko kochają, lecz szanują, czczą niemal? — zapytała Barbara, która właśnie

weszła do pokoju.

Rumieniec wybiegł na bladą twarz Urszuli, oczy jej pięknym blaskiem zajaśniały.

— Nie chcę porzucić Brytanii, której mieszkańcom potrzebna jestem

— odparta

stanowczym tonem

— W Gallii znajdziesz obszerniejsze jeszcze pole do działania —
rzekła Barbara.

— Zamiast smucić się i wyrzekać, podziękuj Bogu, Urszulo, iż daje ci
możność być

jeszcze pożyteczniejszą, niż byłaś dotychczas. W państwie twego ojca
jest już

wielu chrześcijan, a w Armoryce, słyszę, szczupła ich liczba. Ilekroć
spotyka

nas coś niespodziewanego, co nas gnębi i martwi, a czego sami na
siebie nie

ściągnęliśmy i przeciw czemu walczyć nie możemy, wówczas
najlepiej ten czyni,

kto z pokorą wolę Boga przyjmuje, wierząc silnie, że to, co jest, jest
dla dobra

jego; że to, co nieszczęściem nazywa, przyniesie z czasem jemu lub
bliźnim jego

pociechę i korzyść.

— Lub bliźnim jego — powtórzyła z goryczą Tekla.

Barbara nie przerwała sobie mowy.

— Serca wasze tęsknić będą za Brytanią... nie wątpię o tem ani na
chwilę; lecz

czyż przypuszczać mogłyście, iż życie całe upłynie wam, jak płynęło
dotąd? —

ciągnęła dalej. — Pociechą waszej tęsknoty będzie myśl, iż przez was
światło

wiary szerzej na ziemi się rozlało.

— Już widzę, że winna; przekonałaś mnie, Barbaro — odezwała się
smutnym, lecz

spokojnym głosem Urszula. — Nie będę więcej sarkać; uklęknę i
pomodłę się, by

otucha wstąpiła w me serce.

Barbara objęła ją ramieniem i do serca przycisnęła.

— Nie wątpiłam, że spełnisz wolę ojca — rzekła, całując ją w czoło.

Zbliżył się wreszcie ów ważny dzień w życiu Urszuli i jej
towarzyszek.

Pobłogosławione przez rodziców, wsiadły na okręt, który miał je
zawieźć do

Armoryki. Kilka starszych niewiast i kilku dworzan Doniata, których
opiece król

córkę swą powierzył, oraz posłowie Konana, jechali z nimi razem.

Niebo było jasne, kilka zaledwo pierzastych obłoków wałęsało się po
niem. Wody

cieśniny z cicha szeptały i wszystko wróżyło pogodę stałą. Podróżni
byli przeto

spokojni, lecz smutek panował wśród nich. Królowna tęsknym
wzrokiem żegnała

rodzinne brzegi, towarzyszki jej łzy miały w oczach, a posłowie
Konana, chociaż

zadowoleni byli, że spełnili życzenie swego pana, jednak wobec
smutku większości

nie śmieli wesołości okazywać.

Powoli wieczór zapadł cichy i pogodny. Znużona podróżą Urszula
wezwała

towarzyszki na spoczynek; udały się więc wszystkie do kajuty, gdzie
usnęły

niebawem twardo. Jak długo spały, nie wiedziały tego same. Nagłe
wstrząśnienie

statku zbudziło je dopiero. Porwały się wszystkie z pościeli i na
pokład

wybiegły. Dzień już świtał. Miast onych pierzastych obłoków, które
wczorajszego

dnia tak wdzięcznie stroiły niebo, dziś kryła je szara, posępna, groźna
chmura o

poszarpanych brzegach. Łagodny wietrzyk przemienił się w szalony,
gniewny

wicher, który rzucał kapryśnie statkiem to w prawo, to w lewo, był
złowrogo i
żaglami szamotał wściekle. Słońce, które nie dawno wstało, zbladło,
niby ze
strachu przed posepną chmurą, gnaną wichrem z szaloną szybkością
ku niemu.

— Burza! burza! — wołano dokoła wśród zgietku niesłychanego.
Majtkowie biegli do lin i wiosł, posłowie Konana i dworzanie
Doniata starali
się im pomagać; kobiety łamały ręce i płakały, lub modląc się głośno,
ratunku
wzywały. Spokojnie zachowywała się tylko królowna. Oparłszy się o
maszt statku,
patrzała w milczeniu na pieniające się bałwany, rzucające, jak piłką,
lekkim
statkiem, to piętrzące się w szklane góry, to zapadające w otchłanie.
W strachu, jaki wszystkich ogarnął, Tekla w pierwszej chwili
zapomniała o
królownie; lecz gdy modlitwa uspokoiła cokolwiek jej serce, poczęła
szukać jej
wzrokiem, a spostrzegłszy stojącą spokojnie, podeszła ku niej.
— Zdajesz się nic a nic nie lękać tej strasznej burzy, królowno? —
rzekła,
patrząc na nią z podziwem.
— Nie lękam się, bo wierzę, że cokolwiek mnie spotka, z wolą Boga
się stanie —
odparła Urszula. — Możemy gdzieindziej potrzebniejsze, niż w
Armoryce, i burza
tam nas niesie.
Jeszcze mówiła, gdy naraz uczuli wszyscy gwałtowne wstrząśnienie
statku, który
następnie stanął nieruchomo. Jęki i płacze kobiet ucichły.
— Dobiliśmy do lądu! — ozwał się po chwili głos dowódcy statku. —
Wysiadać!
Wicher, jak nas przyparł do brzegu, tak równie łatwo odegnać może.

Nie zważając na potoki deszczu, panowie poprowadzili królową i jej towarzyszek do jednej z chat, których kilka w pobliżu brzegu widać było. Uboga rybaczka, mieszkająca w niej, przyjęła je gościnnie, a dowiedziawszy się, jak dostojnych gości burza jej przysłała, wydobyła co tylko miała w domu najsmaczniejszego, poczęła częstować i bawić rozmową. Zamiast do Armoryki, podróżni dopłynęli do Gallii belgijskiej. Nie rozpaczali jednak; nikt nie zginął podczas niebezpieczeństwa, dziękowali więc za to w myśli Bogu i skromnym posiłkiem się zadawalniali. Pod gościnnym dachem rybaczki przeczekać postanowiono burzę. Panowie w sąsiedniej chacie znaleźli schronienie. Powoli wichur ucichła i niebo się rozjaśniło. Urszula chciała przeto powrócić na statek i wysłała jednego z panów, aby się dowiedział, kiedy w podróż puścić się znowu można, — lecz otrzymała niepomyślną odpowiedź, iż nie prędzej, jak za parę dni, gdyż spód statku został uszkodzony. Nie było rady — trzeba było prosić rybaków, by im nie odmówili i nadal gościnnie. Biedni ci ludzie jak najchętniej ustąpili własnych mieszkań rozbitkom. Tu rybacy, którzy z dalszych stron na małych łodziach przyplływali, udzielili im wieści niepomyślnych: mówili oni, że podobno niejaki Maksym, dowódca wojsk cesarza Gracyana, zbuntowawszy się przeciw niemu, zrzucił go z tronu i sam cesarzem się ogłosił; że teraz wojska jego wkroczyły do Gallii i tam szerzą

zdobycze.

Pogłoskom tym niedowierzali panowie, jednakże radzić poczęli, jaką drogę obrać do miasta Namnetów, by uniknąć spotkania z Maksymem. Po długich naradach postanowiono wreszcie, że udadzą się do ujścia Renu, a potem rzeką tą popłyną w górę; świeże zaś i pewniejsze wieści zdecydują o dalszym kierunku drogi.

Puszczono się nareszcie w drogę i tym razem bez wypadku podróży dobili do celu, lecz niestety mieszkańcy miasta Ubiów nie tylko że potwierdzili owe niepokojące wieści, lecz dodali jeszcze, że cesarz Gracyan, nie czując się sam na siłach, aby walczyć z Maksymem, wezwał na pomoc dzikie hordy Hunnów; że barbarzyńcy ci już grasują nad Renem w wielu miejscach; że lada dzień spodziewać się ich można.

Gdy powtórzono tę wieść Urszuli, odparła spokojnie:
— Nie pobiegnę naprzeciw barbarzyńców, lecz uciekać też przed nimi nie będę, gdyż nie wiem, gdzie ratunek; będę czekała tu cierpliwie i niech się spełni wola

Boża: jam na śmierć gotowa.

I zostali wszyscy w mieście Ubiów. Nie marnowała wszakże czasu

Urszula: wśród pogańskiej ludności miasta rozległe było pole do działania — z towarzyszkami więc swymi pracowała wytrwale, krzewiąc wśród ciemnych mieszkańców Kolonii światło wiary; a ilekroć udało się jej kogo nawrócić, wra-

cała wówczas wesół z pobożnej wycieczki i mówiła:

— Oddaliśmy się z ufnością Bogu i Bóg kierował naszym okrętem:
potrzebne byliśmy
tutaj.

Minęło Urszuli kilka spokojnych dni. Wśród pracy pożytecznej nie
miała czasu

tęsknić za Brytanią, — nie pytała też niespokojnie, kiedy wreszcie
dostanie się

do Armoryki. Tymczasem ranka jednego, gdy z towarzyszkami
wybierała się na

zwykłą pobożną wycieczkę, wbiegł do jej pokoju jeden ze starszych
dworzan, blady

i zmieszany widocznie.

— Co wam jest, Wariku? — spytała go Urszula.

— Poselstwo przybyło do ciebie, pani — odparł starzec drżącym
głosem.

— Poselstwo? — powtórzyła tonem zdziwionym królowna, nie
pojmując pomieszenia

dworzanina — czy od Konana?

— Od Gausena, wodza owych hord dzikich — odparł ciszej.

Urszula pobladła.

— Gdzież są? — spytała.

— Przed domem czekają.

Nie wzywając nikogo za sobą, królowna podążyła przed dom; lecz
gdy na progu

drzwi stanęła, dreszcz ją przebiegł. Na małych konikach ujrzała jakieś
postacie,

które zaledwie do ludzi były podobne. Śniade, płaskie ich twarze
zwierzęcy wyraz

miały; maleńkie oczy błyszczały złośliwością; przybrani w baranie
kożuchy z

futrem na wierzch wywróconem, zdawali się cali być, jak zwierzęta,
obrośli

włosem.

Urszula mimowoli cofnęła się w głąb' mieszkania, lecz wnet zapanowała nad sobą i wyszła znowu przed dom.

— Czego żądacie ode mnie, posłowie Gausena? — spytała mową miejscowych

mieszkańców, której się nauczyła podczas podróży.

Jeden wystąpił na przód.

— Wódz nasz chce sam mówić z narzeczoną Konana, wielkorządcy Armoryki, i żąda,

by córka Doniata przybyła do niego bezzwłocznie wraz ze swemi towarzyszkami —

odparł tą samą mową.

— Wola Gausena spełnioną będzie — rzekła Urszula, bo wiedziała dobrze, iż opór

na nic się tu nie przyda.

Wróciła smutna lecz spokojna do siebie.

— Przywdziejcie stroje świąteczne i bądźcie odważne — rzekła do młodych

towarzyszek; — wódz Hunnów nas widzieć pragnie, a więc iść musimy.

Dziewczęta poczęły płakać i skarżyć się na swą dolę.

— Myślałam, że silniejsza w was wiara w potęgę Bożą — rzekła do nich Urszula z

lekką wymówką. — Jam spokojna, bo wierzę, że kiedy nas Bóg ocalił od burzy,

bośmy tutaj potrzebne były, to i z mocy Hunnów wybawi, jeśli służyć Mu jeszcze

będziemy mogli; a jeśli śmiercią więcej dobrego zdziałamy, to umrzeć nam każe, a

wtedy nie będę życia żałowała.

Słowa te uspokoiły wszystkie dziewczęta, poszły więc odważnie z posłami

barbarzyńskimi do straszego ich wodza.

Gausen chciał dostać do niewoli narzeczoną Konana po to tylko, by ją zamordować,

— lecz gdy młoda, piękna i szlachetna Urszula, przybrana w białą szatę, otoczona

podobnemi do niej dziewczycami, stanęła przed nim, zmieszał się i, zamiast rzucić

na nią wyrok śmierci, rzekł:

— Córkó Doniata! w mocy twej jest wielkie szczęście; jeśli zechcesz, jutro przed

tobą tysiące czołem o ziemię uderzą; powiedz tylko: "wyrzekam się Konana, a

zostaję żoną Gausena. "

— Pierwej chrzest przyjmij, a potem powtórz tę prośbę — odparła spokojnie

Urszula.

Twarz Gausena pociemniała z gniewu.

— Czyż nie wiesz, że w mocy mojej twe życie? Przemawiasz jak królowa, a moją

niewolnicą jesteś: bo gdy skinę, umrzesz w tej chwili! — zawołał wódz ponurym

głosem.

— Śmierci się nie lękamy, ani ja, ani moje towarzyski.

— Przekonam się, o ile się jej nie lękasz.

To powiedziawszy, dziki wódz Hunnów skinął na jednego z żołnierzy.

— Łuk z pleców! — wrzasnął — strzałę nałożyć!.. niech jedna z orszaku królewny

we krwi u nóg swej pani padnie.

Strzała świsnęła — i zanim Urszula zdołała zrozumieć okrutny wyrok, już ukochana

jej Tekla osunęła się na ziemię, a na białej jej sukni ukazała się krwawa plama.

Urszula pochyliła się ku niej i ramieniem objęła.

— Umieram! — szepnęła Tekla, całując ją na pożegnanie. — Obyż śmierć moja

nawróciła tych barbarzyńców!

— Niebawem pójdę za tobą! To rozstanie chwilowe — rzekła Urszula; — do widzenia, siostro.

Gausen spojrział zdumiony na te odważne kobiety, lecz spokój ich podrażnił gniew jego bardziej jeszcze.

— Puść trupa, a mnie powiedz: "wyrzekam się Konana i wiary jego!" — krzyknął.

Urszula złożyła zwolna przyjaciółkę na ziemi i zwróciła się do barbarzyńcy:

— Wiary mej nie wyrzeknę się nigdy!

— A więc umrzesz natychmiast! — ochrypłym z gniewu głosem wrzasnął Gausen i

skinął na żołnierzy. — Nie szcędźcie żadnej! — zawołał.

I wnet pięć strzał przeszło powietrze i pięć młodziuchnych dziewcząt, krwią

zbuczonych, padło u stóp tronu wodza Hunnów, jak lilie kosą podcięte. I pełna

grozy cisza otoczyła go.

Barbarzyńcy zlekli się ohydneho czynu i — o dziwo! — kilku z nich zgięło kolana

i pochyliło kornie czoła przed męczennicami.

Wtem dzwignęła się z ziemi Urszula, wyciągnęła ku nim białą rękę i twarz jej

zajaśniała błogiem zadowoleniem.

— Nie żał mi życia, gdym nawet takich nawrócić potrafiła — rzekła; — oto

błogosławię was i chrzczę krwią moją własną!... Bądźcie wiernymi Chrystusowi.

I upadła znowu zwolna na ziemię, by więcej oczu nie otworzyć.

Ci, których nawróciła, podjęli ze czcią ciała męczennic i pochowali je uroczyście. Okrutny Gausen oporu nie stawiał: zląkł się tego Boga, który tak

dziwną odwagę wlać nawet w serca niewieście potrafił.

III. PRZEZ CIERNIE.

Męstwo jest cnotą nie tylko mężczyzn, ale i kobiet; i kobiety mają swoje dni walki.

K. Hoffmanowa.

I.

Preszburg szaleje. Trzeci już dzień świętuje stolica, już trzeci dzień warsztaty i kramy miasta stoją bezczynne, a lud ucztuje na placach. Stoły suto zastawione mięsivem i ciastem; kadzie, pełne wina, wabią tłumy; muzyka brzmi po oberżach; tańce, śpiewy od rana do nocy. na zamku królewskim rojno, gwarno, huczno i strój no: złoto kapie z szat panów, klejnoty na nich migocą. Na wielkim placu, gdzie zwykle odbywają się turnieje, zebrał się w tej chwili cały dwór królewski i obcych nie brak także, a wszystko dostojni goście: książęta niemieccy, ba, królowie nawet...

Młodzież węgierska popisuje się zręcznością — to w wyścigach ubiegając się o palmę pierwszeństwa, to w walce na kopie i miecze. Dźwięki trąb mieszają się z gwarem głosów ludzkich i rzeniem rumaków. Od czasu do czasu nad te hałasy wzbija się głos herolda, który oznajmia widzom godło tego, co wszedł w szranki walczących...

Wokoło placu na ławach i krzesłach siedzą panowie węgierscy i obcy,
a za nimi w
łożach księżęta i królowie. W najparadniejszej rozsiadł się król
Węgier,
Andrzej, obok niego jego małżonka Gertruda, a z nim hrabia Reinhard
z Milbergu i
pani Berta Beidelibern, którzy razem z Turynгии na tę uroczystość
przybyli.
Na kolanach królowej siedzi maleńka dziewczynka w złotolitej
sukience, w
przepasce koralowej na kruczych włosach; twarzyczka jej smągła,
oczy czarne,
pełne życia, rozwarte szeroko, a ciekawość w nich się maluje. Z
niemym zachwytem
przygląda się ona gonitwom i walce rycerzy, ani się domyślając, że
to na jej
cześć ta uroczystość, że ona dziś bohaterką dnia. Maleńka cztery lata
liczy
zaledwie, a rodzice obchodzą już jej zaręczyny: landgraf Turynгии i
Hessyi,
hrabia saski Herman, jeden z najznakomitszych książąt rzeszy
niemieckiej,
wyprawił do Preszburga w poselstwie hrabiego Reinharda i Bertę
Beidelibern, by
prosił króla Andrzeja o rękę malutkiej Elżbiety dla syna jego
Ludwika.
Poselstwo zostało przyjęte przychylnie. Król Andrzej przyrzekł posłać
córkę do
zamku Wartburga, gdzie wedle ówczesnych zwyczajów miała się ona

chować wraz z przyszłym mężem — i oto właśnie zaręczyny
wyprawia.

Zapatrzona w walczących rycerzy, ani się domyśla królowna, co to za
ważny dzień
w jej życiu. Gdy który ze zwycięskich rycerzy zbliży się do łoża
królewskiej po

nagrodę i uklęknie przed nią, zwraca natychmiast spojrzenie na matkę,
matka
wkłada w drobne rączki dzieciny wieniec dębowy, a Elżbieta stroi nim
z uśmiechem
głowę klęczącego i klaszcze potem w dłonie z radości.
Ranek i południe zbiegły dworowi na takich uciechach, a gdy słońce
pochyliło się
ku zachodowi, król Andrzej dał znak, iż czas przerwać turnieje.
Rycerze opuścili
szranki i podążyli na zamek, gdzie wspaniała uczta miała zakończyć
uroczystość.
Goście i miejscowi obsiedli suto jadłem zastawione stoły; ozwały się z
galeryi,
salę otaczającej, trąby i flety; z beczek, stojących pod ścianami, polało
się
wino; służba poczęła obnosić dymiące parą półmiski i szklanice pełne
złotego
napoju. Królową posadzono w wysokim krześle, na pierwszym
miejscu; stało tuż
przy niej po obu stronach po dwóch paziów, gotowych na każde
skinienie
młodziutkiej swej pani; za każdym daniem kładli jej na talerze to
mięso, to
słodczyce, to owoce, lecz królowa nie tknęła niczego. Zmęczona
doznanami
wrażeniami, mimo gwaru, który ją otaczał, usnęła. Na jej cześć
panowie wznoszą
ustawicznie toasty, lecz ona nikomu nie dziękuje; główka jej zwiśla na
poręczu
krzesła, oczy zamknięte, na ustach błąka się wszakże

uśmiech zadowolenia: może dziecina marzy o gonitwach rycerskich.
Sen królowy nie przeszkadza wszakże nikomu: wesołe rozmowy i
głośniejsze
jeszcze wiwaty obijają się co chwila o ściany sali godowej.

Prócz jednej, wszystkie twarze promienieją życiem i uciechą — prócz królowej Gertrudy, wszyscy weseli. Ona tylko jedna siedzi milcząca, nie spuszcza wzroku z córki, a we wzroku tym tyle niepokoju!... I nie dziw! tę maleńką zabiorą niebawem obcy przybysze i w dalekie strony uwiozą; a jak jej tam będzie — kto wie? Hrabia Reinhard mówił wprawdzie, że Herman, landgraf Turyngii, i żona jego Zofia słyną oboje z mądrości i cnoty; że syn ich Ludwik jest wiernem odbiciem rodziców; — lecz czy ona pewną być może, iż Elżbieta zdobędzie sobie serca nowej rodziny, że tęsknić za swymi nie będzie w Wartburgu? Głośne wiwaty, śmiechy, gwar pustych rozmów, jakie rozlegały się koło królowej, nużyły ją, a jednakże pragnęła, by ta godzina hałaśliwa nie skończyła się nigdy, gdyż po skończonej uczcie córka jej miała odjechać na zawsze z domu. Lecz życzenia Gertrudy nie spełniły się. Przyszła chwila, kiedy goście powstali od stołu i Berta Beidelibem zbliżyła się do królowej. — Czas rozstać się — rzekła. Królowa pochyliła się ku śpiącej Elżbiecie, wzięła ją na ręce i do serca przycisnęła, a kilka łez spadło z jej oczów na twarzyczkę dziecka. Dziecina obudziła się i podniosła powieki, lecz ujrzawszy matkę, pochyłoną ku sobie, znowu zamknęła oczy.

— Panuj nad sobą, Gertrudo — odezwał się król; — najlepiej będzie, gdy śpiące

dziecko oddamy hrabiemu Reinhardowi i jego towarzysze: mniej
będą mieli z niem
kłopotu... płaczu nie będzie przy rozstaniu... Niech przyniosą kolebkę
księżniczki — dodał, ku dworzanom się zwróciwszy.
Zaledwie wymówił te słowa, na progu sali ukazało się dwóch paziów
królewskich,
którzy nieśli srebrną kolebeczkę, a za nimi trzynaście dziewcząt biało
ubranych
postępowało. Chłopięta postawiły kolebkę przed królową, ta ułożyła
dziecinę na
posłaniu, pocałowała białe jej czoło i krzyżyk błogosławieństwa na
niem
nakreśliła, poczem paziowie dźwignęli znów kołyskę i skierowali się z
nią ku
wielkiej sieni zamkowej. Trzynaście dziewic, jakie król Andrzej
posyłał do
Turyngii z córką, szło tuż za kolebką, potem król i królowa z hrabią
Reinhardem
i jego towarzyszką, a za nimi postępował dwór cały.
Na wielkim dziedzińcu stały kolasy, czekające na poselstwo landgrafa
Turyngii i
na młodą narzeczoną jego syna, oraz tłum ludu, który krzyczał:
— Niech żyje Elżbieta, królowna Węgier!
— Niech żyje Ludwik, książę Turyngii!
Paziowie, przecisnąwszy się przez tę wrzaskliwą gawieź, już
docierali do
karocy, którą jechać miała królowa, gdy naraz dziwaczna jakaś
postać w
łachmanach, z kosturem w ręku, przypominająca legendowe wiedźmy,
zastąpiła im
drogę.
— Stójcie! — rzekła ochrypłym głosem i rękę czarną, kościstą, na
kołysce
położyła — stara Cyganka

chce także pożegnać swą królową i dać jej jakiś podarunek od siebie
— dodała

posepnie.

Wylękle chłopięta zatrzymały się. Stara pochyliła się nad śpiącym dzieckiem,

spojrzenie sępa w nie wpiła i poczęła ruszać głową i wzdychać głośno.

Nikt nie

śmiało jej odegrać — z niemym przerażeniem wszyscy czekali, co powie; nie

wątpili, iż jako podarek rzuci królowie wróżbę; lecz dobrą, czy złą — każdy był

ciekaw.

Nareszcie stara wyprostowała się, chudy, czarny palec wyciągnęła ku dziecku i

głuchym głosem mówić poczęła:

— Huśtała, pieściła, cackała mać... zato obcy chłodem otoczą,
całusków poskapią,

odmówią serca... Słodko, wesoło, bez troski i łez biegło ci życie u swoich; u

obcych poznasz ty, co płacz, co rozpacz, co ból, co nędza i srom, głód i zimno;

goryczą obcy cię nakarmią, piółunem napoją! Oj, biedna ty, biedna! oj, żal mi

cię, żal! W złotogłowie stroił cię ojciec, w srebrnej kołysce usypiała matka,

kolana zginali przed tobą słudzy króla Węgier; pod dachem obcych nie będziesz ty

panią, ale wygnanką... tam sępy cię otoczą, poranią, pokrwawią! Oj, biedna ty,

biedna!

I Cyganka, cofnąwszy się od kolebki, znikła w tłumie.

Posepna jej wróżba takie wrażenie na wszystkich wywarła, iż nikt słowa przemówić

nie śmiało; nawet królowa i król milczeli, bladzi, zgnębieni.

Wpatrywali się oni

z przerażeniem w uśpioną dziecinę, jedną myślą przejęci: czy dozwolili jechać

córcie

do obcych, którzy, wedle wróżby Cyganki, drogę jej życia cierniem
zasłać mieli?

Król otrząsnął się pierwszy z wrażenia.

— Gdzie ta Cyganka? Dajcie ją tu zaraz! — zawołał.

Dworzanie się rozbiegli, lecz próżno szukali — Cyganka bez śladu
przepadła.

Królowa chciała zabrać córkę z kołyski, lecz hrabia Reinhard opór
stawił.

— I czemu wytłómaczę memu panu niedotrzymanie waszego słowa?

— zapytał

poważnie. — Czy mam odjechać bez królowy, i stanąwszy przed
obliczem landgrafa

Turyngii, powiedzieć: "Król Andrzej i królowa Gertruda zlekli się
wróżby ciemnej

Cyganki i córce jechać nie dozwolili. " Lub może mam mu

powiedzieć: "Król Węgier

znieważył cię, najjaśniejszy panie, wobec całego swego dworu, bo
gdyśmy już

ruszać w podróż mieli z królową, naraz nam ją odebrał. "

— Tak jest, wiarołomcą być nie mogę — odezwał się stanowczym
tonem król Andrzej.

— Powierzę dziecko opiece Boskiej i ufać będę, że Bóg czuwać nad
nim nie

przestanie. Idź do kaplicy, Gertrudo! — dodał, zwróciwszy się do
żony — modlitwa

wleje spokój w twe serce.

I Berta Beidelibern z hrabią Reinhardem zabrali królowę. Ruszyły
kolasy

podróżne ku bramie dziedzińca; napół omdlałą z żalu żonę król
Andrzej

odprowadził do kaplicy zamkowej, gdzie padłszy u stóp ołtarza na
kolana,

nieszczęśliwa matka szukała w pokornej modlitwie pociechy i siły.

Na zaniku wartburskim, rezydencyi książąt Turyngii, głucha cisza
panuje —
jeszcze śpią jego mieszkańcy; księżyc wprawdzie już poblądł, niby ze
strachu
przed spotkaniem się ze słońcem, którego przybycia lada chwila
spodziewała się
ziemia, strojąc się, by powitać godnie swego króla: rozwijała stulone
kielichy
kwiatów, obsypywała brylantami szmaragdowe liście traw i krzewów,
budziła
śpiewaków skrzydlatych, by Pana jej pieśnią witali.
Wtem głuchy tętent doleciał od gościńca, do bramy zamkowej
wiodącego. Mgła,
wisząca w powietrzu, nie dozwalała widzieć, kto jedzie owym
gościńcem, lecz
strażnik, stojący u bramy zamku, zgadł zaraz, iż wpuści niebawem
gościa na
dziedziniec.
Tętent stawał się coraz wyraźniejszy.
Nie omylił się strażnik: nie upłynął kwadrans, a już za bramą ozwał
się głos
jędrny, donośny:
— Z poselstwem do landgrafa Turyngii!
Wnet otwarła się brama i na dziedziniec wjechał rycerz w płaszczu
kurzem
okrytym, zdradzającym, że poseł ów nie dzisiaj ani wczoraj dosiadł
konia, lecz o
wiele dawniej.
— Czy landgraf na zamku? — zapytał.
— Tak, ale śpi jeszcze — odparł strażnik. — Zaledwo świta...
— Jeśli śpi, to go zbudzić trzeba. Widzieć się z nim muszę
natychmiast — odparł
przybysz. — Landgraf sam mi polecił, abym stanął przed nim
bezzwłocznie, gdy w
poselstwie przybędę.
To mówiąc, pokazał strażnikowi pierścień z herbem landgrafa, w
krwawniku

wyrytym, jaki miał na

palcu. Strażnik ustąpił z drogi, a poseł, zeskoczywszy z konia, podążył ku zamkowi.

Tętent kopyt obudził śpiącą w sieni służbę, rozwarły się wielkie okute drzwi

zamkowe i dwóch pacholków ukazało się na progu. Poseł tłumaczyć się znowu

musiał, lecz i tutaj pierścień z krwawnikiem utorował mu drogę.

Dotarł wreszcie

do sypialni landgrafa. Tu znalazł także drzwi zaparte, a przy nich stojącego

dworzanina.

— Czy landgraf śpi jeszcze? — zapytał go.

— Prawdopodobnie — odparł dworzanin.

— Mam pilne poselstwo, widzieć się muszę bez zwłocznie — rzekł przybysz.

Dworzanin zawahał się.

— Czy list niesiecie? — zapytał po chwili.

— Słowa tylko.

— Powiedźcie, a wejść i powtórzę je — rzekł dworzanin.

— Sam widzieć się muszę. Oto dowód, że mam prawo wejść — odparł poseł i krwawnik

ukazał.

Dworzanin odstąpił ode drzwi. Nieznajomy pchnął je i wszedł do sypialni.

Landgraf Herman już nie spał, szept prowadzonej rozmowy go obudził.

— Hrabia Gotard! — wykrzyknął radośnie — i cóż mi niesiecie?

Poseł skłonił się na powitanie.

— Królowna węgierska odpoczywa w tej chwili w Eisenach — rzekł.

— Czy zdrowa?... czy szczęśliwie odbyła podróż? — pytał landgraf.

— Zdrowa i wesoła; już oswoiła się z nowem otoczeniem. Podróż odbyliśmy bez żadnej przygody — odpowiedział hrabia.

Landgraf klasnął w dłonie. Na ten znak wszedł do sypialni dworzanin, który pode drzwiami czekał na rozkazy.

— Niech zapręgą do mej kolasy — rzekł landgraf. — Ty, Henryk i Rudolf bądźcie

gotowi: za pół godziny wyruszymy do Eisenach. A wy, hrabio — tu zwrócił się do

posła dobrej wieści, — rozgoście się w zamku. Pewności znużeni i głodni także.

Każcie dać sobie śniadanie i spoczynek przygotować.

— Gdy wam usłużę, panie, o sobie pomyślę — odparł uprzejmie

Gotard i pozostał w

sypialni, by zastąpić dworzanina, który pośpieszył spełnić rozkazy landgrafa.

Dzień był już dobry, gdy landgraf z dworem ruszył na spotkanie synowej, wydawszy

wprzód rozkaz przygotowania wszystkiego na przyjęcie przyszłej pani Turyngii. Po

paru godzinach jadącym ukazały się wieżyce kościołów miasta. Mgła opadała

zwolna, daleko można już było sięgać wzrokiem. Przed nimi widać było punkt

czarny, ruchomy, który posuwał się zwolna. Landgraf wpatrywał się w niego

uważnie.

— Zdaje mi się, że to oni — rzeki, nie spuszczać go z oka.

— Najniezawodniej — odparł jeden z dworaków. — Rozróżniam już ludzi, konie i

kolasy.

W istocie czarna masa przybrała kształty wyraźniejsze; widać było jeźdźca,

poprzedzającego o kilkanaście kroków olbrzymią kolasę, otoczoną panami

na koniach, a dalej jeszcze kilka innych, dalej wozy łądowne. Jadący przodem oddalał się, szybko, daleko zostawiwszy królowną za sobą; a gdy się spotkał z landgrafem, zeskoczył z konia, i czapkę w górę podniósłszy, krzyknął:

— Królowna Elżbieta jedzie! Landgraf kazał konie zatrzymać.

— Tutaj zaczekamy — rzekł, obejmując wzrokiem okolicę.

Była to obszerna płaszczyna, otoczona dębami, miejsce wygodne, piękne i

cieniste. Niebawem orszak królowny nadciągnął.

Elżbieta nie spała; siedziała ona na kolanach Berty Beidelibern, do której

przywiązała się bardzo.

Wysiadłszy z pojazdu, landgraf Herman zbliżył się do narzeczonej syna, wziął ją

na ręce i ucałował czule. Dziecina uśmiechnęła się do niego.

— Ktoś ty taki? — zapytała.

— Jestem twoim ojcem — odparł.

— Mam ojca w Preszburgu, bardzo go kocham — szczebiotała dziewczynka. — Ty pewno

jesteś tym drugim ojcem, o którym Berta mi mówiła. Jeżeli jesteś taki dobry, jak

tamten, kochać cię będę także.

Księżna Zofia z synem wyczekiwała niecierpliwie królowny. Gdy dano jej znać, że

podróżni już w bramę zamku wjeżdżają, wybiegła z dziećmi na krużganek i,

odebrawszy z rąk męża Elżbietę, okryła ją pocałunkami, poczem zwróciwszy się do

syna, odezwała się poważnie:

— Oto przyszła twoja małżonka, Ludwiku. Kochaj ją jak siostrę i jak siostrę

otaczaj opieką, zachęcaj do dobrego, od występku strzeż troskliwie.

Ludwik ujął maleńką rączkę narzeczonej i ucałował ją z szacunkiem.
— Witam cię, moja śliczna żoneczko! — rzekł — kochać cię będę na pewno!

Tak to pod dobrą wróżbą rozpoczęło się dla Elżbiety życie w domu jej przyszłego
męża.

W kilka dni potem odbyły się nowe, uroczyste zaręczyny na zamku wartburskim.

Wszyscy wróżyli szczęśliwą przyszłość królownie: Młody narzeczonny pokochał ją od

pierwszego spojrzenia i troskliwością prawdziwie braterską otaczał; rodzice jego

byli nią zachwyceni, obsypywali ją ustawicznie pieściami; dwór cały ubiegał

się, by jej dogodzić, a z braćmi Ludwika żyła w wielkiej przyjaźni.

Jedna tylko

istota w zamku nie okazywała przychylności Elżbiecie: była to córka landgrafa,

księżniczka Agnieszka. Hołdy, jakie odbierała królowna, pieścoty, jakimi była

otoczona, zdawały się ją gniewać.

Ileć wyrzekł kto przy niej pochlebne słowo o Elżbiecie, marszczyła czoło

natychmiast; a gdy po odbytej uroczystości zaręczyn Ludwik przyprowadził do niej

narzeczoną i rzekł: — "Uściśnij, Agnieszko, swoją bratowę! —

pocałowała tak

chłodno królownę, iż dziewczynka, spojrzawszy na nią ze smutkiem, spytała:

— Czemu nie kochasz Elżbietki, siostrzyczko?

Lecz słowa te nie wzruszyły Agnieszki.

— Chciwą jesteś, królowno — odparła szorstko; — chciałabyś zabrać sobie

wszystkie serca, jakie tylko biją w tym zamku.

II.

Minęło lat kilka od powyżej opisanych wypadków. Elżbieta mieszkała zawsze w zamku wartburskim, życie jej płynęło cicho i spokojnie. Wprawdzie straciła matkę, lecz, oddalona od niej, w rodzinie przyszłego męża otoczona miłością, nie uczuła zbyt mocno tej straty. Wszystko wróżyło królownie, że będzie zawsze szczęśliwą: Miała dar zdobywania sobie serc, narzeczony jej wyrastał na człowieka rozumnego i zacnego, Turynia pomyślnie się rozwijała. Była to niedziela. Gromadka dzieci bawiła się wesoło w ogrodzie zamku wartburskiego. Córki i synowie dworzan landgrafa wraz z jego dziećmi i przyszłą synową wyprawiali wyścigi, strzelali do celu z małych swych łuków, gonili motyle — pełno tam było gwaru, śmiechów i żartów. Wtem rozległ się w powietrzu uroczysty głos dzwonu, oznajmiając, że nieszpory się rozpoczęły. Elżbieta ścigała się właśnie z braćmi Ludwika, lecz usłyszawszy dźwięki, zatrzymała się w połowie drogi; spojrzenie jej naraz spoważniało i zwróciła się do narzeczonego.

— Pójdziemy do kościoła — rzekła.

— Pierwej dobiegnij do mety — ozwała się księżniczka; — nieszpory nie uciekną.

— Nie będę się bawiła, gdy kościół na modlitwę wzywa — odparła Elżbieta.

Agnieszka ruszyła ramionami.

— Mniszka! — mruknęła z gniewem.
— Dziwię się, że ganisz jej pobożność — surowo odezwał się do siostry Ludwik.
— Ganię, bo przesady nie lubię — odparła Agnieszka.
— Czyż można przesadzać w gorliwości względem Tego, któremu tyle winni jesteśmy?
— spytała Elżbieta — czyż Boga nadto miłować można?
— Pięknie odpowiedziałaś, Elżbieto — odezwała się Berta, która zdala czuwała nad młodzieżą. — Chodźcie, dzieci, do kościoła; czas już w istocie. Ludwik podał ramię narzeczonej i naprzód ją poprowadził, inne dzieci skupiły się koło Berty i podążyły wszystkie na nieszpory. Agnieszka szła zasepiona na końcu.
Gdy dotarli do kamiennych schodów, prowadzących do kaplicy, spotkali landgrafa Hermana z panami i paniami dworu. Ujrawszy młodych narzeczonych, śpieszących przodem, landgraf uśmiechnął się do nich, a zwróciwszy się do żony, rzekł:
— Pobożną panią nasi poddani mieć będą w przyszłości. Rad jestem z wyboru.
Synowa nasza co dzień milszą staje się memu sercu.
Wszedłszy do kościoła, Elżbieta padła na kolana i w serdecznej modlitwie się zatopiła, nie czu-

jąc spojrzeń ojca i dworzan, którzy z szacunkiem się jej przypatrywali. Po skończonych nieszporych dzieci nie wróciły już do ogrodu. Berta Beidelibern poprowadziła je do sali jadalnej, gdzie wieczerzę niebawem podać miano; tam podążył też landgraf Herman z żoną i dworem.
— Elżbieto, mam dla ciebie radosną nowinę — rzekł landgraf, wchodząc.
Elżbieta podniosła na niego pytające spojrzenie.

— Brat twój przysłał ci w darze tysiąc talarów — ciągnął dalej landgraf; —
ponieważ rozumną jesteś, pozwolę ci przeto z nimi zrobić, co zechcesz.
Rumieniec radości oblał twarzyczkę dziewczynki.
— I nie każesz mi, ojczy, powiedzieć, co z nimi zrobiłam? — spytała nieśmiało.
Zrozumiał ją landgraf.
— I na to dam pozwolenie swej pobożnej synowej, która pamięta o tem, że dobre uczynki w tajemnicy spełniać należy — odparł z dobrotliwym uśmiechem.
Poczem zwróciwszy się do jednego z dworzan dodał tonem rozkazu:
— Panie Wentzel, wręczycie dziś jeszcze królowie tysiąc talarów.
— Co zrobisz z tymi pieniędzmi? — zapytał Ludwik narzeczoną, gdy po skończonej wieczerzy przeszli znowu do ogrodu.

— Co pragnę z nimi zrobić, to już wiem — odparła Elżbieta, spuszczać oczy; —
ale czy ty zamiar mój uznasz za dobry?
— Jestem tego pewien.
Elżbieta podniosła na niego słodkie spojrzenie.
— Dziś rano, gdy wszyscy prawie w zaniku jeszcze spali — poczęła głosem nieśmiałym, — Guta i ja uprosiliśmy hrabiankę Szander, by poszła z nami...
— Na cmentarz — wtrąciła naraz głosem ironicznym Agnieszka, która najniespodziewaniej zjawiała się obok narzeczonych.
— Tak, na cmentarz — potwierdziła spokojnie Elżbieta. — Lubię tam chodzić:
groby, jakie spotykam, mówią mi, że i ja kiedyś spocznę pod mogiłą, a dusza moja przed Bogiem stanie, by zdać sprawę z życia całego. To mnie zachęca do dobrych

uczynków.

— I wieczne szczęście ci ułatwi — dodała, zbliżając się, Berta.

Agnieszka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

— Wracałyśmy z cmentarza dalszą drogą — zaczęła znów Elżbieta.

— Ranek był taki

piękny, chcieliśmy się przejść i dlatego dalszą drogę z powrotem
obrałyśmy.

Gdyśmy przechodziły koło jednej z chat kmiecych, usłyszałam płacz
głośny;

uprosiłam więc hrabiankę i wstąpiłyśmy... Ach, Ludwiku, żebyś ty
wiedział, jaka

tam nędza!..,

— Pożegnajcie się z nadzieją zabawy! — mruknęła do innych
dziewcząt Agnieszka. —

Te talary zabiorą z pewnością jacyś łachmaniarze — dodała z
nietajonym gniewem.

— Sądzę, że to piękniejszy cci, niż ten, o którym roiliśmy podczas
wieczery —

stała żywo w obronie królowny Guta.

— Czyżbyś ty odważyła się cośkolwiek jej zganić! — odparła
wzgardliwie

Agnieszka.

— Nie znasz jej, siostró — odezwała się Elżbieta; — ilekroć chcę coś
złego

popęłnić, Guta przestrzega mnie zawsze; sądzą jednak, że dziś na
naganę nie
zasłużyłam.

— Tylko na uwielbienie — rzekł Ludwik i przykląkł przed
młodziutką narzeczoną. —

Nigdy cię tak nie kochałem, jak w tej chwili — dodał, całując jej małą
rączkę.

— Możemy być pewni, że gdy ta para zasiądzie na tronie, każe
wszystkim

mieszkańcom Turynii habity przywdziać — z przekąsem odezwała
się Agnieszka.

Ludwik rozśmiał się wesoło, powstał i zwrócił się do mówiącej:
— Bądź spokojną, nie zrobię z ciebie zakonnicy — odparł; — nie na zakonnice tyś stworzona... Możesz być wszakże pewną, że razem z Elżbietą o tem myśleć będziemy, by poddani nasi nie znali nędzy i rozpaczy — dodał poważnie.
— Postaram się wyjechać z Turyngii, zanim do władzy dojdziecie — odparła Agnieszka.
— Dość tych sporów! — wtrąciła się Berta. — Elżbieta poniesie jutro rano z Ludwikiem i hrabianką Szander pieniądze biedakom, boć ma pozwolenie zrobienia ze swymi talarami, co się jej podoba; a tymczasem pora nam wszystkim na spoczynek.

I zaprowadziła dziewczęta do sypialni ich wspólnej, — lecz zanim udały się na spoczynek, musiały pierwiej zmówić wieczorne pacierze, po których kazała im jeszcze podziękować Bogu za dobre natchnienie, jakie dał Elżbiecie, aby na tak piękny cel daru brata użyła.
Agnieszka stłumiła gniew, — lecz gdy pokój cisza zaległa i światła pogasły, szepnęła do swej przyjaciółki Miny, obok której sypiała:
— Nie cierpię Elżbiety. Jej pobożność do wściekłości mnie doprowadza. Nie daruję jej nigdy, iż za pieniądze otrzymane nie wyprawiła nam uczyty.
— Nieznośna jest — zawtórowała Mina.
— A co najgorsza, że tak fatalnie wpływa na Ludwika. Gdybym ojcem była, naznaczyłabym następcą tronu Henryka, a Ludwikowi księdzem kazałabym zostać.

— Masz słuszość — rzekła Mina: — on na mnicha, ona na mniszkę się nadają tylko.

A czy wiesz, co ona wczoraj zrobiła?

— Cóż takiego?

— Bawiłyśmy się w ogrodzie, wtem słyszemy krzyk... Elżbieta rzuciła natychmiast

zabawę i poleciała w stronę, skąd lament dochodził, i niebawem dobiegło nas

wołanie: "Guto! Guto!" Pobiegłyśmy wszystkie i wyobraź sobie, cośmy zobaczyły:

Elżbieta klęczała nad brudnym żydziakiem, którego pies z dziedzińca zamkowego

poturbował. Podobno ktoś ze służby poszczuł... i dobrze zrobił, bo po co żydziak

włazł do chrześcijan. Guta naturalnie pośpieszyła z pomocą Elżbiecie, zaniósł

wody, pomogła jej

obmyć rany, poczem obie podniosły go z ziemi i do matki jego odesłały w lektyce.

Agnieszka otrząsnęła się ze wstrętem.

— Brudnego żydziaka? To okropne! — rzekła.

— Byłam pewną, że hrabianka Szander połaje Elżbietę — ciągnęła dalej Mina, —

lecz wyobraź sobie, że ją uściskała i powiedziała: "Święta dziewczeczka. "

— Te Węgierki tylko jej schlebiają! — mruknęła Agnieszka.

— Nie tylko Węgierki — westchnęła Mina; — a Berta ze swoim wiecznem:

"błogosławiony dom, w którym rosą takie dzieci, jak Elżbieta. " A hrabia

Reinhard, który przepowiada, że królowna chlubę i szczęście Turyngii przyniesie?

Guta nazywa ją lilijką, Ludwik gołąbkim, landgraf swą chlubą...

Komu ona głowy

nie zawróciła!

Agnieszka nic na to nie odpowiedziała i zamknęła oczy, lecz gniew
odpędzał sen z
jej powiek.
Zato Elżbieta usnęła zaraz, a sen przyniósł jej słodkie widzenie: Zdało
się jej,
iż przyszła do niej matka i powiedziała: "Zadowolona jestem z ciebie,
Elżbieto,
boś cnotliwa. Łatwo jednak jest być dobrą, gdy nas miłość otacza, gdy
ścieżka,
którą idziemy, równa jest i gładka, kamienie ostre i ostrzejsze jeszcze
kolce
stóp nam nie ranią; lecz gdy walczyć trzeba ze złem, znosić
upokorzenia i
przykrości, gdy cierpieć musimy, by dobrze czynić, a w dobrem mimo
to
wytrwamy... wtedy dopiero prawdziwa zasługa. "
Zaledwie nazajutrz świt rozproszył cienie nocy, Elżbieta zbudziła
Gutę. i
hrabiankę Szander i poszły

razem do nieszczęśliwej rodziny, którą wczoraj przypadkiem poznały.
Elżbieta
zostawiła w ubogiej chacie talarów. Chciała wszystko oddać, lecz
odradziła
jej to hrabianka, która lękała się, by kto nie obdarł biednych ludzi z
tak
znacznej kwoty. Za jej namową Elżbieta obiecała nieszczęśliwej
matce pięciorga
dzieci, iż, dopóki do zdrowia nie wróci, przynosić jej będzie każdego
tygodnia
pomoc pieniężną. Wracały wszystkie trzy, rozmawiając z ożywieniem
o tych,
których pocieszyły w niedoli, a tak były zajęte rozmową, iż,
wszedłszy na
dziedziniec, nie spostrzegły, że ludno na nim niezwykle, że wszystkie
twarze

jakieś zasepione i że wielu przypatruje się Elżbiecie jak gdyby z politowaniem.

I w sieni zanikowej ludno też było, a mimo to dziwnie cicho, bo wszyscy szeptali tylko dookoła.

Zaledwo minawszy sień, zwróciły się do bocznych drzwi, które prowadziły do

pokojów królowy. Elżbieta ujrzała idącego naprzeciw siebie

Ludwika. Był blady

niezwykle.

— Co ci jest? — zapytała niespokojnie.

— Ojciec umiera! — odrzekł stłumionym głosem.

Wiadomość była tak niespodziewana, iż Elżbieta, zachwiała się, jak gdyby jakiś

ciężar spadł nagle na jej głowę.

W pierwszej chwili nawet na odpowiedź zdobyć się nie mogła, lecz niebawem

wróciła jej przytomność.

— Czy mogę pójść ojca pożegnać? — zapytała.

— Wysłał mnie po ciebie — odparł Ludwik. — Chodźmy razem.

I skierowali się oboje do pokoju landgrafa. Błada, lecz spokojna, zbliżyła się

Elżbieta do łóżka chorego i przyklękła przy nim.

— Pobłogosław mię, ojcze! — rzekła. Landgraf otworzył oczy, a wyraz zadowolenia

rozjaśnił jego twarz.

— Jesteś... — szepnął, patrząc na nią z miłością. — Czekałem na ciebie.

I rękę położył na jej głowie.

— Niechaj Bóg błogosławi wszystkim dobrym twoim chęciom i uczynkom — rzekł

głosem wyraźnym, — bądź wierną towarzyszką Ludwika. Jak dziś, tak i nadal

zachęcaj go zawsze do dobrego, wspieraj w zacnych zamiarach, rad szlachetnych

udzielaj, by poddani go kochali i szanowali.

Ręka jego zsunęła się z głowy dziewczęcia i opadła bezwładnie.

Elżbieta ją pochwyciła.

— Nigdy, nigdy nie pociągnę go na złą drogę! przysięgam ci, ojczel!

— zawołała

wzruszonym głosem, gorącymi pocałunkami pokrywając rękę

landgrafa, który

usłyszał tę obietnicę widocznie, bo uścisnął jeszcze jej dłoń, poczem

powieki

jego się zwały, z ust ciche, wyrwało się westchnienie i usnął na

zawsze.

Płacz głośny, jaki rozległ się w pokoju, oznajmił Elżbiecie, że straciła

tego,

który ją kochał jak córkę.

Nie rozszlochała się ona jednak głośno, jak inni, lecz w cichej

modlitwie

szukała pociechy.

W kilka dni potem odbył się na zamku wartburskim wspaniały

pogrzeb. Landgrafowa

Zofia z córką

i synem najstarszym szły pierwsze za marami, za nimi Elżbieta z

braćmi Ludwika,

potem dwór cały i obcy książęta, którzy na tę żałobną uroczystość na

zamek

zjechali.

Przez cały ten smutny dzień Ludwik matki nie odstępował, gdyż co

chwila mdlała i

przywoływała go do siebie. Zdawało się, iż zapomniał o narzeczonej;

lecz

Elżbieta nie miała mu tego za złe i zachowywała się zupełnie

spokojnie, tak, iż

patrzącym na nią zdawało się, że śmierć ojca narzeczonego niewielkie

wywarła na

niej wrażenie. Dopiero kiedy wieczorem zostaią tylko z Gutą w

swoim pokoju,

łzami się gorącemi zalała. Rzuciwszy się przyjaciółce na szyję, z łkaniem
zawołała:

— Guto! Guto! com ja w nim straciła biedna sierota!...

— Masz jeszcze matkę — szepnęła nieśmiało Guta.

— W jej sercu pierwsze miejsce zajmuje Agnieszka.

Guta objęta ją ramieniem.

— Ludwik cię kocha — rzekła, całując ją. Elżbieta westchnęła.

— I cierpieć będzie przeze mnie — szepnęła, głową potrząsając.

W tej samej chwili Agnieszka z Miną również poufną prowadziły rozmowę.

Nie taję, iż wszelkich wpływów użyję, by Ludwik odesłał Elżbietę do Węgier —

mówiła księżniczka. — Ona na monarchinią nie stworzona, ale

na sługę. Ojciec mój miał słabostkę do niej i wad jej nie widział, lecz matce ja

oczy otworzę.

— Dwór cały wdzięczny ci będzie, gdy tego dokążesz — odparła Mina. — Wybawisz

nas od postów i włosienicy, bo ręczę, że gdy Elżbieta landgrafową zostanie, każe

nam cztery razy na tydzień biczować się i habity nosić.

III.

Rok upłynął od śmierci landgrafa Hermana, a na zamku wartburskim jeszcze żałobę

noszono. Była to wigilia Wniebowzięcia. Dzień był mglisty, drobny deszcz padał

bez przerwy. Elżbieta siedziała samotna w swym pokoju, smutnym okiem patrząc w

szarą, jednostajną dal i porównyując ją ze swoim życiem, które równie szare,

posepne i jednostajne było. Samotne życie wiodła ona teraz.
Nieprzychylna jej
Agnieszka odciągała od niej nie tyłka brata i matkę, lecz nawet dwór
cały. O ile
dawniej każdy starał się małej królownie dogodzić, o tyle teraz
obojętność ją
otoczyła. Dwie tylko z panien dworu, Izentruda i Guta, wierne jej
pozostały, ale
w tej chwili nie było ich przy niej. Całą jej pociechę stanowiła
modlitwa i
dobre uczynki, lecz tym ostatnim o wiele mniej niż za życia ojca
oddawać się
mogła, gdyż z rozkazu landgrafowej Zofii uszczuplono pensję, jaką
pobierała. Nie
miała ona żalu do matki narzeczonego, gdyż domyślała się,

czyim wpływem ten rozkaz wydany został, — lecz cierpiała.
Szary, mglisty dzień usposobił ją smutniej, niż kiedykolwiek. Myślała
ona o swem
sieroctwie i łzy w oczach się jej kręciły, gdy wtem drzwi jej pokoju
rozwarły
się i w progu stanęła Mina.
— Przynoszę ci, królowno, rozkaz jej mości landgrafowej Zofii —
rzekła tonem
wyniosłym.
— Cóż to za rozkaz? — zapytała spokojnie Elżbieta.
— Jutro odpust w Eisenach. Landgrafowa życzy sobie, abyś wybrała
się z nią razem
do kościoła — odparła Mina.
Twarz Elżbiety wypogodniała: ucieszył ją dowód łaski, jaki
okazywała jej matka
narzeczonego.
— Powiedz landgrafowej matce, iż wybiorę się z największą ochotą
— rzekła
wesoło.
Mina popatrzała na nią drwiąco i dodała zwolna:

— Lecz landgrafowa dała mi jeszcze jedno polecenie: życzy ona
sobie, abyś,
królowno, ubrała się stosownie do wielkiego święta, jak Agnieszka;
jutro księżna
i księżniczka zrzucą żałobę i wystąpią w złotych koronach oraz
szatach godowych.

Ten rozkaz nie przypadł Elżbiecie do serca, jednakże schyliła czoło
pokornie.

— Stanie się, jak landgrafowa matka rozkazuje — rzekła.

Nazajutrz mieszkańcy Eisenach pełnemi zachwytu spojrzeniami gonili
księżęcą

kolasę, w której landgrafowa Zofia z córką i przyszłą synową jechała.

Wszystkie

trzy miały na głowach złote korony jedwabne ich szaty lśniły od
klejnotów.

Elżbieta

była smutna, Agnieszka promieniejąca. Gdy weszły do kościoła,
Agnieszka z matką

rozsiadły się dumnie w ławie księżęcej, Elżbieta uklękła przed
wielkim ołtarzem,

i złożwszy ręce pobożnie, zwróciła wzrok na ołtarz, gdzie na
wielkiem płótnie

był w głębi wy. malowany Chrystus w białej szacie, w koronie
cierniowej, znękany

i smutny. Widok Tego, który życie oddał dla dobra ludzkości,
wzruszał zawsze

Elżbietę. Uczuła się ona zawstydzoną strojem swoim wobec Jego
ubóstwa i pokory,

korona złota ciążyła jej, modlić się nie mogła, więc zdjęła ją z głowy i
postawiła u stóp ołtarza. Po skończonem nabożeństwie, włożywszy
napowrót koronę

na głowę, wyszła razem z matką i Agnieszką z kościoła i razem z
niemi wsiadła do

pojazdu.

Landgrafowa i Agnieszka były zasepione. Spostrzegła to zaraz Elżbieta, lecz nie śmiała pytać. Przez całą drogę nie przemówiły słowa nie tylko do niej, ale nawet do siebie. Gdy powóz zatrzymał się przed zamkiem wartburskim, Zofia, zwróciwszy się do królowej, rzekła:
— Chcę pomówić z tobą.
Elżbiecie zabiło serce niespokojnie, poszła jednak za matką bez wahania. Gdy weszły do pokoju, Agnieszka zamknęła drzwi, a landgrafowa, zwróciwszy się do Elżbiety, zapytała:
— Po coś zdjęła w kościele koronę?
— Nie miej mi tego za złe, matko — odparła pokornie Elżbieta, — lecz zdawało mi się niewłaściwym, aby głowa moja ustrojona była w złotą koronę w chwili, gdy klęczę u stóp Zbawiciela, którego źli ludzie cierniem ukoronowali.

Surowy wyraz twarzy landgrafowej złagodniał. Zwróciła porozumiewające się spojrzenie na córkę, lecz Agnieszka spłonęła rumieńcem gniewu i zawołała:
— To kłamstwo, matko; ona chciała wobec ludu całego, wobec wszystkich panów, okazać się od nas lepszą, chciała nas upokorzyć.
— Matko! wierzaj mi, iż myśl podobna nie powstała we mnie — odezwała się Elżbieta.
— Milcz! — krzyknęła Agnieszka. — Jeśli sądzisz, że cię nie znam, to ty mnie nie znasz. Zawsze i wszędzie chcesz pokazać ludziom, żeś lepsza od nas... O, wiem dobrze, dlaczego to czynisz; ale na nic się to wszystko nie zda: landgrafową

Turyngii nie będziesz... Tyś na służbę, nie na władczynię stworzona...

Wstąp do

klasztoru; tam najwłaściwsze dla ciebie miejsce.

Błada, ze złożonymi rękami, wysłuchiwała, tych słów okrutnych

Elżbieta.

— Czy już wszystko powiedziałaś, siostrze? — zapytała, gdy

Agnieszka, zmęczona

gniewem, umilkła.

— Wszystko — odparła księżniczka.

— A zatem mogę odejść?

— Pragnę tego. Elżbieta oddaliła się cicho.

— Za surową byłaś, za okrutną dla niej — z wymówką odezwała się

landgrafową do

córki.

— Być może — odparła Agnieszka, — lecz cóż to szkodzi? Prędzej

może przez to

opuści nasz dom.

Smutna i zgnębiona wracała Elżbieta do siebie, gdy na kurytarzu, do

jej pokojów

wiodącym, spotkała narzeczonego.

— Wracam od ciebie, Elżbieto — rzekł, zatrzymując się. — Widzę

cię smutną, lecz

rozjaśnisz twarz niebawem... jestem tego pewien: oto podarek, który

ci powróci

wesołość.

To mówiąc, podał jej niewielki woreczek.

— Cóż on zawiera? — zapytała Elżbieta, nie rozpogadzając czoła.

— Złoto dla biednych — odparł Ludwik. Elżbieta spojrzała na niego z

wdzięcznością.

— Dobry jesteś dla mnie! — szepnęła.

— Alboż nie zasługujesz na to? — zapytał, ujmując jej rękę.

— Nie wszyscy to uznają.

Ludwik uśmiechnął się z politowaniem.

— Ba! czyż wszystkim dogodzić można! — odparł. — Kto chce

wszystkim dogodzić,

ten albo kłamcą będzie, albo się zagryzie. Weź ze sobą Gutę, idźcie do tych

biednych, których podobno wczoraj znalazłaś; wycieczka ta cię rozerwie.

Elżbieta uścisnęła mu dłoń z wdzięcznością, i wzięwszy woreczek, przywołała

przyjaciółkę, by pójść z nią do owych biednych.

Wycieczka ta w istocie rozerwała ją trochę, nie odebrała jednak całkiem smutku.

Słowa Agnieszki wracały ustawicznie do jej pamięci i szła z powrotem do zamku

zamyślona po dawnemu. Zatopiona w bolesnych wspomnieniach, nie uważała, że od

pewnego czasu jakiś starzec idzie tuż koło niej i troskliwie się jej przygląda.

Był to podczaszy młodego landgrafa Ludwika, hrabia Waryl, stary przyjaciel jego

ojca i wielbiciel Elżbiety.

— Co wam jest, królewno? — zapytał ją nareszcie.

Elżbieta podniosła zdziwione oczy i zaraz uśmiechnęła się.

— A. to wy, Warylu — rzekła.

Guta cofnęła się i miejsca podczaszemu obok królewny ustąpiła.

— Co wam jest, królewno? — powoził pytanie Waryl. — Od

pewnego czasu spostrzegam

coraz głębszy smutek w waszych oczach. Przed przyjacielem ojca i narzeczonego

tajemnic mieć nie powinniście.

Elżbieta westchnęła.

— W istocie — rzekła po chwili namysłu, — nie w celu uskarżania się, lecz w

celu, byście mi radę dali, powiem wam, jaką przykrość mi wyrządzono dzisiaj.

I powtórzyła wszystko, co powiedziała jej Agnieszka.

— Nie bierz do serca słów zlej dziewczyny — rzekł, wysłuchawszy, Waryl. —

Księżniczka zazdrości tobie, królewno, miłości ludzi, jaką posiadasz, i mści się

za to, że nie ona ją sobie zdobyła.

— Nie brałabym ich do serca, gdyby nie to, że posądzam Ludwika, iż i on radby

był, żebym do klasztoru wstąpiła — odparła Elżbieta. — Od śmierci ojca prawie

się nie widujemy. Agnieszka mówiła mi niejednokrotnie, że landgraf przestał już

mnie kochać. Jeśli tak jest w istocie, chciałabym opuścić ten dom. Ja w

klasztorze szczęściebym znalazła!... mnie tam dobrzeby było!

Pierwsza danego

słowa nie złamię; lecz jeśli on szczęśliwym ma być, gdy mu pierścień zwrócę,

chętnie to uczynię.

— Nie wierzę, by Ludwik się zmienił w uczuciach dla ciebie,

królewno — odparł

podczaszy, — lecz przyrzekam ci, że go wybadam i powtórzę wiernie, co mi powie.

Pragnę szczęścia twego, królewno. A jeśli on w istocie jest słaby i ulega

wpływowi złej siostry, to będziesz stokroć szczęśliwszą w klasztorze, niż na

tronie.

Dotarli właśnie do zamku i Warył pożegnał Elżbietę, a Guta zbliżyła się do niej

i razem podążyły do apartamentów królewny.

W kilka dni po owej rozmowie podczaszego z królowną młody landgraf Turynгии

zaprosił panów dworu na wielkie łowy. Był on zawołanym myśliwym — z całym

zapałem uganiał się po kniejach okolicznych za dzikim zwierzem.

Panowie z żonami i córkami stawili się licznie na dzieńznaczony.
Agnieszka,
strojna w atłasy i klejnoty, dosiadła dzikiego rumaka i liczna drużyna
podążyła
wczesnym rankiem z zamku wartburskiego do okolicznych lasów.
Nawet landgrafowa
Zofia kolasa z kilkoma starszemi paniami pojechała.
Elżbieta tylko została w domu. Nie lubiła ona tej zabawy, a Ludwik,
wiedząc, że
gotowa płakać, gdy zwierzynę skrwawioną zobaczy, nie namawiał jej
wcale, prosił
tylko, aby przyjęła gościnnie zgłodniałych, gdy z łowów powrócą. Tej
prośbie nie
odmówiła królowa — i gdy myśliwi oddalili się, zajęła się w zamku
przygotowaniami do uczyty.

Agnieszka, która, po całorocznej żałobie, tęskniła bardziej niż
kiedykolwiek do
zabaw, promieniała z radości, ujrawszy się wśród wesołej drużyny,
przedewszystkiem zaś cieszyła ją nieobecność Elżbiety.
— Uważasz, jaki Ludwik jest wesoły, choć niema przy nim
narzeczonej? Widocznie
obojętnieje dla niej. Mam wszelką nadzieję, iż ten związek zerwie się
wkrótce —
mówiła do swej przyjaciółki.
— Obyż się tak stało! — westchnęła Mina.
— Wybierzemy mu potem jaką wesołą księżniczkę niemiecką, by za
jej panowania
wesoło nam życie płynęło, a cudzoziemcy nie nudzili nas swoją
obecnością.
To rzekłszy, Agnieszka w głos się roześmiała.
Pomiędzy dworzanami podobne też gawędy krążyły. Ci, co
przekładali nad wszystko
zabawy, nie sympatyzowali z Elżbietą i, równie jak Agnieszka, z
niechęcią

myśleli o tym związku, a nieobecność królowy na łowach brali za pomyślną dla siebie wróżbę.

Polowanie świetnie się powiodło: ubito nie tylko drobnej zwierzyny moc, lecz i grubszej wiele sztuk. Landgraf własną ręką aż dwóch dzików powalił; Warył, który go na krok nie odstępował, ustrzelił z łuku pięknego rogacza, za którym we dwóch całą godzinę się uganiali. Uczuli się wreszcie zmęczonymi bardzo. — Spocznijmy nieco — odezwał się Ludwik do swego towarzysza. ,

Projekt ten przypadł do myśli podczaszemu.

— Poprowadzę was, miłościwy panie, w ustronie, gdzieby nikt nas znaleźć nie potrafił — odparł Warył.

— Prowadź! — rzeki landgraf.

Warył puścił się przodem, i niebawem wjechali w cichy i cienisty parów.

— Wybornie! — zawołał Ludwik, rozglądając się z zadowoleniem dokoła.

I zeskoczył z konia, a przywiązawszy go do drzewa, rzucił się na zieloną murawę.

— Ach, jak mi tu dobrze! — dodał, wyciągając się wygodnie. — Siądźcie, hrabio, przy mnie; pogawędzimy trochę.

Warył spełnił jego życzenie.

— Co też robi w tej chwili Elżbieta? — odezwał się pierwszy Ludwik.

Pytanie było rzucone nie dlatego, by ktoś na nie odpowiedział, boć Warył nie

mógł wiedzieć, co robi w tej chwili królowa, — ale dlatego, że serce przypomniało imię ukochanej.

Podczaszy rad był nadarzającej się sposobności rozpoczęcia rozmowy o królownie.

— Raczycie mi odpowiedzieć, miłościwy panie, na to, o co was zapytam? — rzucił

niespodzianie.

— Mów — odparł książę łaskawie.

— Co myślicie zrobić z królowną Elżbietą? — rzekł Waryl.

Ludwik usiadł ruchem nagłym na mchu, jak gdyby pod działaniem iskry elektrycznej.

— Nie rozumiem... — zaczął tonem urazy i urwał.

Waryl utkwiał w nim poważne spojrzenie.

— Weźmiecie ją naprawdę za żonę, czy też, jak wieści krążą, odeślecie ją do ojca? — zapytał spokojnie.

Ludwik poczerwieniał.

— Kto śmie tak uwłaczające mej czci wieści rozszerzać?! — wybuchnął.

— Kto pierwszy je rozpuścił, nie wiem tego... powtarzają zaś je różni ludzie i

wyżej i niżej sto-

jący — odparł podczaszy:

— Powiedz im wszystkim, że kłamią. Nie opuszczę za nic Elżbiety, bo ją kocham i

czczę... Chociażby mi górę złota obiecano za wyrzeczenie się jej, nie uczyniłbym

tego.

— Czy pozwolisz, miłościwy panie, bym jej te słowa powtórzył? — zapytał Waryl,

topiąc znowu przenikliwy wzrok w źrenicach księcia.

— Możecie — odparł landgraf. — Ja sam jej to powtórzę. Lepszej i rozumniejszej

niewiasty nad Elżbietę nie znam i nie zamienię złota na szych. Siostra moja

pragnie, co prawda, zerwania węzłów nas łączących, lecz nie dopnie celu. Płocha

dziewczyna nie lubi Elżbiety, bo ta ją odwodzi od uciech, bo wie, że gdy

Elżbieta moją żoną zostanie, nie będzie ona wyprawiać uczt
hałaśliwych i
marnować pieniędzy na zbytki; ja zaś cenię ją za to i pragnę, by dla
tych
przymiotów panią Turyngii została.
Długo jeszcze rozmawiali w ten sposób, aż drużyna myśliwska
poczęła się
niepokoić o księcia.

Ozwały się, ze wszystkich stron rogi, wzywające go do odpowiedzi.
— Szukają nas — rzekł Waryl; — trzeba dosiąć konia i
odpowiedzieć na sygnały.
Księżę podniósł się z mchu i dosiadł rumaka; Waryl zatrąbił, dając
odpowiedź
drużynie, i złączyli się z nią niebawem. Dworzanie tłumnie otoczyli
księcia i
poczęli go wypytywać, gdzie był, czy jaka zła przygoda go nie
spotkała. Uspokoił
wszystkich, że tylko odpoczywał, i wezwał cały orszak myśliwych do
powrotu.
Gwarno, huczno, wesoło weszli wszyscy do sali biesiadnej, gdzie
Elżbieta czekała
gości u progu. Ujrzawszy ją, Agnieszka zmarszczyła czoło, i
pochyliwszy się do
Miny, szepnęła:
— Byłaby lepiej zrobiła, gdyby była poszła do kaplicy odmawiać
modlitwy
wieczorne, bo niepotrzebna tu wcale.
Zato Ludwik powitał narzeczoną z szacunkiem.
— Matka zmęczona i oddaliła się do siebie, bądź więc ty dzisiaj przy
uczcie
gospodynią — rzekł do niej i poprowadził ją na pierwsze miejsce.
Agnieszka zagryzła wargi. Tym razem żadna złośliwa uwaga nie
przyszła jej na
usta.

Zasiedli wszyscy do stołu. Służba przyniosła półmiski. Elżbieta i Ludwik zapraszali gości, by jedli i pili; goście nie dawali się prosić — i zahuczało w wielkiej sali jadalnej od rozmów, śmiechów i toastów, jakie biesiadnicy to na cześć landgrafa, to na cześć nieobecnej landgrafowej wznosili.

— Panowie! — odezwał się naraz Ludwik — chcę słów kilka wam powiedzieć.

W jednej chwili cisza salę zaległa, rozmowy umilkły, wszyscy postawili kielichy na stole i oczy na księcia zwrócili.

Ludwik poważnym spojrzeniem powiódł po zebranych.

— Doszły mnie wieści, że krążą w naszej stolicy fałszywe pogłoski — począł uroczyście: — obmawiają mnie oszczercy, o nieuczciwość posądzają, o zdradę.

Mówią, że dane królownie słowo mam zamiar złamać. To fałsz, panowie: nigdzie i nigdy nie znajdę godniejszej miłości i szacunku małżonki nad tę, jaką rodzice mi

wybrali; to też zrywać raz zawartych związków nie myślę, lecz zamierzam je

utrwalić. Oznajmiam wszystkim obecnym tutaj, że od dziś za miesiąc Elżbieta

zostanie moją żoną i zapraszam was, panowie i panie, na uroczystość naszych

zaślubin; a teraz pozwalam wznieść toast na cześć tej chwili, która uczyni mnie

jednym z najszcześniejszych ludzi i poddanych moich również uszcześniejszymi.

— Niech żyje landgraf Ludwik i landgrafowa Elżbieta! — wołania zagrzmiały.

Brzęknęły kielichy — jedni chętnie, drudzy niechętnie podnieśli je do ust, lecz

nikt nie odważył się oporu stawić woli księcia.

Oblana rumieńcem szczęścia Elżbieta dziękowała gościom za życzenia.

Agnieszka, blada i posepna, walczyła ze sobą, by nie wybuchnąć słowami, któreby mogły zranić

brata; lecz gdy po uczcie znalazła się sama z Miną w pokoju, wówczas rzekła do

niej:

— Próżno zapraszał Ludwik na swe wesele z Elżbietą, bo nie dopuszczę do tego.

Węgierka ta nie będzie nigdy landgrafową Turyngii. Namówię braci, podburzę matkę i nie dopuścimy do tego związku.

IV.

Świtało. Różowe i białe obłoki przesuwały się chyżo po błękitnym sklepieniu,

ptactwo witało głośnym szczebiotem wschodzące słońce. Ruch poczynał się na

ziemi, ludzie dążyli do pracy — jedni w domach się krzątali, inni rzucali domy,

śpiesząc do codziennych zajęć.

Drogą, od miasta Eisenach do zamku wartburskiego wiodącą, szły dwie niewiasty.

Obie były zakwefione, obie w ciemnych szatach, lecz z ramion jednej z nich

spływał płaszcz kosztowny, gronostajami podbity. Szły, milcząc, wpatrzone w

rysujące się przed nimi mury zamku i widocznie do niego dążyły.

O kilkadziesiąt kroków za nimi widać było dwóch rycerzy na koniach, którzy

rozglądali się wokoło ciekawie, jak gdyby po raz pierwszy tą drogą jechali.

— Cóż to za pobożne niewiasty? Dzień ledwo świta, a one już z kościoła wracają —

odezwał się jeden z jadących do drugiego.

— Skądże pewni jesteście, baronie, że z kościoła? — odparł drugi, znacznie

młodszy wiekiem. — A może noc na tańcach spędziły?

— Poważne ich stroje nie pozwalają posądzać je o płochość — rzekł baron; —

zresztą mam dobre o kobietach wyobrażenie: nie uwierzę rzuconej na żadną

obmowie, póki się nie przekonam naocznie, iż jest występna.

— Skądże taka cześć u was dla białogłowy?

— Mam matkę.

Młody umilkł, lecz na chwilę tylko.

— Pali mnie ciekawość zajrzeć im w oczy — odezwał się niebawem;

— chciałbym się

przekonać, czy są młode.

— Dognamy je wkrótce — odparł baron; — toć pieszo idą... śpieszyć niema racyi.

To powiedziawszy, zatrzymał konia, rozglądając się dokoła.

— Piękny to kraj ta Turyngia — rzekł, — a zamek wartburski nie jedenby szturm

wytrzymał. Warowny nielada!

Lecz młodego nie zamek zajmował.

— Baronie, patrz, nasze przewodniczki zatrzymały się również; musiały

spozrzeć, żeśmy przystanęli.

— Uwziąłeś się o płochość je posądzać — odparł z gniewem baron. Kobiety zatrzymały się w istocie koło wielkiego dębu, przy drodze rosnącego.

— Może chcą spocząć — rzekł.

Uderzył konia ostrogą i ruszyli żwawym kłusem.

Niewiasty nie myślały wszakże wcale o spoczynku: stały obie nachylone ku ziemi,
jak gdyby czegoś szukały.

Teraz nie tylko młody nieznajomy, lecz i starszy był zaciekawiony widocznie. Oto

już zaledwo kilka kroków dzieli ich od dębu, pod którym zatrzymały się podróżne,

lecz chociaż konie rżą głośno i kopyta ich tętnią, nie oglądają się wcale niewiasty.

— Nie omyliłem się. To jakieś pobożne panie — odezwał się naraz baron; —

rozmawiają w tej chwili z żebrakiem.

Tu konia zatrzymał, młody toż samo uczynił. Nie przeczył tym razem, bo widział,

iż po stronie starszego towarzysza jest słusność.

Pod dębem siedział biały jak gołąb starzec i coś mówił do stojących przed nim

kobiet, a one go słuchały cierpliwie. Naraz ta, która płaszcz gronostajowy miała

na sobie, zrzuciła go z ramion i, ku wielkiemu ich zdumieniu, oderwawszy jeden

rękaw od szaty, podała go biednemu, poczem obie podążyły szybkim krokiem ku

zamkowi.

Baron uderzył konia i, młodego wyprzedziwszy, ku żebrakowi galopem podążył.

— Czy nie znasz tych niewiast, które mówiły z tobą przed chwilą? — zapytał,

zatrzymawszy przed nim konia.

— A któżby ich nie znał! — odparł starzec — toć to landgrafowa Turyngii ta w płaszczu grono-

stajowym; świętą ją nazywają, bo świętą ma duszę. A ta druga to jej przyjaciółka
Guta, także bardzo dobra. Co rano biegną do miasta z jałmużną.
Wracały właśnie z
tej pobożnej wycieczki z próżnymi już woreczkami; nie pominęły
mnie jednakże, a
nie mając złota przy sobie, księżna oderwała rękaw od swego płaszcza
i podała mi
go, mówiąc: "Sprzedaj to, a będziesz miał żyć z czego przez dni parę.
"

— Sprzedajże mi ten rękaw, a więcej niż przez parę dni będziesz miał
żyć z
czego, starcze — odezwał się młody nieznajomy. Żebrak podał mu
gronostajowy
rękaw. Młody przyczepił go do kopii i rzekł.
— Dotychczas nie miałem damy, w imię której mógłbym walczyć. Od
dziś damą moją
będzie landgrafowa Turynгии. Miast wstęgi, błam futra zdobić mnie
będzie, a nie
odstąpi mnie ten znak nigdy, chroniąc na wojnie od ciosów wroga.
To rzekłszy, rzucił żebrakowi woreczek pełny złota i wraz z baronem
podążył ku
zamkowi.

* * *

Nie spełniły się groźby Agnieszki. Elżbieta już od lat paru była żoną
landgrafa
Ludwika. Mąż nie zamykał przed nią skarbu, hojną więc dłonią mogła
teraz czerpać
z niego pieniądze dla nieszczęśliwych. Nie spełniły się złe wróżby,
rzucone jej
w latach dzieciennych przez Cygankę; była jak najszczęśliwszą na
obcej ziemi i
wśród obcych. Mąż, synek, który imię Hermana nosił, maleńka
córeczka, stary
Waryl, Guta, Izentruda, oraz wszyscy zacnie

myślący ludzie uwielbiali ją, matka kochała. Agnieszka, ujrawszy się pokonaną,
opuściła zamek wartburski i do krewnych odjechała, — nie było więc nikogo, coby szerzył liczbę nieprzychylnych Elżbiecie. Niejeden wprawdzie sarkał na mnisze czasy, ten i ów z pochlebców donosił Elżbiecie, co mówią o niej przyjaciele Agnieszki, lecz młoda landgrafowa nie brata tego do serca. — Dwóm panom służyć razem nie można — odpowiadała łagodnie donosicielom. — Wybrałam Boga i temu służę wiernie. Niechaj mnie za to potępia kto chce. Życie jej składało się z dobrych uczynków: bliźnim je poświęciła. I teraz oto, wróciwszy z miasta, gdzie dziesięć rodzin nieszczęśliwych odwiedziła, siadła w pokoju dzieci z Izentrudą i Gutą do szycia sukien dla nędzy miejskiej. Hermanek, stojąc obok matki, podawał jej nici lub nożyce, by pracę ułatwić; maleńka jego siostrzyczka śmiała się z kołyski do matki; Guta układała głośno program dnia następnego, gdzie pójdą rano, co zrobią po obiedzie — i błogo, cicho było w sercu Elżbiety. Słuchała ona słów przyjaciółki, a jednocześnie łowiła uchem hałasy, dochodzące z przyległych komnat, spodziewała się bowiem, iż mąż przyjdzie lada chwila, gdyż zwykle o tej porze dzieci odwiedzał. Nie zjawiał się dziś jednak. Minał ranek, południe nastąpiło — nie przyszedł. Gdy godzina obiadowa się zbliżyła, landgrafowa złożyła robotę, i powierzywszy córkę piastunce, z Gutą oraz małym Her-

mankiem ku jadalni się skierowała, lecz na progu przyległej komnaty spotkała

podczaszego.

— Od landgrafa idę do was, miłościwa pani — rzekł, skłaniając przed nią głowę. —

Obcy goście nawiedzili zamek. Landgraf życzy sobie, byście obecną byli przy

obiedzie, lecz bez dzieci i dworu niewieściego.

— Powiedzcie memu panu, iż stanie się wedle jego woli — odparła z godnością

Elżbieta i, poleciwszy Hermanka opiece Guty, zwróciła się do swych komnat, by

stosowny do chwili strój przybrać.

O pierwszej zeszli się zaproszeni w jadalni. Landgraf przedstawił żonie gości.

Dwóch ich było tylko: jeden, starszy, baron Walberg; drugi, młodszy znacznie

wiekem, pod skromną nazwą rycerza Ryszarda wystąpił.

Powitawszy barona, landgrafowa zwróciła się następnie ku młodszemu, — lecz gdy

wzrok na niego podniosła, żywy rumieniec oblał jej twarz, a w oczach odmalowało

się zdumienie: rycerz miał do ramienia przypięty rękaw gronostajowy.

— Dziwi was, miłościwa pani, strój mego towarzysza... — odezwał się baron

Walberg, spostrzegłszy rumieniec Elżbiety — powiem wam, co on znaczy: Na drodze,

do zamku wiodącej, spotkaliśmy żebraka, który dał ten rękaw memu towarzyszowi

jako talizman, od ciosów wroga mający bronić. Powiedział nam, że go dostał od

świętej jakiejś niewiasty, że więc należy go nosić podczas wojny jako relikwię;

że się zaś na wojnę wybieramy, Ryszard wziął oną świętość i zapłacił za nią

hojnie.

Nowy rumieniec oblał twarz landgrafowej. Nie zdradziła się wszakże przed
obecnymi, że to jej był rękaw, pewną będąc, iż nie wiedzą o tem.
— Na jakąż to wojnę wybieracie się, rycerzu? — zapytała młodszego
gościa.
— Cesarz Fryderyk wybiera się na wyprawę krzyżową i nas, książąt
niemieckich, do
niej powołuje — wmieszał się do rozmowy Ludwik.
— I ciebie? — spytała ze smutkiem Elżbieta.
— Wszystkich. Mamy jednakże zjechać się pierwej w Cremonie i
ostatecznie
postanowić, czy przedsięwzmiemy tę wyprawę.
Elżbieta już zapanowała nad wzruszeniem.
— Cokolwiek postanowicie, wiem, że postanowicie dobrze — rzekła
na pozór
obojętnie.
Potem zwróciła się do gości, prosząc, by do uczyty zasiedli.
Zajęto więc miejsca, a jedząc, gawędzono o Fryderyku II-gim.
Chwalono jego
rycerskość i uprzejmość; mówiono, że wielka łączy go przyjaźń z
papieżem, który
go zachęca do wyprawy; że Fryderyk obiecał wybrać się na nią, jeśli
książęta
niemieccy poprą go w tej sprawie.
Elżbieta i Ludwik słuchali z wielkiem zajęciem, a landgraf
opowiadaniem gościa
tak się zapalił, iż kilkakrotnie wznosił toast na cześć cesarza Niemiec;
gdy zaś
powstali od stołu, podał baronowi dłoń do uścisku i rzekł:
— Zanocujecie pod moim dachem, baronie, wraz z młodym swym
towarzyszem, a jutro
rano razem ruszymy w drogę.

Chociaż serce Elżbiety smutek przeniknął na te słowa, nie zdradziła go jednakże twarzą; gdy zaś wieczorem uklękła do modlitwy, podziękowała Bogu, iż powołuje męża jej do tak świętej sprawy. Nazajutrz landgraf Turyngii pożegnał żonę, dzieci i dwór cały, a odjeżdżając w orszaku licznych rycerzy, rzekł do Elżbiety wobec zebranych na zamku panów: — Ilekroć ktoś nieszczęśliwy zakołace do bramy zaniku i prosić o wsparcie będzie, bierz, ile ci będzie potrzeba pieniędzy ze skarbcza; chcę, by za moich rządów głodnych w Turyngii nie było. Elżbieta podziękowała mężowi za dane jej pozwolenie, a gdy odjechał, zdjęła natychmiast wspaniałą księżęcą suknię, włożyła ciemny habit, i przywoławszy Gutę, powtórzyła jej słowa landgrafa. — Dopóki Ludwik nie wróci, dla dzieci i nieszczęśliwych żyć tylko będę. Czy zechcesz dzielić ze mną takie życie? — spytała. — Z tobą, pani, nawet nieszczęście podzieliłabym chętnie — odparła Guta, — a cóż dopiero życie, które mi serce rozkoszą napełni. I obie oddały się usłudze niedoli. Pomagała im też czynnie w tej pracy Izentruda, wierna przyjaciółka Elżbiety. Były to czasy powszechnego nieurodzaju, który szczególnie Turyngii dał się we znaki. Wiedziała o tem Elżbieta, to też śpieszyła każdego ranka do miasta, szukając chorych; kazała też ogłosić, że każdy, kto łaknie, może przyjść na dziedziniec zamkowy, a nakarmiony zostanie — i codzień tłumy głodnych ścigały. Czekały na nie na dziedzińcu stoły,

jadłem zastawione. Posileni nędzarze odchodzili z rozjaśnionymi
twarzami,
błogosławiąc swą dobrodziejkę.
Co było pieniędzy w skarbie państwa, powoli się wyczerpało na
zakupy żywności.
Elżbieta kazała wówczas roztworzyć gumna książęce i brać z nich
zboże dla
biednych. Z Gutą, z Hermankiem oraz Izentrudą bywała zawsze
obecną przy
rozdawaniu jałmużny, a oczy jej błyszczały radością, gdy słyszała
błogosławieństwa biedaków i widziała blade ich twarze ożywiające
się rumieńcem
życia.
Minął wreszcie rok cały, a o księciu wieści nie było. Elżbieta czekała
na jego
powrót spokojna, nie wątpiła bowiem, że przyjedzie zdrów niebawem.
Pewnego wieczora, znużona dniem pracy, udała się wcześniej niż
zwykle na
spoczynek: głodnych dziś na zamku z jej łaski nakarmiono;
popołudnie zaś
spędziła w szpitalu, który założyła dla chorych podczas nieobecności
męża. Dając
innym przykład, sama służyła chorym — słała im łóżka, obmywała
ich i rany im
opatrywała. To też za ledwie głowę położyła na poduszce, usnęła
natychmiast, lecz
sen przyniósł jej pełne niepokoju widzenia: zdało się jej, że w
podziemiach
zamkowych zebrała się rada tajemna, że słyszy dochodzące z pod
posadzki głosy,
że głosy te powtarzają ciągle jej imię groźnie i posepnie. Rzucała się
więc
niespokojnie na łóżku, kilkakrotnie wymówiła imię landgrafa, nie
zbudziła się
jednakże ani razu przez noc całą i dopiero o świcie wejście Guty
uwolniło ją od
tej zmory.

— Jakże wdzięczną ci jestem, żeś mnie obudziła — rzekła. — Takie przykre sny miałam. I usiadła na łóżku, uśmiechając się do przyjaciółki, w senne bowiem mary nie wierzyła. Pierzchły — i czegoż smucić się miała teraz? Wyraz jednak twarzy Guty zaniepokoił ją — poważny smutek malował się w oczach tej zacnej przyjaciółki.

— Ty mi coś złego przynosisz — rzekła, wpatrując się w nią badawczo.

Uśmiech uleciał z jej twarzy, mąż stanął jej na myśli.

— Może są wieści o landgrafie? — dodała topem pełnym niepokoju.

— Tak — odparła Guta: — przybył w nocy posłaniec z wiadomością, że ksiązę wraca dzisiaj. Nad wieczorem stanie w zamku.

Uśmiech powrócił na twarz Elżbiety.

— I czegożeś smutna? — rzekła wesoło. — Obudź dzieci, każ, by świąteczne suknie włożyły, przynieś mi strój ksiązęcy; pojedziemy na spotkanie powracającego.

Lecz Guta nie poruszyła się, by spełnić dane jej rozkazy.

— Nie wszystko jeszcze powiedziałam — rzekła.

— Mów dalej zatem — odparła Elżbieta, znowu niespokojnie wpatrując się w nią.

— Dziś w nocy, gdy spałaś, pani, w dolnych komnatach tego zamku nieprzychylni ci dworzanie radę zebrali. Zagniewani, żeś rozdała nędzy wszystkie pieniądze ze skarbcza, postanowili cię oskarżyć przed landgrafem o lekkomyślne roztrwonienie potrzebnemu państwu grosza, że przez ciebie grozi

Turyngii ruina. Wybrali więc wymowniejszych z pomiędzy siebie i wysłali ich do

landgrafa, aby mu wszystko przełożyć, zanim się z tobą zobaczy.
Ciężkie westchnienie wyrwało się z ust Elżbiety.

— Teraz rozumiem swój sen — rzekła sama do siebie.

I przywdziawszy codzienną suknię, udała się na ranne pacierze do kaplicy

zamkowej; gdy zaś powróciła z niej do swego pokoju, rzekła do Guty:

— Nie pojedę na spotkanie męża, nie chcę bowiem, by ludzie sądzili, że chcę ich

w obmowie uprzedzić; na zamku czekać go będę.

To powiedziawszy, udała się do dzieci i niemi się zajęła. Spokój jej budził

podziw w Gucie, która patrzyła na nią z uwielbieniem; nie zapytała nawet, skąd

wiadomość owa, ani o imiona winnych.

Około południa goniec, pędzący przodem, dał znać, że landgraf nadciąga.

Elżbieta uklękła wnet przed obrazem Chrystusa, który wisiał nad jej klęcznikiem.

— Panie, wlej mi w serce spokój, gdy oskarżać mnie będą — szepnęła, ręce

złożywszy; — daj mi pokorę, gdy niesłuszne zarzuty uczynią mi ludzie; daj mi moc

panowania nad sobą, milczenie połóż mi na usta, gdy oszczercom gniewnie

odpowiadać będą chciały...

Powstawszy od modlitwy spokojniejsza, ku sali przyjęć się zwróciła.

Guta chciała

iść za nią, lecz landgrafowa rzekła:

— Zostań z dziećmi. Nie wezmę ich ze sobą, bo nie wiem, jakie czeka mnie

powitanie.

W wielkiej sali przyjęć zamku wartburskiego już wszyscy dworzanie byli zebrani.

Gdy Elżbieta ukazała

się na progu, spojrzenia ich skierowały się ku niej. W jednych
malowała się
prosta ciekawość, w drugich litość, w innych szyderstwo; lecz ona nie
widziała
tych spojrzeń, bo szła z oczyma w ziemię spuszczone, smutna, ale
spokojna. Na
progu sieni, która na krużganek wiodła, zatrzymała się; w dziedzińcu
było już
ludno i gwarno, rumaki parskwały i wędzidłami dzwoniły, rycerze
zeskakiwali z
siopeł i na pachółków wołali. Pełno było tam krzyku i zgiełku.
Elżbieta oczyma
poszukała męża, lecz w tłumie, w ścisku, panującym na dziedzińcu,
dopatrzyć się
go nie mogła.
Wtem na schodach, wiodących na krużganek zamkowy, ukazało się
dwóch rycerzy.
Jeden z nich miał płaszcz gronostajami podbity. Poznała go: był to
landgraf
Turyngii.
On spostrzegł ją również. Promień radości oblał mu twarz, wyciągnął
ramiona i
kroku przyśpieszył.
Smutek opuścił Elżbietę — zapomniała w jednej chwili o wszystkim,
co jej Guta
powiedziała, i z płaczem radosnym padła w objęcia męża.
On złożył serdeczny pocałunek na jej czole.
— Od panów, którzy na spotkanie moje wyjechali, dowiedziałem się,
żeś zdrowa i
dzieci również, nie pytam więc o to — rzekł wesoło.
Elżbieta wysunęła się z objęć męża, rumieńce uciekły z jej twarzy.
Landgraf ujął żonę za rękę i wprowadził do sali, gdzie reszta dworzan
była
zebrana; zaprosił wszystkich na ucztę, która na jego cześć była
przygotowana, —
a gdy goście obsiedli stół, pełny puhar wina podniósłszy w górę,
rzekł:

— Wychylmy kielichy na cześć landgrafowej Turyngii, która lud swój od głodowej

śmierci tak dzielnie broniła!

Potem zwrócił się do żony:

— Powiedzieli mi panowie, Elżbieto, żeś wszystkie pieniądze, znajdujące się w

skarbie, nędzarczom rozdała, żeś nawet gumna nasze otworzyć kazała, by głodnych

nakarmić. Dzięki ci za to! Lubo Turyngia dotkniętą została srożej od wielu

innych krajów klęską nieurodzaju, dzięki tobie jednakże żaden z jej mieszkańców

z głodu nie umarł. Wszyscy książęta tak, jak ty, powinni byli uczynić, boć

władza ojcowską opieką ma otaczać swoich poddanych; a gdyby dziecku śmierć z

głodu groziła, toć ojciec wolałby oddać mu ostatni kawałek chleba, byle nie

patrzyć na jego męki. I my tak samo względem swoich poddanych powinniśmy

postępować.

Wzruszona temi słowy landgrafowa pełne wdzięczności spojrzenie zwróciła na męża.

Panowie podnieśli w górę kielichy.

— Niech żyje szczodrobliva Elżbieta! — obiło się o ściany sali.

Spokój powrócił do serca Elżbiety; nie zapytała nawet męża, czy w formie

oskarżenia donieśli mu panowie o jej szczodroblivości; nie opowiedziała mu o

radzie, jaka odbyła się nocą w lochach. Niemile te wspomnienia starała się

usunąć z pamięci, myślała bowiem tylko o tem, że mąż jest zadowolony z jej

postępowania; gdy zaś wieczorem ukłękła do zwykłych pacierzy, podziękowała Bogu

za pociechę jej zesłaną.

Uwolnwszy się od obowiązków swej służby, ieden z paziów Elżbiety wyszedł wieczorem do ogrodu, by ochłodzić się po uczcie, na której, ucieszony tryumfem swej pani, wypił za dużo wina. Widział on podczas biesiady przymuszone uśmiechy na twarzach nieżyczliwych Elżbiecie dworzan, widział gniew bezsilny, pałający w ich oczach, i śmiał się w duszy z tych dworaków kłamliwych, których obawa przed landgrafem zmuszała do uśmiechów i pokornych ukłonów. Usiadłszy na kamiennej ławce, pytał sam siebie, jak można nie kochać tej zacnej pani, jak można przekładać nad nią złośliwą Agnieszkę, — gdy wtem jakiś szmer spłoszył jego myśli; gdy zaś zwrócił spojrzenie w stronę, skąd go on dochodził, ujrzał wysuwające się z po za krzewów, rosnących w pobliżu, dwie postacie. Chociaż księżyc nie było tej nocy, poznał je łatwo: jedną była Mina, przyjaciółka Agnieszki, — drugą baron Winkel, jej narzeczony. Szli, rozmawiając ze sobą po cichu. Gdy dotarli do ławki kamiennej, nie uważając, iż na niej ktoś siedzi, zatrzymali się, rozmowy nie przerywając. — Powiedzcież mi, baronie, jakie było wasze powitanie z landgrafem? — zapytała Mina. — Niefortunne — odparł baron: — landgraf rozgniewał się bardzo na nasze oskarżenie, zmarszczył surowo czoło i rzeki: "Zamiast obmawiać swą panią, powiedzcie mi lepiej, czy jest zdrowa. Hojność jej zuboży mnie, a nie Turyngię.

Nie wydaje ona przecież grosza na marne uciechy. Czyżbyście woleli,
by naród z
głodu umierał, a my w złocie cha-

dzali?" To powiedziawszy, wyprzedził nas wszystkich i co koń
wyskoczy do zamku
pomknął.

— Silniejsza jej władza, niżemy myśleli — odezwała się Mina z
westchnieniem. —

Niema więc rady, pogodzić się z losem trzeba: w mniszych czasach
żyć będziemy.

— Ja nie tracę jeszcze nadziei. Wyślę jutro gońca do Agnieszki —
odparł baron —

i doniosę jej, co się tu dzieje; może ona coś poradzi.

I podążyli oboje ku zamkowi, a paż posepnem okiem pogonił za nimi.

Po raz drugi w ciągu jednej doby przypadek czynił go świadkiem
niecnej intrygi,

jaką panowie knuli przeciw jego pani; młode i zacne jego serce było
do głębi

wzruszone. Rozmyślał, jak ma postąpić: czy pobiedz, jak wczoraj, do
Guty i

powiedzieć jej wszystko? Lecz Guta, słaba niewiasta, złemu nie
zaradzi. Czy iść

wprost do landgrafa? Lękał się — a nuż rozgniewa się, że go
niepokoi?

Złośliwym zresztą ust landgraf przemocą nie zamknie. Wtrącenie ich
do więzienia

pomnożyłoby tylko liczbę niechętnych Elżbiecie; Bogu więc należy
powierzyć tę

sprawę. On sprawiedliwy i wszechmogący!

V.

Książę Ludwik powrócił do domu, lecz po to tylko, by zabawiwszy
zaledwie kilka

dni w Wartburgu, opuścić go znowu... I oto już kilka miesięcy

upłynęło, jak pożegnał żonę i dzieci i podążył z drużyną do Brindes,
gdzie był

naznaczony punkt zebrania Krzyżowców, którzy pod opieką
Fryderyka II, cesarza

Niemiec, wybrać się mieli do Jerozolimy.

Był to ranek pogodny. Elżbieta wracała właśnie z kaplicy; szła
zatopiona w

myślach — przypominała sobie chwilę rozstania z mężem, słowa,
jakie rzekł

wówczas do niej — pokazał jej piękny pierścień z wielkim
krwawnikiem, jaki miał

na palcu, i rzekł: "Przypatrz się dobrze temu sygnetowi; będzie to
znak

niezawodny między nami: ktokolwiek odda ci ten pierścień i powie,
że ode mnie

przychodzi w poselstwie do ciebie, tego słowom zawierz. Ufam, że
zobaczymy się

jeszcze w życiu, że Bóg pobłogosławi wyprawie i pozwoli mi z niej
powrócić. Mogę

jednak zginąć w walce; gdy z tą żalobną wieścią ten pierścień
odbierzesz, poddaj

się woli Bożej z pokorą, nie upadaj na duchu, lecz w uczynkach
dobrych szukaj

pochrzepienia. "

Ufała ona Bogu i spokojna była o męża. Zadawała sobie pytanie, czy
daleko mu

jeszcze do tego miejsca, na którym dwanaście wieków wstecz odegrał
się ów

bolesny dramat w życiu Tego, który poświęcił się cały dla szczęścia
ludzkości, i

zazdrościła Krzyżowcom, że zwiedzą Golgotę i u grobu Chrystusa
modlić się będą.

Zatopiona w myślach, nie zauważyła, iż na dziedzińcu niezwykle ruch
panuje: cała

służba zbiegła się tu, szeptała coś między sobą i przypatrywała się jej dziwnie,
a kilku pachołków wodziło zwolna konie, białą pianą okryte.
Wszedłszy do
wielkiej

sieni zamkowej, spostrzegła dopiero, iż musiało zdarzyć się coś nadzwyczajnego,
gdyż tłoczyli się w niej dworacy; a gdy zdumiona przebiegła zebranych wzrokiem,
wielki niepokój zbudził się w jej sercu, bo we wszystkich spojrzeniach wyczytała
litość i smutek.

— Co się tutaj stało? — zapytała, przystając.

Nikt nie odpowiedział; to wzmogło jej niepokój, więc powtórzyła pytanie.

— O księciu są wieści — odezwało się kilka głosów.

Elżbieta nie badała więcej, lecz szybkim krokiem podążyła do sali przyjęć: nie

wątpiła, że tam zastanie wysłańców.

I tak było w istocie: stali tam dwaj rycerze w płaszczach, krzyżami ozdobionych.

Spostrzegłszy wchodzącą, jeden rzekł:

— Uzbrój się, miłościwa pani, w męstwo.

— Czy dostał się do niewoli? — przerwała Elżbieta pytaniem ten wstęp bolesny.

— Oto pierścień z krwawnikiem — ciągnął rycerz dalej. — Kazał go landgraf w

twoje ręce oddać i prosił, byś go zawsze nosiła, żeby sygnet ten przypominał ci

ostatnie słowa, jakie przy pożegnaniu wymówił. Niewolą nie dotknął go Bóg, lecz

go do Siebie powołał.

Krzyk bólu nadludzkiego wyrwał się z piersi Elżbiety. Zachwiała się i padła

zemdlna u nóg obecnej już landgrafowej matki. Panowie pośpieszyli ku niej z pomocą i zanieśli do sypialni. Po paru godzinach Elżbieta otworzyła oczy, lecz była nieprzytomną — nikogo nie poznawała, nawet własnych

dzieci: miała jednakże widocznie świadomość nieszczęścia, jakie ją dotknęło, gdyż, miotając się, ustawicznie powtarzała: — Nie żyje, nie żyje, nie żyje! Próżno stara landgrafowa i spowiednik mówili jej o pogodzeniu się z wolą Boga, próżno Guta dzieci jej przyprowadzała, — Elżbieta zdawała się nic nie widzieć i nie rozumieć. — Chcę umrzeć!... nie żyje!... — wołała wciąż. Uspokoiała się wreszcie trochę i zaczęła niby poznawać otaczających ją. Przywołała więc zaraz Gutę i kazała jej opowiadać sobie szczegóły zgonu męża. Dowiedziała się, że cesarz Fryderyk II zdradził Krzyżowców, bo nie dostawszy się nawet do Azyi, zawrócił z drogi. Wielu poszło za jego przykładem, lecz większość nie chciała opuścić sprawy świętej; do ich liczby należał landgraf Turyngii. Gorącemi słowy zachęcał on towarzyszy, by wytrwali w przedsięwzięciu, lecz zmartwienie czy też znużenie zbyteczne niebawem zważyło go z nóg. W Sycylii rozchorował się ciężko na febrę zgniłą i umarł po kilku dniach. Elżbieta słuchała uważnie opowiadania Guty i zdawało się, że rozumie wszystko, jednakże na drugi dzień znowu ją przywołała i poprosiła, by jej opowiedziała, gdzie i jak umarł Ludwik.

— Czy w walce zginął, czy w niewoli go zamęczyli? A może w drodze utonął, lub zwierz dziki go rozszarpał? — pytała, jak gdyby nic o tem nie słyszała.

Cierpliwa przyjaciółka powtarzała wszystko, co już raz mówiła, a nazajutrz znowu

toż samo powtarzać musiała.

Chwilami nieszczęśliwa Elżbieta zrywała się z pościeli i wołała, iż nie wierzy,

żeby landgraf mógł umrzeć.

— Pojadę do Sycylii! — krzyczała — on tam pewno został... tylko wrócić tu nie

chce. Żli ludzie oczernili mnie przed nim i gniewa się teraz na mnie... ale gdy

mnie zobaczy, uwierzy, żem niewinna.

I wołała, by jej dano suknię, i stroić się chciała, potem zaś mdlała ze znużenia.

Tak cały miesiąc trwała gorączka straszliwa. Stara landgrafowa z razu czuwała

nad nią, lecz potem rozchorowała się sama. Tylko Guta oraz Izentruđa wytrwały i

nie odstępowały chorej.

Tymczasem na zamku odbywały się jakieś tajemne zebrania, przyjechała też do

Wartburga Agnieszka i brała w nich czynny udział. O czem radzono na owych

zebraniach — Izentruđa i Guta nie wiedziały. Ów paż Elżbiety razem z niemi wciąż

był na posługach pani, więc przez niego nic się dowiedzieć nie mogły. Stary

Warył już nic żył, a inni dworacy unikali ich widocznie.

Nareszcie gorączka minęła i chorej wróciła przytomność umysłu.

Zaprağnęła też

zaraz zobaczyć dzieci i Guta przyprowadziła je wszystkie natychmiast.

Widok sierot rozrzewnił ją, z oczu jej popłynęły łzy i ulżyły sercu.
— Bóg zabrał nam ojca i opiekuna najlepszego, lecz zgodzić się z
Jego wolą
musimy — rzekła do

starszych. — Starajcie się tylko być równie dobrymi, jak on był, a
uczcie

najlepiej jego pamięć.

Powoli, bardzo powoli przychodziła wdowa do sił, lecz każdy dzień
przynosił jej

polepszenie; nareszcie mogła o własnej sile dźwignąć się z pościeli,
dalej

zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Niedługo powrócę do zwykłych swoich zajęć. Będziemy znowu
smutnych pocieszać —

rzekła pewnego dnia do Guty. — Chciałabym też radę zwołać, by
zdecydować, komu

rządy powierzyć, póki' Herman pełnoletnim nie zostanie. Dziś
jeszczem za słaba,

lecz ufam, iż za parę dni czynną już będę mogła być.

— Nie trudź, pani, myśli przyszłością — odparła Guta. — Za dobrą
byłaś dla

wszystkich, by najmniejsza krzywda miała twe dzieci spotkać.

Na bladych ustach Elżbiety ukazał się uśmiech, — Ja też w to ufam —
rzekła.

Zaledwo skończyła, drzwi jej pokoju rozwarły się i w progu stanęła
Agnieszka.

Mimowolny okrzyk wyrwał się z ust Elżbiety.

Surowa i posepna zbliżyła się do niej księżniczka.

— Złękłaś się mnie? — spytała z ironią.

— Zdziwiłam się, bo nie wiedziałam, żeś w Wartburgu — rzekła
Elżbieta.

— Zielone były jeszcze liście na drzewach ogrodu tego zamku, gdy tu
przyjechałam, a dziś biały puch je stroi — odparła Agnieszka.

Elżbieta spojrzała na nią zdziwiona.

— I nie odwiedziłaś mnie dotychczas ani razu? — rzuciła wymówkę.

— Nie sędzę, by widzenie się ze mną sprawiało ci przyjemność. Nie kochałyśmy się nigdy.

— O, nie mów tak, Agnieszko! — odezwała się głosem wzruszonym Elżbieta. — Gdyby

Ludwik mógł cię słyszeć, przykroby mu było.

— Jestem spokojną, że nie słyszy. Zresztą nic miałam czasu...

— Czemże tak zajęta byłaś? — zapytała Elżbieta.

— Bywałam codziennie na radach, jakie w tym zamku się zbierały, i od rady wysłaną tutaj zostałam.

— Od jakiej rady?

— Śmierć Ludwika osierociła tron Turyngii. Państwu bez władzy grozi upadek; lecz

ty nie pomyślałaś o tem... pewno się tylko modliłaś?

Elżbieta się zarumieniła.

— Byłam chora — odparła; — przytem Ludwik prawego następcę zostawił.

Agnieszka ruszyła ramionami. — Pięcioletniego!... Ten rządzić przecież nie potrafi.

— Więc regenta obraliście? I na kogóż padł wybór?

— Dowiesz się zaraz, chodź tylko ze mną. Gdy mówiła te słowa księżniczka, w

oczach jej taki złowrogi wyraz zaświecił, iż Guta struchlała.

Elżbieta nie widziała tego spojrzenia, więc podniosła się spokojna i udała z

Agnieszką do sali, w której rady państwa zwykle się odbywały. Lubo niewezwana,

Guta pośpieszyła za nią, dziwnie się lękając o swoją panią, — czego

— sama nie wiedziała.

'W sali zastały cały dwór zebrany. Pośrodku na tronie siedział książę Henryk, młodszy brat zmarłego; obok niego po prawej stronie widać było Konrada, drugiego brata nieboszczyka; dokoła stali skupieni panowie Turyngii; po lewej stronie stało próżne krzesło, otoczone damami dworu. Chorej landgrafowej Zofii nie było wśród zebranych. Gdy weszły do sali, Agnieszka wysunęła się na przód i opróżnione krzesło zajęła, Elżbieta zatrzymała się zmieszana u stóp tronu, a tuż przy niej Guta stanęła. Głęboka cisza zapanowała w sali; Henryk patrzył niespokojnym wzrokiem na bratową. Zdawało się, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć, lecz brakło mu odwagi. — Wezwałeś mnie, bracie — odezwała się pierwsza Elżbieta. — Agnieszka powiedziała mi, iż podczas mej choroby uradziliście, komu powierzyć rządy państwa do czasu pełnoletności mego syna. — Podczas twej choroby rada państwa oddała mnie rządy Turyngii, dzieci Ludwika usunąwszy całkowicie od tronu — odważył się wreszcie przemówić Henryk. Serce matki odezwało się w Elżbiecie. Spojrzała wzrokiem wyrzutu na otaczających. — I dlaczegóż to wydziedziczyliście prawego następcę? — zapytała surowo. — Winy jego matki tego przyczyną — odparł Henryk. — Rozrzutnością lekkomyślną zniszczyłaś, bratowo, Turyngię, wypróżniłaś skarb państwa całkowicie, więc rada usunęła za to syna twego od

tronu, gdyż lęka się, czy podobnym do matki się nie okaże. Na ciebie
zaś,

bratowo, wyrok wygnania wydała. Śmiertelna bladość okryła twarz
Elżbiety, lecz

podniosła czoło z dumą.

— I ty, Henryku, bracie Ludwika, potwierdziłeś ten wyrok, a Konrad i
Agnieszka

nie protestowali przeciw niemu? — zapytała.

— Potwierdziliśmy go jako słuszny — ze złością odezwała się
Agnieszka.

Milcząc, popatrzała na nią chwilę Elżbieta. Księżniczka spuściła
wzrok.

— Kiedyż mam opuścić ten zamek i gdzie się mam udać? — zapytała
Elżbieta.

— Masz go opuścić bezzwłocznie, bratowo — odparł Henryk; —
gdzie zaś pójdziesz,

wszystko nam jedno. Wszystko, co do ciebie należy, w tej chwili
znajdziesz za

bramą zamku.

Elżbieta chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz słowa zamarły jej na
ustach.

— Hrabio Zeilitz! odprowadźcie landgrafowę do bramy — odezwała
się tonem rozkazu

Agnieszka.

Z grona panów wysunął się jeden, poważny już wiekiem, i za Elżbietą
podążył.

Wolnym krokiem, smutna lecz spokojna, opuściła Elżbieta salę; tuż
przy niej szła

Guta, płacząc cicho; za niemi, w pewnym oddaleniu, z głową
opuszczoną,

postępował hrabia Zeilitz; obowiązek nań włożony zdawał się mu
ciężać.

Gdy wyszli na krużganek, Elżbieta się zatrzymała.

— A gdzież są dzieci? — zapytała.

— Z panną Izentrudą czekają za bramą — odparł hrabia.
— Z matką chciałabym się pożegnać.
— Nie mam rozkazu, by was, pani, tam prowadzić — cichym głosem
odpowiedział

Zeilitz.

Elżbieta westchnęła ciężko.

— Pożegnajcie ją, hrabio, w moim imieniu — rzekła i spuściła się z
kamiennych

schodów krużganka, minęła dziedziniec i do bramy się zbliżyła.

Zeilitz otworzył furkę.

— Mama! mama! — ozwały się po za nią głosy dziecięce i Elżbieta
ujrzała

Izentrudę, otoczoną jej dziećmi. Wyciągnęła do nich ramiona i kroku
przyśpieszyła.

Dzieci rzuciły się w jej objęcia, a kiedy przytuliła je do serca, furka z
trzaskiem zawarła się za nimi i klucz w zamku zgrzytnął.

— Boże! miej litość nad memi sierotami! — szepnęła Elżbieta,
wzrokiem pełnym

rozpaczy rozglądając się wokoło.

Białym całunem zasłane pola ją otaczały; niżej w dali rysowały się
niewyraźnie

dachy domów miasta Eisenach, które u stóp wzgórza było rozsiane.

— Ufaj, pani, Temu, któremu byłaś zawsze wierną — odezwała się
Izentrudą.

Elżbieta podniosła pełne prośby błagalnej spojrzenie w niebo.

— Za grzechy karzesz Twą sługę, Panie, lecz niech dzieci przeze mnie
nie

cierpią, boć one niewinne! — szeptała.

I wzięła najmłodszą, kilkomiesięczną dziewczynkę na ręce, dwuletnią
za rączkę

ujęła, Izentrudą

starsze wzięła pod swoją opiekę i podążyły razem kamienistą drogą,
spuszczając

się ku miastu. Ostry, mroźny wicher rzucał im kłujące kryształki w
twarz, słońce

zachodziło, jakby patrzeć nie chciało na niedolę tych wygnanek
nieszczęśliwych.

Wrony żałośnie krakały nad nimi...

* * *

Była to północ. Księżyc rozpraszał ciemności nocy. Środkiem
szerokiej ulicy
miasta Eisenach, pomiędzy dwoma rzędami drewnianych domów, szła
jakaś kobieta,
której suknia nie świadczyła o pospolitem ubóstwie, a jednak, mimo
mrozu,
płaszcz ciepłego nie miała na sobie. Szła krokiem niepewnym,
przystawała
ustawicznie, rozglądała się uważnie dokoła i nasłuchiwała. Była to
Guta. Na
twarzy jej malowało się znużenie wielkie. Wyprzedziła ona księżnę,
by nocleg
zamówić dla niej w mieście, i szukała domu, którego mieszkańcy nie
spaliby
jeszcze. Nareszcie spostrzegła w jednym błyszczące w oknie światło.
Promień
nadziei ożywił jej twarz; zbliżyła się do drzwi domu i zastukała.
Otworzono jej
natychmiast i jakiś barczysty mężczyzna ukazał się w progu.
— Panna Guta!?! — wykrzyknął.
— Poznałeś mnie, Hansie? To dobrze, śmielej zaniosę prośbę do
ciebie — odparła
Guta.
— Jaką prośbę? — zapytał zmieszany rzemieślnik.
— Chcę prosić cię o nocleg dla landgrafowej Elżbiety, którą nowy
landgraf wygnał
razem z dziećmi z zamku — rzekła Guta.

Hans zmieszał się.

— Nie mogę tej prośbie zadość uczynić — rzekł, chyląc czoło. —
Landgraf kazał
ogłosić po całym mieście, iż ktokolwiek przyjmie pod swój dach
wygnaną
landgrafowę, lub jej dzieci, srogiej karze podlegnie.

Guta spojrzała na niego z wyrzutem.

— Zapomniałeś, Hansie, jak księżna pielęgnowała twego syna w
gorączce? — rzekła
z goryczą. — Zapomniałeś i o tem, jak z nędzy cię wyrwała, gdy
ogień zniszczył
twój dobytek?

— Pierwsze posłuszeństwo księciu, a potem wdzięczność
dobroczyńcom — szepnął

Hans. — By księżnie oddać przysługę, musiałbym narazić się przecież
na to, że
domby mi zabrali i mnie do więzienia wsadzili.

To powiedziawszy, zatrzasnął drzwi.

Guta została sama i ciężkie westchnienie wydarło się z jej piersi.

— Jeśli wszyscy dadzą mi taką samą odpowiedź, dzieci nie ujrzą dnia
z pewnością

— szepnęła sama do siebie.

Mróz wzmagał się z każdą chwilą.

Cofnąwszy się od niegościnnego progu, Guta poszła dalej ulicą. O
kilkanaście

kroków widać było dom rzęsiście oświetlony, z wnętrza wrzawa ją
doszła. Tu nie

potrzebowała pukać do drzwi: mimo zimy, były na oścież otwarte.

Weszła Guta do

sieni nieśmiało, a z niej do wielkiej, cieplej i jasnej izby. W pośrodku
stał

stół biało zasłany, na nim gorzał świecznik siedmioramienny i misy
pełne jadła

widać było. Dokoła stołu siedzieli mężczyźni i kobiety, jedząc, pijąc i
śmiejąc

się na całe gardło. Służba obnosiła dzbany z piwem pieniącym się, lub
misy z

mięsiwem. Tłuste żarty i rozmowa głośna wtórowały śmiechom.

Z sercem bijącym Guta próg izby przestąpiła, a zatrzymawszy się
obok drzwi,

czekała, aby ją kto spostrzegł z obecnych.

— Czego to? — zapytał ją naraz jeden ze służby, który, biegnąc z
misa, potracił

ją.

Pytanie zwróciło uwagę biesiadujących.

— Panna Guta! — wykrzyknęło kilku. Guta zbliżyła się do stołu.

— W imię miłosierdzia Bożego, błagam tego, który jest właścicielem
domu, by

choć na jedną noc dał pod swym dachem przytułek wygnanej przez
landgrafa

landgrafowej Elżbiecie — rzekła drżącym głosem.

Goście i gospodarz poczęli szeptać; naradzali się widocznie.

Guta czekała niespokojnie.

Nareszcie podniósł się jakiś młodzieniec urodziwy, o twarzy, na której
dobroć

się malowała.

— Bogiem się świadcę, panno Guto, że nie odmówiłbym twej
prośbie — rzekł tonem

zakłopotanym, — lecz przyjaciele straszą mnie, że gdy landgrafowę
przyjmę

choćby na godzinę do swego domu, to landgraf do więzienia mnie
wpakuje na lat

kilka. Boję się, bo cóżby wówczas stało się z moją matką, która mnie
tylko ma

jednego? Nie mogę uczynić tego, czego żądasz ode mnie; widzisz

sama. Dam ci jednak, panno Guto, piwa i mięsa; niech się rozgrzeją i
posilą

wygnańcy.

To powiedziawszy, klasnął na służbę i kazał wyładować odpowiednio
koszyk.

Guta podziękowała ze smutną twarzą trwożliwemu gospodarzowi i, dary zabrawszy, poszła szukać gościnniejszego domu. Lecz próżno się rozglądała — nigdzie w oknach światła niedojrzała: wszędzie było ciemno i głucho. Znekana, zmęczona, zatrzymała się wpośród ulicy, namyślając się, co czynić. — Jeszcze raz spróbuję — rzekła wreszcie sama do siebie. — Oto dom starego Karola. Zapukam do niego. Wszak nieraz byliśmy tam z pociechą i pomocą. Może lepszą ma pamięć, niż Hans. Zastukała do drzwi niskiego domku. Ciemno było w oknach — śnać mieszkańcy już spali, — mimo to, za trzykrotnem stuknięciem dały się słyszeć wewnątrz czyjeś kroki, po chwili rozwarły się drzwi domu, a w progu ich ukazał się biały jak gołąb starzec. Chociaż wzrok miał słaby, poznał natychmiast późnego gościa. — Panna Guta! — wykrzyknął radośnie i pochylił się do ręki zacnej kobiety. — Przychodzę z wielką prośbą do was, Karolu — rzekła. — Do mnie? z prośbą? — zdziwionym tonem powtórzył. — Rozkazujcie, pani; co tylko zechcecie, zrobię; toż pamiętam dobrze, jak z landgrafową leczyłyście mnie niedołęgę, jak całe pół roku cierpliwie opatrywałyście moją chorą nogę.

— Kiedy pamiętacie, co landgrafowa dla was Czyniła, to może nie odmówicie jej przytułku na noc? — spytała Guta niepewnym tonem. — Wszak wiecie, że landgraf wygnał ją wraz z dziećmi z zamku. Stary potrząsnął głową.

— Więc to prawda? — rzekł — ja ludziom wierzyć nie chciałem,
mówiłem: "Toć
człowiekiem jest, uszanuje swoich, bratowej i bratanków tak okrutnie
nie
pokrzywdzi. " Gdzież jest landgrafowa?
— Zbliża się z dziatwą do miasta. Dzieci płaczą z głodu i zimna.
Wygнали nas w
tem, w czym stałyśmy.
— Okropność! — szepnął stary do siebie. — Więc przytułku żądacie
na noc? — dodał
tonem pytania.
— Tak jest — odparła Guta. Starzec zamyślił się.
— Dałbym wam chętnie cały dom, lecz źli ludzie gotowi wydać mnie
— odezwał się
po chwili, — a wtedy bieda!
Zasepił się i umilkł: wahał się widocznie, co zrobić. Serce mówiło
jedno, a
rozsądek drugie. Nareszcie zdobył się na postanowienie.
— Już wiem, co zrobię — rzekł z rozjaśnioną twarzą. —
Sprowadźcie, panno Guto,
wygnańców; przygotuję dla nich nocleg; gdzie... nie powiem;
zobaczycie wkrótce
sami; lecz możecie być pewni, że tak was schowam, iż nikt nie
domyśli się
kryjówki. Prześpicie się u mnie spokojnie i dzień jutrzejszy spędzicie,
a gdy
znowu noc zapadnie, puścicie się w dalszą drogę. Tutaj, pod bokiem,
landgrafa
nie

radziłbym wam długo pozostawać; byłoby to nieroztropnie. Przed
złością
niewieścią trudno się ukryć, a ludzie mówią, że to księżniczka
Agnieszka tak
nienawidzi żonę zmarłego landgrafa i że to ona wpłynęła na panów,
by małego

Hermana od tronu usunęli i wraz z matką wygnali z państwa.
— A któżby inny! — westchnęła Guta.
— Idźcie więc, dobra panienko, po księżnę i powiedzcie jej, że stary Karol czeka na nią, że rad jest wielce, iż może chociaż taką drobnostką odpłacić jej za wszystko dobre, jakie mu świadczyła.
Podniesiona na duchu, iż wreszcie znalazła zacnego człowieka, Guta podążyła ku gościńcowi z powrotem; minąwszy ulice miasta, zapuściła się pomiędzy głuche i rozległe pola, śniegiem grubo zasłane. Dokoła było pusto zupełnie, szła jednak odważnie, od czasu do czasu przystawała, wpatrywała się w dal, nasłuchiwała.
— Otóż i oni! — wykrzyknęła wreszcie. Naprzeciw, o kilkanaście kroków, ukazała się gromadka osób, posuwająca się zwolna. Guta poczęła iść prędzej; niebawem spotkała się z Elżbietą i jej towarzyszką. Obie dźwigały młodsze dzieci na ramionach; starsze szły obok nich, tupiąc nóżkami po zmarzłym śniegu. Elżbieta śpiewała im jakąś pieśń pobożną.
Guta miała ochotę uklęknąć przed tą mężną kobietą.
— Za kilka minut spoczniemy — rzekła, siląc się również na spokój.
— Ufałam Panu i nie opuścił mnie — odrzekła landgrafowa.

Po kilku minutach gromadka spoczęła wygodnie — wprawdzie nie pod dachem domu Karola, lecz w piwnicy po za domem.
Wdzięczny starzec wysłał ją miękko sianem i skórami zwierząt: miał sporo skórek, gdyż zawołanym był myśliwym.
Gdy podróżni w owym tajemnym mieszkaniu się rozgościli, przyniósł im mleka i

chleba, poczem, pokazawszy Gucie, jak ma zamknąć drzwi, by nikt do nich się nie dostał, oddalił się, życząc wszystkim dobrej nocy. Nakarmione i ułożone wygodnie na sianie, okryte futrem ciepło, znużone drogą dzieci zaraz posnęły. Elżbieta, Izentruda i Guta chwilę jeszcze rozmawiały o przyszłości, która czarną i ciężką się im przedstawiała. Nieprzygotowane do pracy, same nie wiedziały, jak sobie poradzić. Posiliwszy się tem, co Guta przyniosła od owego mieszczanina, zapadły też w sen niebawem. Zmęczenie fizyczne wzięło górę nad niespokojnymi myślami. Cisza zapanowała w lochu — i nikt nie zgadywał w zamku, gdzie noc spędzają wygnańcy. Dźwięki dzwonów z wieżycy kościoła Franciszkanów zbudziły dopiero Elżbietę. Wstała cicho i, obudziwszy Gutę, poprosiła o otworzenie drzwi piwnicy. Guta chciała jej odradzać tę ryzykowną wycieczkę, lecz Elżbieta przerwała jej mowę: — Idę do kościoła, nic więc mnie złego nie może spotkać w drodze; bądź spokojna. Osłonięta mrokiem poranku podążyła Elżbieta do świątyni. Pusto było jeszcze na ulicach miasta Eisenach; spotkała zaledwie paru biedaków, lecz

żaden nie zwrócił na nią uwagi; niepoznana więc dotarła do celu. Przed wielkim ołtarzem ksiądz odprawiał właśnie mszę świętą. Ukłękła na stopniach i w gorącej, serdecznej modlitwie się zatopiła landgrafowa, prosząc o siłę i odwagę, o

cierpliwość i wytrwałość. Niepewna przyszłość budziła w jej sercu
trwogę. Co
robić, gdzie się udać, by z głodu nie umrzeć, lub nie być zmuszoną
codzień
prosić ludzi o litość — nie wiedziała; całym majątkiem wygnanek
było trochę
klejnotów, jakie miały na sobie; sprzedając je, mogły żyć jakiś czas z
pieniędzy
za nie otrzymanych, lecz nie długo. Modlitwa uspokoiła ją jednakże.
Podniosła
się od ołtarza pokrzepiona na duszy i wróciła pogodna do swej
kryjówki.
Izentruda i Guta już nie spały, a spojrzawszy na jej twarz
rozpogodzoną,
zdziwiły się i ucieszyły.
— Czy jaką wieść radosną niesiesz nam, pani? — spytały
jednocześnie.
— Niosę wam otuchę, jaką wlał mi Bóg w serce — odparła. —
Będziemy pracowały,
modliły się, dzieci uczyły i mężnie znosiły naszą dołę, a Bóg
miłosiernym się
dla nas okaże i zgotuje nam nagrodę za naszą cierpliwość.
Guta pochylila się do nóg landgrafowej i brzeg jej szaty pocałowała.
— Zaiste, jam niegodna zwać się twoją służebnicą, pani, nie tylko
przyjaciółką —
rzekła; — tyś święta, tyś aniołom równa!

VI.

Szeroką miedzą, ciągnącą się między polami pewnej wsi, w pobliżu
opactwa
Kitzingen położonej, szły gromadki wieśniaczek. Po całodziennej
pracy wracały
strudzone do domu — jedne z sierpami, z motykami inne, a wszystkie
wesołe, hoże,

rumiane od pracy. Słońce zwolna zapadało, miły chłód wieczoru
ostudzał im potem
uznojone czoła. Szły, gwarząc, śpiewając i śmiejąc się głośno. Przed
niemi i
koło nich biegły bose, w białych koszulinach dzieci pyzate, opalone,
szczebiocząc i chichocząc na przemian. W ostatnim szeregu widać
było trzy młode
niewiasty, których wiek zdawał się być jednaki. Miały one również
ubranie
wieśniacze na sobie, lecz coś je różniło od innych kobiet — jakaś
powaga i
dostojność je otaczała: rzekłbyś — księżniczki przebrane. A przecież i
one miały
sierpy w ręku, pot oblewał ich czoła również — nie dla zabawki
sierpy niosły.
Twarze i ręce miały od słońca szerniały. Szły wolno, poważnie,
rozmawiały po
cichu, nie wybuchwały śmiechem. Idące przed niemi oglądały się od
czasu do czasu
na nie, lecz nie zbliżały się do nich z żartami, nie przywoływały ich
do siebie
— jakby przystąpić do nich nie śmiały.
Miedza prowadziła do gościńca, od którego rozchodziły się ścieżki,
wiodące do
wioski. Pracownice rozpierzchły się owemi ścieżkami w różne strony
wsi i
zawrzało w niej naraz życiem, śmiechem, weselem. Wieśniacy z
kosami, pastuchy z
bydłem i stadami owiec ściągając też poczęli. Każdy wracał do swego
gniazda, rad,
że godzina spoczynku wybiła.

Mężczyźni siedli na ławach przed chatami, dziatwa ich otoczyła.
Kobiety
pośpieszyły do wnętrza domów gotować wieczerzę dla rodziny.

Trzy niewiasty, które miedzą szły na końcu gromadki żniwiarek,
zatrzymały się
również przed jedną z chat wioski, a gdy weszły za chróściany płot,
otaczający
chatę, drzwi domku się rozwarły z hałasem i z sieni wypadł chłopiec,
lat
dziesięć liczyć mogący, wyciągnął ramiona i przypadł z pieśczołą do
najurodziwszej.

— Mamusiu! wieczerza gotowa! — zawołał wesoło — sam ją
uwarzyłem.

— Sam! doprawdy sam! — rozległy się wołania i z chaty wybiegły
trzy dziewczynki,
otoczyły ową najurodziwszą, o włosach czarnych jak heban; ta
uścisnęła każde z
kolei, potem usiadła przed domem na ławie, a dzieci opowiadać
zaczęły, co przez
cały dzień robiły: rano w ogródku pracowały, kopały, peły, polewały,
czyściły
liście z gąsienic; po południu podwórko i chatę wewnątrz uprzątnęły,
potem
przygotowaniem wieczerzy się zajęły.

Matka słuchała ich szczebiotu z zadowoleniem, a dwie jej
towarzyszki, siadłszy
opodal, wpatrywały się w krwawą kulę słońca, staczającą się za góry,
otaczające
wioskę.

— I cóż zgotowałeś na wieczerzę? — zapytała matka.

— Jest kasza na mleku — odparł chłopiec.

— Siostry niech ci pomogą, Hermanie, i przynieście tutaj wieczerzę;
lepiej
smakować będzie na świeżem powietrzu. Przygotujcie wszystko, jak
w domu bywało,

— Dalej, do roboty! — krzyknął Herman na dziewczynki.

Mała gromadka pobiegła w głąb chaty i ucichły wesołe szczebioty.
Kobieta zwróciła się do siedzących w dali towarzyszek.

— Co wam jest? — spytała. — Smutniejsze jesteście, niż zwykle.
— Z czegoż mamy się cieszyć? — odparła jedna. — Życie takie ciężkie, a niema
żadnej nadziei, by polepszyła się nasza dola.
— Co tam my, lecz te biedne dzieci rozdzierają mi serce swym śmiechem — odezwała się druga; — zrodzone do tronu, wychowane w zamku książęcym, dziś mieszkać muszą w nędznej chałupie i nędzną dolę chłopa do końca życia prawdopodobnie dźwigać...
a ty, pani, córka królewska...
— Daj pokój — przerwała jej Elżbieta, — nie grzesz, Guto! Wyroki Boże tajemnica pokrywa i nie ludziom je sądzić. Dziwisz się nieraz mej wesołości, dziwisz się, żem tak spokojna, mimo niepewnej przyszłości, a chcesz wiedzieć, w czym czerpię siłę? Oto mam mocne przekonanie, wierzę, iż cokolwiek spotyka nas w życiu, niezbędne jest dla dobra naszego. Cierpienia wyrabiają moc ducha, w serca nasze wszczepiają cnoty, których nam brakło; nie narzekam więc, bo w cierpieniu dusza, jak złoto w ogniu, się oczyszcza. Jest drugie źródło jeszcze, w którym czerpie spokój: myślę o tych, których dola stokroć jest gorsza od mojej, i mówię sobie:
"jam jeszcze szczęśliwsza od wielu: " dzieci moje chowają

się zdrowo, do pracy sił nie brak i chleba nam nie brak, nie patrzę więc na głód tych, których kocham.

— Ale jak ciężko pracować musisz, o miłościwa!...

Nie dokończyła Guta, gdyż przypomniała sobie, że Elżbieta prosiła, by tu zapomniano o jej tytułach.

— Praca to moje szczęście. Błogosławię ją codzień — odparła żywo Elżbieta. — Ona
mą dźwignią, mą siłą, mą otuchą, ona mi zapomnieniem. Przy pracy
nie mam czasu
gorzkim myślom się oddawać. Błogosławiona praca!
— Z tobą nam nie rozprawiać, lecz korzyć się przed twym rozumem,
o pani! —
odparła Guta. — Ilekroć słucham twojej mowy, lepszą się staję.
— O, tak — potwierdziła Izentruda.
Ukazanie się dzieci, które ze śmiechem dźwigały prosty stół
drewniany, przerwało
im rozmowę. Guta pośpieszyła pomódz małej gromadce i niebawem
cała rodzina —
gdyż Elżbieta swe towarzyszki siostrami nazywała — obsiadła stół
wokół i
wieczerać poczęła.
Teraz landgrafowa Elżbieta opowiadała dzieciom, co sama robiła
przez cały dzień:
żeła, zbierała kłosy i myślała o dzieciach: co robią, czy grzeczne, czy
nie
kłóć się, psot brzydkich nie wyprawiają.
Herman zapewniał matkę, iż siostry przez cały dzień ani razu na
połajanie nie
zasłużyły; one za nim świadczyły żywo.

Wreszcie słońce zaszło i mrok otoczył ziemię. Ptaszeta milczeniem
przypominały
ludziom, że pora spoczynku i dla nich się zbliża.
Wtem we wrotach, znajdujących się w chróścianym płocie,
otaczającym ich skromną
zagrodę, kilka postaci się ukazało: siwowłosy starzec, dwie niewiasty
już w
podeszłym wieku i młoda matka z niemowlęciem na ręku. Weszli na
dziedziniec, a
zbliżywszy się do stołu, pokłonili się nieśmiało zebranym koło niego.

— Przychodzimy odwiedzić was, miłe sąsiadki — odezwał się starzec, — lecz może nie w porę?
— Toć godzina najlepsza do gawędki — odparła Elżbieta. — Siadajcie na ławie, na przyźbie, gdzie miejsce znajdziecie. Miło nam będzie z wami porozmawiać.
— Dla rozmowy też przychodzimy — odezwała się jedna z kobiet, — bo chociaż, prócz mojej synowej — to mówiąc, wskazała wzrokiem młodą matkę, — wszyscy starsi wiekiem od was jesteśmy, skorzystamy, gdy posłuchamy was. Uśmiech zadowolenia ukazał się na ustach Elżbiety.
— Na sieroctwo moje Bóg dał mi tę pociechę, że swoim i obcym pożyteczną jestem — odparła landgrafowa. — Wdzięcznam Mu za to wielce. Starzec i wieśniaczki zasiedli ławę, którą im dzieci ustąpiły.
— Dawnoście wdową, sąsiadko? — zapytała młoda matka Elżbietę.

— Już od lat kilku — odparła zapytana. — Najmłodsze z dzieci nie chodziło jeszcze, gdy przyszła wieść o śmierci męża.
— Mnie się coś widzi, żeście nie z naszego stanu — odezwała się starsza z wieśniaczek. — Za mądrze mówicie, za grzeczne wasze dzieci: pewno nie w chacie snopem krytej się porodziły. Fala krwi uderzyła do twarzy Elżbiety.
— Czem byłam, chcę o tem zapomnieć — odparła; — nie budźcie wspomnień, bo one często bołą.
— Wybaczcie jej, sąsiadko! Ot, rzecz zwykła: niewiastą jest, więc ciekawa — odezwał się stary.
Kobieta chciała się tłumaczyć, lecz Elżbieta przerwała.

— A co porabia wasz wnuk, Ludwik? — zapytała, zwracając rozmowę na inny przedmiot. — Lubię to imię.
— Zdrów jak rybka — odparła Anna, — odkąd wyleczyliście go z tej szkaradnej zimnuchy.
— I moja dziewczyna, dzięki wam, rumiana jak jabłko — odezwała się druga z wieśniaczek. — Ludzie mówią we wsi, że nad wami laska Boża świeci, gdyż pod czyj dach wejdziecie, stamtąd złe ucieka na zawsze.
— A pewno! — wtrąciła się nieśmiało do rozmowy młoda matka. — Mój pił i pił od rana do nocy, ale jak go tutaj przysłałam, jak porozmawiał z sąsiadką, od tego czasu zawsze trzeźwy, pracuje, nie kłóci się: inny człowiek zupełnie. Kto was nauczył tak zażegnawać złe? — spytała matka Anna.

— Ot, znowu niedorzeczne pytanie! — mruknął stary.
— Nie łajcie Anny, ojcie Jakóbie — ujęła się za wieśniaczką Elżbieta.
— Bóg uczy mnie, jak przemawiać do ludzi, by mi wierzyli, i co czynić, by im dołą osłodzić.
Kochajcie Boga szczerze i gorąco, a nauczy i was, jak żyć, by wam dobrze było na ziemi; jak chować dzieci, by na pociechę waszą wyrosły; jak nieprzyjaciół w przyjaciół zamienić; bo miłość Boga to spokój, to zadowolenie, to moc, która zwycięża największe trudności i niebezpieczeństwa... Długo tak jeszcze mówiła, a goście słuchali ze skupieniem; dzieci, usiadłszy u jej nóg, patrzyły na nią z zajęciem: zdawały się rozumieć ją. Izentruda i Guta rozjaśniły smutne twarze i

zapomniały o niedoli, nad którą ubolewały niedawno. Tymczasem noc zapadła,
gwiazdy wysypały się na błękit nieba i srebrny sierp księżyca błysnął pomiędzy
niemi.

— Oj, pięknie mówicie, sąsiadko — odezwał się stary wieśniak,
podnosząc się z
ławy. — Proboszcz z ambony piękniejby nie powiedział. Przyjdę tu
znowu

niezadługo, a teraz dobranoc, czas do domu...

— Przychodźcie wszyscy, kiedy będziecie mieli ochotę. Całym
sercem rada jestem

zawsze tym, co mnie odwiedzają — odparła Elżbieta.

— I nam czas o spoczynku pomyśleć — rzekła, gdy goście znikli za
furtą.

I poprowadziła dzieci do chatki. Ubogo tam było: proste tapczany
służyły za

łóżka tym, którzy w książących komnatach się zrodzili i wychowali,
skrzynia

drewniana, stół i parę stołków dopełniały

umeblowania, — lecz czyste sumienie i praca sprawiały, że na
twardych posłaniach

smaczniej i rychlej zasypiali, niż na puchowych łóżach ci, co w
Wartburgu

pozostali.

Niebawem w chatce słyhać było tylko równy oddech śpiących. Świt
zbudził ich

znowu do pracy. Z wesołym szczebiotem zerwały się dzieci z posłania
i ubierać

się poczęły; starsze młodszym pomagały. Elżbieta zajęła się
przygotowaniem

śniadania, Guta z Izentrudą uprzątnięciem izby, — a gdy z kościołka
miejscowego

dobiegły je dźwięki dzwonu, głoszące Anioł Pański, już wszyscy
ukończyli zwykłe

swe ranne czynności i do pacierzy uklękli. Po skończonych modłach
zasiedli razem
do śniadania: skromne było, lecz posilne. Wszyscy posilali się z
apetytem, a
śpieszyli bardzo; na rozmowę czasu nie było.
Naraz Hermanek przestał jeść i zaczął się w coś wsłuchiwać.
— Mamo, co to za dziwny hałas leci od gościńca? — rzekł po chwili.
— Ludzie jadą do opactwa z sianem lub mąką — odparła obojętnie
Elżbieta.
— Turkot wozów znam dobrze — rzekł chłopiec — A to... niby
kolasy wartburskie...
Elżbieta wstrząsnęła ze smutnym uśmiechem głową.
— Marzy ci się, chłopcze! — szepnęła.
Izentruada westchnęła:
— Nie widzieć nam już...
— Któż ręczyć za to może? — wmieszała się Guta. — W mocy Boga
wszystko.

— Mówiłem, że nie wozy! — wykrzyknął z tryumfem Hermanek.
To mówiąc, wskoczył na lawę i rękę ku gościńcowi wyciągnął.
— Patrzcie, czy to są wozy? — wolał, cały zapłoniony z radości, że
przy nim
słuszność.
Za lekką, przejrzystą jak tkanka pajęczą, przezroczystą zasłoną mgły
widać było
dwie kolasy, panami na koniach otoczone. Posuwały się one zwolna
ku wiosce. Obie
puste były. Siedzący na koniach to obok jechali, to je wyprzedzali,
gdy zaś
spotkali jakiego wieśniaka lub wieśniaczkę, zatrzymywali ich i o coś
rozpytywali, a wieśniacy zawsze w kierunku chaty Elżbiety ukazywali
palcami.
Izentruada, Guta i dzieci były mocno zaintrygowane. Elżbieta z razu
patrzyła
obojętnie, lecz w miarę, jak kolasy poczęły zbliżać się ku wsi,
ogarniał ją

nieokreślony niepokój. Na blade jej policzki wystąpiły rumieńce, oczy zapłonęły.

— Mamo! oni do nas jadą! — zawołał naraz Hermanek.

Elżbieta nic nie odpowiedziała, tylko przycisnęła ręką serce, które bić gwałtownie poczęło. Kolasy zwróciły z gościńca na drożynę, do nich wiodącą;

otaczający je panowie nie zaczepiali teraz przechodzących, dwóch wysunęło się na

przód i wskazywało drogę jadącym za nimi, inni trzymali się pojazdów.

Izentruda i Guta złożyły ręce.

— Matko najświętsza! co to wszystko znaczy? — szeptały.

— Do nas! do nas jadą! — wołały dzieci, klaszcząc w dłonie.

Elżbieta modliła się cicho.

— Panie! pod Twoją opiekę się uciekam — szeptały jej usta.

Tymczasem kolasy dotarły do chróścianego plotu i zatrzymały się przy jego

wrotach. Dwaj jadący przodem, zeskoczywszy z koni, przywiązali je do drzewa, w

pobliżu rosnącego, i wszedłszy na dziedziniec, z pokłonami pełnymi szacunku

zbliżyli się do Elżbiety, która odzyskała już spokój.

— Miłościwa landgrafowo Turyngii, oto z poselstwem od przewielebnej twej ciotki

Matyldy, przeoryszy opactwa Kitzingen, przybywamy — odezwał się jeden z panów. —

Doszły ją wieści o waszem, pani, wygnaniu, o nieludzkiem się z wami obejściu

landgraфа Henryka... i żal przejął jej serce. Wysłała nas przeto, abyśmy, w jej

imieniu, ciebie, miłościwa pani, wraz z dziećmi i wiernymi ci pannami zaprosili

do opactwa. Zbytków królewskich nie zaznasz tam, pani, ale nie zaznasz też nędzy

i upokorzenia, a sercem całym powita cię ciotka Matylda.

— Byłabym niewdzięczną, gdybym łaskę mej ciotki odepchnęła —
odparła Elżbieta; —
byłabym złą matką, gdybym upierała się tu pozostać: tam łatwiej mi
będzie
kształcić nie tylko serca, lecz i rozum dzieci. Powiedzcież mi, zacni
panowie,
kiedy mam się wybrać w drogę?
— Natychmiast! — wykrzyknęli jednogłośnie.
— Zwlekać nie będę — rzekła Elżbieta; — dozwólcie mi tylko
pożegnać sąsiadów. Wy
tymczasem odpocznicie.

Panowie przyjęli, zaproszenie i wezwali resztę towarzyszy, by zsiadli
z koni, —
a landgrafowa z Gutą, Izentrudą i dziećmi udała się na wieś. Nie
pomięła żadnej
chaty, każdą nawiedziła. Wieśniacy cieszyli się jej szczęściem i
płakali
jednocześnie, że ich opuszcza. Chatę swą, z ziemią do niej należącą,
podarowała
Elżbieta najuboższej rodzinie we wsi i tegoż jeszcze dnia,
pobłogosławiona przez
tych, którym lat kilka tylko dobrze świadczyła, udała się do opactwa
Kitzingen.
Przeorysza Matyllda powitała ją serdecznie, wydzieliła jej w klasztorze
stosowne
do jej godności mieszkanie i otoczyła ją prawdziwie macierzyńską
opieką. I
dobrze było Elżbiecie w opactwie. Ciche, jednostajne życie, jakie w
niem wiodła,
dogadzało jej duszy zmęczonej i smutnej. Oddana wychowaniu dzieci,
ich szczęście
miała jedynie na celu. Żadna troska, żadna zła wieść nie zakłócała
spokojnego
życia wygnańców.

Był to wieczór letni, pogodny i jasny. Siedziała właśnie Elżbieta z ciotką w ogrodzie klasztoru; dzieci opodal igrały na trawniku. Kobiety rozmawiały ze sobą poufnie. Elżbieta opowiadała, jak opuściła zamek wartburski, o ile możliwości łagodząc okrutne obejście się z nią Agnieszki i Henryka, — jak w Eisenach dano jej chwilowy przytułek. — Spieniżyłam klejnoty, jakie miałam na sobie, i postanowiłam kupić za nie chatkę maleńką i gruntu kawałek, aby pracować na utrzymanie dzieci — mówiła spokojnym głosem. — Po kilkotygodniowej wędrówce dotarliśmy do tej wsi waszej, nie przeczuwając wcale, iż leży ona tak niedaleko opactwa

w którym mieszkasz, ciotko. Postanowiłam w niej się osiedlić. Nabyłam lichą chatkę z kawałkiem niewielkim ziemi... i znośnie mi tam życie płynęło, bo ludzie przyjaźni byli dla mnie. Pracowałam wprawdzie ciężko, lecz zato dzieci głodu nie cierpiały; dziękowałam więc Bogu za to, co mi dał, i ufałam w przyszłość. — I ja z razu nie wiedziałam, że tak blisko mnie mieszkasz — zabrała z kolei głos przeorysza. — Ludzie wprawdzie opowiadali mi o jakiejś, mieszkającej w jednej z sąsiednich wiosek, zacnej niewieście, która chorych leczy, grzeszników nawraca; lecz ja pewną byłam, że ty już nie żyjesz. Aż niedawno zawitał do mnie Wary], syn zacnego podczaszego Ludwika, a gdy mi opowiadał o losie, jaki cię

spotkał, i biadać począł, iż nikt nie wie nawet, co się z tobą stało,
zstało
na mnie jak gdyby jasnovidzenie, że to ty może jesteś ową
błogosławioną
pocieszycielką mieszkańców sąsiedniej wioski, i natychmiast
wysłałam ludzi, by
sprawdzili me domysły. Gdy mi doniesiono, jak wyglądasz, ile masz
dzieci, nic
wątpiałam dłużej, że to ty jesteś, i posłałam po ciebie... Lecz, patrz-no,
kto to
idzie ku nam tak szybkim krokiem? — przerwała naraz pytaniem
zwierzenia swoje
przeorysza, i ręką oczy przysłoniwszy od blasku zachodzącego słońca,
wpatrzyła
się w dal.
— Siostra Ludmiła — odparła Elżbieta.
Jeszcze mówiła, gdy przed siedzącymi kobietami stanęła młoda
zakonnica,
zarumieniona od pośpiechu.

— Księżę biskup bamberski Egbert przybył do opactwa — rzekła
zdyszana — i tu
podaża. Pytał o was, matko Matyldo, i o dostojną landgrafowę
Turyngii, a gdyśmy
mu powiedziały, gdzie odpoczywacie..
— Pójdę na spotkanie wuja — przerwała wzruszonym głosem
Elżbieta i śpiesznym
krokiem skierowała się ku murom opactwa; lecz zaledwie uczyniła
parę kroków,
ujrzała naprzeciw siebie idącego starca w sukni biskupiej,
podpierającego się
pastorałem.
Spostrzegłszy księżnę, biskup przystanął, wyciągnął ramiona.
— Do mnie! do mnie! biedne moje dziecię! — zawołał.
Elżbieta przypadła do jego kolan, on położył ręce na jej ramionach.

— Więc to prawda, co mi ludzie powiedzieli — rzekł drżącym głosem; — więc ten niegodziwiec, wyzuwając prawego następcę z tronu, władzy i dziedzictwa, ciebie wygnał z sierotami na głód i tułactwo!
— Musiałam zasłużyć, gdy taka dola przypadła mi w udziale — odezwała się Elżbieta.
— Anielska dusza w tobie — odparł biskup; — ale ja nie mam tak świętego serca...
ja ukarzę krzywdziciela. Klątwę nań rzucę, jeśli nie odda tronu twemu synowi.
Elżbieta wzdrygnęła się.
— Nie czyń tego, wuju!.. Nigdy cudze nieszczęście szczęścia drugim nie przyniesie — rzekła tonem prośby. — Mnie tu dobrze u ciotki; dziękuję Bogu

codziennie, że mi dał to ciche schronienie, gdzie syna i córki tak wychowywać mogę, aby z czasem stali się pożyteczni bliźnim swoim. Ot, spojrzycie, wuju, jak wesoło igrają, hoże i rumiane wszystko czworo, jak czują się szczęśliwymi!
Z temi słowy zwróciła się w stronę, w której działa się bawiła. Lecz Hermanek nie igrał w tej chwili z siostrami; spostrzegł on przybycie dostojnego gościa i przypatrywał się mu ze zdziwieniem.
— Hermanie! — zawołała nań Elżbieta.
Chłopiec natychmiast przybiegł do matki, a za nim i młodsze jego rodzeństwo.
Biskup pogładził cztery jasne główki i począł dopytywać dzieci, w co się bawiły.
Tymczasem wolnym krokiem nadciągnęła przeorysza, i powitawszy z głębokim

szacunkiem dostojnego gościa, prosiła, by raczył wrócić do opactwa i spocząć po

podróży wygodnie.

Biskup nie opierał się.

— Przyjechałem zabrać wam synowicę — odezwał się, idąc obok staruszki; — kazałem

zamek Botensztein dla niej przygotować, by odpowiednie swemu stanowisku miała

mieszkanie.

— Wasza ekscelencya ma większe, niż ja, do niej prawa —

odpowiedziała Matylda; —

oporu przeto stawiać nie będę woli waszej; nie taję wszakże, iż przykrem mi

będzie rozstanie.

Elżbieta również zdawała się być zmartwiona propozycją wuja:

wśród dobrych

zakonnicy w opactwie Kitzingen znalazła tak pożądaną przez nią

spokój i życie bez

troski o jutro. Tyle złego od

ludzi świeckich doznała, iż lękała się do nich powrócić; lecz biskup nie

spozstrzegł smutku, który wystąpił na czoło siostrzenicy, więc ciągnął dalej:

— I rychło ją zabiorę od was, matko Matyldo: jutro najdalej wyjechać stąd

będziemy zmuszeni, a to nie bez poważnej racyi: otrzymałem wczoraj wiadomość, że

wierni towarzysze byłego landgrafa Ludwika, dopełniając jego ostatniej woli,

przywieźli jego zwłoki do Niemiec i lada dzień staną w Bambergu.

Z piersi Elżbiety wyrwał się krzyk niby bólu i radości, a biskup zwrócił się do

niej:

— A więc pojedziesz?

Ona, w miejsce odpowiedzi, rzuciła się do nóg jego z głośnem szlochaniem; ledwo ją zmusił starzec do powstania. Objąwszy ją ramieniem, do serca płaczącą przycisnął.

— Ojcem chrzestnym twym jestem — rzeki łagodnie, — więc chcę ci ojca rodzonego zastąpić. Jutro pojedziemy do Bambergu; tam się zatrzymamy, póki orszak żałobny nie nadciągnie.

— O, jakież Bóg dobry! — szeptała Elżbieta, ocierając łzy radości. — Pojadę,

wuju, gdzie zechcesz i kiedy każesz.

Nazajutrz, w istocie opuściła opactwo Kitzingen, gdzie jej ubiegło cicho i

dobrze kilka tygodni. Nie bez żalu pożegnała ciotkę, — lecz myśl, iż jedzie

oddać posługę ostatnią temu, którego całą duszą kochała zawsze, ułatwiała rozstanie.

Gdy przybyli do Bambergu, dowiedzieli się, iż żałobny orszak ma stanąć nazajutrz w mieście. Całą

noc Elżbieta spać nie mogła, myśląc o spotkaniu, jakie ją czekało; równo ze

świttem pobudziła dzieci, biskup kazał im przygotować suknie żałobne, stosowne

też do ich godności, więc ubrała je wspaniale, poczem sama włożyła żałobną szatę

i czekała niecierpliwa na wezwanie.

O ósmej rano jeden z dworzan biskupa przyszedł jej oznajmić, że pojazdy czekają

na dziedzińcu. W okazałym orszaku panów świeckich i duchownych biskup podążył

pieszo na spotkanie zwłok landgraфа Ludwika. Elżbieta z dziećmi oraz panie z jej orszaku jechały pojazdami, — lecz gdy ujrzały z daleka żałobny orszak, wysiadły i połączyły się z pieszych drużyną. Naprzeciw widać było wśród obłoków kurzawy tłum rycerzy, dążących ku nim. Otaczali oni wielki wóz, kirem okryty. Na jego widok Elżbieta zachwiała się, lecz Izentruda i Guta podały jej ramiona. Wsparta na nich, poszła dalej, wpatrzona w żałobny wóz. Zdawało się jej, że widzi ukochanego, jak leży spokojnie na posłaniu śmiertelnem — piękny, wspaniały, jakim był ongi. Wreszcie spotkały się orszaki i zatrzymały. Elżbieta, odzyskawszy siły, puściła towarzyszkę, i rzuciwszy się na przód niespodziewanie, zawołała: — Otwórzcie trumnę! chcę go widzieć. Ton jej mowy był tak stanowczy, iż nie śmiano jej odmówić. Dwaj panowie, zeskoczywszy z koni, zbliżyli się do wozu, odrzucili żałobne sukno i podnieśli wieko trumny. Elżbieta pochyliła się ku niej i z piersi jej wyrwał się jęk bolesny. Zachwiała się i padła na ziemię, a dzieci w głośny płacz uderzyły: w trumnie leżały tylko kości zbielełe.

Nieprzytomną zupełnie księżnę ponieśli panowie do powozu. W zamku wuja odzyskała ona dopiero przytomność. — Nie płaczcie — odezwała się zaraz do tulących się do niej sierot. — Dziękujemy raczej Bogu, iż dozwolił nam odzyskać ukochane szczątki i pochować je ze czcią

należyta.

To powiedziawszy, dźwignęła się z posłania i powlokła do wspaniałego klęcznika, jaki w pokoju się znajdował, i długo modliła się cicha i pokorna. Gdy powstała, zbliżył się do niej biskup.

— Spełniłaś obowiązek względem Boga, ukorzyłaś się przed Jego potęgą, a teraz drugi spełnić powinnaś względem syna twego — rzekł poważnie. — Kto bezkarnie

złemu tryumfować pozwala, ten złemu pomaga, a zatem grzeszy.

Wszakże chwasty

szkodliwe wrywamy, gdy głuszą pożyteczne rośliny. I ludzi

szkodliwych usuwać

należy, gdy krzywdą niewinnych żyją. Nie żądam nic innego od

ciebie, córko, jak

tylko, byś całą prawdę wyjawiała rycerzom, którzy zwłoki twego męża przywieźli.

Pójdziemy teraz do sali, gdzie wszyscy na nas czekają, i tam dzieje swego

wygnania im opowiesz.

— Ciężkiej rzeczy żądasz ode mnie, wuju — odparła Elżbieta; —

lecz, gdy każesz,

usłucham.

I z temi słowy podała dłoń biskupowi.

W pośrodku gościnnej izby stały dwa próżne krzesła. Egbert wskazał jedno

Elżbiecie, a sam drugie zajął.

— Jeszcze raz wzywam cię, Elżbieto, abyś całą prawdę powiedziała

— odezwał się

poważnie.

Elżbieta chwilę milczała, jak gdyby skupiając myśli; nareszcie zaczęła opowiadać

— z razu cicho, potem coraz głośniej, ale zawsze spokojnie — całą swoją niedolę,

wszystkie upokorzenia, jakich doznała, nędzę, w jakiej tak długi czas żyła.

W ciszy głębokiej, uczuciem grozy przejęci, słuchali jej przyjaciele i towarzysze zmarłego landgrafa; zacne ich twarze wyrażały gniew szlachetny, w sercach pisali wyrok potępienia na krzywdziciela, coraz surowszy, coraz bardziej stanowczy.

Wreszcie skończyła opowiadać księżna, a wszyscy, podniósłszy prawice w górę, groźnym głosem zawołali:

— Przysięgamy ukarać krzywdzicieli, sprawiedliwości zadość uczynić!

— A kto z nich nie ukorzy się przed konfesjonałem i win swoich nie naprawi, na tego spadnie klątwa kościelna — zakończył przysięgę rycerzy biskup. — Amen! — zabrzmiało ponurem echem w sali.

Elżbieta, napół zemdlona, oparła się na ramieniu wuja, który odprowadził ją do pokojów dla niej przeznaczonych. Tam widok dzieci otrzeźwił ją; przygarnęła je do siebie.

— Niechaj Bóg czuwa nad wami, sieroty moje! — szepnęła.

Nazajutrz rano biskup, odwiedziwszy siostrzenicę, zapytał ją, czy jest w stanie puścić się w dalszą drogę, gdyż panowie chcą jechać dalej z trumną. Książę

Ludwik życzył sobie być pochowanym w opactwie Reinhardsbrun; tam więc podążać zamierzali.

Elżbieta oświadczyła, iż za chwilę gotową będzie do drogi, i przed południem jeszcze opuściła zamek bamberski.

W żałobnej kolasie, z przyjaciółkami i dziećmi, Elżbieta jechała tuż za trumną

męża, a ilekroć do grodu jakiego wjeżdżała, kazała zawsze konie zatrzymać, wysiadała i pieszo przez ulice miasta zwłokom ukochanego towarzyszyła.

Tłumy ludu wychodziły na spotkanie wspaniałego pogrzebu, a każdy ze współczuciem patrzył na zboląłą wdowę i czworo drobnych sierot, uczepionych do jej sukni.

Waryl i rycerz Ryszard, który należał do tych, co ciało landgrafa Turyngii z obcej ziemi do Niemiec przywieźli — ilekroć Elżbieta wysiadła z powozu, stawali

natychmiast przy jej boku, by podtrzymać ją w razie potrzeby.

Obaj oni przysięgli sobie, że raczej zginą, niżeli zezwolą na to, by Henryk z

krzywdą Hermanka miał tronu i władzy używać. Pierwszemu pamięć ojca to

nakazywała, drugi zaś opowiadał, że gronostajowy rękaw Elżbiety ocalił go nieraz cudownie od śmierci.

VII.

Dzień był parny; nad zamkiem wartburskim wisały ołowiane chmury, lada chwila burzą grożąc. Jakieś gwary, jakieś szумы posępne, złowrogie

słysząc było w powietrzu; czasami odzywał się głuchy łoskot, poprzedzany

jaskrawą jasnością, oblewającą niespodzianie czarny horyzont.

Mieszkańcy

Eisenach z trwogą chronili się do domów.

W wielkiej sali zamku Wartburga zebrała się cała rodzina. Czy to zbliżająca się

burza była tego powodem, czy co innego, dość, że twarze wszystkich ponuro wyglądały, najbardziej zaś landgrafa Henryka.
Usiadł on posepny na tronie, z czołem zmarszczkami pooranem; tuż obok niego nie weselej wygląda Agnieszka; dalej nieco, przy oknie, smutna i blada landgrafowa
Zofia szepce pacierze i z trwogą na groźne chmury spogląda. Smutny jest też młodszy brat landgrafa, Karol. Gnębiąca cisza panuje w sali.
— Doprawdy, sądzićby można, iż lękasz się, bracie, tej trumny, którą wiozą do Reinhardsbrunu — pierwsza przerwała to milczenie Agnieszka. — Bądź spokojny, Ludwik nie odbije wieka i nie przyjdzie zrzucić cię z tronu.
— Że nie przyjdzie, tego pewien jestem — odparł Henryk, — lecz przyjąć mogą jego stronnicy i syna przemocą tu osadzić.
— Mogą przyjąć tu? — z ironią powtórzyła Agnieszka. — A od czegoż masz załogę?... Niech spróbują!... pokażemy im, co umiemy.
— Gdybyż to przeciw obcemu... lecz wojna z synem Ludwika...
— Boisz się dziecka?
Boję się sądu Bożego — prawie wyszeptał Henryk.

Agnieszka powstała z krzesła i poczęła się przechadzać żywym krokiem.

— Nie do tronu zrodziłeś się, Henryku, ale do kądzieli. Tamten ulegał mniszce,

ten mar i dzieci się lęka! — sarknęła.

W przyległej komnacie rozległy się męskie kroki. Agnieszka umilkła i zwróciła

spojrzenie na drzwi.

— Waryl! — wyrwało się naraz z jej ust.

Na progu stanął w istocie syn dawnego podczaszego, koniuszy Waryl. Skłonił się

on zebrany w sali, ale w ukłonie tym pokory nie było, raczej hardość i buta.

Pewnym krokiem postąpił kilka kroków, a zatrzymawszy się przed tronem, podniósł

czoło dumnie i począł mówić poważnym tonem:

— Miłościwy panie, jako poseł w ważnej sprawie staję przed tobą.

Towarzysze moi

wysłali mnie tu. Dowiedzieliśmy się w drodze wielu rzeczy, w które uwierzyć nam

trudno zrazu było, lecz, niestety, przekonaliśmy się naocznie, iż ci, co je

opowiadali, prawdę mówili. Wygnałeś, panie, z zamku nieszczęśliwą wdowę

landgraфа Ludwika, wydarłeś tron jego synowi, na głód i nędzę

skazałeś słabą

niewiastę i czworo drobnych dzieci. Biskup bamberski,

dowiedziawszy się o tem

wszystkiem, chciał klątwę rzucić na twą głowę, panie, lecz

powiedziano mu, że

działałeś pod wpływem namowy, że żałujesz już tego, coś uczynił;

tuszy więc, że

winę naprawisz, że nie czekając kary kościelnej, powołasz synowca do Wartburga,

by zasiadł na tronie, po ojcu mu należnym; że, jako dobry stryj,

będziesz mu

udzielał rozumnych rad, dopóki do pełnoletności nie dojdzie,

a potem usuniesz się od władzy i dawne zajmiesz stanowisko.

— O, tak! — syn mój to uczyni niezawodnie — odezwała się landgrafowa Zofia; —

działał on w istocie pod wpływem namowy złych ludzi; dziś żałuj tego, co

uczynił, i z ochotą ustąpi z tronu.

To mówiąc, podniosła się wzruszona z krzesła, i zbliżywszy się do Henryka,

położyła dłoń na jego ramieniu.

— Powiedz Warylowi, by wrócił do towarzyszy i oświadczył im, że tron oddasz

Hermanowi; powiedz, by Elżbieta śpieszyła do nas ze wszystkimi dziećmi...

— Lecz dodaj to jeszcze, że gdy przybędzie, znajdzie bramę zamku Wartburga

zapartą — przerwała matce gniewnym tonem Agnieszka; — dodaj, że gdy ją ujrzę, to

psy podwórzowe na nią spuszczę, że najeżę bronią mury przeciw jej synowi, że

wreszcie ja i bracia moi ją nienawidzimy, że śmierci jej pragniemy gorąco!

Jeszcze mówiła, gdy w powietrzu rozległ się łoskot straszliwy, a z nim jednocześnie czerwony zygzak po niebie przeleciał.

— Milcz! — krzyknął Henryk przerażony. Agnieszka roześmiała się.

— Zaiste, dzielnego pana ma Turyngia! — rzekła wzgardliwie — lęka się piorunów i umarłych.

Księżna Zofia ręce złożyła.

— Bój się Boga, Agnieszko! — szepnęła.

I klątwy, która spadnie niechybnie na ten dom, jeśli landgraf nie podda się woli

biskupa — dodał Waryl.

— Nie lękamy się!... klątwa nas nie umorzy — odparła Agnieszka.

— Nie lękasz się, bo nie tobie ona grozi — odezwał się wreszcie Henryk.

— Na siebie ją wezmę, tylko bądź rycerzem — odrzekła księżniczka.

— Na Boga! a

toż cały lud Turyngii nazwie cię niedołągą!.. Wezmę tę klątwę na siebie! fam

głównie winna w tej sprawie, bom ja pierwsza radziła, by synów Ludwika

wydziedziczyć.

Henryk tym razem nic nie odpowiedział, zwiesił głowę ku piersiom i milczał

posepny.

— Jakąż odpowiedź mam zanieść swoim? — zapytał po chwili Waryl.

— Że bramy zamku Wartburga zamknięte są dla potomków Ludwika, że rodzina

wyrzekła się ich, bo są dziećmi rozrzutnej i kłamliwej Elżbiety —

odpowiedziała

za brata Agnieszka.

Nowy łoskot wstrząsnął ścianami sali i blask straszliwy oświecił ją na chwilę.

Wszyscy, prócz i Agnieszki, przeżegnali się trwożnie.

— "A słowo stało się ciałem!" — szepnęła landgrafowa Zofia.

Waryl zwrócił się ku niej:

— Żal mi was, miłościwa pani, bo grom inny, straszniejszy jeszcze, niż ten, jaki

ta burza, ciągnąca ku nam, przynosi, uderzy niebawem w wasz dom

— rzekł smutnym

głosem; — lecz nie w mojej mocy go odwrócić!

Landgrafowa płakać zaczęła.

— O, nieszczęsna! jakiejże ja chwili dożyłam! — jęczała. — Karolu!

— zwróciła

się do młodszego syna,

który w obojętnym milczeniu przysłuchiwał się całej scenie —

Karolu, może ty

wpłyniesz na Henryka!...

— Henryk starszy... wie, co robi! — odparł tenże.

Landgrafowa ukryła twarz w dłoniach i głośnym płaczem

wybuchnęła.

Waryl już zwracał się ku drzwiom, gdy wtem Henryk podniósł się z tronu.

— Nie odchódź! — krzyknął — nie chcę klątwy, nie chcę znosić

dłużej wyrzutów

sumienia, które mnie dręczą od czasu, gdy tron prawemu następcy

wydarłem, odkąd

na wygnanie skazałem dzieci brata mego.

Waryl postąpił ku niemu.

— Więc cóż mam im rzec? — zapytał.
— Że w Reinhardsbrun spotkamy się na pogrzebie Ludwika.
— Ty tego nie uczynisz! — odezwała się Agnieszka.
— Powiedziałem! — stanowczym tonem odparł Henryk.
Fala krwi uderzyła do twarzy księżniczki, w oczach gniew zaświecił.
— Ja nie pozwolę na to! — głuchym głosem odezwała się.
— Agnieszko, upamiętaj się! — błagalnym tonem odezwała się
landgrafowa Zofia. Łzy
nie płynęły już z jej oczu: nadzieja w nich świeciła. Wyciągnęła ręce
do
starszego syna.
Zbliź się do mnie — rzekła głosem wzruszonym, — niech cię
pobłogosławię!

Henryk ukląkł u nóg matki, ona krzyż na jego czole nakreśliła.
— Strzeż go, Panie, od pokus i złych doradców! — rzekła, poczem
zwróciła się do
koniuszego: — Wracajcie, hrabio, do towarzyszy, udzielcie im
pomyślnej
wiadomości; synowej zaś mojej powiedzcie, iż spodziewam się, że ją
przycisnę do
serca za dni niewiele.
— Spełnię z radością to polecenie — odparł Waryl, i złożywszy
głęboki ukłon
wszystkim, opuścił salę.
— A ja przysięgam matce, iż Herman na tronie Turynгии nie zasiądzie
nigdy! —
odezwała się Agnieszka, Zaledwo poseł znikł za drzwiami.
— Bogu wszechmogącemu wszystko poruczam — odparła
landgrafowa Zofia, pobożnie
ręce złożywszy.

* * *

Gdy po Turynгии rozeszła się wieść o przybyciu zwłok ukochanego
landgrafa do

Reinhardsbrunu, całe tłumy puściły się w podróż, by uczestniczyć w pogrzebie.
Henryk z matką wybrali się również, za nimi podążył wkrótce i młodszy brat zmarłego, Karol; lecz tego wysłała Agnieszka z poleceniem, by czuwał nad Henrykiem i nie dozwolił mu zbliżyć się do Elżbiety, a także i po to, by starał się przejednać biskupa Egberta i odwiódł go od zamiaru rzucenia klątwy na landgrafa Turyngii. Karol był śmiały, energiczny, Agnieszka ufała mu zupełnie — mimo to, niespokojnie wyczekiwała wieści. Karol obiecał jej, iż codziennie mieć je będzie — i codzień w istocie zjawiał się w Wartburgu goniec, ustne

przywożąc relacje. Agnieszka wiedziała, że pogrzeb odbył się z wielkim przepychem; że najpierwsi książęta niemieccy przyjechali uczcić zwłoki dzielnego landgrafa Ludwika; iż Henryk, spotkawszy się pierwszy raz z Elżbietą, przystąpił do niej i rzekł: "Żałuję serdecznie tego, com uczynił. Podaj mi rękę do zgody, siostró, i powiedz: Przebaczam ci, bracie. " Wiedziała i to także, iż Elżbieta, nie wahając się chwili, podała mu natychmiast obie ręce i odpowiedziała: "To tylko pamiętam, iż bratem Ludwika jesteś. " Gdy goniec przywiózł te wieści do Wartburga, Agnieszka nie mogła się wstrzymać od wykrzyknika: — Co za niedołęga! I całą noc po tej wieści oka nie zmrużyła, rwała włosy i płakała ze złości.

— Nie wpuszczę ich tutaj! — wołała — nie wpuszczę za nic. Jednej nocy Elżbieta nie spędzi pod dachem tego domu! Nazajutrz otrzymała jednakże wieść pomyślniejszej treści: Karol donosił, że lubo Henryk pojednał się z Elżbietą, jednakże nie wspomniał jeszcze ani razu o ustąpieniu tronu Hermanowi; że nieprzychylni Elżbiecie panowie czuwają pilnie, by tego nie uczynił; iż zbierają się codzień u niego i przedstawiają mu, jak niekorzystnem będzie dla kraju, gdy ulegnie woli biskupa Egberta. Po tej wieści nie było kilka dni żadnych. Agnieszka była blizką obłądu, tak ją to niepokoiło; wreszcie czwartego dnia zjawił się goniec z ważną

wiadomością, iż Henryk z matką i bratem najdalej za tydzień powrócą do

Wartburga. O Elżbiecie nie było ani słowa.

— A więc zwyciężyłam! nie wraca widocznie z nimi! — wykrzyknęła z tryumfem

Agnieszka, wysłuchawszy gońca, i kazała czynić wspaniałe przygotowania na przyjęcie matki i braci.

Lecz tegoż jeszcze wieczora radość jej rozpierzchła się — przyjechał bowiem

drugi goniec, który przywiózł od księcia Henryka słów parę na piśmie do siostry.

"Elżbieta z nami wraca — donosił landgraf, — lecz nie lękaj się jej. " Co znaczyły te ostatnie słowa? Zamiast uspokoić, podrażniły one tylko Agnieszkę.

"Elżbieta wraca" — tego było dość, by ją zgnębić. W pierwszej chwili chciała

natychmiast zamek opuścić, lecz Mina namówiła ją, by pozostała, dopóki nie

rozmówi się sama z Henrykiem. Dnie wyczekiwania wydały się jej nieskończenie długimi. Zrywała się o świcie i biegła natychmiast na wały, żeby spojrzeć w dal, czy książęcego orszaku nie ujrzy na drodze, do zamku wiodącej; kładła się ostatnia spać, do północy nasłuchiwała, czy tętent rumaków ją nie doleci.

Nareszcie pewnego poranku wpadła do jej komnaty Mina.

— Jada! — zawołała.

— Jada! — głuchym głosem powtórzyła Agnieszka i wyszła natychmiast na krużganek, a za nią Mina pośpieszyła.

Z dala na gościńcu widać było toczące się dwie kolasy, za niemi orszak konnych i wóz wyładowany. Z brwią ściągniętą, z ustami zaciśniętymi patrzyła Agnieszka na ten orszak, zwolna ku zamkowi się zbliżający. Z razu odróżnić mogła tylko konie od ludzi i pojazdów, powoli jednakże rysy twarzy i ubiór jadących poczęła rozróżniać, a w miarę jak rozpoznawała jadących, oczy jej coraz gniewniej płonęły.

— Czy widzisz?... Henryk jedzie w pierwszej kolasie z Elżbietą, z nimi Herman!

Tłum panów ich otacza!

— Może i źle zrobiłam, namawiając cię, pani, byś została — odparła Mina. —

Elżbieta zechce pewno nas upokorzyć.

— Przygotuję się zawczasu do walki i nie cofnę się przed niczem.

— Landgraf widocznie całkiem zawojowany przez bratową: patrz, jak troskliwie

nachyla się ku niej... Gotowi się pobrać!

Agnieszka rozśmiała się przymusowo.

Tymczasem most zwodzony zahuczał, potem wielka brama wjazdowa stęknęła i kolasy wtoczyły się na dziedziniec. Agnieszka wyprostowała się dumnie i, krokiem nie posuwając się na przód, czekała na progu sieni. Pojazd, w którym Elżbieta jechała, zatrzymał się pierwszy u stóp krużganku. Jadący koło niego panowie zeskoczyli z koni i pośpieszyli, by pomódz wysiąść Elżbiecie, a gdy stanęła na stopniach krużganku, dwóch ujęło koniec jej płaszcza i szli za nią z szacunkiem. Elżbieta strój książęcy miała na sobie.

Tuż obok niej postępował Hermanek, równie strojno przybrany, a w pewnym oddaleniu za nimi księżę Henryk. Agnieszka z ponsowej stała się blada, dech zaparł się w jej piersiach. — A więc zwyciężyła mniszka — mówił głos ponury w jej duszy; — teraz upokarzać cię będzie za upokorzenia, jakich doznała przez ciebie. Elżbieta wracała w istocie jak monarchini, lecz na jej twarzy dumy nie było. Malowała się tylko na niej radość cicha, choć wielka, pełna dobroci i przebaczenia dla winnych. Spostrzegłszy Agnieszkę, wyciągnęła do niej rękę, i przystąpiwszy bliżej, rzekła: — Zapomniałam o przeszłości, siostrze. Żyjmy od dziś w zgodzie i miłości, jak Bóg przykazał, jak żyć winna rodzina. Syk węża nie byłby przykrzejszym od głosu, jakim odpowiedziała na to serdeczne powitanie księżniczka. — Nie żądałam, byś o przeszłości zapomniała — rzekła wyniośle, — i pojednania

nie pragnę wcale.

To powiedziawszy, cofnęła się w głąb' zamku.

Oczy Elżbiety zaszyły łzami, ręce jej opadły — nie wiedziała, co
czynić; lecz

Henryk zbliżył się do niej.

— Odwagi, siostró! — szepnął, chyląc się ku niej — powoli i ją
przejednasz.

Przypomnij sobie, jak z Karolem było; za dobrą, za świętą jesteś,
żebyś mogła

mieć nieprzyjaciół.

Niebawem nadeszła landgrafowa Zofia i wszyscy zasiedli do uczyty, —
lecz

Agnieszka nie pojawiła się tego dnia przy stole. Elżbieta była wciąż
smutna i

wogóle smutno było w sali godowej; tylko szczebiot dzieci, które były
rade, że

do domu wróciły, ożywiał ją nieco.

Nie pokazała się więcej tego dnia Agnieszka i przez kilka dni
następnych nie

wychodziła ze swoich pokojów wcale. Karol odwiedzał ją często, lecz
o czym

mówili ze sobą — tajemnicą to było dla wszystkich. Służba, przed
którą nic się

nie ukryje, szeptała, iż nakłania siostrę do zgody z bratową, lecz
namowy jego

widocznie pozostają bez skutku.

Henryk nie zwracał najmniejszej uwagi na Agnieszkę; bardziej lękał
się on

klątwy, niż gniewu kobiety, a przytem słodycz Elżbiety go rozbroiła.

Przywrócił

jej dawne znaczenie, a sam urząd regenta objął. Elżbieta, jak dawniej,
tak i

teraz codziennie rano śpieszyła do Eisenach i wspierała biednych, — a
wróciwszy,

dziećmi się zajmowała; lecz chociaż jej życie znowu pożytecznie
płynęło, w
oczach jej malował się zawsze głęboki smutek; nikomu wszakże nie
mówiła, co ją
trapi.

Od zabaw dworskich, od wszelkich zebrań usuwała się najczęściej,
mówiąc, że
wdowie nie przystoi brać w nich udziału; a jak tylko ona oddalała się
do swych
komnat, zjawiała się Agnieszka, strojna, dumna. Gwarno i huczno
bywało wtedy w
sali — i nieraz, by zyskać łaski księżniczki, dworzanie śmiali się z jej
bratowej, inni zaś znów donosili o tem landgrafowej. Elżbieta słuchała
w
milczeniu słów obelżywych, na nią rzuconych, lecz życia nie

zmieniała, stawała się wszakże coraz smutniejsza, coraz bledsza i
bardziej
milcząca; bo też prócz żartów, jakich bywała celem, miała inne
jeszcze
przykrości do znoszenia: nieraz z powodu niej do żywych sprzeczek
przychodziło w
rodzinie. Podniesione głosy, dochodzące z przyległych pokojów,
mówiły jej o tem.
Nieraz z jej przyczyny landgrafowa Zofia płakała, bo gdy się za
synową ujęła,
Agnieszka czyniła jej wymówki, że ją bardziej od córki kocha. Nieraz,
podburzony
przez siostrę, Henryk dręczył małego Hermana.
Pewnego dnia wracała już nad wieczorem ze szpitala i szła zatopiona
w smutnych
wspomnieniach. Dzień był dżdżysty, ciemna suknia Elżbiety zawałała
się błotem,
ale ona tego nie widziała; tak była zadumaną, iż nawet nie zauważyła,
że weszła

już na dziedziniec zamkowy. Naraz zbudził ją z tych rozmyślań
śmiech głośny,
nieprzyzwoity, lecący gdzieś z góry. Zatrzymała się, podniosła głowę
i
spojrzała na górnym balkonie zamku Agnieszkę, panami i paniami
otoczoną;
śmiali się wszyscy, a wątpić nie było można, że ona jest przedmiotem
ich
wesołości.

Agnieszka palcem ją wskazywała.

— Spójrzcie, jak ona wygląda! — mówiła głośno.

Obok niej stał Hermanek i księżniczka pochyliła się ku niemu z
uśmiechem, jak

gdyby śledząc w twarzy dziecka wrażeń, jakich doznaje.

Elżbieta zdrętwiała i stanęła nieruchoma. Żal, gniew, oburzenie
ubezwładniły ją,

lecz tylko na chwilę: zamiast wejść do sieni zamkowej, zwróciła

się ona raptem do kaplicy i znikła za jej progiem, a śmiech bezczelny,
nieprzyzwoity, brzmiał dalej.

Czasami jedna kropla gorczy przepelni naczynie — tą kroplą dla
serca Elżbiety

było okrutne zbudzenie jej ze smutnych rozmyślań przez Agnieszkę.

Wszedłszy do

kaplicy, księżna padła na ławkę, najbliżej ołtarza stojącą, i płakać
głośno

zaczęła.

— Panie, zmiłuj się nade mną! Co mam czynić? Panie, litości! nie
wytrwam w tej

walce! — mówiły jej usta. — Panie, oddal ten kielich ode mnie!

Dzieci mi psują,

młode ich serca kalają!...

Tak skarżyła się biedna, aż zmęczoną płaczem dziwna jakaś niemoc
ogarnęła i

uczula, że osuwa się na poręcz ławki, iż usta jej już modlić się nie
mogą, że

powieki jej opadają, iż traci świadomość siebie.
Jak długo pozostawała w tym stanie, nie wiedziała; naraz ocknęła się,
podniosła
głowę i ujrzała idącą ku sobie od ołtarza jakąś postać w białej szacie.
— To On! — szepnęły jej usta — Pan mój, Zbawiciel świata, lekarz
chorych,
pocieszyciel nieszczęśliwych, brat ubożuchnych i prostaczków!
Tak, to był On. Szedł ku niej zwolna, a z twarzy Jego biła jasność
wielka.
— Pan mój, Zbawiciel świata! — powtórzyła głosem zachwytu i ręce
ku Chrystusowi
wyciągnęła.
On rzekł:
— Wzywałeś mnie i otom jest! — i znikł nagle z jej oczu.

I wnet Elżbieta zrozumiała, co ma czynić. — Opuścić ten zamek
trzeba; kiedy
miłością nie można rozbroić złej, ustąpić. Iść tam, gdzie się do
grzechu powodem
nie będzie; iść tam, gdzie zatracenie grozić nie będzie dzieciom, które
dziś
rosną w zgorszeniu.
Zdziwiona Elżbieta jeszcze rozglądała się po kaplicy i pytała siebie:
— Byłże to sen?
Potem złożyła ręce i modliła się długo w pokorze.
Gdy wróciła do swoich pokojów, cisza głęboka już w nich panowała.
Dzieci spały,
Guta oraz Izentruda również. Elżbieta usiadła w oknie, i oparłszy
głowę na rękę,
pograżyła się w myślach. Słońce zastało ją jeszcze na tem samym
miejscu — i
dzieci, gdy się obudziły, tam ją ujrzały. Przywoławszy je do siebie,
uścisnęła z
kolei każde czule, poczem kazała Hermanowi iść do stryja Henryka i
powiedzieć,
że w ważnej sprawie chce z nim pomówić.

Hermanek powrócił niebawem z odpowiedzią, a wkrótce zjawił się regent.

— Czy stało się jakie nieszczęście? — zapytał — tak poważnie, tak smutno wyglądasz.

Elżbieta była blada i wzruszona; potrzebowała zapanować nad sobą, by móżd głos zabrać. Chwilę oboje milczeli, nareszcie ona spokojnym już zupełnie głosem mówić zaczęła:

— Przyszłam oznajmić ci, bracie, iż postanowiłam Wartburg opuścić i przywdziać suknię zakonną.

Henryk spojrział na nią zdziwiony.

— I dlaczegóżto powzięłaś takie postanowienie? — zapytał.

Elżbieta opowiedziała mu widzenie, jakie miała.

— I nie żal ci rzucać dzieci, godności, jaką piastujesz, miejsc, wśród których się wychowałaś?

— Czy mi żal tego wszystkiego, o to nie pytaj, bracie — wzruszonym głosem odparła Elżbieta; — muszę jednak, powinnam rzucić to wszystko, chociażby mi serce pęknąć miało... Nie chcę, by przeze mnie zgorszenie szerzyło się tutaj.

Ustąpię przeto, a dzieci powierzę twej opiece. Powiem ci tylko, cobym chciała, żebyś z niemi uczynił. Hermana odwieź do kreutzburskiego zamku: tam otrzyma stosowne do swego przyszłego stanowiska wychowanie, gdyż mam nadzieję, iż w uczuciach swoich nie zmienisz się dla niego... i gdy do pełnoletności dojdzie, oddasz mu władzę. Najstarsza moja córka jest narzeczoną księcia Brabantu: tam ją

odeślij, niechaj rośnie razem z narzeczoną pod opieką przyszłych swoich rodziców. Drugą odwieziesz do ciotki Matyldy: ona tak pragnęła, bym tę dziecinę u niej zostawiła; spełnię więc jej życzenia. Najmłodszą przeznaczyłam do stanu zakonnego. Odwiozę ją z czasem sama do klasztoru aldenburskiego: tam mniszki wychowają ją na przysłą swą towarzyszkę.

— Więc to nieodwołalne twoje postanowienie, siostrze? — zapytał Henryk.

— Jutro chcę wyjechać — odparła Elżbieta, — a teraz pragnęłabym rodzinę pożegnać.

— Pójdę po wszystkich — rzekł Henryk.

I poszedł oznajmić matce i rodzeństwu o postanowieniu Elżbiety.

Landgrafowa Zofia i Karol pośpieszyli do niej natychmiast, oboje wzruszeni.

Agnieszka tylko przyjęła wiadomość zupełnie obojętnie.

— Rozmyśli się jeszcze — rzekła, i nie chciała pójść pożegnać bratowej.

Lecz gdy nazajutrz powiedziano jej, że powóz, podróżny czeka na dziedzińcu, iż Elżbieta, z płaczem uściskawszy matkę, braci i troje starszych dzieci, już ma wsiąść do kolasy, uczuła coś jak wyrzuty sumienia i poszła pożegnać odjeżdżającą. Spotkały się na krużganku. Elżbieta pierwsza wyciągnęła dłoń, a Agnieszka nie cofnęła swojej; gdy zaś Elżbieta, ośmielona tem, objęła ją za szyję i ucałowała jak siostrę, ta rzekła do niej:

— Niech Bóg czuwa nad tobą, Elżbieto! Módl się za nami i uraz zapomnij.

Promień radości oświecił smutną twarz Elżbiety.

— Już mi niczego nie żal, gdy ofiarą, jaką czynię, niezgodę z rodziny
wygnałam —

rzekła z uśmiechem.

I odjechała niemal wesoła, a w kilka miesięcy potem wykonała śluby
zakonne.

Kościół, po śmierci Elżbiety, miano świętej jej nadał.

SPEŁNIONE ŻYCZENIA.

Jak szeroki świat, wszędzie jest pole do działania, — a tam jest nam
dobrze,

gdzie działamy pożytecznie.

T. J.

I.

Nad piaszczystym brzegiem morza Bałtyckiego bawiła się gromadka
dzieci bosych,

półnagich: jedne zbierały muszle, jakie fale morza wyrzuciły na
piasek; drugie

borykały się, goniły, rzucały na wodę oderwane od sosen, rosnących
w pobliżu,

gałęzie i patrzyły, jak fale je niosą gdzieś tam daleko.

Opodal, pod cieniem wielkiej sosny, siedziała dziewczynka, lat
dwanaście liczyć

mogąca. Na matkę młodej gromadki była za młodą, nie zdawała się
też być siostrą,

gdyż suknia, jaką miała na sobie, świadczyła, iż do ubóstwa nie należy
ona

wcale, — a jednak, jak do matki, lub starszej siostry, tuliła się

do niej dziatwa bosonoga. Młodsze, które się bały wielkiego morza,
siedziały tuż

koło niej i bawiły się muszelkami, jakie im starsze znosiły. Słońce odbijało złotą swą tarczę w szarej, szklistej powierzchni Bałtyku, którego fale mrucały cicho i spokojnie się poruszały. Siedząca wśród drobnej dziatwy dziewczynka często przenosiła wzrok od gromadki ją otaczającej na starszą dziatwę, a gdy które pochylało się nadto nad brzegiem morza, gdy chłopcy zbyt w bojach się zapalali, wówczas przywoływała ich natychmiast, dawała przestrogi, a oni słuchali jej pokornie. W głębi piaszczystego pobraża widać było kilkanaście chat ubogich, dalej pola uprawne, a za polami, na wzgórzu niewielkiem, które, czy ręce ludzkie, czy wola natury wyniosła nad poziom, stał stary zamek z basztami, wałem i fosą otoczony. Było to gniazdo możnej rodziny Sagenhauzenów, od lat wielu mieszkającej na Pomorzu. Wilfryd Sagenhauzen, obecny pan owego zamku, rozległe nad Bałtykiem posiadał włości; mieszkańcy ubogich chat, tam rozsianych, byli to jego poddani, z których jedni rybołówstwem się trudnili, inni rolę uprawiali. Ziemia i morze dawały im pod dostatkiem pokarmu, a Wilfryd Sagenhauzen nie uciskał ich daninami i pracą nie przeciążał... Sprzykrzyły się w końcu dziatwie gonitwy, bójki i zbieranie muszli. — Poprośmy pannę Jutę, by nam co pięknego opowiedziała — rzekł jeden z gromadki, o płowych włosach i błękitnych oczach, Leszkiem zwany.

— Poprosimy! poprosimy! — zawtórowały mu inne dzieci.

I wnet wszystkie pobiegły do siedzącej w dali panienki i otoczyły ją kołem.

— Panno Juto, opowiedz nam jaką bajkę! Umiesz ich tyle — zawołał Leszek, śmiało do niej przystąpiwszy.

— No, siadajcie i słuchajcie. Opowiem wam coś nowego — odparła dziewczynka.

Dzieci spełniły jej życzenie i cisza zapanowała na pobrzeżu. Pomruk tylko

bałwanów słychać było. Juta powiodła okiem zadowolenia po młodych słuchaczach i tak mówić zaczęła:

"Był raz król wielki, potężny i śmiały. Drżeli przed nim sąsiedzi, bali się poddani, kochali go i słuchali synowie i córki. Gdy miecz swój wyciągnął ku

sąsiadom, padali przed nim na kolana i czoła pokornie schylali; gdy spojrzął

surowo na poddanych lub dzieci, pytali z trwogą: "Czego gniewasz się na nas,

panie?" Sąsiad nie napadał na granice jego państwa, poddani i dzieci żyli w

zgodzie, bo wszyscy się bali potężnego króla. Lecz król ów poczuł w końcu, iż

ręka jego miecza nie dźwignie, że przyszedł nań czas. Przywołał więc synów,

podzielił między nich państwo swoje i kazał im przysiąc, iż zawsze żyć będą w

zgodzie i wspierać siebie wzajemnie w razie niebezpieczeństwa.

— Gdy miłość gościć będzie w waszych sercach, gdy zazdrość, zdradę i hytrość z

nich wygnacie, wówczas potężni będziecie — rzekł do nich głosem słabym — i żaden

wróg was nie zmoże; lecz żyjcie tak, jakby jedna dusza w was była, jedno

serce, jedna wola... Niech ten, co nad morzem siedzieć będzie, nie
pozazdrości
temu, który dostanie w spadku rozległe i wesołe łąk obszary,
przerznięte
srebrnymi wstęgami rzek; niechaj ten, któremu szumieć będą lasy, nie
sądzi, że
ten szczęśliwszy, komu łąny złota pszenica stroi; słowem niech każdy
rad będzie
z tego, co dostanie.
I zamknął oczy ów król na zawsze. Usnął, spokojny, że dobrą dał radę
dzieciom i
że go słuchać będą, jak słuchały za życia. Lecz zaledwo moglię
usypali mu
poddani, wnet swarzyć się jego synowie poczęli między sobą; ten,
który miał
las, chciał mieć łąki; ten, co łąki dostał, żałował, iż nad morzem nie
siedzi —
i t. d. I porwali za broń, uderzyli na siebie, jakby braćmi sobie nie
byli, jak
gdyby jedna matka ich nie wychowała.
Posłyszał król jęki i narzekania ludu, i ukazawszy się we śnie synom,
rzekł do
nich:
— Nie spełniliście danej mi obietnicy, zato wróg odbierze wam
ziemie wasze i
służyć obcym będziecie, dopóki miłość bratnia nie zrodzi się w
waszych sercach,
dopóki zawiści z nich nie wygna.
I wnet wrogi się zbiegły i wydzierać poczęły synom ziemie: jeden
zabrał
kwieciste łąki, drugi krainy, które bursztynu dostarczały, — trzeci
górzyste
strony.
I zapłakali gorzko synowie królewscy nad swoją niedolą... "
W tem miejscu Jutta przerwała opowiadanie.
— Czas wracać — rzekła, — już dzień się chyli ku zachodowi i morze
przybierać
zaczyna.

I wstała szybko.

— A czy odzyskali królewicze z czasem swe ziemie? — zapytał Leszek.

— Odzyskają, gdy przestaną się swarzyć — odparła Juta i skierowała się ku chatom, w dali widniejącym.

Dzieci szły za nią i przed nią, zamyślane o królu potężnym i niezgodnych jego synach — i cicho było wśród młodej gromadki.

— Panno Juto, ktoś jedzie gościńcem — ozwała się naraz jedna z dziewcząt. —

Przystańmy, to zobaczymy, kto.

Lecz Juta, zamiast przystanąć, przyśpieszyła kroku. Widocznem było, iż nie

pragnie spotkania; ale drobne nóżki dzieci nie mogły nadażyć, kilkakrotnie więc

musiała się zatrzymać, a gdy dotarła do gościńca, jednocześnie z nią widziana w

dali kolasa wjechała na szeroką drogę. Siedziało w powozie dwóch panów, we

wspaniałych szatach i kołpakach futrzanych, w których kosztowne spinki

błyszczały, a kilku jeźdźców otaczało kolasę.

— Pan! pan! — poczęły wołać dzieci.

Wilfryd Sagenhausen, usłyszawszy wołanie, zwrócił twarz ku dzieciom i na czole

jego zarysowała się zmarszczka niezadowolenia.

— Stój! — krzyknął na woźnicę.

A gdy konie w biegu się zatrzymały, wychylił się z kolasy.

— Juta, skąd wracasz? — spytał głosem podniesionym.

Juta zbliżyła się nieśmiało do ojca.

Gdzie Dorota? co znaczą te dzieci? — badał dalej surowo córkę Wilfryd.

— Nie gniewaj się, ojczy — odparła pokornie dziewczynka. —
Zawsze o tej godzinie
latem i wiosną zbieram koło siebie dziatwę naszych kmieci i opiekuję
się nią,
dopóki matki ich z pola nie wrócą. Mogłoby się im co złego stać... toć
głupiuteńkie jeszcze. Mówią ludzie, że co rok moc tego tonie w
morzu, a szkoda,
by ginęły marnie, kiedy na pracowników wyrosnąć mogą.
Oblicze Wilfryda złagodniało.
— Odprowadź dzieci — rzekł mniej surowym o wiele tonem — i
śpiesz do domu, bo
oto gościa z dalekich stron mamy. Szlachetny pan z Konopat, którego
włości nad
Wisłą leżą, wysłany w poselstwie przez księcia krakowskiego do
naszego
Świętopelka, spocznie do jutra u nas.
Gdy to mówił, siedzący obok niego mężczyzna zdjął kołpak z głowy i
skłonił się z
szacunkiem Jucie. Ona głową skinęła i oczy ku ziemi spuściła.
— Słucham, ojczy — odparła, i minawszy drogę, ku wsi z dziećmi
podążyła.
— To córka wasza? — zapytał Wilfryda pan z Konopat.
— Córka — odparł z westchnieniem ojciec Juty. — Matkę jeszcze w
kolebce
straciła; niema nad nią komu czuwać...
— Szlachetnie używa swobody — rzekł gość. — Zajęci sprawami
wielkimi, małymi, a
jednak ważnymi, nie widzimy. Toć prawdę rzekła: ileż to ginie marnie
tej dziatwy
kmiecej, a jednak to przyszli pracownicy... Niech jej Bóg nagrodzi!

— Więcej, co prawda, ginie rycerzy w rozterkach naszych domowych
— mruknął
Wilfryd.

— Toć jadę je zażegnać — rzekł pan z Konopat — i tuszę, iż
przekonam
Świętopelka, że gdy książęta słowiańscy swarzyć się ze sobą będą,
zapomniawszy o
tem, iż są braćmi, skorzystają z tego Niemcy i zagarną nas pod siebie,
jak
nadelbiańskich zagarnęli.

Wilfryd westchnął.

— Nie nasz pierwszy zasiał niezgodę — odparł.

— Pokój temu, co ją zasiał... o umarłych źle wspominać nie trzeba, a
Leszek
pragnie zgody.

— I cóż, że pragnie, kiedy nie potrafi przeprowadzić tego, czego
chce?

— Zwoływa on zjazd obecnie do Gąsawy — rzekł pan z Konopat. —
Tam radzić mamy,
jak niezgody domowe zażegnać. Wiozę zaproszenie dla waszego
księcia. Szkoda
wielka, że siła i dobroć nie zawsze idą w parze: o dobroci Leszka
Białego
niejedno mógłbym wam powiedzieć.

— Słyszałem i ja niemało; wiem, jak szlachetnie z wojewodą
Goworkiem postąpił..

"

Tak rozmawiając, dotarli do mostu zwodzonego. Straż już spostrzegła
powracającego pana i zawarczały łańcuchy. Rój sług wybiegł na
spotkanie pana.

Wilfryd gościa poprowadził do wnętrza zamku. W dużej komnacie, o
ścianach

kamiennych, usiedli obaj, rozmawiając o sprawach, które ich
najbardziej

zajmowały. Gdy zmierzchno zupełnie, służba podała wieczerzę.

— Powiedz, Zygfrydzie, pani Dorocie, by z Jutą przyszły — rzekł pan
Sagenhauzenu

do jednego ze sług, poczem powiódł gościa ze sobą do jadalni.
Stół był suto zastawiony: misy, pełne mięsa pieczonego, olbrzymie
szklenice z

piwem i winem oraz owoce krajowe miały zaspokoić głód
podróżnego.

Zaledwo przestąpili próg sali, weszła Juta z ochmistrzynią. Miała
teraz na sobie

białą szatę; złociste jej włosy, rozpuszczone, otaczała przepaska z
ciemnego

bursztynu.

Pan z Konopat spojrział na nią zdumiony — tak strój ją odmienił.

— Królowa Bałtyku! — wyrzekł półgłosem do Wilfryda. — Mam
ochotę zgiąć kolano

przed twą córką.

— Zawcześnie jeszcze — odparł pan Sagenhauzenu. — Jeśli za lat
trzy ta sama

ochota wam przyjdzie, bronić nie będę.

To rzekłszy, jeden z puharów, winem napełniony, podał gościowi.

— Na cześć księcia Świętopelka i księcia Leszka wychylcie go —
dodał.

A gdy gość puhar odebrał z rąk jego, on wziął drugi i do kropli go
wysączył.

Potem zabrali się wszyscy do wieczerzy. Pan z Konopat zabawiał Jutę
opowiadaniem

o zwyczajach, jakie nad Wisłą panują, o wspaniałym zamku
wawelskim, który się

tam wznosi, o podaniach, jakie krążą o założycielu tego zamku.

Juta słuchała uważnie.

— Dzięki wam, gościu, za te ciekawe baśni — rzekła. — Zbrakło mi
już tych, które

krążą na

Pomorzu, i dziś zmyślać musiałam, bo dziatwa, gdy się zmęczy
zabawą, prosi mnie

zawsze o bajki, a odmawiać nie umiem. Baśń bawi i uczy zarazem...

— Szczęśliwi tutejsi kmiecie, szczęśliwsi, niż w Konopatach — westchnął gość.

— Czemu? — spytała Juta naiwnie.

— Moim nikt nie szczepi cnót, nikt nad ich działywą nie czuwa.

— Nie macie żony, gościu? — spytała znów Juta.

— Nie mam jeszcze; lecz jeśli Bóg dozwoli, mieć będę taką, że kmiecie z

Sagenhauzenu kmieciom z Konopat pozazdroszą.

— A siostry nie macie?

— Mam kilka, lecz one bajek nie umieją opowiadać. Piosnki światowe śpiewają

tylko chętnie, a dzieci nie garną do siebie. Garną się do strojów, do uciech, a

kmieci nie kochają.

Juta zasmuciła się.

— Nie kochają, bo nie znają — odparła po chwili namysłu. —

Powiedzcie im ode

mnie, by zajrzały pod strzechy słomiane, a znajdą tam serca zacne, a gdy choć

jedno znajdą, to już gardzić nie będą kmieciami, ino starać się, by więcej było

między nimi serc zacnych, niż jedno.

— Powtórzę im twoje słowa, pani — rzekł pan z Konopat, — lecz czy uwierzą?

— To je przywieź do mnie, sama im to powiem.

— Ty, pani, przyjedź raczej do nas. Juta zwróciła się do ojca.

— Jeśli wybierzesz się kiedy do ziemi krakowskiej, zabierz mnie z sobą, ojciec —

rzekła tonem prośby. — Odwiedzimy pana z Konopat, zaprzyjaźnię się z jego

siostrami i bajek je nauczę pięknych.

Wilfryd rozśmiał się głośno i pogładził złotą główkę córki.

— Za lat trzy może cię i zawiozę — odparł wesoło.

* * *

Mgły jesienne zasłaniały całkiem widnokrąg i z okien zamku
Sagenhauzen widać
było tylko bezgraniczną, szarą przestrzeń. Morze i niebo zlały się w
jedną
posepną całość, a wśród tej szarej, jednostajnej przestrzeni ukazywały
się od
czasu do czasu to wyżej, to niżej, ruchome punkty: były to mewy,
które,
trzepocząc skrzydłami, to wzbijały się ku górze, to spuszczały się z
szybkością
strzały ku falom morza i znikwały wśród nich, by za chwilę wzbić się
znowu
wysoko, niosąc zdobycz do gniazd, znajdujących się na skalach
sąsiednich,
dzisiaj zasłoniętych mgłą gęstą.
Poważny szum morza dochodził wyraźnie do zamku i rozmarzał Jutę,
która już od
paru godzin przypatrywała się beczynna smętnemu krajobrazowi
wspominając z
tęsknotą wesołe lato i jesień minioną, gdy nad brzegiem morza można
było spędzać
całe godziny z dziatwą. Naraz stanęło w jej myśli pytanie: czemu zima
ma
rozdzielać ją z jej ulubieńcami?... wprawdzie słońce na dworze nie
pozwala
dzieciom wsi swawolić pod gołym niebem, lecz

czyż w starym zamku braknie komnat obszernych i pustych, gdzieby
wesoło bawić
się mogły?
— Każę rozpalić jutro suty ogień na kominie w jednej z tych izb —
rzekła sama do
siebie, — zwołam do zamku dziatwę i przy jasnym płomieniu będę,
iako latem,

baśnie opowiadać o starych Normandach, którzy niegdyś wioski
Pomorza niszczyli,
o walecznym królu, co pierwszy zatknął krzyż na ich ziemi, a oni
słuchać mnie
będą z zajęciem, uczyć się dziejów swej ziemi, poznawać cnoty swych
dziadów.
Ojciec nie zabroni mi wszakże tej uciechy.
I roić poczęła Juta o dniu jutrzejszym — i twarzyczka jej rozjaśniła
się, oczy
się ożywiły. Bez smutku patrzyła teraz w szarą dal, przed zamkiem się
roztaczającą... Lecz cóż to za orszak ukazał się na gościńcu? Jacyś
panowie na
koniach, strojni, wspaniali wszyscy, nawet w zmroku błyszczą od nich
jasno
drogie klejnoty... Juta roztworzyła okno i wychyliła się przez nie, by
lepiej
się przypatrzeć drużynie, a słońce, jak gdyby dogodzić jej chciało,
rozdarło
naraż gęstą mgłę, zasłaniającą od rana horyzont, i złote blaski rzuciło
na
jeźdźców.
Zamigotały jeszcze jaskrawiej suknie ich, srebrem szyte i klejnotami
ozdobione.
Na twarzyczkę Juty wybiegły rumieńce — jakieś niewyraźne
wspomnienie zamajaczyło
w jej głowie i uśmiech wywołało na jej usta.
— Tak, to pan z Konopat! — wykrzyknęła naraż radośnie,
odpowiadając zapewne na
pytanie, jakie w myśli sama sobie zadawała, patrząc na obcą drużynę,
do zamku
dążącą. — Pójdę ojca uprzedzić o przybyciu gościa.

To powiedziawszy, furknęła chyżo i lekko, jak ptaszę, do komnat
pana
Sagenhauzenu.

Dawno niewidziany tutaj gość, dziedzic Konopat, dążył w istocie gościńcem.
Poznała dobrze Juta dorodną jego postać, przypomniawszy ów wieczór, w którym opowiadał jej o swej ziemi i jej mieszkańcach, przypomniawszy i to, że prosił wówczas, by do Konopat z ojcem przyjechała — i rumieńce żywe oblały jej lica.
Dzieckiem była wówczas, dziś jest dorosłą dziewczyną — i co dziecko bawiło, dziewczę niepokojem nabawiło.
— A nuż powtórzy tę samą prośbę? — myślała, biegnąc do ojca; a dotarwszy do drzwi jego pokoju, zatrzymała się w niepewności.
I nagle wróciła do swej samotnej komnaty, i znów usiadła u okna i nasłuchiwała strwożona, czy kto nie idzie po nią. I niebawem w sąsiednim pokoju rozległy się czyjeś kroki: serduszko dziewczęcia zakolało trwożnie. Wstała, obejrzała się po komnacie, jakby kryjówki bezpiecznej upatrywała; lecz zanim namyśliła się, gdzie uciec, na progu ukazała się Dorota.
— Juto, masz przybrać strój świąteczny i zejść do ojca — rzekła uroczystym głosem. — Pan z Konopat przyjechał do nas.
— Pan z Konopat! — powtórzyła dziewczyna, blednąc.
— I czegoż się boisz? Wszakże go znasz — odparła stara piastunka, patrząc na nią ze zdziwieniem.
Juta spuściła oczy.

— Lękam się, że ojca mi zabierze. Świętopelk z Krakowem w niezgodzie i może pan z Konopat przyjechał wojnę bratnią nam obwieścić — szepnęła.

Dorota ruszyła ramionami.

— Co ci po głowie chodzi, dziewczyno? — rzekła tonem refleksyjnym — ojcu ani się śni wojna! Widziałam go przed chwilą: wesół i rad z gości. Może na łowy z nimi się wybiera i ciebie chce zabrać ze sobą. Przecież zawsze dzielisz zabawy braci.

Juta uspokoiła się trochę.

— A więc daj mi strój odpowiedni — rzekła. Dorota się uśmiechnęła znacząco.

— Białą suknię przy wdziejesz — mówiła, — jak na dziewicę przystało; wianuszek zielony włożę ci na głowę i włosy rozplotę.

Juta usłuchała rady starej piastunki, i wkrótce potem stanęła przed ojcem i

gościem. Piękne włosy, niby płaszcz królewski, okrywały jej ramiona. Zaledwo ukazała się na progu komnaty ojca, goście porwali się z ław, by ukłon

powitania jej złożyć, a pan z Konopat wpatrywał się w nią z widocznym zachwytem.

Wilfryd z uśmiechem zadowolenia powitał córkę, postąpił ku dziewczęciu, ujął za rękę i na środek komnaty poprowadził.

— Trzy lata temu — rzekł, zatrzymawszy się przed panem z Konopat, — gość, który stoi tu przed tobą, prosił mnie o rękę twoją. "Za lat trzy tę samą prośbę powtórzysz... Zgoda?" odparłem mu wówczas. Odjechał i całe lat trzy wieści o sobie nie dawał; a dziś zjawia się całkiem niespodzianie

i prośbę swą powtarza. Jeśli nie masz niechęci ku niemu, Juto, to nie mam nic przeciw temu.

leszcze nie skończył mówić, a już pan z Konopat ukląkł przed Jutą —
z rumieńców,

jakie ją oblały, odgadł, iż niemiłym jej nie jest.

— Dobra i piękna córko szlachetnego Wilfryda, zostań panią mego
domu, matką mych
poddanych! Oni błogosławić cię będą, ja czcić i kochać — rzekł,
chyląc przed nią
czoło.

Lecz Juta, zamiast wyciągnąć dłoń do klęczącego, cofnęła się od
niego blada i
smutna.

— Chcesz, bym rzuciła starego ojca, braci moich, dziatwę tej wsi,
kmieci,
których kocham? — odparła głosem wzruszonym. — Czyż ja mogę to
uczynić?

— Ależ ja sam tego pragnę — odezwał się pan Sagenhauzenu. —
Zmęczony trudami
życia, nieszczęściami, jakie przebyłem, złamany, niedługo i ja w
grobie już
legnę. Matki nie masz, sieroctwo ci grozi zupełne. Trapiłaby mnie
myśl o niem w
chwili skonania; rad więc będę, gdy przychylną odpowiedź dasz panu
z Konopat,
gdyż, umierając, będę mógł powiedzieć sobie: "córki sierotą nie
zostawiam. "

Juta słuchała smutna.

Wilfryd ciągnął dalej:

— I o braci nie troszcz się także, im również wkrótce niepotrzebną
będziesz:

starszy postanowił wczoraj wstąpić do zakonu rycerzy, których
świeżo sprowadził

do ziemi Dobrzyńskiej książę mazowiecki; jutro ma nas pożegnać,
więc i on rad

bedzie, gdy się dowie, że siostra jego już nie jest sierotą.

Drugi wczoraj zamienił pierścień z córką druha mego. Anna; poznasz ją za dni

parę...

Juta i na tę wieść radosną nie rozjaśniła czoła.

— O kmieci się troszczysz? — począł po chwili

przerwy Wilfryd — troska zbyteczna! Anna słyszała od narzeczonego, jak dobrą

panią jesteś dla swoich poddanych i dla dziatwy tej wsi. i powiedziała, że inną

dla nich, jak ty, nie będzie...

Teraz Juta podniosła pogodny wzrok na pana z Konopat.

— A więc mogę zostać twoją, panie — rzekła, — nie wyrządę tem krzywdy nikomu.

Rad z odpowiedzi córki, Wilfryd nad młodą parą krzyż błogosławieństwa nakreślił.

W kilka miesięcy po owym dniu zamek Sagenhauzenu pełen był gości. Szyby jego

okien drżały od weselnych toastów. Młodszy syn Wilfryda, przyszły dziedzic

licznych włości, obchodził gody w domu ojca. Dla służby i kmieci stały na

dzieńcu zamkowym kadzie z winem i stoły suto zastawione, a Anna, bratowa

Juty, sama lud częstowała, do każdego słowo przychylnie przemówiła: chciała

widocznie zdobyć sobie wszystkie serca.

Smętnym wzrokiem wodziła za nią Juta, a gdy uczta weselna się skończyła,

przystąpiła do bratowej i rzekła.

— Oddaję pod twoją opiekę, Anno, mieszkańców Sagenhauzenu.

Kochaj ich, bądź dla

nich troskliwą matką! Mnie Bóg gdzieindziej woła. Ty będziesz tu siać ziarno

cnoty i łzy niedoli osuszać, ja pójdę gdzieindziej czynić toż samo.

Wśród gości, na ucztę weselną zaproszonych, było kilku z dalekich stron, a pomiędzy nimi i pan z Konopat.

II.

Już od lat kilku Juta mieszkała w zamku pana z Konopat. Życie jej płynęło cicho i jednostajnie. Zmiany, jakie wówczas zaszły w Krakowie, prawie się jej uczuć nie dały. Świętopelk zamordował Leszka Białego, wpadłszy do Gąsawy, gdzie książę krakowski radził z panami, a małoletni syn nieboszczyka, Bolesław V, siedział na zamku wawelskim; stryjowie zaś jego, Konrad Mazowiecki i Henryk Śląski, wydzielali sobie nad nim wzajemnie opiekę. Płonęły wioski i miasta wśród tych zawichrzeń domowych, lecz pożogi wojny Konopat nie dosięgły. Kmiecie orali tam spokojnie swoje zagony. Juta czuwała nad ich sercami i dolą, a oni ją za to kochali i błogosławili. Juta czuła się szczęśliwą w domu męża, — lecz któż zdobył szczęście zupełne? I młodej pani z Konopat brakło widocznie jakiejś kropelki do czary szczęścia, bo nieraz czytać było można w jej oczach cichy lecz głęboki smutek. Ludzie, którzy na nią patrzyli, różne czynili domysły: — Pewno tęskni po ojcu — mówili, — po braciach, po wiosce rodzinnej, po morzu, do szumu którego od lat niemowlęcych przywykła.

Juta nie zwierzała się nikomu, lecz stara Dorota, która razem z nią nad Wisłę się przeniosła, śledziła ją pilnie i zdawało się jej, iż odgadła tajemnicę pani,
— nie zdradzała jej jednak przed nikim. Widziała ona nieraz, że gdy Juta spotkała we wsi, w ogrodzie, lub u sąsiadów, jakie dziecko, to brała natychmiast maleństwo w ramiona, pieściła, tuliła do serca; widziała i to, że wówczas oczy jej łzami zawsze zachodziły. Patrząc na nią, staruszka wzdychała zwykle ciężko i mruzczała do siebie:
— Biedactwo, nie ma rodzzonego, to cudze pieści. Nie tęskniłaby tu ona tak za ojcem i braćmi, gdyby Bóg dał jej własne dziecko... Ha, wola Boża! Juta, jak w Sagenhauzenie, tak i w Konopatach codziennie chaty kmiece odwiedzała. Otóż pewnego razu, wracając z takiej wędrówki, usłyszała ona cichy płacz dziecka, pełny skargi bolesnej. Wzruszona, skierowała się w stronę, z której płacz dolatywał coraz wyraźniejszy. Nie wątpiła, iż znajdzie jakieś opuszczone dziecko w blizkim lasku, dążyła więc do niego szybkim krokiem. Słuch jej nie zawiódł: pod olchą ujrzała na ziemi siedzące trzechletnie chłopię, które głosem płaczliwym wołało: "Mamo, wstań!" Obok dziecka leżała kobieta nieruchoma. Węzełek, jaki trzymała w zaciśniętej dłoni, świadczył, iż jest podróżną. Juta pochyliła się ku niej: kobieta miała oczy zawarte, usta sine, twarz trupio bladą. Dotknęła Juta jej czoła, i zimno śmierci ją przeniknęło: podróżna już nie żyła... Wziąwszy dziecko na ręce, Juta śpiesznym krokiem pobiegła ku domowi.

Niedaleko zamku spotkała męża, który,

już niespokojny, iż tak długo nie wraca ze zwykłej wędrówki, wyszedł na jej spotkanie.

Ujrzawszy ją z dzieckiem na ręku, zbliżył się zdziwiony i zapytał: — Czyje to?

— Sierota — odpowiedziała futa. — "Ktokolwiek w imię moje przyjmie jedno z tych małych, mnie przyjmie, " rzekł Chrystus. Pozwolisz mi zatrzymać w domu to dziecko?

— Miejsca u nas nie braknie, tem bardziej dla sieroty — odparł pan z Konopat.

Juta uśmiechem podziękowała mu za tę odpowiedź, poczem do zamku pośpieszyła i

oddała chłopczyne, który już się całkiem uspokoił, pod opiekę Doroty. Tymczasem

mąż jej zajął się pogrzebem podróżnej; wysłał do lasu ludzi po ciało nieszczęśliwej i kazał je odnieść do kościoła.

Długo tego wieczora małżonkowie ze sobą rozmawiali: o czym? — tego nikt nie

wiedział. Nazajutrz rano pan z Konopat zwołał robotników i nowy dom kazał im

stawiać: dla kogo? — nie mówił. Dom miał być obszerny, z kilkunastu izb się miał

składać. Juta również nie mówiła nikomu, na co ów budynek. A nikt nie słyszał,

jak pani z Konopat modliła się w kaplicy w te słowa:

— Nie dałeś mi, Boże, własnych dzieci, lecz wskazałeś, czyją matką być mogę.

Dzięki Ci, Panie, za tę łaskę! Wola Twoja spełnioną będzie!

W niespełna pół roku w pobliżu zamku stanął spory budynek drewniany, który nazwę

"domu sierot" otrzymał. Pierwszym jego mieszkańcem był

ów chłopiec-sierota, którego matka w drodze odumarła. Wkrótce po nim przybyło wiele innych sierot. Juta nie tylko z własnej wsi, lecz i z okolicznych zbierała dzieci, rodziców pozbawione, i opiekę im zapewniała. Odwiedzała ona codziennie sieroty, sama uczyła starsze dzieci, młodsze pieściła, aby nie czuły sieroctwa, — a ilekroć męża sprawy krajowe odwołały od ogniska domowego, całe dni spędzała w tym domu. Nie na tym jednym zacnym czynie ograniczyła się wszakże jej dobroczynność. Wkrótce nowy budynek stanął w Konopatach — "dom dla kalek. " Mąż nie odmawiał nigdy Jucie, ilekroć potrzebowała pieniędzy na uczynki miłosierne, — to też z każdym dniem więcej czyniła dobrego. W roku straszna klęska spadła na kraj. Pan z Konopat poszedł przeciw Tatarom, którzy w kraju spustoszenia szerzyli — i nie powrócił. Juta, szukając pociechy po stracie męża ukochanego, oddała się cała sierotom i kalekom swoim. Ryli tacy, którzy namawiali ją, by do klasztoru wstąpiła, lecz tym odpowiadała: — Alboż nie czynię, co Chrystus kazał: kocham bliźnich, dzielę się z nimi tem, co mam, a tu swobodniej mogę działać i więcej czynić, niż w murach klasztornych. I pozostała w Konopatach, przywdziawszy jednakże suknię reguły Ś-go Franciszka. Nie brakło wówczas nieszczęśliwych — setki wiosek i miast w perzynę obróciła dzicz tatarska. Więc

Juta szukała ukrytych po lasach i wąwozach mieszkańców spalonych wiosek i do Konopat ich sprowadzała. Domy sierot i kalek, jakie wznosił jeszcze jej mąż, okazały się za szczupłe i rozszerzyć trzeba je było. Imię Juty z Konopat szeroko zasłynęło w kraju i błogosławioną ją zwano. Zaczynała ta kobieta umierać w roku .

V.

SIOSTRY.

I.

W pałacu króla Węgier, Beli IV, wielki ruch panuje: córka jego, Jolanta, wybiera się w daleką podróż. Już na dziedzińcu czekają kolasy podróżne i wozy, na które służba skrzynie ładuje. Jolanta żegna rodzinę, lecz, choć na długo z ojcem i matką się rozstaje, smutku nie widać na jej twarzy — jedzie bowiem nie do obcych, lecz do swej starszej siostry, której już całe lat pięć nie widziała. Król Bela, gdy go Jolanta prosiła, by jej pozwolił odwiedzić siostrę, chętnie na to przystał, gdyż starsza jego córka, Kinga, wzorem niewiast była, pewnym był przeto, iż pobyt w jej domu wyrze tylko zbawienny wpływ na młodziuchne dziewczę. I oto podróżne kolasy już czekają na dziedzińcu, a Bela IV i żona jego, Marya,

na drogę błogosławią córkę. Od kolan rodzicielskich podniosła się

łzami zalana Jolanta, lecz wnet uśmiech powraca na jej usta, bo myśl,
iż Kingę
niedługo zobaczy, radość roznieca w jej sercu. Król zwrócił się do
dworzan,
którzy mieli córce jego w podróży towarzyszyć, polecił ich opiece
Jolantę,
poczem starą ochmistrzynię, Bertę, co wypiaستowała królową i miała
z nią jechać
aż na miejsce przeznaczenia, prosił, by nadal równie troskliwie
czuwała nad swą
wychowanką. Wsiadła wreszcie Jolanta do jednej z kolas, do innych
dwór jej
niewieści, drużyna panów je otoczyła i ruszono w podróż.
Z krużganku pałacu rodzice za oddalającą się krzyż błogosławieństwa
posłali,
dwór cały smutne spojrzenia, bo królowa miłą wszystkim była w
domu ojca.
Ani się spostrzegli podróżni, jak minęli stolicę Węgier i wioski
okoliczne.
Wieczór zapadał, gdy w ciemne lasy wjechali. Jolanta uczyła się
znużoną, więc
zapraęnęła spoczynku. Panowie namawiali, by dotrzeć do jakiego
miasta lub
choćby wioski, lecz królowa wołała noc spędzić pod cieniem
sosen: nowość ją
nęciła. Rozbito więc kilka namiotów, rozpalono ogniska i zasiedli
wszyscy do
wieczerzy — służba przy wozach z brzegu lasu, królowa z dworem
dalej nieco.
Prócz Berty, wszyscy w tej drużynie byli młodzi, więc wszystkim
uśmiechała się
myśl poznania obcych stron i ludzi. Jedzą więc, piją, gawędzą...
Wtem szelest jakiś spłoszył ich wesołość.
— Cyt! — szepnął jeden z dworzan — słyszę kroki ludzkie.

Umilkli wszyscy, lecz każdy zapytał siebie, czy to nie napad rozbójników:
skrzynie królowy mogły zwabić łatwo chciwych zdobyczy ludzi. Nie upłynęło i dwóch minut, gdy blady jak chusta stanął przed ogniskiem królowy jeden z jej pachołków.
— Rozbójnicy napadli! — krzyknął; — rwą rzeczy królowy, wiążą tych, którzy ich bronią, usta kneblują im, by nie mogli wołać pomocy. Otoczyli nas ciasnym kołem; cudem wymknąłem się nie postrzeżony.
— Śmierć zbójcom! — odparli jednym głosem dworzanie i, porwawszy się z miejsc, dobyli szabel. — Prowadź nas! — rzekli do pachołka, poczem z nim razem popędzili.
Jolanta w pierwszej chwili ze strachu zrozumieć nie mogła, co się stało, lecz gdy dworzanie z groźnym okrzykiem odbiegli od niej, zrozumiała wówczas całą prawdę.
— Śmierć z mej przyczyny? na to nie zezwolę! — rzekła głosem stanowczym i, podniósłszy się śpiesznie, za rycerzami pobiegła.
— Jolanto! gdzie idziesz? dziecko, zostań! — wołała za nią Berta. Lecz Jolanta nie słyszała jej widocznie, gdyż się nie zatrzymała. Berta chciała biedz za nią, lecz sił jej zbrakło, i królowna znikła z jej oczu...
Były to czasy, w których po borach i lasach ukrywały się często zbrojne bandy, czyhające na podróżnych kupców lub możnych panów. Jedna z takich band obozowała właśnie w lesie, w którym noc spędzić postanowiła królowna.
Rozpalone ogniska

zwabiły złoczyńców, którzy, ujrzawszy wozy wyłado-

wane, rzucili się na nie i ściągać poczęli skrzynie. Pachołkowie przyskoczyli bronić; lecz siedmiu ich było tylko, a zbójców czterdziestu. Otoczyli złoczyńcy służbę, powiązali powrozami, poczem wśród śmiechów i żartów zaczęli rozbijać skrzynie i dobywać z nich, co kosztowniejszego zawierały. Wbiegłszy z szablami dobytymi między rabujących, dworzanie rzucili się na nich; lecz napastnicy nie zlekli się szabel, gdyż sami uzbrojeni byli, i bój się rozpoczął. Wtem wpośród walczących stanęła Jolanta. — Przestańcie, zaklinam was! nie chcę, by z mej przyczyny choć jedno życie zgasło! — zawołała. śmiało. Blask płonących w pobliżu ognisk oświecił drobną jej postać: poznali młodziutką swą panią dworzanie, a w głosie jej było tyle stanowczości, iż nie śmieli się jej sprzeciwiać, i opadły im ręce. Rozbójnicy też opuścili noże i patrzyli z podziwem, jak gdyby pytając siebie wzrokiem wzajemnie: "Skąd przyszło to dziewczę w bieli, nie lękające się ich groźnych twarzy i oreży? Czy to nie jakieś nadziemskie zjawisko?" — I nie śmiał żaden nawet się poruszyć. Jolanta wzrokiem obiegnęła wszystkich; jeden wydał się jej być wodzem bandy, przystąpiła więc do niego. — Bierz wszystko, co w skrzyniach się znajduje! — rzekła prosiącym tonem. — Nie

dbam o stroje, nie dbam o klejnoty; nie chcę tylko, by ktokolwiek z
mej
przyczyny życie utracił.

— Ktoś ty, panienko? — zapytał ją zdziwiony rozbójnik.

— Jam Jolanta, córka króla Beli — odparła bez dumy.

— Króla Belę czci każdy Węgier, gdyż dobrym on jest panem dla
swych poddanych —

rzekł wódz, — i na córkę jego ręki nikt nie podniesie. Wracaj,
królewno, do

swego namiotu i śpij spokojnie. Barbas (tu wskazał na siebie) czuwać
sam będzie

nad twymi skrzyniami: źdźbło z nich nie zginie przez noc dzisiejszą.

Hola,

chłopcy! rozwiązać pachołków królewskich! — krzyknął na swoich.

I wnet napastnicy w przyjaciół się zmienili i rozwiążali pęta,

krępujące nogi i

ręce pachołków. Dworzanie odprowadzili królową do namiotu, do
przerażonej

Berty, która ledwo wróciła do przytomności. Wszyscy niebawem
udali się na

spoczynek.

Nazajutrz równo ze świtem ruszyli podróżni w. dalszą drogę. Na
granicy Węgier

spotkali panów, których uprzedzono o przybyciu siostry. Kinga

wysłała na jej

spotkanie rycerzy. Berta mogła być teraz zupełnie spokojna o swoją
wychowaniec:

stu rycerzy otoczyło ich kolasy. Przybyli zabawiali Jolantę

opowiadaniem o

siostrze, dla której pełni byli uwielbienia.

— Traficie, królewno, na wielką uroczystość — opowiadał sędziwy
Bożywoj. —

Wiadomo wam zapewne, że, dzięki naszej miłościwej księżnie, kraj
posiada teraz

kopalnie soli, bo ona sprowadziła ludzi z Węgier, którzy je urządzili, i soli
nam nie brak teraz, dzięki Bogu.

— Wiem, że niegdyś wam jej brakło — odparła Jolanta. — Mówiono o tem wiele na Węgrzech, gdy jeszcze narzeczoną była Kinga; gdy ojciec zapytał ją, co chce dostać w posagu, zażądała szybu soli z naszych kopalń. Darował jej ojciec z nich jeden, a na znak, że kopalnia do niej odtąd należy, Kinga wrzuciła do jej wnętrza złoty pierścień.

— Czy prawdą jest, żeście go znaleźli w jednej z brył soli w Wieliczce? — zapytała Berta.

— Za to nie ręczę, miłościwa pani; to wiem tylko, że teraz sól mamy, kiedy przedtem jej nie było, i że ją księżnej Kindze zawdzięczamy.

— A cóż to za uroczystość gotuje się u was? — spytała Jolanta panów.

— Rocznicę otwarcia kopalń obchodzić mamy — odparł Bożywoj. — Tuszę, iż zdążymy na czas. Ludno i wesoło będzie wkrótce u nas. Czarne oczy dziewczęcia ożywiły się.

— Książę Bolesław rozesłał zaproszenia w różne strony — zaczął inny z przybyłych dworzan. — Z ziemi Szląskiej, z Mazowsza oczekujemy gości.

— A jak się bawią u was?

— Zabawy rycerskie nam zwyczajne: zdobywamy pierścienie, ucieramy się z kopią, a niewiasty wieńczą zręczniejszych.

— Tak samo, jak u nas — odparła Jolanta i zaczęła opowiadać o zwyczajach, panujących na Węgrzech.

Nie przykrzyła się podróż królowie: dni leciały, jak gdyby miały skrzydła, —
to też i znużenia nie czuła.

Nareszcie dotarli do Krakowa. Stary zamek, wznoszący się na Wawelu, podobał się wielce Jolancie, a gdy siostra do niej wybiegła, gdy uścisk złączył długo rozdzielone, uczuła się tak szczęśliwą, iż łzy radości potoczyły się po jej twarzy. W drodze nieraz tęsknota za domem zajrzała do jej serca, lecz tu uciekła z niego zupełnie. Kinga taką miłością ją otoczyła, iż nie mogła Jolanta tęsknić do nikogo, — a zresztą wiedziała ona, że to chwilowa tylko rozłąka z rodzicami, że za kilka tygodni do nich powróci.
— Choć gościem mi jesteś, życia, jakie wiodłam, nie zmienię dla ciebie —
nazajutrz po przybyciu Jolanty odezwała się Kinga do siostry. —
Gdybyś na jeden lub dwa dni przyjechała, mogłabym przez tak krótki przeciąg czasu zaniechać swoje obowiązki; lecz ja pragnę nie na dni kilka zatrzymać cię u siebie, ale na kilka miesięcy. Od jutra będziesz przeto dzieliła wszystkie moje zatrudnienia.
W miejsce odpowiedzi Jolanta uściskała siostrę.
Spała jeszcze nazajutrz, gdy usłyszała, że ją ktoś woła. Otworzyła oczy i ujrzała przy sobie niewieścią postać w zakonnem ubraniu.
— Wstawaj, sostro — rzekła zakonnica; — czas do kaplicy, a potem na zwykłą wędrowną.
— Kinga!... Co znaczy ten strój? — wykrzyknęła zdziwiona Jolanta, przypatrując

się ciemnemu habitowi siostry.

— W tej sukni odwiedzam zwykle ubogich, bo szaty księżęce ich
onieśmielają —

odparła Kinga.

Jolanta ubrała się śpiesznie i poszły razem naprzód da kaplicy. Potem
wsiadły na
prosty wózek;

i za miasto wyjechały. Zwykle w środy Kinga odwiedzała
mieszkańców wsi

okolicznych. Zajechawszy do najbliższej wioski, zsiadły siostry z
wózka i

zaczęły obchodzić wszystkie chaty z kolei, a jeśli w której znalazły
nędzę,

księżna hojną dłonią użyczała wsparcia; jeśli napotkała łzy, których
pieniądz

nie osuszy, mówiła o zgadzaniu się z wolą Boga,

o tem, jak człowiek nigdy sarkać nie powinien, gdyż nie wie, co z jego
dobrem

jest, i pocieszonych zostawiała; jeśli znajdowała chorych, dawała rady
i

zostawiała zioła różne. Gdzie zaś kmiecie na pana się skarżyli,
obiecowała, iż

książę obroni uciśnionych.

Wysoko na niebie było już słońce, gdy obie siostry wracały z
pobożnej wycieczki

do zamku. Jolanta siedziała milcząca i w zadumie patrzyła w dal.

— O czym myślisz? — zapytała ją Kinga.

— Chciałabym, aby mnie z czasem tyle serc kochało, ile ciebie dziś
kocha —

odparła królowna.

— To tak łatwo serca ludzkie zdobywać — odparła Kinga. — Parę
godzin z dnia

każdego bliźnim poświęcam, ot i wszystko. A najmilsze to godziny z
życia mego.

— Miłosierdzia! — ozwał się naraz głos jakiś obcy.

Kinga obejrzała się.

— Stój! — zawołała na woźnicę.

Przy drodze siedział żebrak i ręce ku niej wyciągał.

Wyskoczyła z wózka, zbliżyła się ku niemu

i chwilę z nim rozmawiała. Jolanta domyśliła się, iż księżna rozpytuje go o

przyczynę niedoli. Lecz jakże się królowna po chwili zdziwiła: Kinga podała

ramię żebrakowi, a on wsparł się na niem, i tak razem zbliżyli się do wózka.

Jolanta odwróciła oczy ze wstrętem: żebrak ów cały był ranami okryty.

— Zabrać go trzeba do zamku i tam leczyć — rzekła łagodnie Kinga.

— Pomóż mu

wsiaść, Jolanto, bo tu umrze przy drodze, jeśli go zostawimy. Ciało jego psuje

się od wrzodów, a nikt dotychczas nie zmiłował się nad nim. Grosze rzucają mu

przechodnie, lecz grosze go nie ulecą.

Jolanta pokonała wstręt i podała rękę chwiejącemu się na nogach biedakowi;

usiadł obok woźnicy, Kinga zajęła swoje miejsce i ruszono do Krakowa.

Nędzarz, który razem z księżną wszedł do sieni zamkowej, nie zdziwił tam nikogo;

przyzwyczajeni byli dworzanie Bolesława Wstydliwego do podobnego widoku.

Kinga poprowadziła żebraka sama w głąb' zamku.

— Za chwilę wrócę do ciebie — rzekła do siostry.

Gdy zaś po kwadransie powróciła, powiedziała jej, że oddała chorego pod opiekę

książęcego lekarza, że przeznaczyła mu jedną z izb w zamku na mieszkanie, że gdy

biedak wyzdrowieje, da się mu jakie zajęcie — czy w stajniach książęcych, czy

też we włościach.

Południe upłynęło Jolancie na szyciu szat dla biednych; po południu przypatrywała się parę godzin na wielkim dziedzińcu zamkowym gonitwom rycerzy i próbowała sama zdobywać pierścienie.

— Jakże podoba ci się życie, jakie wiodę? — spytała ją Kinga przed odejściem na spoczynek.

— Jeśli kiedy niezależną panią zostanę, innego wieść nie będę — odparła Jolanta.

— Życie moje płynie cicho i jednostajnie — rzekła Kinga. — Dziwię się zawsze,

widząc, jak inne niewiasty ubiegają się za życiem hałaśliwym i bogatym w zmiany,

za blaskiem strojów, za głośniami uciechami; wszystko to tak prędko nuży, a

zadowolenie daje tak krótkotrwałe. Łudzi się ta, co sądzi, iż zabawy i stroje

mogą wypełnić życie. Po pracy, jako odpoczynek, rozrywka potrzebna młodemu, ale

rozrywki nie mogą stanowić stałego dla duszy pokarmu, bo przykrzą się zbyt

prędko. Po zabawie zabawa, i tak dalej i dalej, a w końcu nuda.

Niewiasta

człowiekiem jest wszakże, więc, gdy się czuje niepotrzebną nikomu, gdy wie

życie bez celu, gdy niczem poważnym myśli nie zaprzątnie, nuda ją gryźć musi i

tęsknoty niezrozumiałe trapią. Jutro, jeśli zechcesz, zbudzę cię znowu i

odwiedzimy szpitale i więzienia miejscowe. Tam też jestem potrzebną: dozorcynie

szpitali gorliwiej pełnią swe obowiązki, gdy wiedzą, że ktoś patrzy na to, a

dozorcy więzień lękają się być okrutnymi. I chorzy więźniowie za
słowa pociechy
błogosławieństwem zawsze płacą.
— Nie tylko jutro, lecz codzień, nie zapomnij o tem, Kingo, chcę
towarzyszyć
tobie w tych wycieczkach — odparła Jolanta.

II.

Jolanta z Kingą wracały śpiesznie pewnego ranka z jednej z
pobożnych wycieczek,
bo zamek pełen był gości. W południe dnia tego miały się odbyć na
nim turnieje
na cześć przybyłej królowny węgierskiej.
Już były blisko gościńca, który wiódł wprost do bramy miasta, gdy
naraż ukazał
się w dali, prawie naprzeciw nich, na drodze, również do gościńca
wiodącej,
orszak panów; wracali widocznie z łowów, gdyż sokoły widać było i
psy. Doleciała
nawet od nich pieśń jakaś myśliwska. Kinga z Jolantą przystanąły —
w nadziei, że
nie zostaną spostrzeżone. W orszaku myśliwych było kilku
nieznanych Jolancie,
którzy zapewne przybyli późnym wieczorem do zamku. Na przodzie
wesołej drużyny
jadący dorodnej postawy młodzian w kołpaku książęcym na głowie
spozstrzegł
widocznie niewiasty, gdyż, pochyliwszy się do sąsiada i wzrokiem je
wyraźnie
wskazawszy, coś szepnął mu do ucha; pewno pytał, bo tamten
nawzajem się ku niemu
pochylił, jak gdyby odpowiedzi udzielając. Naraz ów obcy Jolancie
uderzył konia
ostrogą i, podjechawszy do stojących na ścieżynie obok gościńca
kobiet, pęk

kwiatów, trzymany w ręce, rzucił im pod nogi.

— Cześć córom króla Węgier! — rzekł, kołpakiem nisko się kłaniając.

Jolanta spłonęła żywym rumieńcem; ze spuszczonei oczyma poszła po kwiatach, a za nią Kinga,

i podążyły obie do zamku, minawszy myśliwych, którzy czekali na ich wejście do bramy zamkowej.

— Kto to taki? — zapytała tam Jolanta.

— Bolesław, książę kaliski, Pobożnym zwany — odparła Kinga.

— Jaki grzeczny... — szepnęło dziewczę z uśmiechem zadowolenia.

— Szlachetny pan i dzielny rycerz — dodała księżna krakowska.

Szły dalej, milcząc czas jakiś, a po niejakej chwili Jolanta odezwała się

znowu:

— Czy książę kaliski wystąpi dziś w szrankach?

— Nie wątpię; toż niema zręczniejszego rycerza nad niego — odparła Kinga.

Jolanta mimowolnie się uśmiechnęła: wszak ona miała uwieńczyć zwyciężcę.

W samo południe ozwały się trąby, wzywające rycerzy na dziedziniec zamkowy,

gdzie wszystko już do walki było gotowe. Jesienne słońce, nie strasząc żarem,

wabiło jasnymi promieniami; ławy i loże zapelniły się niebawem; rycerze ustawili

się u wnijsia, czekając wezwania. Jolanta obiegła wszystkich wzrokiem, lecz

księcia kaliskiego wśród nich nie ujrzała. Twarzyczka dziewczęcia posmutniała.

Nie śmiała jednak królowna pytać siostrę o niego. Zwróciła spojrzenie ku łozom

górnym i dolnym, w których siedziały piękne niewiasty, i przypatrywała się ich

strojom. Tymczasem coraz ktoś nowy z widzów przybywa!, a
zwiększało się też i
grono rycerzy, mających o wieniec dębowy walczyć.

Wtem trąby zagrały, oznajmiając, że turniej się rozpoczyna. Na plac,
do gonitwy
przygotowany, wjechało dwóch rycerzy, w stal od głów do stóp
kutych. Przyłbice
nie dozwalały widzieć twarzy. Jolanta zwróciła na nich wzrok
ciekawym, myśląc w
duchu:

— A może jeden z nich...

— Bolesław, książę kaliski! — dokończył za nią donośny głos
herolda, i

jednocześnie prawie obaj rycerze, uchyliwszy na chwilę przyłbic,
zwrócili się ku

łóży królewskiej, by ukłon siedzącym w niej złożyć.

I walka się rozpoczęła.

Z bijącym sercem przypatrywała się jej królewna. Szala zwycięstwa
chwiała się

ciągle: to jeden, to drugi z zapaśników brał przewagę; kopie dzwoniły
po stali,

konie chrapały głośno, piasek areny wzbijał się w górę i opadał na
widzów. Z

szeroko rozwartymi oczyma siedziała Jolanta, ani na chwilę rycerzy z
oczu nie

spuszczając. Nagle ze wszystkich stron rozlegać się poczęły oklaski, a
okrzyk:

"niech żyje książę kaliski!" zlewał się z nimi. Uśmiech radości ukazał
się na

ustach królewnej, i ona też bić w drobne dłonie zaczęła.

Bolesław zdarł szarfę z przeciwnika i, podniósłszy ją w górę, z
tryumfem w

oczach zwrócił się ku łóży królewskiej.

Niech żyje książę kaliski! — brzmiało zewsząd.

On tymczasem z konia zeskoczył, oddał go jednemu z pachołków,
czekających na
stronie, i przystąpiwszy do loży księcia krakowskiego, zgiął przed

Jolantą kolano. Podniosła się zapłoniona i wieńcem dębowym hełm
jego ustroiła.

Walki i gonitwy trwały do zmierchu, gdy zaś słońce poczęło się chylić
ku
zachodowi, rycerze opuścili szranki, a Kinga z mężem zaprosili gości
na ucztę.

Główny zwycięzca miał prawo wybrać damę, którejby pragnął
towarzyszyć do sali
jadalnej; Bolesław Pobożny zbliżył się więc do Jolanty i, podawszy jej
ramię,

poprowadził ją w drugiej parze za księżną i księciem krakowskim.
Obsiedli

wszyscy stół, i gwarna rozmowa toczyć się zaczęła. Mówiono
przeważnie o

turniejach, które stały w tej chwili wszystkim tak żywo w pamięci.

— Czy wolno zapytać, skąd wracałyście, królewno, z dostojną waszą
siostrą dziś

rano, gdy was spotkałem? — zapytał książę kaliski Jolantę.

— Dlaczegożby nie? — odparła królewna; — z wycieczki po wsiach
okolicznych.

— Zaiste, o ileż jest piękniejsze zadanie niewiasty na ziemi, niż
mężczyzn! —

ozwał się znów Bolesław. — Wy rany goicie, łzy osuszacie,
wspieracie nędzę, a my

ogniem i mieczem szerzymy nędzę, łzy i spustoszenia, rany zadajemy,
wydzieramy

bliźniemu życie...

— A komuż zawdzięczamy, że Tatarzy nie pustoszą ziem tych? —
odrzekła Jolanta.

— Słuszna uwaga; lecz jeśli tak męże, jak niewiasty, poświęcają się
dla dobra

ogółu, czemu my tylko wieńczeni bywamy? — zapytał książę kaliski.

— Nasza praca cicha i nagroda cicha; lecz wierzaj, księżę, iż choć cicha, równie miła jest sercu, a nawet miłsza częstokroć: lepsze błogosławień-

stwo matki, której dzieci od śmierci głodowej się uchroniło, niż wieniec dębowy

— odparła Jolanta.

Uczta przeciągnęła się do późnej nocy; świtało już gdy goście i domowi rozeszli się na spoczynek.

— Trzeba zmienić suknie i do ubogich miasta śpieszyć; to ich dzień — rzekła

Kinga do siostry. — W południe goście mają się rozjeżdżać, musimy więc być

obecne przy pożegnaniu. Pójdiesz ze mną na miasto?

— Pójdę — odparła Jolanta; — niech tylko włosy spleć i zdejmę tę przepaskę z

rubinów: uczyłaś mnie przecie, że gdzie nędza płacze, tam strój bogaty w sercach gorycz budzi.

— To też i ja się przebiorę — rzekła Kinga. Wkrótce obie w sukniach zakonnych

dążyły do

drewnianych domków przedmieścia Krakowa. Nie spodziewali się ich dzisiaj ubodzy,

bo każdy w mieście wiedział, iż zamek pełen gości; to też radośniej jeszcze, niż

zwykle, powitane zostały. Rozdzieliwszy zwykle wsparcia, Kinga z siostrą

pośpieszyły z powrotem do domu. Cicho było jeszcze na dziedzińcu,

— pewne więc,

iż goście spoczywają, i rade temu, zwróciły się do bocznej sieni, która wiodła

do ich komnat, bo chciały się przebrać znowu do gości; lecz we drzwiach sieni

zatrzymał je jeden z dworzan.

— Miłościwy pan nasz, książę, wzywa was, miłościwa księżno, wraz z królową do siebie — rzekł, składając ukłon głęboki.
— Ze mną? — zapytała zdziwionym tonem Jo-

— Z królową — powtórzył ze szczególnym naciskiem, — i to bezzwłocznie.

— Pójdź sama, Kingo — rzekła Jolanta. — Jestem w takim stroju...

— Książę wzywa nas obie, więc chodźmy — odparła Kinga.

Jolanta uczuła dziwny jakiś niepokój w sercu; poszła jednak.

Dworzanin wyprzedził je, by dać znać, że już wróciły.

Bolesław czekał na żonę i jej siostrę w sali przyjęć. Panowie otaczali tron

jego, obok zaś po jednej i drugiej stronie stały próżne krzesła. W głębi sali

widać było gromadkę obcych rycerzy, a wśród nich i księcia kaliskiego. Gdy

księżna z siostrą ukazały się na progu sali, Bolesław podniósł się z tronu dla

powitania. Gdy Kinga usiadła przy nim, a Jolanta tuż obok, odezwał się głośno:

— Przedstawcież teraz swoją prośbę, bracie!

Na to wezwanie z pośród obcych panów wystąpił książę kaliski i, zbliżywszy się

do tronu, zgiął przed Jolantą kolano.

— Królowo! — rzekł — wczoraj dałaś mi wieniec, dziś o pierścień ślubny śmiem

cię błagać.

Rumieńce znikły z twarzy Jolanty.

— Nie od siebie zależę — odparła nieśmiało; — mam rodziców i starszą siostrę.

— Pewna jestem, iż ojciec mój nie odmówi swej córki księciu kaliskiemu — ozwała

się Kinga. — Zna świat waszą cnotę, a ja też odradzać siostrze nie będę. Jutro

wyślemy poselstwo do Budy, prosząc o błogosławieństwo rodziców.

W kilka miesięcy po zdarzeniach powyżej opisanych Jolanta wjeżdżała do miasta Kalisza, jako żona Bolesława Pobożnego. Wyjeżdżając z Krakowa błyszczała od klejnotów, lecz jeszcze połowy drogi nie odbyła, a już jednego paciorka kosztownego nie miała na sobie, gdyż wszystkie biednym po drodze rozdała. Gdy przed podróżnymi ukazała się brama miasta, ozdobiona dwoma wieżycami, pomiędzy którymi widać było kamienną figurę z trąbą w ręku, książę Bolesław kazał zatrzymać konie. Jolanta pewną była, że panowie ziemi kaliskiej wyjdą naprzeciw niej z chlebem i solą, według zwyczaju miejscowego, — lecz jakież było jej zdziwienie, gdy, zamiast panów, ujrzała całą rzeszę żebraków w łachmanach: ślepi, chromi, chorzy cisnęli się do niej tłumnie, a prowadził ich biały jak gołąb' starzec, który drżącemi rękoma niósł na glinianej misce chleb i sól.

— Niechaj Bóg przysparza wam, miłościwi książę i księżno, chleba pod dostatkiem, by dla ubóstwa nigdy wam go nie brakło! — rzekł głosem wzruszonym.

— Dzięki ci, starcze, za to życzenie! — odparła Jolanta, biorąc z rąk żebraka chleb i sól, poczem zwróciła się do męża z zapytaniem:

— Czy wam, panie, dziękować winnam za to miłe powitanie? By milszem ci jeszcze było, przyjm ten dar ode mnie i uczyn z nim, co ci się podoba — odparł Bolesław i podał żonie skrzynkę, pełną złota, Łzy zaświeciły w oczach księżny.

— Ach, jakżeś dobry, panie! — zawołała. — Serce całe moje od dziś do was należy.

Bolesławie!

— Rozdziel sprawiedliwie to złoto pomiędzy siebie i rzeszę, co cię otacza —

dodała, zwróciwszy się do starca, który podawał jej chleb i sól.

— Niech żyje Bolesław Pobożny i Błogosławiona Jolanta! — rozległo się głośne

wołanie, i tłum nędzarzy odprowadził książęcą parę z tymi okrzykami aż do zamku,

gdzie panowie czekali na progu starej sieni również z chlebem i solą; lecz

choć podali swe dary na złotej tacy, choć szumną przemową nowożeńców

powitali, nie wzruszyli jednak tak mile księżny, jak ci, którzy ich uprzedzili.

Wziąwszy sobie za wzór starszą siostrę, Jolanta również pożyteczne wiodła życie:

"matką biednych" zwali ją poddani, bo wspierała ich hojnie, odwiedzała każdego

ranka najnędzniejsze mieszkania i pozwalała zawsze przychodzić do siebie tym,

którzy rady lub pomocy potrzebowali. Życie jej płynęło cicho i pożytecznie.

Książę wyjeżdżał często na wyprawy, były to bowiem czasy pełne niepokoju, a

wówczas Jolanta gorliwiej jeszcze dobrym uczynkom się oddawała.

Pewnego dnia, a było to właśnie w czasie, kiedy Bolesław Pobożny już od paru

miesiący bawił poza granicami swego państwa, otoczona pannami swego dworu,

Jolanta szyła pilnie razem z niemi suknie dla biednych, myśląc, kiedy to mąż z

wyprawy powróci. Naraz dobiegły ją jakby jęki i szlochania czyjeś.

Wzruszona,

przerwała robotę i wsłuchiwać się zaczęła.

— Katarzyno — rzekła po chwili do jednej z panien, — idź na dziedziniec i zobacz, kto tam płacze.

Katarzyna pośpieszyła spełnić rozkaz; niebawem wróciła.

— Ach pani! — wykrzyknęła, — co za okropny widok!... Książę wraca z wyprawy i

przodem jeńców wysłał: stu ich naliczyłam, a między nimi dzieci drobne, kobiety,

starce... To oni tak szlochają na dziedzińcu, bo mówią, że mają dzieci te z

matkami rozdzielać, że tych, którzy będą zbyt liczni, sprzedadzą...

Jolanta podniosła się blada.

— Nie powtarzaj tego nikomu — przerwała. — Bolesław Pobożny okrutnikiem nie

będzie. Nie dopuszczę, by przekleństwa matek spadły na jego głowę.

To powiedziawszy, pośpieszyła na dziedziniec. Pełno tam było ludzi; zbrojne

hufce jeszcze się tłoczyły w bramę, witane przez miejscowych mieszkańców

radośnie. Wypytywano o boje, o księcia, o tych, których się w szeregach nie

dopatrzone. Na dziedzińcu pomiędzy zwycięzcami widać było ludzi z powiazanymi w

tył rękoma, odartych prawie do naga, których pachołki książęce szturchały,

łajały i wyśmiewały. Były tam niewiasty i dzieci, starce i pełni siły młodzieńcy. Jedni leżeli na ziemi, jęcząc i płacząc; drudzy, o mur oparci,

ponurem okiem spoglądali w około; inni jeszcze grozili pięściami tym, którzy ich szturchali.

— Kto waży się dotknąć słowem lub czynem jednego z tych nieszczęśliwych, tego książę srogo

ukarze! — zawołała nagle Jolanta, stanąwszy pośrodku nich.
Przestraszyli się złośliwi, a jeńcy pełne wdzięczności spojrzenia
zwrócili na
księżnę. Cisza dziedziniec zaległa.
— Gdzież księżę? — zapytała Jolanta rycerzy.
— Za chwil kilka ujrzycie go, miłościwa pani — odparli.
Jolanta ku bramie się zwróciła. Zdale widać było orszak rycerzy, na
którego
czele jechał Bolesław Pobożny. Księżna minęła bramę i poszła na
spotkanie męża,
a gdy tylko kilka kroków dzieliło ją od niego, uklękła wpośród drogi i
złożyła
ręce, jak do prośby błagalnej.
Zdziwiony księżę zatrzymał konia, zeskoczył z siodła i podbiegł ku
żonie.
— Co się tu stało? — zapytał. — O co chcesz prosić, Jolanto?
— Pierwszy raz prośbę zanoszę do ciebie, panie, więc ufam, że jej
wysłuchasz —
odezwała się drżącym głosem księżna. — Za jeńcami się wstawiam.
Zdobyłeś,
Bolesławie, sławę dzielnego rycerza i pobożnego pana; niechajże
ludzie jeszcze
cię wielbią jako szlachetnego zwycięzcę: obdarz wolnością jeńców,
którzy jęczą w
tej chwili na twym dziedzińcu. Szlochania ich doszły do moich
komnat;
"wybiegłam, ujrzałam dzieci, starce, niewiasty we łzach, a wszyscy na
ciebie
sarkają. Nie odzyskam spokoju, póki, zamiast łez, radości nie ujrzę w
ich
oczach, zamiast skarg, błogosławieństw nie usłyszę.

Książę w miejsce odpowiedzi podał ramię żonie i poszli razem ku zamkowi, a gdy stanęli pośrodku dziedzińca, rzekł:
— Jeńce! wolni jesteście; Jolanta, księżna Kalisza chce tego.
Rozwiążcie im pęta
— dodał, zwróciwszy się do otaczających go dworzan.
Na dziedzińcu rozległy się wołania radosne:
— Boże, błogosław księżną Jolantę!
— Boże, błogosław księcia Bolesława! — dodała Jolanta, a za nią jeńcy też samo powtórzyli.
Mimo swej pobożności, Bolesław kaliski okrutny bywał dla jeńców i nieraz w zdobytych ziemiach spustoszenia szerzył. Jolanta wpływem swoim zmieniła go z okrutnika w zwycięzcę wspaniałomyślnego, przekonała go bowiem, że przebaczenie większą sercu sprawia radość, niż zemsta.
Po śmierci męża księżna kaliska, oddawszy opiekę nad synem swym małoletnim i nad państwem całym bratu Bolesława Pobożnego, Przemysławowi, pojechała do siostry, która właśnie w tym samym czasie owdowiała. Obie, przywdziawszy habity Klarysek, udały się do klasztoru sandeckiego, wystawionego przez Kingę, i tam ostatnie lata życia spędziły, oddane zawsze usłudze biednych i nieszczęśliwych.

VI.

OCALONA.

Nie zawsze możemy sami wybrać sobie rolę życia, lecz zawsze obowiązkiem jest naszym starać się jak najlepiej odegrać tę którą los nam wyznaczył.

Zwolna i równo posuwał się statek po szerokiej przestrzeni wód
Morza
Niemieckiego, kierując się ku widzialnym z daleka brzegom
wielkiego półwyspu
Skandynawskiego. Na ziemi i morzu zupełna cisza panowała:
najłżejszy powiew
wiatru nie marszczył szarej powierzchni wód; a jednakże majtkowie,
gorliwie
pracując wiosłami, zdawali się spoglądać z niepokojem przed siebie,
jak gdyby
mierząc wzrokiem przestrzeń, dzielącą ich od lądu, i lękając się, że nie
dopłyną
do niego. Często podnosili też wzrok w górę i pokazywali sobie
oczyma chmurę, co
zbliżała się od wschodu. Chmura ta, barwy żółto-szarej, kształtem
przypominająca
żółwia,

zwiększała się z każdą chwilą, coraz szerszy krąg nieba zajmując,
coraz bardziej
ciążąc ku ziemi. Niebawem jasno-żłociste słońca blaski przybrały
barwę brunatną,
i dziwnie posepnie zrobiło się dokoła.
Na pokładzie statku tłoczyli się podróżni, pomiędzy którymi było
wiele kobiet, a
wszyscy spoglądali niespokojnie to na niebo, to ku brzegom Szwecyi,
szepcząc:
— Czy dopłyniem?
Wszystkie twarze strach wyrażały. Co chwila majtków pytaniami
zarzucano, lecz ci
zbywali je niczem.
— Co Bóg da, to będzie — mówili; — a najlepiej siedzieć cicho.
Jedna tylko z kobiet zachowywała się zupełnie spokojnie. Była to
młoda, urodziwa

niewiasta. Szaty jej zdradzały zamożność, a szacunek, jaki okazywały jej inne niewiasty, świadczył, że wyższe od nich w świecie zajmowała stanowisko. Wśród trwóg, ogólnej ani na chwilę nie ruszyła się ona z ławy i z której w milczeniu przypatrywała się morzu, piastując na kolanach dwuletnią dziecinę. Obok niej siedziała niewiasta w podeszłym już wieku, w sukni zakonnej, z różańcem w ręku; ta szeptała pacierze, lecz spokojną nie była: od czasu do czasu zrywała się z ławy i do majtków śpieszyła z pytaniami, lub przystawała przy tych, którzy o grożącym niebezpieczeństwie rozmawiali, i przysłuchiwała się z niepokojem. Naraz słońce znikło i noc czarna otoczyła niebo i ziemię. Wicher zawył posepnie, gniewnym łykiem odpowiedziało mu morze; na bałwanach

spiętrzonych statek pochylił się, jak gdyby się miał przewrócić. Na pokładzie powstał zamęt nie do opisania. Kapitan rozkazy wydaje, sternik krzyczy na majtków... Majtkowie biegają tu i tam, a kobiety ręce łamią i zawodzą, a wicher wyciem wtóruje rozkazom i głosom rozpaczy... Jedna tylko z kobiet siedzi nieruchoma i patrzy w niebo okiem pełnym ufności, bo wierzy, że bez woli Boga włos z jej głowy nie spadnie, i ta wiara spokój do duszy jej wlewa. Lecz płacze i jęki rosną, w głosach majtków brzmieć trwoga zaczyna, morze coraz groźniej ryczy, bałwany piętrzą się wokół statku w coraz wyższe góry. Jeszcze chwila, a

pochłoną płynących. Spokojna nieznajoma widzi to i rozumie, że ostatnia godzina się zbliża dla wszystkich, więc klęka na pokładzie i, tuląc córkę do serca, a wzrok podniósłszy w niebo, modli się głośno:
— Panie, ocal mej dziecinie życie, a ślubuję, że Tobie tylko służyć będzie!...
Dwie ciche łzy, które stoczyły się po jej twarzy, stwierdziły tę przysięgę. I podniosła się znowu spokojna i usiadła obok starszej swej towarzyszki, która drżącymi ustami szeptała swe pacierze.
— Czyś słyszała, ciotko, moją przysięgę? — spytała. — Gdybym dziś zginęła w tej burzy, a gdybyście wy ocalały, spełnij ją wiernie...
— Jeśli mamy zginąć, zginiemy wszyscy — odparła, trzęsąc głową, staruszka. —
Panie! oddaję w ręce Twoje duszę moją! — dodała, dygocąc całym ciałem.
Jeszcze mówiła, gdy uragan gwałtowny zerwał maszt, a jednocześnie czerwony zygzak przeleciał

czarne przestrzenie i z hukiem ogłuszającym wpadł w głębię morza. Wszyscy padli na kolana, wszyscy się modlą, pewni, że ostatnia godzina wybiła. Naraz daje się słyszeć szum głuchy, jednostajny; z czarnego potwora-chmury polały się strumienie wody...
— Jesteśmy ocaleni! — zawołali majtkowie.
Kobiety przestały płakać i jęczeć, a ta, która wciąż spokojną była, uklękła znowu na pokładzie i podniosła wzrok w niebo.
— Panie, dzięki Ci! — szepnęła.

Nazajutrz chyżo mknął statek ku temuż lądowi. Rozkazy kapitana
brzmiały teraz
łagodnie; majtkowie wiosłują zwawo i wesoło żartują z trwogi, jakiej
opanować
się dali wczoraj; kobiety patrzą z uśmiechem na białą pianą postrojone
bałwany i
na zielone brzegi półwyspu, których już są tak blisko. I oto statek
dobija do
portu i zarzuca kotwicę. Spieszą wszyscy na ląd, a tam rojno i tłoczno.
Okrzykami radości witają mieszkańcy Szwecyi cudem niemal
ocalonych. Pomiedzy
czekającymi w porcie widać jakiś orszak wspaniały: suknie panów
złotem
haftowane, w klejnoty zdobne... Pospólstwo trzyma się z daleka, a
ciekawie się
przygląda. To król Szwecyi, Birger U, do portu przybył na spotkanie
żony swej,
Sygfrydy, która, odwiedziwszy rodzinę, wraca do domu. Przeczekał
burzę pod gołem
niebem, miotany straszliwym niepokojem; widział grożącą żonie i
córce śmierć
niechybną i pewny był, że nie uściśnie ich więcej.
Statek dobił szczęśliwie do przystani. Dworzanie, otaczający króla,
rzucili się
na pokład.

Niebawem Sygfryda opowiadała mężowi o strasznych chwilach, jakie
przeżyła na
statku, a on
o niepokojach, jakich doznawał, myśląc o niej.
Dzień ten nazwała Sygfryda szczęśliwym, — ale, niestety, nietrwale
to było
szczęście. Trudy podróży i wrażenia, jakich doznała podczas burzy,
tak silnie
oddziaływały na wątłe jej zdrowie, że w parę dni po powrocie do domu
rozchorowała

się śmiertelnie. I oto mąż, ciotka, damy dworu otaczają jej łożę, a ona
leży,
blada i cicha, z oczyma przymkniętymi. Na kolanach ciotki siedzi
mała Brygida;
nieświadoma nieszczęścia, jakie jej grozi, szczebiocze wesoło, a
szczebiot ten
rani boleśniej od płaczu serce ojca. Wtem ocknęła się chora, podniosła
się na
pościeli i po otaczających wzrokiem powiodła.
— Ciotko! — odezwała się słabym głosem, zatrzymawszy spojrzenie
na staruszce, —
gdy mnie Bóg do siebie powoła, zaopiekujesz się Brygidą i spełnisz
przysięgę,
jaką uczyniłam podczas burzy na statku, to jest wychowasz ją na
służebnicę Bożą.
To powiedziawszy, osunęła się na poduszki
i oczy znowu zamknęła; po chwili ciche westchnienie wydarło się z
jej ust i
skonowała.
Birger nie sprzeciwił się woli zmarłej, i wkrótce po pogrzebie matki
Brygida
opuściła Sztokholm, gdyż stara ciotka po śmierci siostrzenicy
przeniosła się do
swej ziemi rodzinnej i zabrała z sobą sierotę, aby ją wychować na
zakonnice.
Modlitwa i dobre uczynki — to były jedyne przyjemności, jakie znała
dziewczynka.
Rano szła z ciotką do kościoła, potem odwiedzała ubogich, niosąc im
wsparcie, a
po południu zacna staruszka zbierała u siebie dzieci

kmiece i uczyła je razem z Brygidą robót różnych i pacierza, lub
opowiadała im
coś ze Starego czy też Nowego Testamentu. Brygida najbardziej lubiła
słuchać

historii życia Chrystusa i z takim przejęciem się słuchała zawsze tych opowiadań, że nocą śniła nieraz o Chrystusie, i zdawało się jej, że Go widzi, że On do niej przemawia; czasem nawet i we dnie doznawała tych złudzeń. Pewnego razu wszedłszy do jej pokoiku, zastała ją ciotka we łzach. — Co ci, Brygido? — zapytała troskliwie. — Ach, ciociu! był tu Chrystus w tej chwili ale smutny bardzo — powiedziała dziewczynka; — krew Mu z czoła spadała kroplami. Zapytałam Go, czemu jest smutny, kto Go zranił, a On rzekł: "Ci, co nie chcą kochać bliźnich, chociaż ich tego uczyłem." — Ale ty — odparła ciotka — r. ie zapomnisz nigdy nauk Chrystusa? — O, nigdy! nigdy! — wykrzyknęła dziewczynka, tuląc się do staruszki; — ty mi do tego dopomożesz. Od owego dnia gorliwszą jeszcze stała się Brygida w pełnieniu dobrych uczynków. Z myślą, kogo jutro wesprze, co uczyni dla bliźnich, kładła się spać, a dnie płynęły jej cicho i pracowicie. Tak powoli z dziecka na dziewczicę wyrosła. Pewnego dnia, wracając z ciotką do domu, Brygida spostrzegła na dziedzińcu pałacu, w którym mieszkały, jakieś obce kolasy i obcych ludzi. Zdziwione obie, przystanąły, by zapytać kogo z domowników, — lecz jeszcze nie

zdążyły słowa przemówić, gdy jeden ze służby zbliżył się do nich i rzekł:

— Król szwedzki zawitał; czeka od godziny na córkę.

— Ojciec! — krzyknęła radośnie Brygida i pobiegła przywitać dawno niewidzianego.

Birger wzruszony przycisnął córkę do serca, a gdy osunęła się do nóg jego, by je

ucałować, położył rękę na jej głowie.

— Błogosławione dziecko, którego serce wiernem ojcu zostało, mimo długiej

rozłąki! — rzekł głosem uroczystym.

Powoli nadeszła ciotka i Birger rzekł do niej po powitaniu:

— Chowałaś, trudziłaś się sierotą moją, a oto przybyłem, by ci zabrać twą

pociechę. Ale taka to kolej rzeczy na świecie, że dzieci nawet własnych rodziców

odbiegają. Ulfo, książę Neryngii, przysłał posłów do mnie, prosząc o rękę

Brygidy; gdybym odmówił, stałby się moim wrogiem i krew ludzka popłynęłaby

strumieniami...

Ciotka załamała ręce:

— Czyżeś zapomniał, Birgerze, jaką przysięgę uczyniła żona twoja Bogu, jeśli

ocali jej dziecko od śmierci podczas owej burzy?

— Przysięgła, iż Brygida, ocalona, Bogu tylko służyć będzie — odparł król

spokojnie, — a kto szczerze Boga kocha, wszędzie służyć mu może i potrafi. Tyś,

ciotko, nauczyła Brygidę miłości, dobra i prawdy, więc sama ona wszędzie dobro i

prawdę siać potrafi, wszędzie służyć może Bogu, a zostawszy

panią Neryngii, o wiele więcej będzie mogła czynić dobrego ludziom, niż obecnie

czyni.

Odpowiedź ta zgnębiła staruszkę, lecz oporu stawiać nie śmiała.

Oddaliła się

więc do siebie smutna i rozmyślać zaczęła, jak zaradzić złemu. Ona marzyła, że

Brygida wstąpi za lat parę do którego z klasztorów, że i ona sama w tym klasztorze osiadzie, — a tu Birger zniweczył jej marzenia i przytem, w jej przekonaniu, łamał przysięgę żony i wystawiał córkę na wielkie niebezpieczeństwo; nie wątpiła bowiem, że świat zmieni Brygidę, że wesołe życie, jakie wieść będzie musiała w domu księcia Ulfo, zatrze w jej sercu nauki i uczucia, jakie w niem dotąd szczepiono.

— Nie, nie pozwolę jej zgubić! — zawołała głośno sama do siebie; — ucieknę z nią razem tej nocy do klasztoru...

Nie dokończyła jeszcze mówić, gdy Brygida stanęła przed nią.

— Ojciec ma słuszność, ciociu — rzekła łagodnie, — i posłuszną mu będę. Lecz bądź spokojną: księżna Neryngii Bogu służyć będzie zawsze; choć habit zakonnicy na płaszcz książęcy zamienię, serce moje nie zmieni się, i owej przysięgi matki nigdy nie złamię.

— Jesteś-że pewną siebie? — spytała ciotka, patrząc na nią niespokojnie.

— Pojedziesz ze mną i podtrzymywać mię będziesz, ilekroć zauważysz, że słabnę, że świat nęcić mnie zbytęcznie zaczyna — odparła Brygida.

Staruszka objęła ją ramieniem i w milczeniu uścisnęła. Poddała się ona z pokorą woli Birgera, i w parę miesięcy potem Brygida została żoną Ulfona. I dotrzymała Brygida przyrzeczenia: dobro bliźnich było jedynym celem jej życia.

Zaraz w pierwszym roku po przybyciu swoim do Neryngii wybudowała własnym kosztem szpital, gdyż w jej państwie żadnego nie było, a dając przykład innym

kobietom, sama chorych w nim doglądała. Dwunastu ubogich przychodziło codziennie do zamku w godzinę obiadową i zasiadało do stołu w izbie czeladnej; gdy zaś Brygida matką została, w serca córek wszczepiła też samą miłość bliźniego: zaledwie z lat niemowlęcych wyrosły, stały się pomocnicami matki. Po śmierci męża, oddawszy wszystko dzieciom, za wyjątkiem jednej tylko włości, zwanej Wastaje, zbudowała tam klasztor i, osiadłszy w nim, szerzyła wśród mieszkańców wsi dobrobyt i światło. Klasztor ów dał początek zakonowi Brygidek. W tem cichem ustroniu, kochana i czczona, spędziła jeszcze lat wiele. Umarła w r. .

VII.

ZAMEK BURGHAUS.

I.

Jednym z mężniejszych książąt niemieckich w wieku XV-ym był Jerzy, dziedzic Niższej Bawaryi. Legendy krążyły o skarbach, jakie posiadał, o ucztach, jakie wyprawiał, o sukniach kosztownych, w jakie się stroił. Prócz zamku wspaniałego w stolicy państwa, Landshucie, posiadał on jeszcze drugi, blisko ujścia rzeki Salcy do Inu. Ten drugi zamek był warowny, opasany kilkakrotnie murem i wałem, najeżonym rzędami dział, a zwał się Burghaus. Był to skarbiec książęcy. W lochach jego stały konwie, pełne klejnotów, leżały stosy bitej monety, całe

sztaby złota i srebra, brył surowej rudy srebrnej i złotej. Salę przyjęć
zdobiło
tam dwunastu apostołów, ze srebra ulanych, i szczerozłoty Chrystus
wielkości
naturalnej.

Bogaczem przewali księcia Jerzego spólcześni. Ubiegali się o jego
względy
monarchowie Europy i przyjaźń mu swoją chętnie ofiarowywali, — a
każdy byłby
rad, gdyby księżę Jerzy przysłał swatów do niego, — każda córa
królewska za
chlubęby sobie uważała zostać żoną księcia Jerzego; bo nie tylko o
jego
bogactwach świat głosił, lecz chwalił także jego rycerskość, rozum,
odwagę. "Ot,
gdy pieniądz, rozum i męstwo się połączą, toć szczęście nie tylko
temu, co
posiada te przymioty, zapewnić mogą, lecz i drugim." Tak myślało
wielu i wiele.
To też w niejednym sercu ojcowskiem i dziewiczem zbudziła się
zazdrość, gdy
rozeszła się wieść po Europie, że Jerzy, księżę Niższej Bawaryi, żeni
się, że
ślub jego ma się odbyć dnia czerwca roku. Ileż zabiegów ta wieść w
niwecz obróciła, ileż złotych marzeń rozwiała, ileż rachub i planów
obaliła!...
O, marzenia, nadzieje, rachuby ludzkie! jakżeście niepewne!...
"Toż to będą dopiero gody!" — mówiono powszechnie.
I były gody w istocie wspaniałe. Gdy orszak ślubny, dążący do
kościółka, ukazał
się na ulicy miasta Landshuty, było na co patrzeć. Przyszła księżna
Bawaryi
jechała w złocistym powozie, a miała na sobie suknię ze złotogłowiu,
na twarzy

zaś zasłone, tak bogato zahaftowaną, iż tłum ciekawy, co cisnął się na ulicy, by ją powitać, nie mógł się przekonać, czy w istocie jest tak piękną i młodą, jak mówiono, — mimo to jednak witał ją okrzykami, pełnymi radości, a przyszła księżna Bawaryi, przyszła ich pani, uprzejmie głowę skłaniając, dziękowała

wszystkim za te oznaki radości. Złocisty powóz księżny ciągnęło ośm białych koni w szorach, obszytych czerwonym sukniem; na przednich koniach siedziało dwóch forysiów w szkarłatnych sukniach; po prawej stronie powozu księżny jechali na koniach, w bogate rzędy przybranych, dworzanie i krewni pana młodego, w sukniach, perłami i złotem szytych; po lewej — krewni i dworzanie księżny w żupanach ze złotogłowi lub jedwabiu, z szablami u boku; szable te miały pochwy srebrne, miejscami złotem nabijane, a wisiały na pasach, klejnotami ozdobionych. W orszaku tym dwoje chłopiąt najkosztowniej było przybranych; tłum palcami je wskazywał, mówiąc, że to bracia przyszłej księżny Bawaryi. Tuż za powozem księżny jechało czterech jej dworzan na małych konikach, w strojach tureckich; ci mieli na sobie czerwone kaftany, białe zawoje na głowach, szafirowe szarawary, szable krzywe u boku. Za Turkami również na koniach dążyło kilkoro pacholąt, — za nimi znowu panowie; a wszyscy razili oczy patrzących: tyle złota

i klejnotów było na ich sukniach. Potem znowu ukazały się powozy,
w których
jechał dwór niewieści księżny: w pierwszym jej matka, piękna jeszcze
królowa
Elżbieta, córka Alberta, nieżyjącego już wtedy cesarza Niemiec i króla
Węgier,
piękna godnością, jaka ją otaczała, rozumem, co świecił z jej oczu, —
a smutna,
mimo okrzyków wesela, co były o niebiosy, mimo przepychu, na jaki
patrzyła, — a
cała w czerni, chociaż to był dzień zaślubin jej córki. Bo też tak
daleko od
siebie tę córkę oddawała... Za orszakiem księżny dążył dopiero orszak
księcia, a
z nim cesarz Niemiec, Fryderyk, który

przybył na tę uroczystość. Cesarz miał na sobie delię czerwoną z
wyłogiem ze
złotogłowi, dyamentami i szafirami haftowanym, na głowie zaś
błyszcząca od
drogich kamieni koronę; jechał w złocistym powozie, panami
otoczonym. Za nim
książę Ludwik, ojciec pana młodego, w sukni czerwonej; potem
książę Jerzy na
białym koniu, ustrojonym w żółty czaprak, dyamentami usiany. Jerzy
miał żółtą
suknię na sobie, płaszcz takiegoż koloru, kapelusz, opasany wieńcem
z kólek
złocistych, o pięknym żółtym pióropuszu, spiętym guzem
brylantowym wielkości
orzecha laskowego. Koń jego również żółte pióra miał na głowie.
Przed kościołem katedralnym czekali na przyszłą księżną Bawaryi
panowie
niemieccy i panie, czekała matka księcia Jerzego i siostry jego. Gdy
powóz

księżny zatrzymał się przed katedrą, pośpieszyli ją witać, a potem
panie
poprowadziły ją do jednej z kaplic bocznych i tam zdjęły z niej
zasłonę
haftowaną, a przystroiły w ślubny przejrzysty welon, potem zaś
poprowadziły do
wielkiego ołtarza, który gorzał od świateł tysiąca. Tam, wśród
krzewów,
strojących ołtarz, stali już zebrani wszyscy książęta i królowie;
pierwsze
miejsce zajmował cesarz Fryderyk. Przed ołtarzem czekał
niecierpliwie na swą
małżonkę Jerzy Bogacz. Nieśmiała i wzruszona tą chwilą uroczystą,
młodziutka
oblubienica stanęła obok niego, ksiądz przystąpił do nich, złożyli
oboje
przysięgę, iż żyć w zgodzie i miłości będą, zamienili pierścienie, i
ksiądz im
stała ręce związał. Zabrzmiał hymn uroczysty: "Veni Creator, " i z
oczów młodej
oblubienicy potoczyły się łzy.

W pamięci jej stanął wyraźnie dom rodzinny, ojciec, którego
pożegnała, może na
zawsze, bracia młodszy, siostry, miasto i wioski rodzinne, — wszystko,
wśród
czego wzrosła, co kochała, a co rzuciła, by zostać żoną Jerzego
Bogacza. Smutek
i nieokreślona obawa nieznanego przyszłości ścisnęły jej serce; nie
mogła
powstrzymać łez, — lecz trzeba było je otrzeć, bo cesarz Fryderyk i
margraf
brandeburski, Albrecht, Achillesem zwany, przystąpili do niej, by od
ołtarza ją
odprowadzić. Gotowiby śmiać się z jej łez... Otarła więc je szybko.
Oni ujęli ją

pod ręce i do powozu powiedli; za nią podążył książę, którego
prowadziły królowa
Elżbieta i cesarzowa, żona Fryderyka.
Znowu orszak podążył ulicą, znowu lud okrzykami wesela o niebiosa
uderzył; teraz
mógł podziwiać młodość i piękność swej pani: cienka zasłona nie
kryła zazdrośnie
jej twarzy przed jego wzrokiem. I wołał lud z zapałem: "Niech żyje
księżna
Bawaryi! niechaj żyje Jerzy, książę nasz i pan!"
Uśmiech powrócił na usta księżny, w oczach jej radość zaświeciła.
Tyle serc ją
kocha, tak dzielny rycerz jest jej mężem, tyle złota będzie miała! czyż
szczęścia zbraknąć jej może?
W progu pałacu mąż podał jej ramię i wsparła się na niem z ufnością:
on, taki
mężny, szczodry, bogaty, oddali od niej cień złego nawet.
W salach zamkowych stoły uginały się od złotych półmisków, od
piramid cukrów i
owoców, od kryształowych i złotych puharów. Książę Jerzy na
pierwszem miejscu
żonę umieścił, po prawej stronie sam usiadł, po lewej cesarz Fryderyk.
Młodzi na
tej uczcie pierwszymi gośćmi, więc pierwsze miejsca

dla nich; dla nich ta uczta, dla nich bogactwa zgromadzone w tej sali,
na ich
cześć brzmi muzyka na galeryi, salę otaczającej, na ich cześć brzmią
okrzyki
ludu poza oknami sali. Wszystko wróży pięknej księżnie życie wesole
i pełne
uciech. Z zazdrością patrzą na nią zebrane przy stole księżniczki i
hrabianki, z
miłością matka, z uwielbieniem mąż, — a zdala od wszystkich, w
kącie sali, z

rękoma na piersiach złożonemi, z oczyma wlepionemi w bogato
rzeźbione sklepienie
sali godowej, stoi jakaś postać dziwaczna w szerokiej bluzie, zszytej
ze
skrawków najrozmaitszych, w szerokiej krezie na szyi i szerokich
szarawarach.
Włos ma na głowie rozczochrany, twarz bladą i smutną, w złożonych
rękach trzyma
czapkę spiczastą, dzwonkami ozdobioną. To błazen książęcy. Oczy
jego utkwione
nieruchomo w rzeźby sali, lecz myśli nie spoczywają, bo coś ciężko
wzdycha. On
taki samotny wśród tego tłumu strojnego i wesołego; nikt na niego nie
patrzy,
nikt się nim nie zajmuje. Służba biega wokoło stołów: jedni leją
rubinowy i
złoty płyn do puharów, inni półmiski dymiące z potrawami wnoszą do
sali.
Muzykanci dmą we flety i trąby. Każdy spełnia tutaj jakąś czynność;
on jeden
bezczynny. Wrzawa, tłok, hałas wszędzie; on jeden milczący, cichy,
nieruchomy.
Wreszcie wszyscy miejsca zajęli, ścisk ustał, muzyka umilkła;
panowie trzymają w
ręku puhary, czekając na pierwszy toast. Choć cesarz siedzi przy stole,
każdy
wie, że dziś pierwszy toast nowożeńcom się należy. Nareszcie powstał
elektor
brandeburski, Albrecht, i zwrócił się z puharem do młodej
oblubienicy:
"Niezbadane są wyroki Pana Wszech-

rzeczy! — począł mówić. — W dalekich stronach, w kraju,
nieznanym nam zupełnie,
urodziłaś się, piękna Jadwigo. Nazwa Bawaryi może ci, pani, nawet z
imienia

znaną nie była, a dziś ty w niej żyć, mieszkać i szczęścia używać
będziesz; dziś
ta Bawarya ziemią twoją będzie, ty będziesz jej panią... Z dalekich
kończyn
świata Bóg oboje państwa młodych sprowadził; snadź małżeństwo to
ma być
pożytecznym całemu chrześcijaństwu, ma przynieść szczęście
Bawaryi, ma ściągnąć
błogosławieństwo na dom książąt, w niej panujących. W pewności, że
tak będzie,
na cześć tego małżeństwa wznoszę toast!"
To powiedziawszy, podniósł puhar do ust i wychylił go do dna; toż
samo inni
uczynili.
"Niech żyją długie lata w szczęściu i spokoju!" — wołali. — "Niech
żyją Jerzy i
Jadwiga!"
Stojąca w kącie sali dziwaczna postać wykrzywiła się, wzniosła ręce
do góry.
— Głupstwem jest wyraz "szczęście", bo szczęścia niema na ziemi —
rzekła, — a
głupcem ten, co w szczęście wierzy.
Słowa te tak głośno były wypowiedziane, że dosłyszała je księżna
Jadwiga. Mowy
Albrechta nie zrozumiała ona należycie, bo mowa niemiecka obcą jej
była; zaledwo
pojedyncze zdania mogła pochwycić, bo dopiero, gdy zaręczoną
została z księciem
Bawaryi, kazał jej ojciec uczyć się tej mowy. Zrozumiała przeto pełne
gorzkiej
ironii zdanie, wesołym biesiadnikom rzucone, i z trwogą rozejrzała
się, szukając
wzrokiem tego, kto je wypowiedział, lecz dojrzeć go nie mogła, bo
tłum służby,
cisnącej się ku gościom, zasłonił samotną w kącie sali postać.

Tymczasem stojący za krzesłem Jadwigi dworzanin zaczął jej tłumaczyć mowę margrafa. Jadwiga zwróciła na niego uwagę, a gdy skończył, podniosła się i odpowiedziała krótkimi słowy:

— Czy szczęście małżonkowi memu i Bawaryi zapewnię, tego nie wiem — rzekła dźwięcznym głosem; — wiem tylko, że pragnę to uczynić... Chcę uległą i dobrą być żoną, chcę powolnością i posłuszeństwem zyskać jego serce. Byłem tylko wiedziała, czego ode mnie wymaga, a stosować się będę do jego woli zawsze i wszędzie... Chcę dla ludu mego być dobrą, chcę zyskać jego miłość i miłością mu odpłacać... Chcę być tu taką dla swoich poddanych, jaką matka moja tam, daleko, w kraju, w którym się urodziłam, jest dla swoich.

Skończyła mówić księżna, i tenże dworzanin słowa jej przełożył na język niemiecki, i znowuż na cześć nowożeńców toast wzniesiono, dziękując księżnie za te słowa, wszystkim miłe.

Uczta trwała kilka godzin. Coraz nowe toasty wznoszono, i dźwięczały kielichy, rozlegały się śmiechy i żarty, a z kąta sali odzywały się wciąż pełne sarkazmu słowa, — lecz gwar w sali panujący głuszył je teraz, nie słyszała ich więcej

Jadwiga. Oddana ogólnej wesołości, zapomniała o nich, bo młodość lubi śmiechy i żarty, a tyle śmiechów i żartów krążyło koło stołu, przy którym siedziała, iż zapomniała o smutnych wróżbach.

Nareszcie biesiadujący powstali od stołu i przeszli na wielki dziedziniec zamkowy, gdzie do zabawy rycerskiej wszystko było przygotowane. Cesarz,

nowożeńcy, starsi panowie i damy wszystkie prze-

dniejsze miejsca zajęli; niżsi znaczeniem — lawy, dokoła placu stojące; młodzież

skupiła się u wniścica do placu, na którym gonitwy odbywać się miały. Pierwsi do

walki wystąpili Albrecht, Achillesem zwany, z bratem swym, Krzysztofem.

Długo rycerze ścierali się z sobą: to jeden, to drugi brał górę. Wśród widzów

głęboka cisza panowała. Księżna Jadwiga, wychylona złoży, z zajęciem

przypatrywała się tym gonitwom. Piękną jej twarz oblewał rumieniec, oczy

świeciły radością. W rękę trzymała wieniec z dębowych liści, którym zwycięzcę

miała obdarzyć. Tuż obok niej siedział książę Jerzy, za niemi stało dwóch

paziów, a w głębi łoży błazen książęcy w sukni z różnokolorowych skrawków, w

czapce, dzwonekami ustrojonej. W łoży sąsiedniej po prawej stronie siedział

cesarz Fryderyk z żoną, po lewej królowa Elżbieta. W domu ojca nawykła do zabaw

rycerskich, lubiła je bardzo Jadwiga. Z zajęciem przypatruje się im i teraz;

oczy jej świecą radością. Lecz od czasu do czasu odrywa ona wzrok od areny, by

zwrócić go na męża i oczyma powiedzieć mu:

— Jak dzielnie walczą!

Czasami przenosi spojrzenie i na matkę, jak gdyby wzrokiem ją pytając, czy

podziela jej radość.

Wtem okrzyk tryumfu wyrwał się z piersi widzów: elektor Albrecht zwyciężył.

— Niech żyje Albrecht Achilles! — krzyczeli widzowie, klaszcząc w dłonie, tupiąc nogami.

Elektor zbliżył się do loży książęcej, przyklęknął na jedno kolano i głowę przed Jadwigą

pochylił, ona zaś dębowy wieniec na skronie mu włożyła.

— Wielki Achillesie! obwiąż zdobytą szarfą piętę i wystąp teraz do walki z

Nickiem! — zawołał błazen ze swego kąta. Śmiech głośny rozległ się dokoła, a

Jadwiga spojrzała zdziwiona: głos ten tak był podobny do owego, który zmaćił jej

był ucztę weselną. Nie było jednak czasu pytać, bo na arenę wystąpiło nowych

dwóch rycerzy: margraf Fryderyk i książę wirtemberski. Tym razem nie o

wysadzenie z siodła chodziło, lecz o to, kto więcej pierścieni zdobędzie. Wokoło

placu stały wysokie słupy z rozpostartymi ramionami, na których pierścienie

wisiały. Zapaśnicy obiegali plac, mierząc kopiami do owych pierścieni. Książę

wirtemberski za każdym razem jeden zdobywał, a przejeżdżając koło loży

książęcej, rzucał je wszystkie do nóg Jadwidze. Ona śmiała się, jak dziecko, a

tłum wołał: "Niech żyje Wirtemberczyk!"

Za to margrafowi Fryderykowi szczęście nie służyło, bo chybiał od czasu do

czasu. Coraz więc bardziej chmurny obiegał plac, aż wreszcie ustąpił z pola,

Wirtemberczyk zaś zbliżył się po nagrodę do witającej go wdzięcznym uśmiechem

Jadwigi.

— Niech żyje księżna Bawaryi! — zawołał, podnosząc się z klęczek. Na arenę tymczasem nowi zapaśnicy wystąpili: Hans von Lubeck i Fritz Gölling.

— To dwa śmiertelne wrogi — odezwał się Jerzy Bogacz, zwróciwszy się do żony. —

Kazałem

im bez broni wystąpić, inaczej bowiem turnieje krwawoby się zakończyły.

Jadwiga pobladła.

— Byważ tak? — spytała wylękłym głosem.

— Nawet często — odparł Jerzy obojętnie; — dziś jednak nie chciałem tego.

Zapaśnicy stanęli naprzeciw siebie — w odległości kilku kroków jeden od

drugiego. Wzrokiem, w którym nienawiść istotnie czytać było można, czas jakiś

mierzili siebie nawzajem z przyśpieszonym oddechem, rozszerzonymi nozdrzami i

zaciśniętymi zębami; tak dziki zwierz patrzy na swego nieprzyjaciela.

Jerzy Bogacz skinął i walka się rozpoczęła. Skoczyli ku sobie z wyciągniętymi

ramiony i już porwać się mieli za bary, gdy wtem Fritz Gölling, nie będąc

jeszcze widocznie pewnym siebie, zręcznie się usunął na stronę. I znowu znaleźli

się naprzeciw siebie zapaśnicy, znowu mierząc się przez chwilę wzrokiem

nienawiści. Na twarzy królowej Elżbiety, matki Jadwigi, odmalowało się uczucie

niesmaku.

— Toż to zapasy rzymskich gladyatorów, nie zaś rycerzy chrześcijańskich! —

rzekła, zwróciwszy się do zięcia.

— U nas one we zwyczaju — odparł Jerzy, nie odrywając wzroku od areny, bo

właśnie zapaśnicy przyskoczyli znów do siebie, tym razem chwytając się za

ramiona i usiłując jeden drugiego obalić.

Z piersi ich dobywało się rzeźenie; to jeden, to drugi zdawał się brać przewagę.

Wtem Hans von Lubeck puścił ramię nieprzyjaciela i za gardło

go schwycił; posiniałą twarz Fritza von Gölling, oczy na wierzch mu wyszły.

Jadwiga pobladła i pochyliła się, jak gdyby zemdleć miała. Spostrzegł to książę

i na dany przezeń znak ozwały się trąby, a Lubeck wypuścił z rąk swoją ofiarę.

Chmurnym wzrokiem spojrzął zwycięzca na lożę książęcą, jak gdyby gniewny, że nie

dozwolono mu dodusić nieprzyjaciela, i wolnym krokiem zbliżył się po nagrodę.

Lecz Jadwiga, odwróciwszy ze wstrętem odeń oblicze, zawołała:

— Gładyatorów nie wieńczę, bo wieniec rycerzowi tylko przystoi!

Wyście kopii nie

mieli w ręku.

Wściekłość zaświeciła w oczach upokorzonego publicznie: skłonił się jednak i

odszedł w milczeniu.

— Gdyby pioruny padały z oczów ludzkich, pewno księżna Jadwiga jużby nie żyła —

odezwał się Nick.

— Drażnisz tygrysa — odezwał się Jerzy Bogacz, poczem pochylił się do żony. —

Widziałem, księżno, że ci te zapasy przykrość sprawiają, więc przerwać je

kazałem. Wszystko, co pani mej niemiłe, zawsze z oczu jej będę usuwał.

Jadwiga rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

— Dziękuję — szepnęła.

I bladość wnet znikła z jej lic, oczy zabłyśły wesoło, i spokojna weszła do sali godowej. A wspaniała była to sala — o ścianach z marmuru, o posadzkach z mozaiki, o sklepieniu, mistrzowskim pędzlem przyozdobionem. Czarne niewolniki, wykute z kamienia, dźwigały szczerozłote świeczniki, w których

płonęły woskowe świece, żółte światło po białych ścianach rozlewając. Z galeryi, co salę otaczała, dochodziły wesołe dźwięki trąb i fletów, zachęcające do tańca.

— Jakże tu pięknie! — zawołała Jadwiga.

Wtem przystąpił do niej sam cesarz i, podawszy ramię, do tańca powiodł, a za

niemi poszły inne pary. Jadwiga z dziecinną wesołością się bawiła. Podczas, gdy młodzież tańcami się zabawiała, starsi w przyległych komnatach

rozmową czas sobie skracali. A były to czasy ciekawe, mieli więc o czym mówić:

jednych żywo zajmował świeżo zawarty w Toruniu traktat, mocą którego mistrz

krzyżacki zrzekł się Pomorza; drudzy opowiadali z oburzeniem o zbytkach

Medyceuszów i t. d.

Tak się bawiono aż do białego dnia. Nareszcie zaczęło znużenie wszystkich

ogarniać. Weselne gody nazajutrz powtórzyć się miały, każdy więc pragnął spocząć

choć parę godzin. Wielu miało pozostać w zamku książęcym, lecz wielu w mieście

musiało szukać schronienia, boć tylu gości, służby, koni, lubo obszerny, nie

mógł pomieścić w swych murach zamek w Landshucie. Na tę uroczystość zjechało do

stolicy Bawaryi , koni gościnnych, półtora tysiąca powozów i ludzi wielka
moc. Wszystkie więc gospody w mieście i wszystkie stajnie zajęte zostały; lecz
książę Jerzy zapłacił za wszystko, co goście zjedli, wypili i użyli po gospodach. Odjeżdżający, żegnając nowożeńców, składali im dary bogate: klejnoty,
materye i zbroje; dworzanie zabierali te dary i do skarbcza odnosili.

Już rozeszli się wszyscy z tych, co w mieście gospody zajmowali, gdy zgięty
wpół, z twarzą, śmiesznie wykrzywioną, przystąpił do nowożeńców błazen w pstrej
szacie.

— I mnie, pokornemu słudze, niechaj będzie wolno złożyć ci, księżno, pani moja,
dar skromny, równie, jak skromnym jest ten, co go daje — rzekł, oczyma
wywracając.

To powiedziawszy, wyciągnął rękę: na dłoni jego błyszczał drobniutki przedmiot:

korona książęca, która zdała się być ze złota i dyamentami usiana.

— To Nick, błazen mój nadworny, wesóły chłopiec, który nieraz rozśmieszy cię,
księżno, do łez — rzekł książę. — Łaskawie przyjm dar od niego, bo to mój wierny
sługa.

Jadwiga uśmiechnęła się i palcami ujęła koronę, chcąc się lepiej przyjrzeć

misternej robocie, — lecz, zaledwie uniosła ją nieco w górę, korona rozsypała

się w jej palcach. Śmiech powstał w sali. Jadwiga spojrzała zdumiona na swoje

palce, z których pył złoty się sypał.

Nick ręce rozkrzyżował.

— Niestety, nie wszystko złoto, co się świeci — rzekł, wstrząsając smutnie głową.

Korona z piasku była ulepiona i szkłem osypana.

Jerzy Bogacz śmiał się głośno z dowcipu swego ulubieńca, lecz na księżnę żart ten niemiłe wywarł wrażenie. Spostrzegł to mąż i, uderzywszy lekko białą po twarzy, rzekł:

— Zmartwiłeś swą panią, zasługujesz więc na karę.

Błazen, kwiląc, jak dziecko, uciekł z sali, a książę zwrócił się do żony.

— Bądź spokojną, Jadwigo — rzekł, — bogactwa, jakie widziałas w moim domu, złudą

nie są; powiozę cię którego dnia do Burghausu, a tam pani moja zobaczy, niby w

zamkach zaklętych, lochy, pełne skarbów. Małżonek twój, Jadwigo, potężnym jest;

boją się go sąsiedzi i obalić nie będą próbować, bo wiedzą, że mieczem lepiej

władą od nich i że żaden z nich nie ma tyle złota na swe rozkazy, co on.

II.

Cały tydzień trwały gody weselne: rankiem łowy, po obiedzie gonitwy rycerskie,

wieczorem tańce urozmaicały gościom czas. Bawiono się też przechadzką, grą w

kości, rozmową, strzelaniem do celu; nie brakło, jednym słowem, zabaw gościom w

Landshucie. Mimo to, co dzień ktoś ubywał, bo każdy śpieszył do domu. "Wszędzie

dobrze, lecz w domu najlepiej" — mówi przysłowie, — a zresztą obowiązki wzywały do powrotu. Już miała niebawem i królowa Elżbieta ze łzami pożegnać córkę, a wraz z braćmi Jadwigi, młodymi królewiczami, Władysławem i Kazimierzem, odjechać. Coraz puściej robiło się w zamku.

By spokojniejszą być o córkę, królowa Elżbieta zostawiła przy niej jedną ze swych dam dworskich, niewiastę już poważną. Była to Katarzyna ze Stobna, wdowa po rycerzu, co umarł skutkiem ran, otrzymanych pod Puckiem, w walce z Krzyżakami. Katarzyna była przy urodzeniu Jadwigi, wypiastowała ją sama, czuwała nad jej kołyską, nad jej pierwszymi krokami; odpłacała sercem za łaskę królowej. Wzajemne one miały obowiązki względem siebie i rozumiały to obie. Królowa pamiętała, że mąż Katarzyny oddał życie w sprawie państwa, — Katarzyna, że w chwili, gdy mąż kaleką został, Elżbieta stała się ich aniołem opiekuńczym; zgodziła się przeto chętnie zostać z Jadwigą, tem chętniej, że miała córkę maleńką, a Jadwiga obiecywała zająć się losem małej. Dziewczynce tej na imię było Basia; liczyła ona lat siedem, a że była wesoła, serdeczna, więc chwytala każdego za serce. Prócz Katarzyny została jeszcze z Jadwigą w Landshucie druga poważna niewiasta z orszaku królowej Elżbiety: Magdalena z Żorawicy, również wdowa po rycerzu, towarzyszu męża Katarzyny. Syn jej już lat liczył. Obie

niewiasty żyły w ścisłej przyjaźni, obie służyły od dawna na dworze Elżbiety, i
gdy Magdalena dowiedziała się, że Katarzyna z woli królowej zostaje
w
Landshucie, natychmiast pobiegła do Elżbiety, pokłoniła się jej do
nóg, prosząc,
by jej też zostać pozwoliła.
— My z Katarzyną jak siostry rodzone, a syn mój jest narzeczoną
Basi — mówiła
głosem wzruszonym; — nie rozdzielaj więc nas, pani, pozwól mi
zostać w
Landshucie. Chłopiec mój przyda się księciu

Bawaryi, gdyż niechybnie wyrośnie na dzielnego rycerza pod okiem
tak potężnego
pana.
Królowa zezwoliła, i obie przyjaciółki zostały w Landshucie, a z
nimi jeszcze
dwie młode dziewczęta: znana z męstwa Zofia Poletyło, litwinka
rodem, sierota, na
dworze królowej Elżbiety wychowana, która dzielniej jeździła na
koniu, celniej
strzelała i zręczniejszemu pierścienie zdobywała podczas gonitw od
niejednego
rycerza, — i siostra jej, Marya, przeciwieństwo tamtej, cicha,
pobożna, pełna
pokory i słodyczy, aniołem zwana. Została też w Landshucie z
królową Jadwigą
dwóch młodych Koziatulskich, Jędrzej i Bolek, z których jeden słynął
z odwagi,
drugi z nauki. Ten ostatni władał pięcioma obcymi językami biegle,
jak własnym;
otrzymał on przy księżnie urząd tłumacza.
Na zakończenie godów weselnych książę Jerzy postanowił zaprosić
gości i dworzan

do Burghausu. Bawiło jeszcze w Landshucie kilku rodaków Jadwigi,
prócz tych, co
tu stale zamieszkać mieli, więc księżę chciał im pokazać swe skarby...
Próżnym
był i pragnął, by goście, wróciwszy do siebie, opowiadali dziwy o
księciu
Bogaczu. Pewnego przeto dnia orszak wyruszył dworno i strojno.
Księżna Jadwiga
jechała w jednym powozie z matką, a z niemi cicha Marya Poletyłło,
— cała w
bieli, wrazenie lilii czyniła; tuż za księżną jechały Katarzyna i
Magdalena z
małą Basia, razem w jednej karocy, a za niemi damy niemieckie. Po
prawej stronie
pojazdu widać było księcia Jerzego, a obok niego z jednej strony
piękną,
czarnooką Zofię Poletyłło w stroju szkarłatnym, wdzięcznie
odbijającym od jej
kruczych włosów,

z drugiej Nicka, który skurczył się i drżał, udając, że konia się boi; po
przeciwnej stronie pojazdu jechali obaj bracia Kozietulscy, Jędrzej i
Bolek.
Bolek nie odstępował księżny, gdyż co chwila był jej potrzebny. Obok
pojazdów
dam dworskich jechała reszta panów, należących do orszaku księcia i
księżny.
Słońce już zachodziło, gdy podróżni ujrzeli przed sobą mury
Burghausu. Zamek
czynił wrazenie warowni nie do zdobycia. Most zwodzony opadł,
łańcuchy,
podtrzymujące go, zadzwoniły głucho, ciężka, okuta sztabami
żelaznemi brama
rozwarła się i orszak wjechał na dziedziniec. Z sieni posepnego
budynku wybiegła

tłumnie służba; jedni wierzchowce za uzdy ujęli i panom zsiąść z
siodeł pomogli,
drudzy drzwi pojazdów roztworzyli. Panie wysiadły. Jerzy podał
ramię matce,
książę Albrecht Jadwidze, a tuż przy młodej księżnie szła Marya i
Bolko, dalej
inne damy, wsparte na ramionach rycerzy. Weszli z mrocznej sieni do
olbrzymiej
sali, której okna, grubemi kratami opatrzone, też niewiele światła
wpuszczały.
Dwunastu srebrnych apostołów i między nimi złoty Chrystus
milczącemi twarzami
powitali wchodzących, a krwawo zachodzące słońce, wdarłszy się
mimo żelaznych
krat aż tutaj, oblało purpurową łuną białe ściany tej sali. Jadwiga
obejrzała
się wokoło, i przebiegł ją dreszcz mimowolny.
— Zamek ten czyni na mnie wrażenie więzienia — rzekła do stojącej
obok niej
Maryi, — a ci apostołowie wrażenie surowych sędziów.
— I na mnie również — cicho odparła Marya.

— W zamku tym niejednokrotnie pokutowali
baronowie za swe grzechy; niejednokrotnie książęta Bawaryi
zwoływali w tej sali
na nich sąd i wyroki wydawali — rzekł elektor.
Sądzić było można, iż zrozumiał, co do siebie powiedziały Jadwiga i
Marya.
Bolko pośpieszył przetłómaczyć księżnie jego słowa; dreszcz ją
znowu wstrząsnął.
— Więc w sali tej płakali i cierpieli ludzie! — szepnęła.
Wtem zbliżył się do niej książę z matką, a za niemi Nick.
— Zdaje się czynić przykre wrażenie na tobie. Jadwigo, ten zamek —
rzekł; —
postaram się je rozproszyć.

To powiedziawszy, coś szepnął Nickowi; ten klasnął w dłonie, jak dziecko, zdjął czapkę z głowy, podrzucił ją w górę, schwytał w powietrzu, zasadził za pas, wywrócił kilka koziołków, a gdy zebrani w sali śmiechem uczcili jego zręczność, wybiegł z sali, bijąc piętami o plecy i wtórując im krzykliwym śmiechem. Tymczasem Jerzy Bogacz powiódł gości do dalszych komnat; wszystkie były posępne, milczące i głuche: marmurowe stoły, kamienne ławy, w nich stojące, nadawały im bardziej jeszcze surowy charakter. — Teraz zejdziemy do lochów — rzeki ksiązę i skierował się napowrót ku sieni, z której wiodły schody do podziemi, tak obszernych, iż stanowiły drugie mieszkanie. Straż stała u drzwi, lecz drzwi były już rozwarte. Ksiązę wszedł pierwszy z matką, za niemi

księżna Jadwiga, potem inni. Zaledwie przestąpiono próg ciemnej piwnicy, krzyk podziwu wyrwał się ze wszystkich ust: przy krwawem świetle pochodni, które trzymali żołnierze, u ścian lochu stojący, stała wielka kadź, w której błyszcząły drogie kamienie. Ksiązę puścił ramię matki, nabrał pełną ich garść i rzucił w górę; zamigotały one przy blasku pochodni, a gdy spadały napowrót do kadzi, zdało się, że to deszcz gwiazdzisty pada. Wszyscy patrzyli z zachwytem, a Nick, bijąc w ręce, począł obracać się na końcach palców i śmiać cicho. Czynił

on w tej chwili wrażenie jakiejś zaklętej istoty, i Jadwidze się zdało, że jest

żoną zaczarowanego królewicza; na jej dziecinnej twarzyczce malowało się

zdziwienie. Książę ujął jej rękę i do ust poniosł.

— Wrażenie niemile zatarło się, nieprawdaż? — zapytał.

— Dziękuję wam, książę! — odparła z wdzięcznym uśmiechem Jadwiga.

Wtem Nick zgiął się przed nią.

— Pierwsze wrażenie to ostrzeżenie Jowisza — rzekł.

— Nicku!... na kłódkę usta każę ci zamknąć, jeżeli będziesz wciąż płoszył

wesołość swej pani! — odezwał się Jerzy Bogacz z uśmiechem.

— Niechaj moja pani powoli odwyka od uśmiechów, a mniej tęsknić za nimi będzie,

gdy los śmiać się jej zabroni — odparł uparty Nick.

— Zawiązać ci każę usta na całe dwadzieścia cztery godzin! — z gniewem tym razem krzyknął książę.

— Nie uczynisz tego, panie, bo przez całe dwadzieścia cztery godzin nuda

dręczyłaby ci duszę — rzekł błazen zuchwale.

Książę ruszył ramionami.

— Idź na przód! — rzekł.

Przeszli do lochu następnego. Tu blask czerwony pochodni odbijał się w stosach

srebrnej bitej monety. Nick zrzucił trzewiki z nóg, wbiegł na ów stos i pieniądze rzucać począł w górę i chwycić w powietrzu, a czynił to tak zręcznie,

iż ani jedna sztuka nie upadła na ziemię, — migwały tylko w czerwonych blaskach,

jak gwiazdy, gdy przelatują ciemne przestrzenie. Naraz Nick rzucił całą garść

pieniędzy na stos, i rozległ się brzęk cichy, któremu nagle jęk jakiś ponury

zawtórował. Wszyscy obejrzeli się trwożnie.

— Słyszałam brzęk kajdan i płacz ludzki — szepnęła Jadwiga.

— Ja toż samo — odparła Marya.

— To pewno błazen nową sztukę ku naszej ucieście urządził — rzekł Bolko.

W trzecim lochu, do którego następnie przeszli, było zgromadzone złoto. Nick

znowu tutaj zabawiał gości księcia pociesznymi figlami. I tak przechodzili z

piwnicy do piwnicy, coraz bardziej zdumieni. Słyszeli wszyscy od dawna o

bogactwach, znajdujących się w Burghausie, lecz to, co zobaczyli tu, przeszło

ich oczekiwania. I wrócili do komnat zamku, przejęci zachwytem.

Jerzy Bogacz

przeistoczył się w ich oczach w zaczarowanego królewicza; mógł on być teraz

pewnym, że goście jego, wróciwszy do domu, dziwy o nim opowiadać będą.

W "sali dwunastu apostołów" zastano przygotowane do uczyty stoły.

Przy uczcie

godziny zbiegły, jak jedna chwila, i noc już zapadała, gdy, dosiadłszy pojazdów

i koni, wszyscy ruszyli do domu. Znowu most zwodzony zahuczał głucho, a gdy

goście go minęli, strażnik most podniósł, cisza zaległa zamek, gwar uleciał za

gośćmi, a w zamku zostało milczenie. Błady księżyc torował drogę księciu Bawaryi

i jego drużynie. Przy jego świetle w dali za nimi rysowały się niewyraźnie mury

Burghausu, przed nimi zaś dachy chat mieszkańców okolicznych.

Nagle ukazała się na niebie krwawa luna, a z luną tą jednocześnie rozległy się w

powietrzu jęki i szlochania. Jadwiga wychyliła się niespokojna z pojazdu i konie zatrzymać kazała.

— Co to? — spytała jadącego tuż przy niej Bolka.

— Łuna pożar wskazuje — odparł dworzanin; — pali się niedaleko. To powiedziawszy, ukłuł ostrogą konia i znikł w ciemnościach nocy. Zgiełk wzrastał się, okrzyki leciały od łuny, a wśród drużyny, wracającej z

Burghausu, gwar powstał. Zatrzymały się pojazdy i konie panów.

Jedni drugich

pytali: "Co to? gdzie to?", a nikt na te pytania odpowiedzieć nie umiał.

Nick,

który drzemał na koźle, zawodzić począł żałośnie; damy z dworu księcia

wykrzykiwały co chwila: "Boże wielki!"

Naraz na polach, blaskiem księżyca oblanych, zarysowały się jakieś cienie

niewyraźne. Cienie te zbliżały się szybko ku pojazdom książęcym, a biegły

od strony, gdzie łunę widać było; skargi i jęki leciały za nimi. Po chwili

orszak książęcy ujrzał się oblężonym przez tłum kobiet, dzieci i starców.

Gromada rzuciła się do kolasy Jadwigi, a najbliższy ze starców, przystąpiwszy

tuż do powozu,

mówił:

— Jesteśmy kupcami; zjechaliśmy z różnych stron Bawaryi do Landshuty na twe

gody, pani, i pod murami miasta rozłożyliśmy krainy swe z towarami, w nadziei,

że obcy goście towary nasze kupować będą. Kupowali też chętnie, płacili hojnie,

grosz sypał się do kalety; gdy wtem, dziś oto w południe, wpadł między nas Hans

von Lubeck ze swą bandą straszną i rabować począł nasze kramy i
skrzynie, tych
zaś, którzy mienia bronili, bić kazał, a gdy w kramach nic już prawie
nie
zostało, podpalił je.

Jadwiga zrozumiała to opowiadanie i wzrokiem poszukała męża; stał
opodal, z

twarzą spokojną słuchając skarg pokrzywdzonych i patrząc na łzy
niewiast

— Książę, ależ to czyn ohydny! — rzekła doń głosem wzruszonym.

— Mówiłem mej pani, że Hans von Lubeck jest tygrysem — odparł z
uśmiechem Jerzy.

— Czyż ujdzie mu to bezkarnie, i ci nieszczęśliwi będą pozbawieni
mienia? —

spytała Jadwiga.

Jerzy się zaśmiał.

— Widziałaś, księżno, Burghaus?... bądź więc spokojną; jutro oddam
każdemu, co
stracił w płomieniach — rzekł wesoło.

Jadwiga podała księciu rękę, którą on pocałował z uśmiechem.

— Czy zadowolona moja pani? — zapytał.

— Zupełnie — odparła księżna.

— Jakże to często poranek jest piękny, a południe chmurne! —
wykrzyknął za

księciem Nick.

Książę odwrócił się do niego.

— Ci ludzie jutro w południe zejda się na dziedziniec zamkowy, i nie
będzie

chmurnem południe w Landshucie.

Nick zwrócił się do płaczących, przybrawszy postawę poważnego
mówcy.

— Niewiasty stroskane, wierne żony małżonków pokrzywdzonych,
matki troskliwe o

mienie swych dzieci! — odezwał się, — oto pan mój, Jerzy Bogacz,
przez usta

moje rzecze wam: "Zbiegnijcie się jutro tłumnie na zamek, a oddane wam będzie,
co płomień wam ukradł, co ukradli wam służalcy Hansa von Lubeck i co ukradną wam
kłamliwe ludzkie słowa. "Śmiechem zadrzała cicha noc. Jadwiga niezrozumiała
dobrze Nicka, lecz widząc, że mowa jego wywołała wesołość zamiast wzruszenia,
zwróciła się do Bolka:
— Powiedz tym nieszczęśliwym, że krzywdy, dziś im wyrządzone, jutro nagrodzone
będą, że szlachetny książę Jerzy nie dozwoli, by poddani jego stratę ponieśli.
Bolek spełnił rozkaz księżny. Spłakane kobiety otarły łzy i błogosławić zaczęły
Jadwigę. Pojazdy ruszyły, jeźdźcy dosiedli koni, a za odjeżdżającymi

leciały dziękczynne głosy niewiast. Czerwona luna gasła powoli i cisza wracała.
Nazajutrz w południe ludno było na dziedzińcu zamkowym w Landshucie, bo
pokrzywdzeni zbiegli się po obiecane odszkodowanie. Jerzy Bogacz rano jeszcze kazał przywołać do siebie podskarbiego, a
gdy ten stanął przed nim, rzekł:
— Księżna Jadwiga rozporządza dziś skarbcem; ile zażąda pieniędzy, tyle dać jej
winienesz.
Podskarbi skłonił się księciu, a Jerzy do żony podążył.
— Ważne sprawy wywołują mnie dziś z domu — powiedział jej; — pożegnać cię muszę.
Wrócę późnym wieczorem. Lecz gdy zbiorą się w południe na dziedzińcu
pokrzywdzeni, wyjdź do nich i wynagrodź; pieniędzy dostarczy ci podskarbi.

Gdy dworzanie dali znać Jadwidze, że kupcy zebrali się na dziedzińcu, księżna, przywoławszy Katarzynę ze Stefanem, Basie, oraz Bolka, podążyła do pokrzywdzonych, a jednocześnie posłała jednego z dworzan do podskarbiego, by z pieniędzmi pośpieszył. Podskarbi przyniósł wielką skrzynię, pełną złota. Jadwiga pytała każdego po kolei, jaką stratę poniósł, i wynagradzała ją natychmiast. Basia, matka jej i Bolek pomagali w tej czynności: Bolek tłumaczył skargi kupców zrabowanych, Katarzyna liczyła pieniądze, Basia je podawała księżnie. Hojnie nagrodzeni odchodzili, błogosławiąc Jadwigę i sławiąc jej dobroć. Nick z pocieszoną miną zatrzymywał każdego z obchodzących.

— Ile zarobiłeś, kochaneczku, na pożarze? — pytał.

Nick znany był w Landshucie w dowcipu i złośliwości.

— Zaprosimy cię jutro na ucztę, a przekonasz się — odpowiadali mu ze śmiechem uczciwi.

Ci zaś, co w istocie przesadzili stratę, unosili się gniewem i obrzucali błażna obelżywymi wyrazami.

— Uderz w stół, nożyce się odezwą — mówił Nick, kłaniając się nisko.

Już podwórzec zamkowy wreszcie opustoszał. Księżna, zwróciwszy się do Basi, pocałowała ją w czoło.

— Dziękuję ci, Basiu, za pomoc — rzekła. — Ach, jak to przyjemnie jest łzy

ocierać i uśmiech na usta wywoływać!

— O, przyjemnie bardzo, i chciałabym mieć dużo pieniędzy, by móc dużo dobrego robić — odparła dziewczynka.

Nagle jakiś hałas podniósł się za bramą; zatętniły kopyta końskie, zarżały

rumaki, głosy ludzkie słyszeć się dały.

— Czy to księżę wraca? — spytała Jadwiga.

Wtem wbiegł Nick do sali.

— Hans von Lubeck jedzie! wielki baron Bawaryi jedzie! Precz z drogi! — wołał,

dzwoniąc swą błazeńską czapką i obiegając wokoło.

Jadwiga pobladła.

— Powiedźcie mu, iż księcia niema w domu — rzekła, zwróciwszy się do

podskarbiego, — a ja...

Brama się rozwarła, i Hans von Lubeck we zbroi w towarzystwie kilku innych

rycerzy wjechał na dziedziniec. Po chwili zbliżył się i złożył księżnie ukłon

głęboki.

— Miłościwa pani! Błogosławieństwa pocieszonych powiedziały mi, iż będę miał

szczęście tu cię ujrzeć.

Jadwiga ledwie dumnym skinieniem głowy odpowiedziała na powitanie gościa.

— Hans von Lubeck kornie skłania czoło przed księżną Bawaryi — ciągnął tymczasem

dalej rycerz. — Leży mi na sercu wytlómaczenie się z czynu, jakiegom wczoraj się

dopuścił. Zelżyłaś mnie, pani, na turnieju, musiałem więc złość na kimś

spędzić...

— Niegodne to rycerza chrześcijańskiego — odparła Jadwiga.

Lubeck uśmiechnął się szyderczo.

— Mąż twój, pani, a pan mój jest chrześcijaninem i rycerzem — odrzekł; — gdy

jednak gniew kipi mu w sercu...

Na bladą twarz Jadwigi wybiegły rumieńce.

— To kłamstwo niegodne! — przerwała gwałtownie; — mąż mój nie pali i nie rabuje mienia cudzego!...

— Hans von Lubeck jeszcze nigdy do kłamstwa się nie poniżył...

— Nie chcę słuchać rzucanych na męża mego oszczerstw — przerwała mu znów

Jadwiga, — żegnam was przeto, rycerzu!

Skinawszy głową z godnością, skierowała się ku kaplicy zamkowej.

Nick podążył za

nią, wzdychając

ciężko. Hans von Lubeck rozśmiał się, a śmiech ten, choć cichy, lecz szatańsko

straszny, doleciał do uszu księżny; zadrżała nieboga mimowoli.

— Chcę sama zostać — rzekła do Nicka u progu kaplicy.

Długo modliła się księżna, podczas gdy Nick siedział posepny u drzwi. Nareszcie

ukazała się znowu. Czerwone powieki świadczyły, że płakała. Nick stanął przed

nią smutny i poważny; takim go jeszcze nie widziała.

— Czy chcesz mnie o co prosić? — zapytała. On ukląkł przed nią.

— Księżno! wyjmij z piersi serce i zamknij je do skrzyni ze złotem, a lepiej ci

będzie na ziemi — rzekł głosem dziwnym.

Nie wiedziała, co sądzić o tych słowach; czyżby chciał ją rozśmieszyć?

— Serce wyjąć z piersi? — powtórzyła tonem prawie żartobliwym; — toż ono źródłem

jest szczęścia! Wolę cierpieć zresztą, niż nie móc kochać — dodała smutnie i

poważnie.

Nick w milczeniu kraj jej szaty ucałował, a gdy Jadwiga się oddaliła, powstał,

złożył ręce na piersiach i pogonił za nią wzrokiem.

— Całowałaś relikwie, szatę męczennicy, Nicku! — szepnął sam do siebie.

III.

Lat cztery zaledwie ubiegło od owego czasu. Północ. Na zamku
głęboka panuje
cisza. W kilku oknach jednak widać jeszcze światło, zaś u otwartej
bramy
wjazdowej czuwa straż. Snadź kogoś oczekują, bo i sień zamkowa
jeszcze
oświetlona, a na dębowych ławach drzemią dworzanie. W komnacie
księcia Jerzego
płoną świece woskowe. Skulony w kącie kiwa się paż niebożę, —
pana wyczekuje,
więc się nie położył; lecz sen to także pan, i temu nie uledez trudno.
W sypialni księżny, również jeszcze błyszczą światło. Przybyły tam
dwie kołyski;
córeczka starsza liczy dwa lata, młodsza trzynaście miesięcy dopiero.
Chociaż to
północ, księżna bawarska nie śpi wszakże, lecz siedzi obok kołyski
młodszej
dzieciny, poruszając ją lekko, bo dziecię zbudziło się z płaczem.
Nakarmiwszy,
usypia je teraz mateczka piosenką; lecz w głosie jej drży wielki
smutek, a na
młodem czole zmarszczka głęboka się rysuje. Lat cztery minęło
zaledwie od dnia
jej ślubu, a jak się zmieniła: z lic rumieńce uciekły, oczy mgła smutku
powlokła. Czyżby żona Jerzego Bogacza nie była szczęśliwą?... toż
ma tyle złota,
iż byłoby za co szczęście kupić, a przed mężem jej drżą przecież
sąsiedzi,..
Przestała wreszcie nucić, poczem, wsparłszy rękę o krawędź kołyski,
głowę na
dłoni położyła i wpatrzyła się w przestrzeń zamyślona. Zwieszająca
się od pułapu

lampa rzucała słabe światło na komnatę. Z sąsiedniego pokoju ledwo dochodziły

równe oddechy Katarzyny i Basi. Nic nie przerywało smutnych
dumań księżny. Taki
krótki przeciąg czasu takie wielkie zmiany poczynił w jej życiu! Z
jakąż wiarą
przed dwoma laty jeszcze patrzyła w przyszłość! jak piękną i pogodną
zdawała się
jej ona wówczas! a dziś jaki strach przed jutrem niepewnym serce jej
ściska! Lat
temu cztery zaledwo, wsparta na ramieniu męża, dumna z niego i
pełna zaufania,
wstąpiła po raz pierwszy w podwoje tego domu; dziś na wspomnienie
dnia owego
oczy jej łzami zachodzą...
Długo siedziała tak, zboląła, zgnębiona, ciężarem myśli przytłoczona,
— wreszcie
podniosła się wyprostowana, łzy otarła, i jakieś postanowienie
zabłysło w jej
oczach.
— Muszę raz prawdy się dowiedzieć, muszę doczekać się jego
powrotu i rozmówić
się z nim otwarcie; to mój obowiązek! Nie powinnam dłużej milczeć
— mówiła sama
do siebie, a zbliżywszy się do okna, uklękła: — Panie, wspieraj mnie!
—
westchnęła, podnosząc wzrok ku gwiaźdzystemu sklepieniu; — daj
słowom moim siłę
przekonywającą, wlej w serce moje męstwo i spokój!...
Wtem dała się słyszeć wrzawa z poza murów, otaczających zamek.
Serce Jadwigi
zabiło mocno; wstała i chwiejnym krokiem wyszła z sypialni.
Tymczasem obudzili
się drzemiący w sieni zamkowej dworzanie i pozrywali z ław z
głośnym ziewaniem;

zbudził się i paż w sypialni książęcej, zerwał się też żywo na nogi i obejrzał dokoła, czy wszystko gotowe na przyjęcie pana. Niebawem głuchy hałas

przeszedł w wyraźny tętent kopyt, rzenie rumaków i głosy ludzkie. — Książę, książę! — wołali dworzanie. — Więcej światła! I po chwili dziedziniec zadudniał, i ukazał się Jerzy Bogacz, otoczony liczną drużyną. Rycerze, zeskoczywszy z siodeł, za księciem do zamku podążyli.

— Niechaj wieczerzę podają; głodni jesteśmy, jak psy! — krzyknął Jerzy, kierując się do jadalni, już jasno oświetlonej, w której zapach wina i pieczonego mięsa mile drażnił powonienie.

Stół zastawiony był suto. Nalane winem puhary i pełne półmiski czekały na zgłodniałych. Posepna twarz księcia rozjaśniła się na ten widok; pochwycił pierwszy z brzegu puhar, a wychyliwszy go do dna, ujął kawał mięsa palcami i jadł chciwie. Towarzysze jego, nie czekając na zaproszenia, zabrali się również do wieczerzy, zasiadając wygodnie wokoło stołu na wysokich dębowych krzesłach.

Książę rzekł po chwili:

— Uczujcie sobie, choćby do białego dnia, jakbyście byli we własnym domu, a ja odpocząć pójdę. — I, skinąwszy głową, podążył do swej sypialni. Naraz posłyszał ciche kroki od strony pokoi, które Jadwiga zajmowała.

— Kto tam? — zapytał.

— To ja — odpowiedział mu głos łagodny, i z ciemnych podwoi wysunęła się blada postać księżny.

— Nie śpisz jeszcze? — spytał zdumiony Jerzy.

— Czekałam na ciebie — odparła.

Ton, jakim wymówiła te słowa, był tak od zwykłego odmienny, że Jerzy podniósł

wzrok badawczy na żonę.

— Do białego dnia mogłaś była czekać, bo przecie często wracam dopiero o świcie

— rzekł.

— Czekałabym i do rana — odparła, — bo chciałam cię zobaczyć koniecznie.

— Czy masz mi co do powiedzenia?

— Chciałam się dowiedzieć, gdzie byłeś?

— Nie zwykłem zdawać sprawy nikomu z mych czynności! — mruknął gniewnie i

zwrócił się ku sypialni; lecz Jadwiga zaszła mu drogę.

— Chcę, muszę wiedzieć! — rzekła stanowczo.

— Choć chcesz, nie dowiesz się, księżno — odparł tym samym tonem Jerzy. — Radzę

ci, wróć do do dzieci, bo twoje miejsce przy nich; one tobie winne posłuszeństwo, a ty mnie.

— Będę ci posłuszną, jeśli uspokoisz me obawy. Powiedz, czy prawdą jest, że

wracasz z rozbójniczej wyprawy; że gdy niema cię w zamku, grabisz mienie twych

sąsiadów; że napadasz kupców, przejeżdżających przez nasze lasy, i towary im

zabierasz; że źródło twych bogactw czystem nie jest! Odepchnij te potwarze,

zaprzecz mi choć jednym słowem, a ja uwierzę ci i wrócę spokojna do dzieci.

Jerzy nie przerywał żonie; słuchał jej z brwią ściągniętą, z czołem zmarszczonem.

Jadwiga, ośmielona jego milczeniem, mówiła coraz odważniej:

— Ojcem jesteś; nie wolno ci na głowę swych
dzieci ściągać przekleństw ludzkich'

— Wróć do dzieci, księżno! — tłumiąc gniew, wymówił głucho Jerzy;

— wróć, dopóki

panuję nad

sobą.

— Wrócę natychmiast, lecz powiedz te trzy słowa: "Jadwigo, to
oszczerstwo!" —

rzekła księżna.

— Noc przeznaczona jest na spoczynek; jutro dam ci odpowiedź —
mruknął Jerzy. —

Pamiętaj, proszę, zem twoim panem.

Jadwiga pochyliła głowę i poszła do siebie, — lecz zaledwo doszła,
siły ją

opuściły, zachwiała się i padła zemdlona. Łoskot zbudził śpiące w
przyległej

komnacie siostry Poletyło, które przybiegły natychmiast, pochyliły
się wylekłe

nad Jadwigą, Zofia wzięła ją na ręce i, na łożu złożonywszy, zaczęła
trzeźwić

omdlałą. Długo, lecz bezskutecznie używały różnych środków,
płacząc cicho, aż

wreszcie z piersi Jadwigi dobyło się ciężkie westchnienie.

— Żyje! — krzyknęła Marya.

Jadwiga otworzyła oczy, westchnęła raz jeszcze i rękę do Maryi
wyciągnęła.

— Żyję — szepnęła; — lecz stokroć byłoby dla mnie lepiej, gdybym
była umarła...

Marya przycisnęła jej rękę do ust i znowu płakać zaczęła.

— Zapominasz, pani, że matką jesteś — odezwała się Zofia.

W tej chwili z przyległej komnaty doleciało kwilenie dziecka;

Jadwiga dźwignęła

się na łożu.

Zofia wybiegła do sypialni księżniczek i nieba, wem wróciła, wiodąc
za rękę

starszą dziewczynkę

niemowlę zaś tuląc w objęcia. Widok dzieci okazał się
najskuteczniejszym
lekarstwem na cierpienia księżny, ujrawszy bowiem córki,
wyciągnęła do nich
ramiona, a z oczu jej polały się łzy, niosąc ulgę zbolełemu sercu.
— O, dzięki ci, Zofio! — rzekła. Zofia uklękła przy jej łóżku.
Chwilę pieściła się matka z dziećmi, poczem Zofia namówiła ją, by
spróbowała
zasnąć.
— Dzień nowe troski przynieść ci może, pani — mówiła, — zbierz
więc siły.
Jeszcze kilka godzin spocząć możesz, a ja z Maryą czuwać będziemy
nad tobą.
Wśród ciszy, która zaległa pokój, wkrótce sen skleił znużone płaczem
powieki
żony Jerzego.

* * *

Około południa dnia tego w zamku Landshuty rozbiegła się nowina,
która mocno
wszystkich zajęła; Jerzy Bogacz oznajmił dworzanom, że żona jego
wyjeżdża. Zamek
Burghaus, otoczony lasami, leży w zdrowym położeniu, a lekarz
zalecił księżnie
świeże powietrze, — wyjedzie dziś przeto jeszcze. "Księżna sama
wybierze, kogo
chce mieć z sobą" — głośno oznajmił książę zebranych u niego
panom. Lecz po cichu
krążyły inne pogłoski, które powtarzali sobie wszyscy: że między
księciem a
księżną zaszło nieporozumienie, że wyjazd jej to wygnanie.
Księżna wszakże niczem nie zdradzała, aby wyjazd ten był jej choć
trochę
przykry. Spokojnie

gotowała się do podróży; zwołała swój dwór i rzekła do zebranych pań i panów:

— Jadę na kilka miesięcy do Burghausu. Znacie ponury ten zamek.

Ciche życie w

nim wieść będę, nie nalegam więc na nikogo, by mi towarzyszył; kto chce ze mną

jechać, wezmę go z ochotą.

Katarzyna ze Stobnicy, Magdalena, Zofia, Marya, Bolek i brat jego,

Jędrzej,

oświadczyli z zapalem, iż pojedą z księżną. Jadwiga podała im dłoń na

podziękowanie i kazała czynić przygotowania do podróży. O

dzieciach nie

wspominała, nie wydawała piastunce poleceń, — wchodziła tylko co chwila do

pokoju córek, to jedną, to drugą brała na ręce i wpatrywała się w ich twarzyczki

ze smutkiem tak głębokim, jak gdyby te twarzyczki nie uśmiechały się do niej.

Już wszystko gotowe było do drogi, już woźnice zakładali konie do kolas i

siodłali wierzchowce, gdy zahuczało na dziedzińcu, a w chwilę potem wszedł do

pokoju księżny Bolek i oznajmił jej, że stary książę Bawaryi, który od kilku

tygodni bawił z żoną u młodszego syna, powraca teraz i pragnie z nią mówić.

Jadwiga pobladła, lecz spokojna udała się do teścia. Stary książę czekał na nią

w swoich komnatach; siedział w wielkim krześle dębowym, ozdobionem książęcą

koroną, posepnie zamyślony. Gdy synowa stanęła przed nim, podniósł na nią wzrok

surowy i zapytał:

— Czy prawdą jest, księżno, żeś zasłużyła na wygnanie?

Kto szerzył tę wieść po zamku, trudno było odgadnąć, — dość, że każdy ją

powtarzał, chociaż nikt

obecny nie był przy rozmowie Jadwigi z mężem. Nick nie powtórzyłby jej z pewnością; chyba więc posłyszał ją ktoś ze służby. Stary książę jeszcze progu nie przestąpił, a już wiedział o wyroku, jaki syn jego wydał na swą młodą żonę.

Wprawdzie rano Jerzy odwiedził Jadwigę i zażądał, by natychmiast opuściła

Landshutę i w Burghausie zamieszkała, mówiąc, że to kara za jej nieposłuszeństwo, — lecz przy tej rozmowie nikt nie był obecny.

Ojciec Jerzego Bogacza kochał swą synową, śpieszył przeto, zaniepokojony tą

wieścią, do zamku; chciał się z synem naprzód zobaczyć, by zapytać, co za

nieporozumienie zaszło między nim a żoną; lecz go nie zastał: Jerzy wyjechał na

łowy, a dworzanie nie spodziewali się jego powrotu, aż późno wieczorem; posłał

przeto po synową.

— Czy prawdą jest, księżno, żeś zasłużyła na wygnanie? — zapytał ją surowo.

Jadwiga podniosła na niego wzrok spokojny, lecz smutny.

— Tak jest, ojczy — rzekła; — wyjeżdżam do Burghausu za chwilę, lecz kiedy

wrócę, nie wiem.

— Cóżżeś zawiniła?

— Żądałam od syna twego, panie, by mi powiedział, czy prawdą jest, że oddaje się

grabieży; żądałam, by, jeśli tak jest, zaprzestał ohydnych napaści, które

przekleństwo i łzy ludzkie ściągają na głowy jego dzieci...

— Nic więcej? — spytał łagodnie stary książę.

— Nic — odparła Jadwiga. — Na to mąż zagroził mi karą; kazał przysiąc, że nigdy

więcej pytać go nie będę, gdzie był i skąd wraca, że ślepa będą

i głuchą na wszystkie jego czyny i pogłoski o nim, a gdym przysięgi
tej wykonać

nie chciała, kazał wyjechać z Landshuty.

Tu głos jej zadrzał; ręce załamała.

— Ojcze! ojcze! — zawołała, — jakam ja nieszczęśliwa! On mi dzieci
zabrania

zabrać z sobą, on mnie z dziećmi rozłącza.

I osunęła się do nóg starego księcia.

— Ojcze! — zawołała, — pociesz mię, wstaw się za mną; wszystko
zniosę pokornie,

z poddaniem, byle nie rozłąkę z dziećmi!

Stary książę pochylił się ku niej wzruszony.

— Nieszczęśliwa matko! co będzie w mej mocy, uczynię — odparł,
położywszy rękę

na jej ramieniu.

Jadwiga załkała jeszcze głośniej i objęła kolana starca.

— Źle zrobiłaś, co prawda, drażniąc męża — odezwał się książę
znowu głosem

surowym. — Wy, niewiasty, winiłyście czuwać nad cnotą waszych
synów, braci i

mężów; lecz łagodność to jedyna broń wasza, bo gniew wasz, upór i
ostre słowa

podniecają nasz gniew i nasz upór, a tylko łagodność i pokora
rozbrajają nas. O,

czemu cierpliwości nie wezwałaś na pomoc!... Podnieś się, córko. Co
będzie w mej

mocy, uczynię, by wyrok twego męża złagodzić. Pojedziesz do
Burghausu dziś, jak

tego żąda, bez dzieci i będziesz czekała cierpliwie mych odwiedzin; a
mam

nadzieję, że z dziećmi przyjadę. Toć niemowlęta opieki matki jeszcze
potrzebują;

przedstawię to Jerzemu.

Jadwiga podniosła się z kolan.

— O, dzięki ci, panie, za nadzieję, jaką mi serce napelniasz! — rzekła.

— Dzięki

ci! Teraz pożegnam dzieci me spokojnie. Nie mogłam myśleć o rozstaniu z niemi;

odwagi mi brakło. Ty, ojcze, córki mi wkrótce przywieziesz.

Księżę pocałował w czoło płaczącą synowę, i poszli razem do dzieci.

Młodsza

córeczka spała spokojnie w kołysce, nie domyślając się, jakie jej grozi sieroctwo, a starsza bawiła się na kolanach piastunki; ujrawszy

wchodzącego

dziadka, wyciągnęła do niego rączki.

— Dziadziu, dziadziu! — szczebiotała.

Stary księżę wziął ją na ręce, ucałował i oddał matce.

— Uściśnij mamę, Elżuniu — rzekł, — i powiedz jej, że jutro z dziadziem, tatką i

małą siostrzyczką do niej przyjedziesz.

Jadwiga przycisnęła dziecko do serca, krzyż zakreślając nad jej główką.

— Niech łaska Boska czuwa nad tobą! — rzekła drżącym głosem, poczem oddała

Elżunię piastunce, zbliżyła się do kołyski, lekko pocałowała niemowlę, a

podniósłszy wzrok na piastunkę, odezwała się:

— Niechaj przyjdzie pani Katarzyna. Piastunka wyszła spełnić rozkaz księżny, a

Jadwiga zwróciła się do ojca.

— Przywieziesz mi, ojcze, dzieci — rzekła; — wierzę w twą obietnicę, jak wierzę

w Boga, jak wierzę w zmartwychwstanie, jak wierzę w żywot wieczny po śmierci.

— Podziękuj Wszechmocnemu za tę wiarę; On ci ją wlał w serce, byś mężnie zniosła

rozstanie — odparł książe.

W tej chwili weszła Katarzyna ze Stobnicy.

— Prośbę mam do ciebie, zacna przyjaciółko— rzekła do niej
Jadwiga.

— Rozkazuj pani — odparła Katarzyna.

— Zostań w Landshucie; z dziećmi do Burghausu przyjedziesz.

— Więc dzieci twe, księżno, nie jadą z tobą?— spytała Katarzyna,
badawczy wzrok

zatrzymując na córce królowej Elżbiety.

— Później do mnie przyjadą — wyjąkała Jadwiga.

— Bądź pewną, księżno, że czuwać będę nad niemi, jak nad własnymi
— rzekła

Katarzyna.

Jadwiga w milczeniu dłoń jej uścisnęła.

W godzinę potem z nielicznym orszakiem dworzan młoda i piękna
księżna Bawaryi

jechała do Burghausu. Poczucie, że jest niewinną, że spełniła swój
obowiązek,

czyniąc wymówki Jerzemu, — nadzieja, że wkrótce zobaczy córki,
dodawały jej

siły. Wzmocniona na duchu, wjechała do ponurego zamku i rozgościła
się w nim.

Lecz, gdy ją cisza tych wielkich pustych komnat otoczyła, gdy
bezsenna noc

nadeszła, gdy Jadwiga poczęła rozmyślać nad wszystkim, co
przebyła, i

przypomniały się jej słowa starego księcia: " Źle zrobiłaś, drażniąc
go", —

zaczęła pytać siebie niespokojnie, czy słusznie otrzymała tę
wymówkę. Gdyby była

czekała stosownej chwili, możeby inaczej przyjął mąż jej słowa; a
teraz któż

zaręczy, czy nie zatnie się w uporze i dzieci nie puści

do niej, czy nie odepchnie jej na zawsze od siebie. Jego nie nawróciła
z drogi

błędu, a siebie skazała na straszną samotność, na straszniejszą jeszcze tęsknotę za córkami. O, czemuż cierpliwości nie wezwała na pomoc, czemu nie zapanowała nad sobą!

Długo ją dręczyły myśli takie i oczu zamknąć nie pozwalały, — dopiero nad ranem sen skleił jej powieki, a dzień przyniósł strapionej pociechę; gdy się zbudziła, ujrzała pochyloną nad swem łóżkiem Maryę, która rzekła do niej z uśmiechem:

— Przyjechał książę Ludwik z dziećmi i Katarzyną.

Z okrzykiem radości zerwała się księżna i, suknię przywdziawszy, do ojca pośpieszyła. Ze łzami ucałowała jego ręce i nogi, uściskała dzieci i przyjaciółkę.

Stary książę cały dzień zabawił w Burghausie, a żegnając synowę, rzekł:

— Oddaj się cała córkom, o nich myśl tylko i czekaj cierpliwie; nie wątpię, że gniew męża przeminie. Ja cię często odwiedzać będę.

Jadwiga ukłękła u nóg jego.

— Pobłogosław mi, abym cierpliwą i mężną być umiała. Nad nim czuwaj, mój ojczy!

* * *

Ciche i jednostajne życie wiodła Jadwiga w Burghausie. Rano z dziećmi, Katarzyną i Stefanem jechała zwykle po pobliskiego lasu; taki był podobny do lasów, wśród których wzrosła, że prawie doznawała złudzenia, iż wróciła w strony rodzinne.

Starszej córeczce pokazywała drzewa i kwiaty,

które w lasach ojców matki rosły także, i nazw ich uczyła Elżunię;
pokazywała
jej ptaki, jakie i jej, gdy dzieckiem była, śpiewały, i kazała dziecku
powtarzać
ich nazwy, — młodziej zaś córeczce śpiewała piosnki, których ją
nauczyła
Katarzyna w domu ojca. Wróciwszy z takiej wycieczki do domu, szła
Jadwiga do
kaplicy na mszę; potem z Maryą i Zofią wyszywała na krosnach
dywany do kościoła,
a przy tej pracy wszystkie trzy biegły myślą w lata dziecinne i mówiły
o
stronach rodzinnych, o braciach i siostrach. Dobrze im było ze
wspomnieniami. Po
obiedzie Zofia z Bolkiem, jego bratem i Stefanem dążyła na łowy.
Ciche życie,
jakie wiodła przy Jadwidze, nie wystarczało jej. Żywa, ognista jej
natura
potrzebowała ruchu, czynu i wrażeń, więc brała udział w łowach,
odbiegała
księżnę na parę godzin, — ale za to w zamian przynosiła jej potem
odbicie
wrażeń, jakich doznała, i opowiadaniem swem urozmaicała ciche
wieczory. Jadwiga
zawsze wyczekiwała jej powrotu niecierpliwie i witała ją z radością.
Podczas
nieobecności Zofii księżna zabawiała się z dziećmi, których wesołe,
niewinne
śmiechy rozlegały się wśród ponurych ścian zaniku.
Tak płynęły dwie księżny na wygnaniu. Nie tęskniła ona za zabawami;
miała
dzieci, miała grono serdecznych przyjaciół wokoło siebie i nie
pragnęła więcej.
Raz na tydzień odwiedzał ją stary książe i zwykle dzień cały spędzał
w
Burghausie, — a raz na dwa miesiące zjeżdżał mąż i bawił godzin
parę zaledwie.

Ucichły powoli pogłoski, że Jadwiga skazaną została na wygnanie;
twarz jej,
zawsze pogodna, kłam temu zadawała. Lecz gdy nikt nic widział,

księżna płakała często, i nieraz w nocy, gdy wszyscy już w zamku
spali, przez
milczące i głuche komnaty przesuwiała się postać niewieścia z lampą
w ręku; to
księżna szła do sali, gdzie stały wizerunki -tu apostołów o surowych
twarzach,
— gdzie milczący lecz łagodny Chrystus zdawał się mówić:
"Chodźcie do mnie,
strapieni, a ja wam dam pociechę". U stóp Jego klękała biedna i
błagała o
cierpliwość i wytrwałość. Czasami, zostawiwszy lampę u stóp
Chrystusa,
wychodziła na krużganek zamkowy i wsłuchiwała się z niespokojnem
biciem serca,
czy nie doleczą ją jęki i szlochania ludzi, i pytała tej nocy milczącej,
czy tam
gdzieś, w dali, mąż jej nie rabuje, nic pali, nie morduje... Widywała
ojca
każdego tygodnia, lecz, ilekroć zapytała go, czy Jerzy zmienił swe
obyczaje,
stary książę odpowiadał jej zawsze:
— Wychowuj córki na zacne niewiasty; to twoje zadanie. Do czego
mocy nam
braknie, tego nie usiłujmy dokonać, bo zmarnujemy życie w zapędach
daremnych.
Widywała czasami męża, lecz wyglądał zawsze tak surowo, iż nie
miała odwagi
przemówić do niego.
Tak minęły dwa lata. Żadna niepokojąca wieść nie mąciła cichego
życia w
Burghausie. W Landsliucie czuwał stary książę, by nie donoszono
Jadwidze nic o

życiu Jerzego, — w Burghausie zaś czuwało nad nią wierne grono przyjaciół. Gdyby nie przypuszczenia i wspomnienia przebytych udręczeń, nie miałyby teraz powodu do zmartwienia.

Pewnego poranku wracała Jadwiga z przechadzki, a wracała piechotą, bo ranek był taki cudowny, że dłużej użyć go chciała. Była to wiosna; od lasu zalatywała balsamiczna woń żywicy, od łąk aromatyczny zapach ziół. Ptaki, ścieląc sobie gniazda, przelatywały z radosnym świergotem nad głowami przechodniów. Pierzaste obłoki, promieniami słońca w złoto lamowane, przesuwwały się po niebie. Przed nią biegly z wesołym szczebiotem dwie jej córeczki, obok niej uśmiechnięte szły Katarzyna. z Magdaleną, a za niemi Basia ze Stefanem. Dręczące myśli, które nocą nawiedzały Jadwigę, dalekiemi były od niej w tej chwili: zdawała się być szczęśliwą... Wtem w dali dojrzała jeźdźca, który pędził drogą do zamku.
— Czy to nie z Landshuty? — zawołał Stefan, a Basia do matki się zbliżyła.
— Może nam gości z Landshuty zapowiada?— rzekła Basia.
— Goście z Landshuty nie zapowiadają swych odwiedzin — odparła księżna.
— A może królowa Elżbieta przyjechała niespodzianie? — rzekła Basia.
Rumieńce wybiegły na twarz Jadwigi, radość błysnęła w jej oczach.
— Matka! — szepnęła rozpromieniona; lecz wnet zgasła radość w jej oczach. —
Skądżeby? — rzekła. — Pożegnałyśmy się na zawsze, i za odległa to dla niej droga

do Landshuty. Pisałam zresztą do niej, by nie wierzyła, gdyby jaka
wieść o mnie,
budząca obawy, dobiegła ją, bom ja teraz szczęśliwa...
Katarzyna spójrzała na nią z uwielbieniem.

— Nawet przed matką kryje swe cierpienia — pomyślała.
Jadwiga przyśpieszyła kroku; piastunka wzięła młodszą księżniczkę
na ręce, —
starsza już dobrze biegła. W przedsionku czekał na księżnę Bolko,
któremu
goniec list oddał.
— Pismo od księcia Jerzego do was, pani — rzekł, wyciągając rękę z
listem.
Jadwiga pobladła.
— Z pieczęcią żalobną — szepnęła.
Milczeniem odpowiedział jej Bolko. Ona pieczęć rozłamała i
niespokojnym wzrokiem
przebiegła pismo. Nagle papier wypadł z jej rąk; załamała dłonie.
— Ojciec nie żyje! — krzyknęła.
Lecz wnet, przypomniawszy sobie, że nie jest sama, obróciła się,
spokojna
pozornie, do otaczających ją kobiet.
— Książę wzywa nas na pogrzeb swego ojca do Landshuty — rzekła;
— pojedziemy
natychmiast.
Nie pytając o dalsze rozkazy, Bolek pośpieszył na dziedziniec i wydał
rozporządzenia. Katarzyna i Magdalena zajęły się tymczasem
składaniem sukien do
skrzyń podróżnych, Basia im pomagała, inni myśleli o sobie.
W godzinę potem pusto już było w Burghausie, a drogą, do Landshuty
wiodącą,
podążały wozy i kolasy.
Książę Ludwik umarł nagle. Jeszcze dnia poprzedniego mówił, że
rankiem wybierze
się do Burghausu, bo mu tęskno do wnuczek, i zachęcał syna, by z
nim jechał;

lecz Jerzy odmówił, gdyż miał na

myśli zbrojny napad na ziemię sąsiednią. Ojciec domyślał się czegoś i usiłował

odciągnąć syna od zamiaru, i przemówili się podobno, a szepty chodziły po zamku,

że waśń ta stała się przyczyną śmierci starego księcia. Ile w tych szeptach było

prawdy, Bogu jedynie wiadomo, — to tylko pewne, że rankiem, gdy paż książęcy

wstał z posłania i zbliżył się do łóżka starego księcia, by zobaczyć, czy śpi

jeszcze, przerażony został widokiem jego twarzy, na której już wieczysty

zapanował spokój. Zbudził przeto dworzan, sprowadził ich do sypialni, i

przekonano się niebawem, że był to spokój śmierci.

Książę Jerzy wybierał się właśnie na wyprawę; już nogę zakładał w strzemię, gdy

stanął przed nim Nick i rzekł:

— Każ, panie, zaprowadzić konie do stajni i idź do ojca.

Książę spojrział na niego zdziwiony.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Znaczy, że książę Ludwik prosi cię na swój pogrzeb — odparł Nick.

Jerzy Bogacz zadrżał; wyrzuty sumienia zbudziły się w jego sercu.

Podążył do

sypialni ojca, padł na kolana przed łóżkiem, począł całować zimne ręce starca i

łzami je oblewać.

— Przebacz mi, ojcze! — wołał, nie zważając na otaczających go dworzan; —

przebacz, ojcze!

A starzec leżał cichy, poważny i milczący. Dworzanie z przerażeniem patrzyli na

rozpacz pana. Nareszcie wyczerpały się łzy w oczach żałującego syna,
i Jerzy
Bogacz podniósł się, poszedł do swego pokoju i napisał list do żony,
by wracała
z dziećmi

do Landshuty. Skruszony grzesznik chciał tym czynem zmazać dawne
błędy, czyniąc
zadość woli zmarłego.
Gdy pojazdy Jadwigi stanęły na dziedzińcu zamkowym, Jerzy
pośpieszył naprzeciw
niej. powitał ją, jak gdyby nigdy niezgoda nie stanęła między niemi;
dzieci
uściskał czule. — Śmierć ojca nawróciła go widocznie — myślała
Jadwiga i gdy,
wprowadzona przez męża do pokoju, gdzie spoczywał umarły,
przybrany już
uroczyście, uklękła u stóp katafalku, skłoniwszy głowę na piersi,
rzekła
spokojnie:
— Wola Twoja Panie!
W trzy dni potem odbył się wspaniały pogrzeb starego księcia
Bawaryi. Oprócz
synów z żonami, wnuków i krewnych, bliższych i dalszych, zjechali
licznie
niemieccy baronowie i książęta. Z królewską wspaniałością odbył się
smutny ten
obrzęd; panowie niemieccy na barkach swych ponieśli srebrną
trumnę, a tuż za
marami szli obaj synowie z żonami i dziećmi, szła stara księżna,
wsparta na
ramionach wnuków, a za niemi postępowali liczni krewni. Za
najbliższą rodziną
toczył się zwolna wielki wóz, ciągniony przez osiem koni, a wóz i
konie były

osłonięte kirem, za wozem zaś szli panowie i panie dworu, następnie
liczny
zastęp rycerstwa, w końcu karoce z dostojnymi gośćmi. Cały ten
kondukt
pogrzebowy wyprzedzały różne bractwa ze światłem jarzącym, długie
szeregi
zakonników z twarzami ukrytymi w kapturach, z różańcami w rękę,
księża świeccy,
uczniowie szkół wyższych z profesorami w togach i biretach i zacy ze
swymi
bakałarzami.

Wąskie ulice Landshuty z trudnością mieściły tę cizbę.. Orszak,
przesuwający się
powoli i poważnie, wstępował po drodze do wszystkich kościołów, by
w każdym
złożyć ofiarę. Wystawiono mary w pośrodku świątyni, księża
obchodzili je wokół,
ponure śpiewając "requiem", podskarbi rzucał złoto na srebrną tacę,
stojącą
przed wielkim ołtarzem, i znów baronowie brali trumnę na ramiona i
szli dalej
ulicami miasta, aż wreszcie złożono zwłoki do podziemnych grobów
książęcych.
Nazajutrz po pogrzebie przyjezdni opuścili Landshutę, lecz Jadwiga
została z
dziećmi i dworem swoim; tak chciał Jerzy Bogacz.
— W nieszczęściu, jakie mnie dotknęło, nie odstępisz mnie przecię?
— rzekł do
niej, gdy wrócili z pogrzebu. — Rzućmy w niepamięć wzajemne
urazy i żyjmy odtąd
w zgodzie.
— Tego i ja pragnę całym sercem — odparła Jadwiga.
Niebawem wśród dworzan podawano sobie szczęśliwą nowinę, że
księżna powróciła do
łask swego pana i męża, że wyrok wygnania zdjęty z niej został.

IV.

Drogę, od Landshuty do Burghausu wiodącą, dawno już zarosły chwasty, — odkąd bowiem ponury ten zamek opuściła księżna Jadwiga, odtąd nikt

prawie go nie odwiedzał. Czasami tylko księżę Jerzy z nieodstępным swym błaznem Nickiem i podskarbin przyjeżdżali tutaj. Jaki cel miały te odwiedziny, nie wiedział nikt, prócz dozorca zamku. Jan Erben (tak się zwał ów dozorca) sam księciu bramę otwierał, gdy ten przybywał tutaj, sam ją za nim zamykał, sam wyjmował z pojazdu wielką skrzynię, z którą zawsze księżę przyjeżdżał, i niósł ją razem z podskarbin do lochów, gdzie z napełnionej szkatuły sypali złoto i srebro na stosy nagromadzonych już tam drogich kruszców. Każdego zaś wieczora Jan Erben obchodził z pacholkami wszystkie komnaty zamczyska, wszystkie sienie, kryjówki, korytarze i lochy jego, — oglądał starannie okna, czy zamknięte, kraty, czy nie naruszone, zamki, czy nie zepsute, — zasuwiał rygle, drzwi na klucze zamykał i, zawiesiwszy ich cały pęk u pasa, nie powierzał ani na chwilę nikomu. Słońce zegnało już ziemię; cienie nocy obejmowały białe milczące ściany zamku; w pustych komnatach głucho dźwięczały kroki systematycznego dozorca, który z dwoma

pachołkami kończył właśnie przegląd zamku. Wszystko znaleźli w porządku, jak zwykle, — bo któż obcy ośmieliłby się zapuścić w ten labirynt posepny, strzeżony przez tak czujnego cerbera. Jan Erben zamknął na klucze i rygle ostatnią komnatę, poczem wstąpił jeszcze na krużganek zamkowy, by się przekonać, czy w zaroślach, otaczających Burghaus, nie gotuje kto zdradzieckiej zasadzki. Noc zasiała już niebo gwiazdami, z poza obłoków wysunął się księżyc i długą smugę świetlaną rzucił na zarosła chwastem drogę.

Erben wpatrzył się w tę drogę i Czas jakiś pozostał nieruchomy; może myślą wrócił do owych czasów, gdy tu Jadwiga mieszkała. Już wówczas był on tu dozorcą, lecz włos jego nie był jeszcze tak biały, a twarz nie tak bardzo pomarszczona, jak dzisiaj. Za dozorcą stali milczący dwaj pachołkowie, poziewając z cicha.

Naraz Erben wyciągnął palec wskazujący przed siebie.

— Henryku, Jakóbie! co tam widzicie? — zapytał.

Pachołkowie przysunęli się do balustrady, otaczającej krużganek.

— Punkt czarny — odparli jednocześnie.

— Punkt czarny — powtórzył za nimi dozorca, głową skinąwszy na znak, że i on go

widzi. I znowu patrzył i milczał.

— Henryku, Jakóbie! co widzicie teraz? — zapytał po chwili.

— Pojazd, ciągniony przez cztery konie — odparli obaj chłopcy.

— Pojazd, ciągniony przez cztery konie — powtórzył za nimi jak echo dozorca i

głową skinął.

— Henryku, Jakóbie! co widzicie teraz? — wykrzyknął po raz trzeci.

— W pojeździe księżna Jadwiga siedzi z córkami, panią Katarzyną i panną Barbarą,
przy powozie na koniu jedzie pan jakiś.
Tym razem Erben nie powtórzył za nimi, tylko śpiesznie na dziedziniec podążył i skierował się do bramy, poza którą czekał już pojazd księżny Jadwigi, a obok niego na koniu młody Stefan, syn

Magdaleny. Erben krzyknął na drzemiącego strażnika, rozkazując spuścić most zwodzony, i skierował się do pojazdu; lecz drogę zaszedł mu Stefan, który, zeskoczywszy z konia, pośpieszył naprzeciw niego.

— Księżna przybywa znowu na mieszkanie do Burghausu — rzekł.

— Każ oświecić komnaty, ogień na kominach rozpalić i wieczerzę zgotować; noc chłodna, wszyscy zziębnięci.

— Rozkaz książęcy jest? — zapytał chłodno Erben.

— Lat temu sześć również nic na piśmie nie przywieźliśmy — rzekł Stefan.

Erben zdawał się namyślać; twarz jego stała się bardziej jeszcze surową. Po chwili odparł:

— Brama otwarta, można wjechać.

Stefan pośpieszył do księżny, Erben ku dziedzińcowi podążył.

Niebawem pojazd zatrzymał się przed sienią zamkową. W progu jej stał pochmurny dozorca, za nim pacholek z lampką w ręku. Z niskimi pokłonami zbliżyli się obaj do przybywających. Erben otworzył drzwiczki powozu, i wysiadła z niego Jadwiga, blada i smutna, a za nią dwie jej córki: Elżbieta i Małgorzata, obie dziś już

spore dziewczynki; starsza liczyła już teraz lat dziesięć, młodsza
osiem. Za
niemi wolno wchodziła po stopniach Katarzyna, którą te sześć lat
bardzo
zmieniły; twarz jej, zmarszczkami pooraną, otaczały białe jak srebro
włosy. Za
Katarzyną ukazała się Basia, hoża i zdrowa siedemnastoletnia
dziewczyna, a obok
niej stanął Stefan, dorodny młodzian, którego matka, zacna
Magdalena, umarła
wkrótce po

powrocie z Burghausu do Landshuty. Wszyscy w czerni, jakby
żałobie; wszyscy
smutni, jakby na pogrzeb zjechali.
— Otwórzcie, panie Erben, dawne moje pokoje — odezwała się
księżna do dozorczy,
na ukłon iego poważnem odpowiadając skinieniem.
Erben w milczeniu zwrócił się ku sieni.
— Światła! — krzyknął na pachołka.
I powiódł księżnę w głąb' zamku, dobywszy klucze z za pasa. Kolejno
zgrzytały
zamki, rygle się usuwały, a kroki idących dźwięczały głucho po
kamiennej
posadzce. W pokojach, które, lat sześć temu, zajmowała księżna
Bawaryi, nie
zmieniono nic przez ten czas; nawet łóżka były zasłane. Małe kołyski,
zostawione
wówczas dla Elżbiety i Małgorzaty, obecnie, jako nie przydatne,
kazała Jadwiga
zabrać. Młode księżniczki zajęły teraz pokój, który dawniej Marya i
Zofia
zamieszkiwały. Pokój ten łączył się z pustymi komnatami zamku. Nie
przestraszało
to jednak księżnę. Mocne rygle i zamki strzegły drzwi, a klucze znany
z

gorliwości Erben miał stale przy sobie, więc najmniejsze
niebezpieczeństwo nie
groziło z tej strony. Dalsze komnaty zajęła Katarzyna z Basią,
najwięcej zaś
oddalony pokoik dostał się Stefanowi. Erben, otworzywszy pokoje,
pośpieszył
zbudzić nieliczną służbę zamku. Na rozkazy księżny wkrótce w
ogrzanych pokojach,
obmiecionych z pyłu, ustawiono skrzynie z przywiezionymi rzeczami,
zasłano
czysto łóżka, w jadalni zaś nakryto stół i podano wieczerzę. Zasiedli
wszyscy w
milczeniu i spożyli ją, poczem udano się na spoczynek. Jadwiga nie
wyszła z
pokoju córek,

aż usnęły obie, — potem, wzięwszy światło, udała się do kaplicy, by
pomodlić się
w ciszy. Na kurytarzu spotkała Katarzynę.
— Pójdź ze mną — rzekła do niej. — Przed tobą tajemnic nie mam;
będziemy razem
płakały i modliły się, jeśli płakać nie zapomniała jeszcze.
Uklęły u stóp ołtarza jedna obok drugiej i modliły się długo. Z oczu
Katarzyny
płynęły łzy obficie, lecz Jadwiga ani jednej nie uroniła. Na jej twarzy
malowała
się bezgraniczna boleść... Gdy powstały obie, Katarzyna rzekła:
— Teraz położysz się, księżno, i będziesz starała się usnąć; wszak
prawda?
— Czyż ja usnąć będę mogła? — odparła Jadwiga. — Nie położę się,
lecz siądę w
oknie i na drogę ku Landshucie patrzeć będę.
— Jeśli tak, nie odstąpię cię, pani.
To mówiąc, przestąpiła próg sypialni księżny. Jadwiga nie broniła jej
tego.

Usiadła przy oknie, naprzeciw niej Katarzyna, i długo milczały obie.

Z

przyległych pokoi dochodził ich równy oddech, świadczący o spokojnym śnie księżniczek.

— Napisz, księżno, o wszystkim do matki — odezwała się pierwsza Katarzyna; —

niech wie, jak nieszczęśliwą jesteś.

— Za nic! — odparła stanowczym tonem Jadwiga. — Nie chcę, aby ktokolwiek z mej

rodziny wiedział, jakim jest mój mąż. Toż ja dlatego wyjechałam z Landshuty, aby

Elżbieta i Małgorzata nie dowiedziały się o postępach ojca. Nie chcę, by

cośkolwiek uwłaczającego czci Jerzego doszło przeze mnie do wiadomości mej

rodziny. Ufam Bogu, że się

jeszcze nawróci, a gdy się dowie, że opuściłam Landshutę, przyjedzie tu i powie:

"Przysięgam ci, że odmienię życie!"

— Więc to bez woli księcia dziś wyjechałyśmy? — spytała Katarzyna.

— Zapewne jeszcze nic o tem nie wie — odparła Jadwiga z westchnieniem. — Nie

było go, jak wiesz, w domu, gdym wyjeżdżała, a przedtem nie powiedziałam mu nic

o swoim postanowieniu. Ileż razy klęczałam u nóg jego, błagałam, zaklinałam na

miłość dzieci, na pamięć ojca!... Słuchał, najczęściej nic nie odpowiadał, ani

razu gniewem nawet się nie uniósł. Łzami i prośbą usiłowałam go nawrócić, lecz

nadaremnie!

Tu umilkła, twarz w dłoniach ukrywszy.

— Książę nie widzi nic złego w swem postępowaniu, bo nie on jeden
wśród książąt
niemieckich wie takie życie — odezwała się Katarzyna.
— Taką mi też dał odpowiedź — rzekła Jadwiga, twarz odsłoniwszy;
— lecz ja mu
tłómaczyłam, że grzechy innych nie upoważniają nas do grzechu. Jam
od lat
najmłodszych przywykła widzieć w rycerzu tylko obrońcę swej ziemi,
a on czem
jest? niszczycielem, zaborcą cudzej własności! Gdy mnie, młodej i
szczęśliwej,
matka z rozradowaną twarzą rzekła: "Jadwigo, Jerzy Bogacz, książę
Bawaryi,
nieustraszony rycerz, prosił o twą rękę, i jam mu ją przyrzekła", z
radością
pomyślałam sobie: Jakaż to będzie chluba oprzeć się na ramieniu tego
rycerza! I
ojciec mój walczył, i ojca mego zegnałam niejednokrotnie, gdy na
wyprawę zbrojną
podążał; lecz on jechał, by tych, co płakali, z niedoli wyrwać....

Z bolesnym wyrazem twarzy mówiła to księżna, a gdy skończyła,
milczenie
zapanowało w komnacie.
Po chwili odezwała się Katarzyna:
— Ufaj księżno, że mąż twój jutro, pojutrze najdalej przybędzie po
ciebie, lub
przyśle list, przyrzekający poprawę, i prosić będzie, byś wracała. Z tą
nadzieją
udaj się na spoczynek. Toż matką jesteś; córki twoje nieletnie; długo
jeszcze
będziesz im potrzebną. Bezsensowność i myśli posępne to trucizna; nie
zabijaj się
dobrowolnie, bo samobójstwo jest grzechem.
Jadwiga podniosła się.

— Masz słuszość — rzekła. — Panie! Ty, co wszystko możesz,
uspokój myśli me i
daj mi potrzebną siłę i męstwo! — zawołała, podnosząc wzrok na
ukrzyżowanego
Chrystusa, który wisiał nad jej łóżkiem. Potem nagle rzuciła się
Katarzynie na
szyję i głośnym wybuchnęła płaczem.
— Płacz, płacz, nieszczęśliwa! niech łzy ulgę ci przyniosą! — mówiła
Katarzyna,
tuląc ją w objęciach, jak czuła matka swą córkę.
Jadwiga powoli uspokajać się zaczęła. Zmęczoną odprowadziła
Katarzyna do łóżka,
a pokrzepiający sen skleił niebawem znużone powieki księżny. Nie
odstąpiła jej
jednak i wtedy wierna przyjaciółka i czuwała nad nią do samego rana.
Ranne
słońce zbudziło Jadwigę, i ujrzała siedzącą u nóg swych Katarzynę.
— Przyjaźń wierna to balsam, łagodzący największe cierpienia serca
— rzekła,
uśmiechem darząc swą powiernicę. — Czuję się dziś o wiele
silniejszą.

Idź spocząć choć na godzin parę, wierna moja opiekunko... Urządzimy
sobie życie
po dawnemu...
Katarzyna, widząc swą panią spokojną, oddaliła się do siebie. Jadwiga
wstała i,
ubrawszy się, poszła do córek; już się pobudziły i obie pytały z
zajęciem, czy
pojadą do lasu.
— Pamiętasz, matko, jak to, gdy byłyśmy maleńkie, chodziłaś z nami
codziennie do
lasu? Tam tak pięknie! Uczyłaś mnie wtenczas nazwy kwiatów i
ptasząt. O, ja
pamiętam te piękne ranki! — mówiła mała, tuląc się do matki i
całując ją

pieszczotliwie.

Uśmiech szczęścia rozjaśnił twarz Jadwigi. Uśmiech ten ucieszył dzieci; taka

smutna była ona wczoraj... Więc zaczęły wesoło szczebiotać i roić, jak im czas

mile w Burghausie upływać będzie.

Dzieci wogóle lubią nowość: milczący i ponury zamek podobał się im. Małgorzatka,

naturalnie, nie pamiętała zupełnie Burghausu, — Elżbietka miała o nim mgliste,

niepewne tylko wspomnienia; ciekawe więc go były obiedwie, ciekawe jego okolic,

ciekawe lochów tajemniczych, o których dziwy w Landshucie słyszały. I dzień im

upłynął tak prędko w Burghausie, iż nawet nie miały czasu wspomnieć Landshuty.

Rano zbierały kwiaty na łąkach, południe spędziły w lesie z matką, słuchając

śpiewu ptasząt, po obiedzie z Basią i Stefanem, którzy bawili się z nimi, jak

gdyby sami byli dziećmi. Głośne, swobodne śmiechy objęły się o posepne mury

zamku, i Jadwiga pod wpływem wesołości dzieci poweselała sama i również nie

miała czasu

pobiedz myślą, do Landshuty. Lecz kiedy wieczór zapadł i dzieci spać poszły,

Jadwiga rzekła do Katarzyny:

— Próżne nasze nadzieje! nie przyjechał i nie przyjedzie pewno! — I westchnęła

ciężko.

— Może nie wrócił jeszcze z wyprawy; może czeka, czy nie upokorzysz się,

księżno, i sama nie wrócisz do Landshuty... — odparła Katarzyna, która, choć w

sercu żadnej nie miała nadziei, wlać ją jednak usiłowała w serce
Jadwigi. — Póki
rana jeszcze świeża w jej sercu, krzepić ją będę nadzieją — myślała
sobie, — aż
czas, ten lekarz najlepszy, i tę ranę zablizni.
Tak upływały tygodnie, a Jerzy Bogacz nawet nie pytał, co porabiają
żona i
dzieci. Jadwiga zdawała się wszakże godzić ze swoim losem.
Pozornie była
spokojną, wesołą nawet chwilami, a dzieci zachwycone były
Burghausem; w lasach,
otaczających zamek, tyle było czarów, na łąkach tyle kwiecica, a na
polach tak
wesoło śpiewali żniwiarze! Prócz tych przyjemności miały jeszcze i
inne: matka
nauczyła je wyszywać na krosnach piękny dywan do kaplicy
zamkowej; Stefan grywał
na lutni, Basia śpiewać umiała, — wieczorami więc słuchały muzyki.
Stary Erben,
ponury i nieprzystępny dla każdego, dla nich przyniósł ułaskawionego
gołąbka,
który jadł chleb z ich rąk, na ramionach im siadywał i gruchał wesoło,
gdy je
zobaczył. Wśród tylu przyjemności nie było czasu tęsknić za
Landshutą.
Miesiąc szybko upłynął tymczasowym mieszkańcom Burghausu
wśród niczem nie
zakłóconego spokoju. Jadwiga zaczynała już nawet lepiej wyglądać.

Pewnego wieczoru przywołała do siebie Katarzynę i długo z nią
gawędziła.
— Zaczynam się godzić z myślą, iż do Landshuty nie wrócę — rzekła.
— Kiedy nie
mogę wpłynąć na Jerzego, by zaprzestał rozbójniczych napaści, to
przynajmniej

nie będę o nich słyszała. Córki wychowam na uczciwe niewiasty, a potem, gdy za mąż pójdą, do klasztoru jakiego się schronię i Bogu się poświęcę. Wieczora tego Jadwiga usnęła snem tak spokojnym, jakiego dotąd nigdy w Burghausie nie zaznała. Nazajutrz zbudziła się późno, gdy słońce już wysoko było na niebie. Zdziwiona ciszą, jaka wokoło panowała, wstała śpiesznie i udała się do pokoju córek; lecz nic było ich tutaj. Drzwi, rozwarte do dalszych komnat, skrzypiały cicho. Serce jej przeniknął dziwny niepokój, — lecz rozśmiała się zaraz z tej próżnej obawy. — Pewno z Basią do lasu pobiegły — rzekła; — nie chciały mnie budzić i tamtą wyszły stroną. Uspokojona zwróciła się do pokoju Katarzyny, lecz na progu stanęła nieruchomo; serce jej bić przestało, twarz pobladła. Straszne przypuszczenie zrodziło się w jej piersi... Basia i Stefan siedzieli tam z Katarzyną, a oczy wszystkich były czerwone od łez. Gdy ujrzeli księżnę, powstali, lecz żadne słowa nie przemówiło... Była chwila okropnej ciszy. — Gdzie moje dzieci? — spytała wreszcie bezdźwięcznym głosem Jadwiga. Katarzyna chwiejącym się krokiem przystąpiła do swej pani.

— Książę Jerzy rozkazał córkom twym, księżno, powrócić do Landshuty — odparła, chyląc głowę.

— I pojechały?

— Pojechały.

— Nie pożegnawszy się ze mną... I ty, Katarzyno, nie zbudziłaś mnie!...

— Nie pozwolił książe.

— Och! — jęknęła Jadwiga, a ukrywszy twarz w dłoniach, szybko wróciła do swego pokoju, gdzie, nieprzytomna prawie, padła na krzesło i tak siedziała nieruchoma,

jak gdyby otrzymana wiadomość zamieniła ją w kamienny posąg. Katarzyna podążyła za nieszczęśliwą i stanęła obok niej.

— Pozwól, pani, że ci opowiem wszystko, jak się stało — rzekła. Jadwiga nie dała żadnego znaku, jednak Katarzyna opowiadać zaczęła:

— Dobrze już było po północy, gdy zgrzyt klucza w zamku i ciężkie kroki zbudziły

mnie ze snu. Poczęłam się śpiesznie ubierać, nie mogąc sobie zdać sprawy, skąd

hałas ten pochodzi; instynkt tylko mi mówił, że coś nam grozi. Po chwili

poznałam wyraźnie, że w pokoju Elżbiety i Małgorzaty ktoś się znajduje.

Przerażona pobiegłam tam natychmiast, suknię tylko przywdziawszy. Weszłam

niepostrzeżona; w pokoju zastałam Erbena, księcia Jerzego i starą piastunkę

księżniczek. Ujrzawszy mnie, książe krzyknął na Erbena, by drzwi, któremi

weszłam, zamknął i klucz schował. Erben spełnił rozkaz; ja

zostałam w pokoju. Książe gniewnie popatrzył chwile na mnie, poczem rzeki:

"Zbudź dzieci i każ się im ubierać, a ty, Erbenie, poprowadź mnie do księżny. "

Wyszli z pokoju. Pewna, że książe poszedł do ciebie, pani, że nie darmo rzucałam

ci nadzieję w serce, pełna dobrej otuchy, zbudziłam dzieci i kazałam się im

ubierać, a gdy już były gotowe, przyszedł Erben i rzekł: "Książe czeka w sieni

na córki. "

Podążyłyśmy tam wszystkie, za nami Erben; księżę stał w sieni, a przed sienią jego pojazd, lecz ciebie, pani, nie było. Spostrzegłam wtedy dopiero, jak

strasznej uległam pomyłce.

"Gdzież księżna?" — spytałam.

"Księżna?" — odparł z ironią. — Księżna dobrowolnie wyjechała z Landshuty, więc

zostanie tutaj na zawsze; córkom zaś w tej ponurej ciszy żyć nie pozwolę, bo na mniszki ich nie chowam!"

Z temi słowy zwrócił się ku drzwiom i na dzieci skinął.

"Czas jechać" — rzekł.

Małgorzata i Elżbieta poczęły płakać i prosić, by im pozwolił ciebie, pani,

pożegnać, lecz zdawał się nie słyszeć tego.

"Czas jechać" — powtórzył głosem rozkazującym i ujął Elżbietę za rękę, maleńką zaś wzięła piastunka.

Stałam jak skamieniała z oburzenia i bólu, gdy wtem Elżbieta podniosła na ojca suche już oczy.

"Pozwól mi, ojczy, mego gołąbka zabrać do Landshuty" — rzekła.

Prośby tej księżę nie odrzucił.

Jeśli wiesz, gdzie jest gołąb, przynieś go" — rzekł do Erbena.

Erben skinął głową i polecenie pośpieszył wykonać. Ja chciałam skorzystać z tego

opóźnienia i do ciebie, pani, pobiegłam, by ci powiedzieć: "Pożegnaj twe córki,

bo ci je zabierają. " Lecz, niestety, drzwi, wiodące do twych pokojów, znalazłam

zamknięte; próżno kołatałam, nikt mi nie otworzył. Gdym wróciła do sieni, już w

niej nikogo nie było. Wybiegłam na dziedziniec i zobaczyłam pojazd
książęcy już
za bramą zamkową. Małgorzata płakała, twarz w dłoniach ukrywszy;
Elżbieta
pieściła gołębia, gdy zaś mię spostrzegła, od ust przesiała pocałunek i
zawołała
naszą rodzinną mową: "Pocałuj mamę; powiedz, niech nie płacze, bo
ja o niej nie
zapomnę!"
Potem Erben drzwi znów pootwierał...
— Dzieci mi wydarto! — przemówiła zgnębionym głosem Jadwiga;
— skarby moje
jedyne zabrano mi!... o ja nieszczęśliwa!
U nóg jej ukłękła Katarzyna.
— Wysłuchaj mnie do końca, pani — prosiła. — Gdy się córki twe
ubierały, stara
piastunka wsunęła mi w rękę małą karteczkę. Przeczytaj; kartka ta.
pewno cię
pocieszy trochę.
— Czytaj sama — odparła Jadwiga Katarzyna przeczytała:
"Zofia i Marya Poletylo czuwać będą nad twemi córkami i słać ci o
nich wieści.
"Łkanie wyrwało się z piersi nieszczęśliwej matki. Rzuciła się
Katarzynie na
szyję i twarz, zalaną

Izami, na piersiach jej ukryła. Katarzyna powiodła ją do kaplicy i obie
ukłękły
przed ołtarzem.
— Wola Twoja, a nic moja, Panie, niech będzie! — szepnęła
Katarzyna.
— Wola Twoja, a nie moja, Panie, niech będzie! — powtórzyła za nią
Jadwiga.
Tegoż dnia księżna Bawaryi, przywoławszy do siebie Katarzynę,
Basię i Stefana,
tak do nich rzekła:

— Wracajcie do kraju. Nie wolno mi skazywać was na życie smutne i samotne, jakie
mię czeka; nie wolno mi młodym zawiązywać przyszłości,
zatrzymując was przy
sobie. Jam zamiar miała z czasem wstąpić do klasztoru, samotność
więc mnie
czekała, że zaś wcześniej stanie się ona mą towarzyszką, to może i
lepiej.

— Niech Basia i Stefan czynią, jak chcą; ja z tobą, pani, zostanę —
odparła
Katarzyna.

— A ja za nic w świecie nic rozłączę się z matką i z tobą, pani, którą
kocham na
równi z nią — zawołała Basia, z płaczem przypadając do kolan
księżny.

— Jam sierota... Wśród was czuję się jakby wśród rodziny; nie
odganiaj więc
mnie, pani, od siebie — prosił Stefan. — Cóż pocznę na obcym mi
świecie?

Jadwiga wzruszona wyciągnęła do nich ręce z wdzięcznością.
A więc, gdy wola wasza taka, żyć będziemy tu razem — rzekła.
Dzień minął posępnie. Jadwiga bezustannie kazała powtarzać sobie
szczegóły
odjazdu swych córek,

lub odczytywała słowa, skreślone przez Zofię, co dawało jej jakby
nieco
ukojenia. Siedząc przy oknie swej sypialni, wpatrywała się uparcie na
drogę,
wiodącą do Landshuty. Próżno odciągała ją stamtąd Katarzyna,
próżno namawiała do
spoczynku.

— Dziś nikt do nas nie przyjedzie — mówiła, zgadując, iż Jadwiga
oczekuje kogoś;
— może prędzej jutro...

— A może przyjedzie — odpowiadała Jadwiga, która w istocie spodziewała się, że ktoś z jej przyjaciół pośpieszy do Burghausu, by jej opowiedzieć, co robią córki.

I nie opuszczała okna. Tu jej Basia obiad i wieczerzę przyniosła, choć ani

jednego, ani drugiej księżna nie tknęła. Niespokojna o swą panią Katarzyna nie

odstępowała jej podczas tych smutnie wlokących się godzin; Stefan i Basia

przychodzili co chwila. Na gościńcu ustał już nawet ruch wozów wieśniaczych;

cisza wieczorna zaległa wokoło. Księżna jeszcze nie rozstawała się z nadzieją.

Naraz z ust jej wyrwał się okrzyk radości; zerwała się z krzesła i obu rękoma

schwyciła za żelazne kraty okna.

— Jada! jada! Patrz Katarzyno: Zofia, Bolek i Jędrzej! — wykrzyknęła.

Katarzyna spojrzała przez okno.

— W istocie to oni — potwierdziła.

Na gościńcu widać było dwóch jeźdźców i amazonkę. Wszyscy troje łuki mieli na

ramionach, za nimi leciały sokoły; snadź na łowy wybrali się młodzi, lecz,

zamiast gonić zwierzynę, do Burghausu przyjechali. Pędzili wprost do zamku.

Okrzyk księżny zwabił Basie i Stefana.

— Prowadźcie ich do mnie! — głosem wzruszonym wołała księżna. Stefan pośpieszył po Erbena; dozorca stał już na dziedzińcu, lecz do bramy sam

nie śpieszył, — wysłał tylko do niej pachołka z rozkazem.

— Powiedz tym panom, że ksiązę Jerzy nikogo wpuszczać do zamku nie pozwolił! —

wolał.

Stefan spojrział zdziwiony.

— Nie pozwolił? czyż to być może? — zapytał. Erben popatrzył na niego, a surowy wzrok jego zdał się mówić: "Jakiem prawem posądzasz mnie o kłamstwo?" — i posepny zawrócił do sieni.

Stefan pobiegł na wał, otaczający zamek, i czapką powiewać począł; spostrzegli go myśliwi, którzy, niegościnnie odprawieni od bramy zamku, zawracali smutni.

— Jutro o świcie w lesie, pod znanym dębem! — krzyknęła Zofia. Z tą słabą pociechą wrócił młodzieniec do księżny. Jadwiga jeszcze stała u okna, trzymając się jedną ręką krat żelaznych; lecz z twarzy jej uleciał już chwilowy promień radości, — bladość i smutek pokrywały ją teraz.

— Odjechali.. nie chcieli mnie odwiedzić! — rzekła, ujrzawszy Stefana.

On spojrział na nią ze współczuciem.

— Erben ma rozkaz od księcia nie wpuszczania nikogo do zamku — odparł; — lecz

nie rozpaczaj, księżno, jutro o świcie spotkasz ich w lesie.

Tu powtórzył słowa, które, odjeżdżając, rzuciła mu Zofia.

Jadwiga podniosła głowę; promyczek nadziei zabłysnął w jej oczach.

— Nie łudzisz mnie? — spytała.

— Przysięgam, prawdę mówię!

Na chwilę uśmiech szczęścia rozjaśnił jej twarz smutną.

— O, Boże, jakże do tego jutra daleko! — szepnęła. — Katarzyno — dodała,

zwróciwszy się do przyjaciółki, — gdybym zasnęła, ty mnie zbudzisz; liczę na ciebie.

— Zbudzę cię, pani, a teraz spocznij, byś miała jutro siły zejść do lasu.

— Tak, potrzeba spocząć; jutro o świcie ich ujrzę, jutro o świcie usłyszę coś o dzieciach — rzekła do siebie Jadwiga. — O, jak dobrzy wy dla mnie jesteście! jak dobrym jest Bóg dla mnie! To mówiąc, podała dłoń każdemu.
— I wy też spocznijcie — dodała, — bo jutro o świcie pójdziemy wszyscy do lasu. Uśmiech łagodny okalał jej usta, choć oczy łzami świeciły.
— Dobranoc! — rzekła. Stefan i Basia wyszli z jej pokoju. Katarzyna pomogła jej rozebrać się, przyniosła wina dla pokrzepienia; księżna przełknęła kilka kropel, skłoniła głowę na poduszkę i oczy zamknęła.
— Jutro w lesie o świcie — szeptały jej usta, gdy zasypiała. — Jutro o świcie w lesie — powtarzała przez sen. I, zanim świt błysnął na niebie, zbudziła się i śpiesznie suknię przywdziała. Słońce jeszcze nie przedarło się przez mgły ranne, gdy weszła do pokoju

Katarzyny z poleceniem, by zbudziła Stefana, a gdy ten stanął przed nią, rzekła:
— Już świta... Idźcie obudzić Erbena; niechaj każe do pojazdu zaprządz. Iść piechotą do lasu byłoby zbyt długo, a oni może czekają. Stefan pośpieszył spełnić rozkaz swej pani. Jadwiga, rozgorączkowana oczekiwaniem, sama wyszła na dziedziniec. Tu spotkała Erbena.
— Czy już zaprzężono? — spytała.
— Nie mam koni — odparł ponuro.
— Więc każ bramę otworzyć; pójdziemy pieszo — rzuciła gorączkowo.
— Nie mogę, księżno, wydać tego rozkazu — chłodno odpowiedział dozorca.

Jadwiga podniosła dumnie czoło: Jakto? jej królownie z rodu, księżnie udzielnej,
ktoś opór stawia!? Gniew zbudził się w jej sercu łagodnym.
— Otwórz bramę, Erbenie, rozkazuję ci! — rzekła wyniosłe.
Erben zgiął się w pół, ręce rozkrzyżował.
— Nie otworzę, miłościwa pani — rzekł; — mam od księcia rozkaz na piśmie
niewypuszczania was, pani, i dworzan waszych poza bramę tego zamku.
Bładość śmiertelna pokryła twarz księżny, pociemniało jej w oczach i zachwiała
się. Szczęściem nadbiegł Stefan, który podał ramię nieszczęśliwej kobiecie i do
zamku ją poprowadził. Jadwiga, słowa do nikogo nie mówiąc, usiadła w swym pokoju
milcząca i złamana. Stefan i Basia oddalili się, nie śmiejąc słowa do niej
przemówić. Pozostała tylko Katarzyna; lecz i ona nie wiedziała, co począć, co
powie-

dzieć, i siedziała opodal z załamanymi rękoma. Milcząca boleść Jadwigi
przerażała ją. Uchodziły minuty, kwadranse, godzina cała upłynęła wśród
przykrej, bolesnej ciszy. Wreszcie podniosła księżna głowę.
— Więc więźniami w zamku Burghaus jesteśmy! — rzekła.
To były pierwsze i jedyne słowa, jakie wymówiła dnia tego. Okiem błędnym
wpatrując się w gościniec, siedziała nieruchoma, jakby skamieniała z bólu.
Zaniepokojona o umysł swej pani Katarzyna kilkakrotnie oddalała się z pokoju, by
radzić ze Stefanem, co czynić. Jadwiga nie spostrzegła tego nawet; zdawało się,

że przytomność zupełnie ją odbiegła. Tak minął dzień i noc następna.

Drugi ranek

zaświtał; słońce wesoło zajrzało do pokoju księżny Bawaryi, ptaki
zaświergotały

za oknem radośnie. Jadwiga podniosła opartą na dłoni głowę,
wzrokiem powiodła

wokoło i spostrzegła siedzącą w kącie pokoju Katarzynę, bladą od
niewywczaśu i

troski... W smutnych oczach Jadwigi wdzięczność zabłysła.

— Dobra przyjaciółko — rzekła łagodnie, — przyprowadź do mnie
Stefana i Basię.

Katarzyna poszła spełnić jej rozkaz i niebawem wróciła z młodymi.

Jadwiga skinęła im głową na powitanie.

— Uwalniam was raz jeszcze od obowiązków przy mnie — rzekła. —

Jedźcie, gdzie

chcecie, i matkę z sobą zabierzcie. Mnie żywcem w tych murach
pogrzebiono; nie

chcę, by was ten sam los spotkał.

— Więc chcesz nam, pani, serca rozedrzeć? — odparła Basia i z
płaczem do kolan

księżny przypadła — o, nie żądaj od nas tego, pani!... Nam tylko z
tobą dobrze

być może, bo cię kochamy...

Jadwiga położyła dłoń na głowie dziewczęcia.

— Twe łzy świadczą, że mówisz szczerze — rzekła. — Zostańcie
przeto dzielić mą

niedolę. Nie taję, że, z wami podzielona, mniej ona ciężką wydawać
mi się

będzie.

Basia ucałowała z wdzięcznością rękę księżny; toż samo uczynił
Stefan.

Jadwiga dalej mówiła tymczasem:

— W ciemnym mem życiu słonecznym promieniem jest miłość serc
waszych.

— Bóg miłosierny rzuci ci, pani, więcej jeszcze takich słonecznych promieni —
odezwała się milcząca dotychczas Katarzyna; — coś mi wciąż szeptem,
że cię czeka
niebługo wielka pociecha.
Jadwiga westchnęła.
— Nie oczekuję już żadnej — odparła; z temi słowy podniosła się i
udała do
kaplicy na ranne pacierze. Katarzyna poszła za nią, a Basia i Stefan
podążyli do
ogrodu, który przylegał do zamku.
Całą godzinę modliła się księżna Bawaryi. Właśnie wracała z
Katarzyną do swego
pokoju, gdy obie usłyszały wesoły głos Basi.
— Mamo! mammo! gdzie jesteś? — wołało dziewczę, a w chwilę
potem ukazała się
Basia, cała zaróżowiona od biegu, w ręku trzymając białego gołębia.
Ujrawszy
księżnę, szybko zbliżyła się do niej.

— Patrz, pani! przyleciał do ciebie poseł z Ladsnuty; od córek
przyniósł ci
wieści! — rzekła.
— Wieści od dzieci! — krzyknęła Jadwiga i wyciągnęła ręce do
gołębia, na którego
szyi rzeczywiście wisiała karteczka na pąsowym jedwabiu.
— Poczciwa Elżunia! Jam jej za złe miała, że w chwili wyjazdu
myślała o gołębiu,
nie o matce... Teraz rozumiem, czemu pragnęła zabrać to ptaszę. Co
za rozumne
dziewczę! — mówiła Katarzyna.
Odebrawszy z rąk Basi gołąbka, księżna drżącymi rękami odwiązała
kartkę z jego
szyi i, blada ze wzruszenia, przeczytała głośno:
"Miej ufność w Bogu! Jesteśmy zdrowe. Przyjaciele twoi czuwają nad
nami. Dziś

spotka cię jeszcze pociecha.

Elżbieta. "

Jadwiga przycisnęła kartkę do ust, a z piersi jej łkanie się dobyło.

— O, Panie, dzięki ci! — zawołała przerywanym od płaczu głosem,

wzrok w górę

podnosząc.

Tegoż dnia po południu Erben, wszedłszy na pokoje księżny,

oznajmił, iż z woli

księcia przybył do Burghausu kapelan, by co dzień w kaplicy

zamkowej mszę św.

odprawiać. Była to owa pociecha, zapowiedziana przez Elżbietę.

Księżniczka

nieraz słyszała, jak matka skarżyła się, że nawet pociechy religijnej

pozbawiona

jest w ponurym zamku, — więc uprosiła ojca, by tej pociechy jej nie

odmawiał.

Jadwiga z radością powitała kapelana, i odtąd nikt nie widział jej łez,

ni skarg

nie słyszał. Czas płynął jej na modlitwie, dobrych uczynkach i pracy.

Rano

parę godzin spędzała w kaplicy, w południe haftowała ornaty i

dywany, wieczorami

zbierała w ogrodzie zioła lecznicze. Wypytywała zawsze troskliwie,

czy niema

chorych lub biednych we wsi, a gdy byli' słała im leki lub wsparcia.

Niedolę swą

znosząc z poddaniem, dziękowała Bogu, że w smutne jej życie rzucił

kilka jasnych

promieni. Katarzyna spędzała dni podobnie, jak jej pani. Basia i

Stefan

urozmaicali je sobie, jak mogli: grą na gitarze, śpiewem, strzelaniem

do celu,

lub wreszcie nawet gonitwami rycerskimi, jakie Stefan urządzał na

dzieńcu.

Ich dwoje i dwóch synów Erbena brało w nich udział, a księżna,
Katarzyna,
kapelan i Erben bywali widzami i rozdzielali nagrody. Basia uczyła
dworskie
dziewczęta katechizmu i haftów różnych, Stefan zaś uczył chłopców,
czyniących
posługi w zamku. Tak minął miesiąc. Pewnego wieczora Jadwiga
wezwała Stefana i
Basie do siebie, a gdy stanęli przed nią, rzekła:
— Powiedzcie mi, czy nie chcielibyście się pobrać?
Zdziwieni tem niespodziewanem pytaniem, młodzi spojrzeli po sobie,
nie wiedząc,
co odpowiedzieć. Jadwiga uśmiechnęła się do nich łagodnie.
— Wiadomo mi jest — rzekła, — iż jeszcze ojcowie wasi
postanowili, że, gdy
dorośniecie, pobierzecie się. Nie wspominaliście o tem, sądząc
zapewne, że tu, w
Burghausie, niepodobnem będzie spełnić to życzenie ojców waszych.
Ja również z
razu sądziłam tak samo; lecz po rozmowie z kapelanem innego
nabrałam
przekonania. Mnie Bóg zesłał pociechę: mam częste wieści od dzieci,
słuchać mogę

codziennie mszy św., winnam więc dać coś i tym, którzy się uciech
młodości dla
mnie wyrzekli. Jutro w kaplicy zamkowej kapelan wasze ręce stułą
połączy za
zgoda matki. Przygotowałyśmy wyprawę dla Basi i w lewym skrzydle
zamku
mieszkanie dla was. Książę Jerzy Bogacz w obrębie murów tego
zamku działać mi
dozwala swobodnie, jak również moim dworzanom. By wam na
codzienne potrzeby nie

brakło, tobie, Basiu, dam posag, a Stefanowi urząd mego sekretarza i pensję, stosowną do urzędu. Cóż, czy zgadzacie się?
Basia i Stefan w miejsce odpowiedzi padli do nóg Jadwidze, ona ich pobłogosławiła, a nazajutrz w ponurym zamku Burghausu odbył się ślub młodej pary. Gości na nim było nie wiele: kapelan, Erben z synami, starsi ze służby zamkowej — ot i wszyscy; wspaniale jednakże podejmowała ten szczupły orszak weselny księżna Bawaryi.

* * *

"Pozbawiona wszelkich światowych rozrywek — prawi jedna z kronik bawarskich, —
Jadwiga, żona Jerzego Bogacza, księcia Niższej Bawaryi, lat siedemnaście na zamku Burghaus spędziła. Nic jej nie pomogły wysokie cnoty i wdzięki: żyła nieszczęśliwa przez długie lata w ukryciu posepnego zamku, wśród skarbów książęcych, aż Pan Bóg powołał ją z tego świata.
"Umarła dnia -go lutego roku, znosząc do końca życia z godnością, powagą i jednostajną zawsze słodyczą charakteru więzienie, nie skarżąc

się przed nikim, nie donosząc nawet rodzinie swej o smutnym losie, jaki ją spotkał.

"Z dwóch jej córek Elżbieta poszła za palatyna reńskiego i zasłynęła osobliwszą dzielnością charakteru, a Małgorzata osiadła w klasztorze. "
Bawarczyki kochali i szanowali nieszczęśliwą swą księżnę, a gdy umarła, uczcili

jej pamięć. Poeta niemiecki, Jakób Locher, w pięknych rymach
uwiecznił jej imię
i cnoty. W przedmowie do jednego z tych utworów tak się wyraził:
Jakże nie podziwiać wychowania dostojnej tej pani, które nie
nauczyło jej
zabawiać się, błyskotliwymi strojami i krotofilnością dworzan, nie
wypieściło
jej ciała puchem jedwabnych poduszek, nie zaprawiło ust jej do
smacznego kęsków
i kieliszka, a karmiło ją zasadami pobożności, przyozdabiało naukami
i osłaniało
obyczajności przykładem. "

VIII.

KRÓLOWA SZWEDZKA.

I.

Wody zatoki Botnickiej były niespokojne bardzo; niebo, rozpostarte
nad nią, było
zasepione, — ciężkie czarne chmury zbierały się coraz liczniej, grożąc
słońcu,
że je zakryją.. Mimo tych złych wróżb po zatoce posuwał się jednak
okręt,
kierując się ku brzegom Finlandyi. Na pokładzie statku widać było
gromadkę
ludzi; grożąca burza zapewne zwabiła ich tutaj. Stali, spoglądając to
na niebo
coraz czarniejsze, to na wody zatoki coraz bardziej niespokojne, to
znów
wzrokiem zdawali się pytać wzajemnie:
— Co to będzie?
Prócz tej gromadki beczynnej, krzątali się majtkowie, którzy,
biegając to tu,

to tam, spełniali rozkazy kapitana, a spełniali je milcząco i pośpiesznie;

na pokładzie okrętu rozlegały się tylko od czasu do czasu krótkie, treściwe, ale donośne rozkazy kapitana i odgłos szybkich kroków. Pośród osób, stojących na pokładzie, wyróżniała się postać niewieścia, wyniosła i piękna, wspaniale przybrana, którą otaczało niezwykle uszanowanie: wszyscy trzymali się w pewnym od niej oddaleniu; rzekłbyś, że ona — to monarchini, a tamci — to jej dwór. Lecz, mimo majestatu, jaki ją otaczał, na twarzy jej cienia dumy nie było, tylko na czole jaśniał rozum, a w oczach dobroć bezgraniczna. Była to młoda, niedawno poślubiona małżonka księcia Finlandyi, Jana, brata króla szwedzkiego, Eryka. Wśród tej gromadki wyglądała niby słońce wśród planet; wszystko obracało się koło niej, pragnąc promienia jej oczu, jak planety pragną promieni słońca. Lecz ona wzrok swój zwracała to ku skalistym brzegom Finlandyi, to na niespokojne wody zatoki, to wreszcie na stojącą obok niej kobietę, przypominającą wzrostem siedmioletnie dziecko, i wówczas w oczach jej świecił jakiś ciepły promień, zdający się mówić, że lubi biedną karlicę. Okręt pochylał się to w jedną, to w drugą stronę, — wody zatoki bujały nim, jak niańka kolebką mimo to wszelako posuwał się ciągle w jednym kierunku, bo silna dłoń sternika umiała nim kierować. Naraz w powietrzu zawył wicher silny, począł

szarpać rozpiętymi żaglami; okręt zakołysał się mocniej, — zmacone wody rzucały nim teraz niby piłką. Na pokładzie podniósł się popłoch i lament: kobiety zaczęły płakać, mężczyźni wyrzekać. Lecz niewiasta, która pośród nich zdawała się zajmować przednie

miejsce, nie uległa ogólnemu wrażeniu; z zamkniętych jej ust ni skargi, ni jęki nie wychodziły, tylko, gdy wichher silniej okręt poderwał, zwróciła się do karlicy i dłoń na jej ramieniu położyła.

— Módlmy się, Dorotko — rzekła.

Poczem zgięła kolana i, podniósłszy wzrok w zachmurzone niebo, śpiewać poczęła pieśń pobożną.

Ta, którą nazwała Dorotką, idąc za jej przykładem, uknęła także, a za nią wszyscy otaczający.

Wicher wył ponuro i bałwany rozbijały się zgłuchym trzaskiem o boki okrętu;

głosy natury nie zagłuszyły jednak pobożnego hymnu klęczącej gromadki, i wzbijał się on ku niebu, potężny, choć cichy.

Wtem na pokładzie ukazało się kilku nowych przybyszów z głębi kajuty.

Przodem szedł książę Jan, mężczyzna dorodnej postawy, strojnziej od innych

przybrany, w obcisłej sukni, złotem naszywanej, w jedwabnym kaftanie, na którym

drogocenne guzy świeciły, w kapeluszu z kosztownymi strusiami piórami. Gdy

zbliżyli się do klęczących, przystanęli z uszanowaniem, nie chcąc widocznie

przeszkadzać ich modlitwie, i zdjęli kapelusze. Niewiasta, która pierwsza zanuciła hymn pobożny, pierwsza też ich dojrzała i, gdy przebrzmiały ostatnie słowa pieśni, powstała, a zwróciwszy się ku mężowi, spokojnym rzekła głosem:
— Burzę będziemy mieli.
On zbliżył się do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

— Już ją mamy — odparł z łagodnym uśmiechem. — A lęasz się burzy, Katarzyno? -
— Czyż mogę się jej lękać, gdy przy mnie jest dzielny mój pan i małżonek, a nade mną Bóg? — rzekła Katarzyna, podnosząc pełne ufności spojrzenie na męża.
Odpowiedź ta podobała się widocznie mężowi, gdyż pochylił się z uśmiechem i tkliwy pocałunek złożył na czole żony, poczem pośpieszył znowu do kapitana okrętu, z którym rozpoczął narady.
Burza coraz srożej szalała — bez grzmotów i piorunów, lecz z wichrem i nawalnym deszczem. Wiatr poszarpał żagle, a mimo to okręt posuwał się zwycięsko. Jęki i płacze ucichły powoli na pokładzie; podróżni oswoili się z grożącym im niebezpieczeństwem. Widocznie przykład odważnej Katarzyny która po oddaleniu się męża znowu uklękła i z ufnością nowy pobożny hymn zanuciła, oddziaływał na wszystkich: znów koło niej klęczeli, wzywając opieki Pana Zastępów. Nareszcie po kilku godzinach wiatr uciszać się począł, wody zatoki uspokoiły się, słońce wyjrzało z za chmur, i okręt równo posuwać się począł. Znużeni doznaniem wrażeniami, podróżni oddalili się do kajut. Lecz Katarzyna

została na pokładzie, a przy niej wierna i nieodstępna jej Dorotka.
Naprzeciw
nich w dali piętrzyły się posepne skały; obie kobiety przypatrywały
się im z
trwogą.
— Ach, Dorotko, widok tych skał tak posepnym mi się wydaje! —
rzekła nagle
Katarzyna, zwracając się do swej towarzyszki. — Wśród nich chyba
tylko smutni i
nieszczęśliwi mieszkają!

— I mnie straszno! — odparła Dorotka.
— Kraj mój smutne sprawia wrażenie z dala tylko — ozwał się naraz
za niemi
wesóły czysty głos męski, i Katarzyna ujrzała zbliżającego się męża.
Dosłyszał on słowa Dorotki i widocznie był im nierad.
— Nie lękaj się go wszakże — mówił dalej; — nie tak ponury jest, jak
się wydaje
z dala. I w Finlandyi latem szumią lasy i pola, łąki się śmieją cicho,
szemrzą
strumienie, i napotkać też można ludzi szczęśliwych.
— Smutne przywidzenia już pierzchły, bo widok twój je rozproszył
— odparła z
uśmiechem Katarzyna. — Mów mi teraz o twym kraju i braciach.
Mąż wtedy począł wymownie kreślić piękności swego kraju.
Katarzyna, zamyślonym, lecz już nie smutnym wzrokiem wpatrzona
w ponure skały,
rysujące się za zatoką, słuchała męża i pytała siebie w duszy, jak jej
też
będzie w tej nowej ojczyźnie.
Po kilku godzinach drogi okręt dobił wreszcie do przystani. Podróżni
powitali
ład okrzykami radości i na brzeg pośpieszyli, gdzie czekały na nich
liczne
powozy.

— Najmilsza! — w drodze mówił książę do Katarzyny, — teraz czeka nas szczęście długie, niczem nie zmacone... Ty musisz być szczęśliwą, Katarzyno; ja chcę tego!
Ty musisz być najszczęśliwszą ze wszystkich sióstr swoich!
— O, nie mów tak! słowa twoje za śmiałe! — szepnęła Katarzyna, trwożnie tuląc się do męża. —

Czy nie wiesz, że od woli Boga wszystko zależy?... A może Bóg nie zechce?...

II.

Minęła zima, wiosna, lato, i znów liście opadły z drzew, pożółkły trawy, śnieg pokrył pola i łąki; głucho i smutno było na ziemi. Lecz nie czuła się smutną Katarzyna. Z każdym dniem była ona bardziej szczęśliwą, z każdym dniem serdeczniej kochała męża, z każdym dniem więcej go ceniła... Bo jakże było go nie kochać? dobry, rozumny, sprawiedliwy, zyskał nie tylko serce żony, lecz ludu całego. Rok właśnie dobiegał, jak Katarzyna poślubiła syna Gustawa Wazy, i książę postanowił rocznicę ślubu obchodzić uroczyście. Zaprosił panów z Abo i z okolic do siebie, — ludowi zapowiedział, iż ucztę mu wyprawi. W dzień rocznicy ślubu na zamku wesoło było, głośno i ludno. Katarzyna, szczęśliwa dziś bardziej niż kiedykolwiek, z uśmiechem zadowolenia przypatrywała się zabawom dworzan i młodzieży, ludowi dziękowała za wiwaty, wznoszone na jej

część, i spojrzenie na męża podnosiła, by mu oczyma powiedzieć:
— Jestem bardzo szczęśliwą, Janie! bardzo szczęśliwą!

Wtem, gdy tak wszyscy bawią się i cieszą, oznajmiono, że goniec od króla Eryka przybył do księcia.

Jan i Katarzyna pobledli oboje. Książę, kryjąc wzruszenie, gdy mu list podano, rozłamał śpiesznie pieczęcie. Po chwili, pochyliwszy się ku żonie, rzekł cicho:

— Eryk wzywa mnie; jechać muszę. Ty, Katarzyno, zostań tu; nasze troski niech nie zakłócą wesołości ogólnej.

Katarzyna, spełniając wolę męża, długo jeszcze gości podejmowała; lecz, gdy

jedni się rozeszli do komnat, jakie na zamku zajmowali, a drudzy rozjechali się

do swych domów, i Katarzyna została tylko z Dorotką, wówczas, oddaliwszy się do swej sypialni, padła z głośnem szlochaniem na łóżko.

— Dorotko! Dorotko! po co on go wezwał? czego on chce od niego?
— zawołała.

Wiedziała już teraz księżna, że Eryk IV, król Szwecyi, nienawidzi jej męża, że

mu zazdrości miłości ludu, zacnego serca, rozumu, urody... Jan wprawdzie nigdy o

tem z nią nie mówił; nadto ją kochał, by mógł powiedzieć jej cośkolwiek takiego,

coby ją zasmuciło lub niepokoju nabawiło, — ale znaleźli się inni, co to uczynili.

— Czego chce od niego — powtarzała Katarzyna, łamiąc ręce — ten tyran, ten

okrutnik? po co go wezwał do siebie?

Dorotka sama nie wiedziała, jak pocieszać swą panią. I ona lękała się Eryka, i

ona wiedziała, że król Szwecji jest wrogiem swego brata. Przyklękła
u nóg
Katarzyny i całować je poczęła.

— Módlmy się! Bóg złe odwróci — rzekła głosem, w którym łzy
drżały; — módlmy
się; wszakże nic innego uczynić nie możemy. Modlitwa wleje nam
spokój w duszę.

— O, jak to okropnie widzieć grożące ukochanym niebezpieczeństwo,
czuć je,
przewidywać i nie móc nieść pomocy drogim sercu. O, jak to
okropnie! —

wybuchnęła Katarzyna.

— Módlmy się — powtórzyła tonem prośby Dorotka.

— O, tak, módlmy się! — z mocą odparła Katarzyna; — nic innego
dlań uczynić nie
mogę.

I podniosła się, otarła oczy, potem uklękła przed krucyfiksem, który
naprzeciw

jej łóżka stał na pięknie rzeźbionym klęczniku, i ręce złożonywszy,
modlić się

usiłowała. Lecz spokój nie wstępował do jej duszy; podniosła się z
kolan z

sercem równie smutnem, jak uklękła do modlitwy.

Ciężkie, bolesne dni nastały teraz dla Katarzyny. Ze szczytu szczęścia
los ją

tak nagle strącił w przepaść niedoli; śniła tak słodko, — los ją tak
okrutnie

obudził... We dnie myślała o ukochanym, czyniła najstraszniejsze
przypuszczenia:

że jest zamknięty w więzieniu, że go pewno męczą, że może na śmierć
prowadzą, —

a w nocy senne marzenia nadawały kształty rzeczywistości tym
przypuszczeniom, i

widziała męża, okutego w kajdany, stojącego przed sądem, krwią
oblanego. Zrywała

się najczęściej z tych snów z krzykiem i płaczem. Dorotka, która jej na krok nie odstępowała, uspokajać ją musiała i przypominać, że to tylko sen, nie rzeczywistość.

Od męża listów Katarzyna nie miewała, lecz wieści, jakie krążyły o nim po mieście, bynajmniej nie wpływały na jej uspokojenie. Mówiono, że król Eryk oskarża brata, iż z królem duńskim zawarł przymierze przeciw niemu, iż pozbawić go chce korony, a sam na tronie sztokholmskim zasiąść. Usłudni dworacy, nie zastanawiając się, jak boleśnie ranią serce Katarzyny, powtarzali jej wszystkie te wieści. Niestety, wieści te nie były mylne; przekonali się o tem wkrótce mieszkańcy Abo.

Dnia pewnego na zamku książęcym zjawili się wysłańcy od króla Eryka, którzy oznajmili publicznie miastu, że ksiązę Jan, oskarżony o złe zamiary względem króla Szwecyi, otrzymał nakaz, ażeby się stawił przed sąd sejmowy, oraz, że król Eryk zwalnia poddanych od posłuszeństwa, jakie przysięgli jego bratu, i rozkazuje im, aby podatki złożyli urzędnikom, przez niego wysłanym.

— Nie ujrzę go już więcej, nie ujrzę z pewnością nigdy! — zawołała Katarzyna, gdy panowie powtórzyli jej słowa wysłańców królewskich. — O, Dorotko! jakże to szczęście ludzkie jest krótkotrwałe!

Siedziały pewnego razu obie w komnacie książęcej: Katarzyna, blada, zgnębiona, — Dorotka, spłakana nad dolą swej pani. Wieczór już był, zmrok je otaczał, gdyż

Katarzyna nie kazała światła zapalać. Wtem czyjeś kroki ciche rozległy się poza oponą, kryjącą wejście do pokoju.
— Kto tam? — spytała Katarzyna głosem, który zdradzał, iż była niezadowolona, że ktoś chce przerwać jej smutne rozmyślenia.

Lecz nie otrzymała odpowiedzi. Kroki zbliżyły się, firanka, zasłaniająca drzwi, rozchyliła się, i w progu komnaty stanęła jakaś postać. Katarzyna i Dorota spojrzały przestraszone; naraz z piersi księżny wyrwał się okrzyk szalonej radości.

— Jan! — zawołała i, porwawszy się z krzesła, na którym siedziała, w jednej chwili padła w objęcia męża. — Jesteś, najmilszy? — mówiła, bacznie patrząc w twarz ukochanego. — Więc nic ci nie zrobił, więc cię nie uwięził, pozwolił ci odjechać?

— Odjechałem bez jego wiedzy — odparł ponuro Jan; — tajemnie uszedłem mu z rąk.

Katarzyna zadrżała i przytuliła się do męża.

— Nie lękaj się — mówił dalej Jan. — Mój zamek silny; bronić się będę, bronić siebie i ciebie, mój skarbie jedyny!

To powiedziawszy, przycisnął żonę do piersi i na czole jej złożył pocałunek.

— To przelotna chmura na naszym niebie; przejdzie ona precz, i znów słońce

będzie nam świeciło. Nie wypadnie z niej piorun druzgocący, nie zburzy nam

szczęścia; bądź spokojna, najmilsza! — mówił, tuląc ją do siebie.

— Jesteś przy mnie, nie lękam się więc już niczego! — odparła Katarzyna.

I przeszli razem w głąb' pokoju i usiedli przy sobie. Błady księżyc
rzucił im
swe promienie przez okno, srebrnym światłem rozjaśniając mrok,
wkoło nich
panujący. Dorotka, szczęśliwa, że pani jej już pocieszona, usunęła się
cichutko,
i zostali sami. Było im tak dobrze w tej chwili. Katarzyna zapomniała
o
wszystkich swoich troskach, czuła się znowu

szczęśliwą i pytaniami męża zarzucała. Nie zapomniał jednak książę o
niebezpieczeństwie, wiszącym nad ich głowami; tegoż jeszcze
wieczoru wydał
rozporządzenie, aby w zamku poczynić przygotowania na spotkanie
wroga. Rano, gdy
mieszkańcy Abo zbudzili się, ujrzeni na wałach, otaczających zamek
książęcy,
wystawione działa, a w oknach zamkowych, na balkonach, na
tarasach, wszędzie
ludzi zbrojnych. Minęło wszakże jeszcze kilka dni spokojnych, a Jan i
Katarzyna
używali szczęścia domowego; ona zapomniała już zupełnie o tem, że
tak niewiele
brakło, by szczęście to rozwiało się na zawsze, — on łudzić się
począł, że Eryk
zaniecha z nim wojny.
Coś w tydzień po niespodzianym powrocie księcia do Abo — dzień
dopiero co świtać
począł — śpiącą Katarzynę zbudził niezwykły hałas. Zerwała się
strwożona i,
narzuciwszy suknię na siebie, chciała biedz szukać męża, Doroty,
kogokolwiek, by
się dowiedzieć, co ten hałas znaczy, — gdy karlica, nie wołana,
wbiegła do jej
sypialni.
— Co to za hałas? — spytała Katarzyna, chwytając ją za ramię.

— Wojska króla Eryka do zaniku szturmują — odparła Dorota; —
otoczyli nas ze
wszech stron, od lądu i od morza.
Ręka Katarzyny zsunęła się z ramienia ulubienicy: księżna pobladła i
głowę
zwiesiła na piersi. Lecz chwila słabości trwała parę sekund zaledwie;
wnet
księżna głowę znów podniosła.
— Gdzie księżę jest obecnie? widziałas go? — spytała spokojnym
głosem.

— Na wałach — odparła Dorota.
Katarzyna poprawiła suknię i na wały pośpiewa a za nią karlica.
Tłoczno tam było
od ludzi zbrojnych, a nikt nie próżnował: jedni rozkazy wydawali
drudzy je
wykonywali, nabijano broń i działa, ustawiano się w porządku...
U stóp zamku roiło się też od ludzi, którzy, jak mrówki, snuli się
ustawicznie
to w jedną, to w drugą stronę. — lecz nie sprawiali się cicho, jak
mrówki: gwar,
hałas ogłuszający leciały od tego ludzkiego mrowiska na wały,
otaczające zamek,
do okien jego, a przez nie do komnat. Od czasu do czasu z hukiem
wylatywała w
górze z pośród tego tłumu kula działowa i spadała na zamek, na mury;
lecz wnet
szczybę naprawiano, a miejsca poległych inni zajmowali. Katarzyna
pełnym
niepokojem wzrokiem obiegnęła wał, szukając męża. Niebawem go
dojrzała. Stał w
miejscu, gdzie najczęstsze pociski padały. Podeszła ku niemu.
— Janie! — rzekła drżącym głosem, — nie narażaj się! Wszakże, gdy
zginiesz,
zginie bez ciebie wszyscy!
Lecz on zwrócił się do niej spokojnie.

— Idź do swej komnaty, Katarzyno — rzekł; — tu nie twoje miejsce.
— Więc mam być beczynną, podczas gdy ty swe życie narażać
będziesz? — spytała z
żalem Katarzyna.
Krew się już leje... rannych ci odeślę. Przygotuj dla nich maście,
bandaże i
łóżka — odparł stanowczo Jan, — wszak Dorotka zna się tak na
tekach.

Katarzyna wróciła do zamku i spełniła wolę męża; kazała w wielkiej
sali jadalnej
rozstawić kilkanaście tapczanów, zasłać je sianem i prześcieradłami.
Niebawem
wszystkie miejsca były zajęte. Ciche jęki rozlegały się w książęcej
sali, a
pomiędzy rannymi, leżącymi na tapczanach, krzątało się czynnie kilka
niewiast:
Katarzyna z Dorotką i z pannami, stanowiącemi dwór księżny. Jedne
opatrywały
rany, inne winem poiły mdlejących, inne jeszcze łagodnemi słowy
zachęcały do
cierpliwości.
Tymczasem za oknami zamku kule ze świstem pruły powietrze, waliły
się z łoskotem
mury, z jękiem padali ludzie. Książę Jan bronił się wytrwale; lecz
wróg z każdą
chwilą rósł w siły, a on coraz był słabszy. Eryk słał ciągle nowe siły
do Abo.
Godziny upływały, szturm nie ustawał, coraz większa liczba Szwedów
darła się na
wały, opasujące zamek, a coraz mniej było na nich obrońców.
Zajęta pilnie rannymi, nie zapominała Katarzyna o mężu: co chwila
wzrok jej od
tapczanów przechodził do okien; słyszała jęki rannych, lecz słyszała
również
świst kul i drżała o ukochanego.

Bój wrzał wciąż krwawy, uporczywy; noc go wprawdzie przerwała,
lecz rankiem
znowu kule poczęły pruć powietrze, znowu rozległ się huk
wystrzałów działowych,
krzyki i jęki rannych.
Bronił się uporczywie ksiązę Jan, lecz bronił się coraz słabiej, — bo
gdy wrogom
sił przybywało, jemu ubywało; osaczony dokoła na lądzie i morzu,
znikąd posiłków
ściągnąć sobie nie mógł.
Upłynęło dni kilka. Katarzyna siedziała smutna przy chorych; oni
drzemali, ona
myśla w przeszłość

wybiegła. Opodal czuwała karlica, wpatrzona w panią czekając na jej
rozkazy.

Stłumiony gwar wdzierał się przez szyby do wnętrza komnaty; lecz
księżna tak już
przywykła do tego hałasu, iż go nie słyszała.

Naraz cisza zaległa; działa umilkły. Mimowoli zwróciło to uwagę
Katarzyny; ta
cisza zbudziła ją z zamyślenia.

— Dorotko! — rzekła, — nie słyszę strzałów; czyżby zaniechali
szturmu?

Dorotka zbliżyła się do okna i weszła na ławę, pod niem stojącą.

— Biała chorągiew na wałach powiewa! — zawołała, zwróciwszy się
do księżny. —

Rycerze chodzą bezczynni, lub, skupiwszy się, radzą coś.

Katarzyna zerwała się z krzesła.

— Co mówisz?! — odezwała się głosem wzruszonym.

— Stało się! — doleciał od progu drzwi głos, dobrze znany obu
kobietom.

— Żyjesz! — wykrzyknęła radośnie Katarzyna, rzucając się do
księcia, za którym
szło kilku panów.

On postąpił ku niej, lecz nie objął jej, jak wczoraj, ramieniem, nie
spojrzał
tkliwie na nią.
— Za chwil kilka przyjdą wysłańcy Eryka — rzekł głucho, posepnie;
— poddam im
zamek. Chodź ze mną...
Uśmiech uleciał z ust księżny. Posłuszna skierowała się za mężem.
Niebawem
znaleźli się w wielkiej sali przyjęć, po środku której stały dwa krzesła.
Zajęli
je w milczeniu. Panowie otoczyli ich.

Chwil kilka głucha cisza tu panowała. Nareszcie w sąsiedniej izbie
rozległy się
kroki. Książę zwrócił się do żony.
— Cokolwiek bądź nas czeka, Katarzyno, cokolwiek bądź nam
oznajmią, bądź mężną —
rzekł; — nie nieszczęście upokarza, lecz brak hartu ducha...
Kończył mówić, gdy w progu sali ukazali się posłowie szwedzcy.
Zbliżyli się z
uszanowaniem do książęcej pary i ukłon jej głęboki złożyli, poczem
jeden
wystąpił na przód.
— Eryk IV, król Szwecyi, pan mój i wasz, polecił, abyście, książę, po
oddaniu w
nasze ręce zamku natychmiast z nami i z waszą małżonką pośpieszyli
do Sztokholmu
— przemówił uroczyście; — pragnie bowiem porozumieć się ze
swym bratem.
Jan, chmurny, lecz pozornie spokojny, podniósł się z krzesła.
— Król Eryk ma prawo rozkazywać mi — rzekł i, zwróciwszy się do
swych dworzan,
dodał:
— Panowie, gotujcie się do podróży; jedziemy. I chciał udać się do
swych

pokojów, a z nim
Katarzyna, lecz poseł zastąpił im w progu.
— Już wszystko gotowe do drogi — rzekł; — statki i ludzie czekają
na waszą
książęcą mość w porcie.
— Moi dworzanie? — spytał zdumiony Jan.
— Nasza drużyna. Król Eryk życzy sobie, aby nikt z panów tutejszych
nie jechał z
nami — odparł Szwed.
Chmura gniewu przemknęła po czole Jana. Rzucił wyzywające
spojrzenie mówiącemu;
widocznem

było, iż walczy z sobą, iż słowa buntu i obrażonej dumy cisną mu się
na usta.

Lecz je powstrzymał.

— Więźniem króla Eryka jestem — rzekł z goryczą — i pamiętam o
tem. Prowadźcie
mnie, panowie! Odpowiedzialni za mnie jesteście, czuwajcie przeto,
bym nie
uszedł.

I zwróciwszy się do żony, podał jej ramię, poczem skierował się ku
sieni
zamkowej.

Lecz pomiędzy panami, co z księciem i księżną przyszli tu razem,
powstało

oburzenie; poczęli głośno protestować przeciw rozkazowi
królewskiemu, a ten i ów

odzywał się, że za księciem do Sztokholmu pojedzie. Kobiety,
dowiedziawszy się,

o co rzecz idzie, płakać poczęły i czepiać się sukni Katarzyny,
wołając, że się

z księżną nie rozstaną.

Wzruszeni tymi dowodami przywiązania, Jan i Katarzyna każdemu z
kolei dłoń do

pocałunku podali, tłumacząc wszystkim, iż trzeba się poddać woli królewskiej.

Żegnali się z dworzanami, jak z rodziną, a łez i szlochania było tam tyle, jakby

na pogrzebie. Nareszcie pożegnali wszystkich, i księżę, ująwszy pod ramię bladą

ze zmęczenia i doznanych wrażeń Katarzynę, skierował się ku wielkiej sieni.

Wsparta na nim księżna szła, jak nieprzytomna, — ślaniała się, jakby zemdleć

miała. Cały dwór szedł za niemi, płacząc i wyrzekając głośno na okrucieństwo

Eryka. Nareszcie stanęli na wielkim tarasie, gdzie na księżęcą parę czekał

pojazd, który miał ich zawieźć do portu, gdzie przesiąść się mieli na okręt

szwedzki.

Dworzanie odprowadzili księcia i księżnę aż na taras. Wśród nich szła Dorota,

zanosząc się od

płaczu, jak dziecko małe. Jan pomógł wsiąść żonie, potem zajął obok niej miejsce

w powozie, a dwóch panów szwedzkich siadło na przednich miejscach naprzeciw

nich.

Już ruszyć mieli, już woźnica cmoknął na konie, by szły, gdy naraz Dorota,

wyrwawszy się z tłumu dworzan, przybiegła do powozu i, schwyciwszy się małemi

swemi rękami stopnia, krzyczeć zaczęła:

— I ja pojedę!

I wdarła się na stopień.

— Ruszaj stąd, bo cię strącę! — odezwał się jeden z panów szwedzkich.

Lecz drugi ujął się za nią.

— Zostawcie w spokoju tego potworka — rzekł; — nie przerazi on króla Eryka...

I pozwolono nawet Dorocie usiąść u nóg pani. Konie ruszyły z miejsca i powóz potoczył się ku zatoce. Płacze i narzekania wzmogły się, a Katarzyna ukryła twarz w dłoniach, by ci dwaj, co naprzeciw niej siedzieli, nie widzieli jej łez.

Za to Dorotka nie płakała, lecz uśmiechała się sama do siebie. Przy pani swej

tak była szczęśliwą, że nawet łzy księżny nie były w stanie w tej chwili

spłoszyć uśmiechu z jej ust. Była znów przy swej pani!

Tymczasem przykład energicznej karlicy znalazł naśladowców. Naraz za pojazdem,

który uwoził z Abo księcia Jana z jego małżonką, rozległ się tętent i turkot

kół.

Dorotka pierwsza posłyszała hałas i w dłonie uderzyła.

— Gonia nas! — zawołała.

Katarzyna wychyliła się z pojazdu i ujrzała kilku panów konno, oraz kolasę, w

której kilka kobiet siedziało. Łzy oschły w jej oczach; skinęła przyjaźnie głową

odważnym dworzanom i, zwróciwszy się do męża, szepnęła:

— Miłą jest sercu przyjaźń ludzka w niedoli, miłszą jeszcze, niż w szczęściu!

— Tę przyjaźń drogo przypłacić mogą — ozwał się Szwed i ponure spojrzenie posłał

jadącym za powozem.

Doganiający dworzanie stanęli u przystani jednocześnie z pojazdem, w którym

jechali Jan i Katarzyna, a wysiadłszy, pośpieszyli do nich natychmiast. Książę

uczynił im wymówkę, iż się narażają, — lecz oni odparli wesoło, że
chętnie z
księciem podziela nawet więzienie.
Wtem Szwed rozkazującym gestem wskazał księciu, by szedł na
okręt.
Nie chcąc narażać się na zniewagi, Jan podał ramię żonie i na pokład
ją
wprowadził. Uczepiona sukni swej pani, Dorota wsunęła się nie
postrzeżona.
Zgnębiona zachowaniem się Szwedów, szła Katarzyna, milcząc, obok
męża, a
pochylona jej postać świadczyła, jak jest zbolełą. Przy wejściu na
pokład okrętu
szwedzkiego dwóch zbrojnych Szwedów zastąpiło drogę księciu i
zażądało, by oddał
im szablę; w milczeniu odpasał ją Jan i oddał bez oporu. Traktowali
go jako
niewolnika, byli zatem w prawie czynić to, co czynili. Lecz gdy
Szwedzi się
oddalili, książę zwrócił się do żony.

— Jaka ja ci przyszłość zgotowałem! — rzekł do niej z goryczą. —
Widocznie Bóg
karze mnie za to, że mówił, iż musisz być szczęśliwą...
— On nas tylko próbuje — odparła Katarzyna; — ufajmy, że ciężkie
dni, jakie na
nas zesłał, miną, i znowu szczęście nam błysnie.
Był to dzień pogodny, lecz wietrzny, więc okręt posuwał się szybko
po spokojnych
wodach zatoki. Jan i Katarzyna schronili się przed chłodem wieczoru
do kajuty, —
a może nie tyle przed chłodem, ile przed spojrzeniami ludzkiemi.
Szwedzi bowiem
śledzili ich ustawicznie: gdzie się książęca para ruszyła, tam wnet za
nią

stawał jeden z nich, jakby się lękając, żeby księżę lub księżna do wody się nie rzucili i wpław zatoki nie przebyli. Noc niebawem nastąpiła, lecz więźniom snu nie przyniosła, lubo w kajucie nic nie mąciło ich spokoju. Siedzieli obok siebie, wspominali przeszłość i radzili nad przyszłością: co powiedzą Erykowi? jak bronić się będą przed jego gniewem i zazdrością?... I tak zbiegła im noc. Nieraz podczas podróży gniew wrzał w sercu księcia, lecz starał się on nie pokazywać wrogom, że mu dokucza dola, jaką mu zgotowali.

III.

Eryk, król Szwecyi, przeznaczył dla swej bratowej wspaniałą apartament w Sztokholmie: ściany jej sypialni kryła jedwabna materya; posadzka była

zasłana miękkim kobiercem; tu i owdzie stały boga rzeźbione krzesła, a pod baldachimem wysokie łoże hebanowe. A tak tu było ciepło, wonno, jasno!... rozkoszne było to miejsce! Pod jednym z okien siedziało kilka dziewcząt młodych w szwedzkich strojach; szyły one coś pilnie na krosnach, a szyjąc nuciły pieśni wesołe. Opodal nich wesołe chłopię, kosztownie przybrane w jedwabie i złoto, brząkało w struny lutni, a pieśni dziewcząt łączyły się z jej dźwiękami. Lecz, mimo wygod, jakie otaczały księżną Katarzynę, mimo bogactw, na jakie

patrzyła, mimo wesołych pieśni dworskich, jacyemi brat męża
rozweselić ją
pragnął, księżna była smutną. Były nawet przy niej dawne służebnice,
co z nią
jeszcze z domu ojcowskiego do Abo przyjechały; siedziała u nóg jej
ukochana
Dorotka... Lecz komuż jest dobrze w złoconej klatce? A ta bogata
komnata złoconą
klatką była dla Katarzyny; nic wolno było jej przejść poza progi
swoich
apartamentów. Te wesołe dziewczęta, co pieśniami starały się ją
rozweselać,
czuwały pilnie, by która z dawnych służebnic Katarzyny nie
przyniosła tajemnie
listu od kogo, lub komu od niej wieści nie zniosła. Nie dość tego, —
Katarzyna
nie widywała wcale męża i nic nie wiedziała co się z nim dzieje; król
Eryk
rozłączył bowiem księcia z żoną, jak tylko przybyli do Sztokholmu.
Nie dziw
więc, że smutną była księżna: wesołe pieśni jakie brzmiały od rana do
wieczora w
jej komnacie, dźwięki lutni, żarty i śmiechy ludzkie drażniły ją, nie
zaś
rozweselały, — czasami zaś zupełnie ich nie słyszała. I w tej oto
chwili utonęła
tak w myślach, iż

nic nie widziała, co się koło niej dzieje. Czwarty dzień dobiegał już,
jak
przybyła do Sztokholmu, — czwarty dzień nie widziała męża, i
ciężko, bardzo
ciężko było jej na duszy. Gdyby choć Eryka spotkać mogła! Ale i ten
się nie
ukazywał. A tak pragnęła go zobaczyć; padłaby mu do nóg i błagała,
żeby jej

pozwolił razem z mężem mieszkać... wszystko jedno, gdzie, choćby w więzieniu,
byle z nim.

Lecz, niestety, król szwedzki nie odwiedzał jej wcale. Dlaczego, nie wiedziała:

czy knuł jakie złe zamiary względem jej męża? czy dręczył go może i lękał się

wyczytać wymówkę z jej oczu? czy był chory? Bo nie tajemem to było nikomu, że

Eryk ma nerwowe cierpienie i czasami popada w szaleństwo.

Zmrok powoli zalegał komnatę. Katarzyna nie przerywała rozmyślali, a z każdą

chwilą ciężej jej było na duszy.

Wtem w przyległym pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki. Ocknęła się księżna.

Po chwili opona się odchyliła i na progu ukazał się zaufany dworzanin Eryka.

Złożywszy głęboki ukłon księżnie, dworzanin zaprosił ją do stołu obiadowego.

Katarzyna zatrzymała go gestem rozkazującym.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje z moim małżonkiem — zapytała. —

Blizko króla

jesteście, musicie wiedzieć?...

Dworzanin Eryka zgiął się pokornie.

— Spełnić twego życzenia, księżno, nie mogę — rzekł; — o Janie nic nie wiem.

— Lękasz się o księciu mówić, więc mi powiedz, kiedy z królem widziećbym się

mogła — zapytała znów Katarzyna.

— I na to pytanie odpowiedzi dać nie mogę - odrzekł dworzanin i cofnął się ku

drzwiom, a za nim słudzy.

Katarzyna padła na kolana zgnębiona i płakać zaczęła, nie myśląc o obiedzie.

Próżno Dorotka ją prosiła, by cośkolwiek zjadła; próżno młode
Szwedki, którym
żał jej było, pocieszały ją, mówiąc, że nic złego nie opowiadano o
księciu na
zamku; Katarzyna nic nie mówiła, jak gdyby nie słyszała. Przestała
wprawdzie
płakać, lecz, ukrywszy twarz w dłoniach, siedziała milcząca,
nieporuszona,
pogrążona w rozpaczy.
Mrok już zapadał. Znowu poza drzwiami dały się słyszeć czyjeś kroki.
Pewna, że
wieczerzę podano, księżna nie ruszyła się z miejsca, nie odsłoniła
twarzy.
Opona, kryjąca drzwi, podniosła się, i kilku mężczyzn stanęło w
progu komnaty
księżęcej. Jeden wyprzedzał innych, a był najwspanialej przybrany; od
złota i
klejnotów mieniły się jego suknie. Lecz była to postać dziwnie
odrażająca; na
chudej, czarnej jego twarzy srogość zwierzęca się malowała, — wzrok
miał dziki,
błędny, ruchy niespokojne. Za nim postępowało dwóch dorodnych
młodzieńców;
trudno było określić, czem przypominali oni idącego przed nimi,
jednakże coś
było wspólnego w rysach tych trzech twarzy. O parę kroków za tymi
trzema krokiem
uroczystym postępowało dwóch pacholków, którzy nieśli olbrzymie
świeczniki.

Blask świec woskowych rozproszył mrok, panujący w tej komnacie, i
zbudził z
zadumy Katarzynę. Podniosła z wolna smutne, jeszcze wilgotne od łez
oczy na
wchodzących i raptem, jakby iskra elektryczna ją uderzyła, powstała z
krzesła i

wyprostowała się jak struna.

— Król! — szepnęła, blednąc.

— Eryk przychodzi pozdrowić siostrę króla Zygmunta — odezwał się ten, co przodem

postępował, i z temi słowy zbliżył się do Katarzyny; — przychodzi ją pozdrowić i

zapytać, czy tu nie brak czego królownie — ciągnął dalej.

— Czy czego nie brak? — drżącym głosem powtórzyła Katarzyna, wpatrując się

błagalnie w twarz stojącego przed nią. — O, królu! Katarzyna ma dostatek jadła i

picia pod dachem twego zamku, ma dużo wygod i przepychu, nie brak jej wesołych

towarzyszek, nie brak pieśni, muzyki, słońca; lecz brak jej swobody, bo nie

wolno jej przestąpić tego progu, nie wolno widzieć tych, za którymi tęskni jej

serce...

Błysk gniewu strzelił z oczu Eryka; spuścił wszakże powieki, by tego nie

dojrzała Katarzyna.

— W mocy królowny zdobyć tę swobodę — odparł, chyląc głowę; — niechaj powie:

"zgadzam się", a nie tylko swobodę posiędzie, ale i władzę, i zostanie jedną z

potężniejszych monarchiń tej ziemi...

Katarzyna słuchała ze zdumieniem, zmieszaniem z przestraczeniem.

Jeszcze w Abo

opowiadano jej, że Eryk cierpi napady szaleństwa, i była pewną, że jest w tej

chwili nieprzytomny.

— Na cóż się mam zgodzić? — szepnęła wreszcie.

— O twoją rękę, królowno, prosi jeden z potężniejszych monarchów

— począł znowu

Eryk. — Posłowie jego lada dzień przybyć mogą do Sztokholmu, by tobie tę prośbę przedstawić.

Katarzyna cofnęła się o kilka kroków; bladą jej twarz oblał szkarłatny rumieniec. Dumnie podniosła głowę.

— Król szwedzki zapomina, że mówi do żony brata swego! — rzekła, mierząc Eryka wzrokiem obrażonym.

— Braci mam tylko dwóch — krzyknął Eryk, — a Jan to zdrajca, to bratobójca, co spiski knuje na moje życie, to zbrodniarz!... On w więzieniu, on z pod prawa

wyjęty, więc śluby twoje rozwiązane, królewno; wolna jesteś...

— Milcz! — zawołała Katarzyna, — milcz! nie obrażaj Boga! Więc dlatego, że on nieszczęśliwy, ja go mam porzucić?... Nie doczekasz, bym tak nisko upadła.

Poślubiłam brata twego, królu, wobec Boga, i póki on żyw, póty go nie opuszczę!...

Przy ostatnich słowach gniew jej stopniał, oczy łzami się zalały, i podniosła znowu błagalne wejrzenie na Eryka.

— Miłościwy królu! błagam: pozwól mi dzielić z nim więzienie! — poczęła tonem pokornym. — Za nic ja mam sobie wygody, zbytki, jakimi mnie twoja łaska

otacza... za nic wszystkie dobrodziejstwa, gdy jego przy mnie niema!... Pomnij,

panie, na królewskie moje pochodzenie, na wychowanie chrześcijańskie... Inaczej mi postąpić nie wolno; godność moja

nakazuje mi być równie wierną w nieszczęściu, jako w szczęściu wierną byłam małżonką...

Eryk chmurnym wejrzeniem zmierzył płaczącą kobietę; chwilę milczał, zdając się namyślać, nakoniec rzekł:

— Bodajeś nie pożałowała! Chciałem twego szczęścia; odpychasz je dobrowolnie.

Wola twoja spełnioną będzie; niech tylko brat twój, królewno, i siostry na mnie się nie skarżą, bo nie ja chcę cię więzić...

To powiedziawszy, odwrócił się od bratowej i ku drzwiom się skierował, a za nim

bracia jego i pacholki. Opona zasłoniła ich niebawem i mrok ogarnął komnatę.

Katarzyna rzuciła się na krzesło i twarz w dłoniach ukryła. U nóg jej siadła

Dorotka, przy oknie skupiły się inne dziewczęta, tu obecne, a żadna z nich nie

śmiała przerywać smutnych rozmyślań księżny. Dorotka śledziła w cieniu

zapadającego wieczoru, czy pani jej nie płacze; tamte szeptały z sobą, cicho

ubolewając nad dolą nieszczęśliwej. Tak zbiegło kilka godzin.

Naraz wśród ciszy rozległy się czyjeś kroki w przyległej komnacie.

Dreszcz

strachu przebiegi dziewczęta. Północ pewno już była. Dorotka schwyciła za suknię

księżny, zdętwiałej z bólu. Kroki się zbliżyły, i znowu do komnaty weszło kilku

mężczyzn. Tym razem byli to wszyscy ludzie zbrojni, z mieczami u pasów, z

halabardami w rękę. Pochodnie krwawym światłem oblały komnatę.

Przywódca, który miał pęk kluczy u pasa, postąpił ku Katarzynie.

— Z rozkazu króla po księżnę przychodzimy! — rzekł głosem zimnym i surowym.

Katarzyna podniosła się w milczeniu i ku drzwiom się skierowała.

Dziewczęta

zawodzić poczęły, lecz ona nie obejrzała się nawet na nie; szła, jak
duch,
cicha, milcząca. Straż ją otoczyła, zasłona za niemi spadła, i znikli z
oczu
płaczących dziewcząt. Lecz razem znikła też i Dorotka; próżno
szukały ją
towarzyszki, próżno wołały, — nie odezwała się, nie było jej nigdzie.
Tymczasem
strażnicy z księżną minęli kilka wspaniałych komnat i dotarli do sieni,
— potem,
zszedłszy z szerokich kamiennych schodów, weszli w długi ciemny
korytarz, a stąd
do lochów pod zamkiem. Katarzyna postępowała za strażnikami, nie
pytając, gdzie
ją wiodą. W długim lochu, do którego weszli, oświetlonym tu i
owdzie wiszącymi
kagańcami, widać było kilkoro drzwi, pozamykanych na żelazne
rygle. Katarzyna ze
ściśniętym sercem patrzyła na każde, pytając siebie w duszy: "czy on
tu?"
Nareszcie przy jednych zatrzymali się; ten, co prowadził innych,
dobył z za pasa
pek kluczy, zgrzytnął zamek i drzwi się rozwarły.
Katarzyna spojrzała w głąb' lochu; z piersi jej wyrwał się okrzyk
radości i
wyciągnęła ramiona.
— Jan! — zawołała, — Jan mój drogi!
A z głębi lochu wybiegł drugi okrzyk, równie radosny, i z mroku
wysunął się
książę Jan.
— Katarzyno! — zawołał, — skąd ty tu?
I rozłączeni od dni kilku małżonkowie znaleźli się we wzajemnych
objęciach.
Strażnicy cofnęli

się, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z łośkotem; klucz zgrzytnął w zamku. Więźniowie zostali sami.

— Oni i ciebie zamknęli w tym lochu wilgotnym, ponurym?! — krzyknął Jan. — Ach, ten Eryk przeklęty!

I chciał rzucić się ku drzwiom, rozbić je pięścią... Lecz Katarzyna go zatrzymała.

— Błogosławiony niech będzie Eryk! — rzekła spokojnie; — spełnił mą prośbę...

jam tego chciała.

Przyciągnęła męża do tapczana, i usiedli razem na garści słomy, jaka tam leżała.

Ona pocieszać go zaczęła; on słuchał jej ponury, milczący. Lecz powoli jej

słowa, pełne wiary w miłosierdzie Boże i nadziei w przyszłość, podniosły go na

duchu, wwały mu w serce otuchę. Objął ją ramionami i rzekł:

— Kiedy ci tutaj będzie lepiej, niż tam, wśród wygod, więc i ja powiem:

"Błogosławiony niechaj będzie Eryk!"

I zaczęli sobie opowiadać wrażenia dni, spędzonych w rozłące, i na chwilę uczuli

się szczęśliwymi.

Noc mijała powoli, dzień zawitał, lecz go nie widzieli; kaganiec, wiszący u

pułapu, zastępował im słońce, które tutaj dostać się nie mogło.

Książę Jan przez te cztery dni domyślał się tylko stąd pory dnia, że zwykle o

świcie posługacz więzienny przynosił mu śniadanie, w południe obiad, o zachodzie

słońca wieczerzę. Noc minęła im tak prędko, iż ani przypuszczali, że to dzień na

ziemi; ani na chwilę sen nie zaciężył im na powiekach; byli pewni, iż nie więcej

jak parę godzin są dopiero ze sobą. Zdziwił się książ-

żę gdy usłyszał kroki, zbliżające się ku drzwiom więzienia.

— Czyżby to był już ranek? — rzekł do żony; — zdaje mi się, że mój opiekun idzie do nas.

— Mnie się zdaje, że nie jeden tutaj idzie, lecz kilku — wtrąciła Katarzyna. —

Czyżby coś nowego nas czekało?

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi księcia.

— Ileż ty cierpisz, iż żoną moją zostałam! — rzekł.

Katarzyna rzuciła mu spojrzenie, pełne czułego wyrzutu. Chciała coś powiedzieć,

gdy wtem zgrzytnął klucz w zamku i drzwi więzienne rozwarły się z łoskotem, a w

progu ich stanął jeden z tych, którzy wczoraj Erykowi do komnaty księżny

towarzyszyli. Był to młodszy brat Jana, Karol. Za nim kroczyło poważnie kilku

panów szwedzkich. Weszli, skłonili się więźniom z godnością. Jan i Katarzyna

podnieśli się, zdziwieni temi odwiedzinami, a książę Karol przystąpił do nich i

rzekł, zwracając się do Katarzyny:

— Księżno, bratowo moja! posłem króla Szwecyi jestem, więc mówić będzie przeze

mnie Eryk IV. Król Szwecyi nie chce twego nieszczęścia, księżno, ma litość nad

twoją młodością; żał mu, byś w lochu wilgotnym wędła, więc rzec ci kazał..

Jeśli królowa żałuje, że odmowną dała wczoraj odpowiedź temu, co o rękę jej

prosił, niechaj wyzna to szczerze, a Eryk każe natychmiast otworzyć drzwi

wiezienia dla niej; jeśli zaś zechce nadal dzielić dolę tego, co ściągnął na się

gniew króla, w lochu

kamiennym do śmierci zostanie i nie ujrzy więcej słońca Bożego, bo ten, co
godził na życie króla, nigdy już swobody nie odzyska".
Całej tej mowy wysłuchała Katarzyna w milczeniu, blada, drżąca. W oczach jej
tlał gniew tłumiony, a obok gniewu malowało się cierpienie wielkie.
Skończył wreszcie przemowę wysłannik Eryka, skłonił się znów Katarzynie i czekał
na odpowiedź.
Ona chwilę milczała, — czekała, aż gniew jej nieco się uśmierzy, by
zbyt
obrażającej nie dać odpowiedzi. Nareszcie podniosła głowę; na czole jej spokój i
duma świeciły.
— Powiedz, książę, królowi Szwecyi — rzekła wreszcie głosem, który drżał lekko,
— że przekładam loch ciemny i niewolę, z małżonkiem swym dzieloną, nad wszelkie
rozkosze ziemskie bez niego. Powiedz mu, że o jedną łaskę go teraz tylko proszę:
niechaj zapomni o mnie i w spokoju w tym lochu zostawi.
Książę Karol pochylił głowę.
— Słowa twoje, Katarzyno, wiernie powtórzę Erykowi — rzekł i chciał cofnąć się
ku drzwiom, lecz Jan go zatrzymał.
— Czekaj! — rzekł. — Ja też słowo do niej powiem... Katarzyno! — dodał,
zwróciwszy się do żony, — namyśl się jeszcze; ja zwalniam cię z uczynionej mi
przysięgi.
— Więc i ty przeciw mnie?... Okrutnym jesteś Janie! — z wymówką odparła
Katarzyna.

A tyle było bólu w jej głosie, iż ksiązę Jan pożałował słów swych;
położył dłoń
na jej ramieniu i rzekł głosem pokornym:
— Przebacz!
— Więc to ostatnie słowo twoje, księżno? — zapytał po chwili poseł
królewski.
— Ostatnie! — odparła stanowczym głosem Katarzyna.
— A zatem oznajmiam wam obojgu, że dziś jeszcze zostaniecie
przewiezieni do
Gripsholmu — rzekł Karol.
Jan i Katarzyna w milczeniu wysłuchali wyroku.
Gripsholm — była to dawna rezydencya królów szwedzkich, zamek
na jednej z wysp
jeziora Melar. Służył on już nieraz za więzienie. Jan i Katarzyna
wiedzieli o
tem, — wiedzieli i to, że niejeden więzień tam śmierć znalazł; lecz
spokojnie
wyrok przyjęli, bo myśl, iż razem pozwolono im zostać, dodawała
otuchy obojgu.
Tego jeszcze dnia przewieziono Jana i Katarzynę do Gripsholmu.
Dorotce nie
pozwolono wsiąść na okręt z panią. Straż śledziła ją uważnie, a gdy
Katarzyna i
Jan odjechali, Eryk kazał karlicę do królowej zaprowadzić. Dorotka
zaliczona
została do służby królewskiej. Żona Eryka polubiła ją i bardzo dobrą
była dla
niej. Mimo to, Dorota wciąż była smutną, wciąż tęskniła za księżną i
martwiła
się jej dolą. Lecz jakże martwić się nie miała?... Takie okropne rzeczy
opowiadano o wywiezionych do Gripsholmu: pomieszczono ich w
malej, ciemnej
izdebce, zabrano wszystkie klejnoty, pieniądze, suknie

i bieliznę nawet zapasową, głodzono i dręczono na różne sposoby. Nie
dziw
przeto, że Dorotka po całych nocach plakiwała, że po całych dniach o
tem
myślała. Kilka razy chciała prosić królowej, aby wstawiła się za nią
do króla i
wyjednała jej pozwolenie jechania do Gripsholmu, — lecz zawsze
zbrakło jej
odwagi. Słyszała, jaki los spotkał jej towarzyszek za to, że z miłością o
księżnie się odzywały: jedne kazał Eryk do klasztoru poddawać, inne
do
więzienia zamknąć, kilku zaś z dworzan księcia Jana na śmierć
skazano. Wołała
tęsknić, niż los podobny na siebie ściągnąć; teraz miała jeszcze
nadzieję, że
ujrzy kiedyś swą panią, że się coś zmieni, coś stanie, i Eryk pozwoli,
aby
jechała do Gripsholmu, — gdyby zaś wtrącono ją do więzienia,
możeby w nim z
głodu umarła.
Więc płakała cicho po nocach, w dzień tęskniła cicho i nikomu nie
mówiła o tem,
co się w jej sercu dzieje. Lecz, nie mogąc zasnąć, nieraz w nocy
siadała na
pościeli i szeptała:
— Przebiję mury, podkopię się pod nie, lecz dostanę się do niej i
zobaczę ją!...

IV.

Na dwóch wysepkach jeziora Melar, w pobliżu Sztokholmu, wznosi
się zamek
Gripsholm. Gdy wiosna rozwinie liście drzew w otaczającym zamek

parku i przyległym zwierzyńcu, wówczas pięknie tam, rozkosznie,
wesoło, —
wówczas nie tylko ptaki gripsholmskie radują się, ale i ludzie, —
wówczas
wszyscy mieszkańcy tych wysepek z uśmiechem na słońce, drzewa i
kwiaty patrzą.
Tak też tam było, gdy roku i wiosna zawitała do Szwecyi i świeżą
zieloności
szatą wyspy jeziora Melar ustroiła; radowali się ludzie, radowało się
wszelakie
stworzenie, — bo komuż słońce i wiosna miłemi nie są?...
Lecz gdzież to słońce wszystkim jednako przyświeca? kiedyż to
wszyscy są
jednakowo szczęśliwi?...

W jednej z najmniejszych izdebek zamku królewskiego, znajdującej
się w wysokiej
baszcie, smutno jest, bo słońce przez wąskie okienko z trudnością się
do niej
dostaje, a ściany jej od czasu, jak zamek ten istnieje, nie były chyba
bielone;
kurz kilkoletni osiadł na nich. W posępnej tej izbie mieszkają jednak
ludzie. Na
nędznym tapczanie, na którym garść słomy stanowi posłanie, siedzi
mężczyzna
blady, wychudły, w nędznym, podartem ubraniu. Na twarzy jego
głęboki smutek
wypisany; głowę oparł na dłoni i zamyślonym wzrokiem patrzy przed
siebie. A tam,
naprzeciw niego, przy drugiej ścianie, stoi drugi tapczan, przy nim zaś
klęczy
niewiasta, równie blada i smutna, równie nędznie ubrana. Niewiasta
cała jest
pochylona nad tapczanem, na którym otulone grubą płachtą leży
chłopię
pięcioletnie. Musi ono być chore, bo twarzyczka jego płonie, oddech
nierówny,
oczy napół przymknięte, — to jęczy boleśnie, to coś szepce prędko do
siebie; w

gorącze jest widocznie, bo szarpie płachtę na sobie,

odrzuca ją z piersi... Ale ta, co klęczy przy niem, napowrót dziecię
przykrywa,
a łzy świecą w jej oczach.

— Zygmsiu — pyta, — czy bardzo cię główka boli?

— Boli!... pić!... — szepce dziecko.

Ona pochyla się ku ziemi po dzban gliniany i podnosi go do ust
dziecka; chłopię
pije chciwie, potem na słomę opada i znowu to mówi do siebie, to
jęczy.

Nareszcie kobieta powstała i splotła ręce na piersiach.

— Czyż i to umrze? — rzekła z rozpaczą w głosie. — Panie! Panie!
czyż litości

niebędziesz miał nad nami?

— Przeklęty Eryk! Ach, gdybym się mógł dostać do niego!... —
wybuchnął naraz

milczący dotychczas mężczyzna, zrywając się. — Przysięgam! nigdy
dawniej na

życie jego spisków nie knutem, nigdy śmierci jego nie pragnąłem;
lecz odkąd

ciebie, Katarzyno, więzi i dręczy, odkąd pozwala, by dzieci nasze
marły z braku

lekarstw i zdrowego pożywienia, odtąd zdaje mi się, że gdybym go
ujrzał,

rzuciłbym się na niego i zadusił!

— Janie! — rzekła kobieta i, zbliżywszy się do mówiącego, położyła
dłoń na jego

ramieniu, — uspokój się, najmilszy! Miejmy nadzieję, że Bóg ulituje
się nad

nami; nie gniewajmy Go szemraniem i brakiem cierpliwości...

Książę Finlandyi — on to był bowiem — usiadł napowrót na
tapczanie, twarz ukrył

w dłoniach, i głucha cisza zaległa izbę. Katarzyna wróciła do synka i
znowu nad

nim czuwała.

Minęło kilka godzin takiej ciszy, przerywanej tylko jękiem lub urywanemi słowy chorego chłopca. Słońce dobiegało kresu południa, gdy w drzwiach izdebki zgrzytnął klucz, rozwarły się one, i wszedł do niej wolnym, ciężkim krokiem dozorca więzienny. Przyniósł on więźniom obiad, postawił misę na stole, lecz, wbrew zwyczajowi, nie odszedł zaraz. Zatrzymawszy się po środku izby, spoglądał to na księcia Jana, to na jego żonę; widocznem było, iż chce im coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć. Nareszcie zdecydował się, potarł ręką głowę i rzekł:

— Od dni kilku jakaś dziewczyna włóczy się po wyspie i doprasza koniecznie, bym ją do was wpuścił. Odganiem ją, boć wiadomo, że król nikomu z wami mówić nie pozwala; lecz uparte to, jak mul, nie odchodzi: w dzień siedzi na progu sieni, w nocy śpi w tutejszym parku i ani myśli wracać, skąd przyszła. Jużem ją miał dziś stanowczo wypędzić, lecz zaszedł wypadek, który rozchwiał moje postanowienie...

Mam siedmioletniego chłopaka: zbytńnik, urwis, wdziera się na wszystkie drzewa w parku i gniazd ptasich szuka. Dziś rano słyszę krzyk przeraźliwy; poznaję głos mego jedynaka... Pędzę i cóż widzę? Oto mój chłopak leży z nogą skrwawi oną a przy nim klęczy owa dziewczyna, pociesza go i ranę mu owija; chłopak spadł z drzewa i skaleczył sobie nogę... Na ten widok serce mi zmiękło, więc gdy,

ujrzawszy mnie, podniosła wzrok smutny i rzekła: " Puśćcie mnie do księżny", nie
umiałem tym razem powiedzieć twardo: "Nie puszczę", tylko
mruknąłem "Zobaczę, co
oni powiedzą", boć przecie muszę być

pewny, że nie kłamię. Dziewczyna ta powiada, że z wami, księżno, z
domu ojca

twego przyjechała do Finlandyi, że ją lubicie i radzi będziecie jej
odwiedzinom.

Że lubicie, nie chce mi się temu wierzyć, bo to nie dziewczyna, lecz
potworek:

mała, jak dziecko, a twarz ma starą...

Katarzyna zerwała się z tapczana.

— Dorotka! — wyrwał się z jej ust okrzyk radosny. Ręce złożyła, jak
do modlitwy,

i wyciągnęła je błagalnie ku dozorczy: — Dobry człowieku! — zaczęła
prosić, —

pozwól przyjść do nas tej dziewczynie! Ona prawdę mówi: to moja
najwierniejsza

sługa, moja przyjaciółka...

— A jak się król dowie, co wtedy będzie? Ja mam żonę i dzieci...

— Nie dowie się, nie dowie niezawodnie — błagała dalej Katarzyna.

— Ano, wpuszczę, bo Bógby się jeszcze pogniewał, a Bóg
potężniejszy od króla...

To powiedziawszy, dozorca skierował się znowu wolnym, ociężałym
krokiem ku

drzwiom.

— Dzięki niebu! — odezwał się milczący dotychczas książę Jan i,
powstawszy z

tapczana, zbliżył się do syna po raz pierwszy od czasu, gdy go tu
matka złożyła.

— Dorotka cię uleczy, mój ty najmilszy, mój ty jedyny! — rzeki
głosem

wzruszonym.

Teraz, gdy mu promyk nadziei błysnął, miał odwagę patrzeć na dziecko.

Katarzyna uśmiechnęła się do męża.

— I ja ufam teraz, że go nie stracimy — szepnęła.

I wsłuchywali się niespokojnie, czy poza drzwiami kroków ludzkich nie słyhać.

Niebawem drzwi się rozwarły, i w progu, prócz dozorczy więziennego, stanęła w

istocie Dorota. Katarzyna z okrzykiem radości rzuciła się ku niej.

Karlica

osunęła się do nóg swej pani i objęła je rękoma, — lecz księżna przycisnęła ją

do piersi i pocałunkami twarz jej okryła. Dozorca cofnął się. Zostali sami z

Dorotą; poprowadzili ją do tapczana, usadowili przy sobie i poczęli zasypywać

pytaniami: jak się dostała na wyspę? co o Eryku słyhać?...

Dorota powiedziała im, że z królem codzien gorzej, — że napady obłąkania są

coraz częstsze, — że, gdy wpadnie w szal, najniewinniejszych na śmierć skazuje,

— że naród się burzy i żąda innego pana, oraz, że o księciu Janie coraz częściej

wspomina. Potem karlica zwróciła się do nich z pytaniami. Wiedziała o urodzeniu

Zygmunia, lecz nie słyszała nic o tem, że słaby; chciała się dowiedzieć, na co

chore dziecko, jak dozorczy więzienni obchodzą się z księciem i jego rodziną... I

dowiedziała się wielu smutnych rzeczy, aż się popłakała nad dolą swej pani.

Katarzyna powiedziała jej, iż straciła już jedno dziecko w

Gripsholmie, starszą

o rok od Zygmunia córeczkę, Izabellę, — że gdy te dwie dzieci na świat

przyszły, to nie miała je w co obwinać, i dopiero poczciwy dozorca,
litując się
nad nią, podarował jej swą grubą koszulę, którą na pieluszki podarła,
— że gdy
chora leżała, to taką ciężką, prostą strawę jej przynosili, jakiej w domu
jej
ojca najniższy sługa nie jadał, — że kiedy dzieci zaniemogły, a oni

błagali o lekarstwa, to Eryk ich nie pozwolił im przystać.
— Umarło jedno, umrze i drugie, jeśli się położenie nasze nie zmieni
— mówiła
księżna, a łzy wielkie spadały jej z oczu na zniszczoną suknię. — O,
Dorotko!
radź nieszczęśliwej matce! Dostałaś się do nas, może będziesz mogła
przesłać nam
jakich ziół zbawczych, któreby tę moją najmilszą dziecinę z łoża
boleści
dźwignęły!... Zrazu nie było nam tak źle — ciągnęła dalej Katarzyna;
— udało nam
się ukryć trochę klejnotów i trochę pieniędzy przed chciwością
służalców Eryka,
i kupowałam od strażników więziennych owoce, mięso, ciepłe
ubranie; lecz teraz,
gdy już wszystko się wyczerpało, nie masz pojęcia, jak nam tutaj jest
strasznie!...
— O, wy musicie się stąd wyrwać! — z mocą odparła Dorota. —
Pożegnam was. Do
Sztokholmu wrócę i pójdę do królowej; powiem, że was dręczy ten
bratobójca.
— Strzeż się, Doroto! — przemówił książę. — Tylu już zginęło za to,
że nam byli
przychylni.
— Więc wiecie o tem? — spytała Dorota.
— Jakże wiedzieć nie mamy, gdy ich tu w Gripsholmie pod oknem tej
wieżycy

tracono? Okrutny Eryk chciał, byśmy patrzyli na śmierć naszych przyjaciół.
Widzieliśmy ich krew, ich głowy ścięte, bo nas z dołu do okna krzykami przywabiono.
Dorotka zasłoniła twarz rękami.
— Okropność! — szepnęła.
— Nie dosyć tego — poczęła znowu Katarzyna; — dnia jednego Jan otrzymał wezwanie, aby

się stawił do Sztokholmu. Trzech panów szwedzkich po niego przyjechało, mówiąc, iż Eryk pozwala, aby się usprawiedliwił z uczynionych mu zarzutów, i że, jeśli zdoła to uczynić, uwolni go z więzienia... Jan pojechał. Na zawsze w pamięci jego zapisana została podróż do Sztokholmu, jaką wówczas odbył. Przy bramie miasta, którą kazano mu wjechać, ujrzał szubienicę, a na niej wiszące ciała dwóch najwierniejszych dworzan. Przewieziono go pod tą szubienicą... Na ulicach Sztokholmu stały tłumy ludu, milczące, ponure. Z tego ludu, co księcia tak kochał, nikt teraz czapki przed nim nawet nie zdjął, jednym wyrazem go nie powitał... Podobno poprzedniego dnia obwołano po ulicach stolicy rozkaz, aby pod karą śmierci nikt nie śmiał zdjąć czapki przed wjeżdżającym do Sztokholmu księciem Finlandyi... Nie dość tego; gdy nazajutrz Jan stawił się przed sądem, spostrzegł, iż sąd złożony jest tylko z jego najzaciętszych wrogów... Czując się

niewinnym, nie zląkł się ich i śmiało począł czynić wyrzuty Erykowi,
iż go więzi
niesprawiedliwie, że obwinia go o czyny i myśli, jakich nigdy nie
popęłił. Wtem
powstał jeden z sędziów, niejaki Jurgepierz, i krzyknąwszy:
"Kłamiesz
bezczelnie!", plunął w oczy księciu. Oburzony Jan pełnem pogardy
spojrzeniem
odpowiedział mu tylko, lecz więcej mówić nie chciał. Wtedy
odwieziono go
napowrót do Gripsholmu...
Tu ciężkie westchnienie przerwało opowiadanie Katarzyny; umilkła, a
książę
zabrał z kolei głos.
— Słyszałaś pewno, Doroto, o hetmanie Jurgenswadzie — mówił,
głową wstrząsając —
i o nauczycielu Eryka, Iwersonie, których własną ręką ten

szaleniec zamordował za to, że mu czynili wymówki za postępowanie
z nami... Nie
narażaj się, bo zginiesz, jak inni zginęli.
— Mam łaski u królowej, ufam w nie — odparła Dorota, — a przytem
jam ostrożna.
Bądźcie spokojni! Umiałam dotąd radzić sobie, potrafię i nadal; wiem
ja, kiedy
co można mówić, a kiedy nie...
Wejście dozorczy przerwało ich rozmowę; Dorota podniosła się.
— Przyszłe leków małemu — rzekła, chyląc się do nóg księżny. —
Opowiem królowej,
w jakiej niedoli jesteście, a może da radę, może wstawi się za wami
do króla.
Katarzyna ucałowała wierną sługę, książę ją pożegnał podaniem dłoni,
odprowadzili ją do progu drzwi, dziękując za to, iż ważyła się ich
odwiedzić, i
znowu zostali sami. Mieli jednak teraz nadzieję w sercach, a z tą
nadzieją o

wiele lżej im było; mniej ponurą wydawała się im teraz ich ciemna izdebka, mniej bolesnymi jęki chorego dziecka.

* * *

We wspaniałej sali zamku sztokholmskiego siedział król Eryk, ponury, zadumany, — siedział w złocistem krześle, z głową złożoną na dłoni, z łokciem o poręcz krzesła opartym. Wokoło tronu stało kilku zbrojnych, a przy każdych drzwiach, do tej sali prowadzących, po dwóch, — wszyscy ponuro zamyśleni... Głucha cisza panowała tutaj; nawet z poza okien, z dziedzińca, żaden gwar nie dochodził, bo

Eryk nie znosił hałasów i karał za nie srogo. Wiedzieli o tem mieszkańcy zamku i strzegli się nawet mówić głośno. Nie zmieniając postawy, siedział król, ciągle nieruchomy, z oczyma, utkwionemi w jeden punkt. Słowa królowej brzmiały mu wciąż w uszach: "Biedne dziecię Jana i Katarzyny ciężko jest chore i, jeśli mu lekarza nie pošlesz, umrze, jak umarła jego siostra, Izabella, — umrze z braku lekarstw, zdrowego posiłku i wygod. W jakiejże nędzy oni tam żyją! Każ biedne dziecię otoczyć wygodą! ratuj je! bo jeśli umrze, śmierć niewinnej istoty grzechem śmiertelnym obciąży ci sumienie!" Eryk podniósł z wolna głowę. — Niechaj umiera! — rzekł groźnie; — chcę tego: niech przepada ród przeklęty!

I znowu oparł głowę na dłoni i znowu pogрузzył się w posepnej zadumie.

Tymczasem pamięć jego snuła dalej:

"Brat twój i bratowa giną z bólu i rozpaczy... Nie dręcz niewinnych!

Oni nigdy

grzesznej myśli nie mieli przeciw tobie... Nie bądź Kainem!"

Eryk porwał się z tronu, drząc z gniewu; oczy jego ciskały płomienie.

— Kto śmie mówić, że on niewinny?! — ryknął — Hej, rycerze!...

Dwóch zbrojnych przyskoczyło do szaleńca.

Po chwili Eryk usiadł napowrót, głowę wsparł na dłoni, i cisza wróciła. Mrok

powoli zaczął zalegać komnatę. Nagle król poruszył się w krześle, podniósł

głowę; twarz jego była w tej chwili trupio blada, a w oczach obok srogości

malował się

przestrach. Naraz powstał z tronu, jedną ręką oparł się o jego poręcz, drugą

przed siebie wyciągnął.

— Ktoś ty? — szepnął głosem drżącym.

Nikt mu nie odpowiedział. Rycerze patrzyli na niego strwożeni. Król zaczął się

cofać ze stopni tronu w przeciwną stronę komnaty.

— Ktoś ty? — powtórzył głosem drżącym. Nagle z piersi jego wyrwał się krzyk

przeraźliwej trwogi. Kilku dworzan zbliżyło się do niego

— Królu, tu niema nikogo — ośmielił się rzec jeden.

— Kłamiesz! — głucho odparł Eryk; — stoi tam, naprzeciw... ja go widzę... stoi

nieruchomy, milczący, jak posąg... biała na nim szata, złote włosy stóp mu

siegają... rękę ku mnie wyciąga, a w ręku miecz trzyma, miecz krwawy; na mieczu

tym wyryte imię brata mego... Zabijcie go! wygnajcie! ja się boję! — i przytulił

się do ściany, drżąc cały, i ukrył twarz w dłoniach. — Wygnajcie go!
zabijcie! —

powtarzał.

Dworzanie zrozumieli, że króla opanował znów zwykły napad
szaleństwa, więc już

nie przeczyli, że w komnacie niema nikogo.

— Jużeśmy go wygnali, królu — rzekli; — już go niema.

Eryk z wolna odsłonił twarz, zwrócił spojrzenie ku ścianie
przeciwległej, lecz

raptem zasłonił znowu oczy dłońmi i drżeć począł.

— Jest, jest! — jęczał głucho; — grozi mi mieczem i mówi do mnie:
"Umyśliłeś

brata swego zabić, żonę mu wydrzeć, dzieci wytepić... Jużeś tyłu
niewinnych

ludzi pomordował!... I Bóg ci rozum odejmie.

i królestwo stracisz, i po skalach, po lasach biegać będziesz, jak
zwierzę, i

marnie w końcu zginiesz!"

Tu Eryk padł na kolana i ręce przed siebie błagalnie wyciągnął.

— Czymkolwiek duchem jesteś, posłanniku Boży, — mówił głosem
prośby błagalnej,

— czyliś duchem ojca mego, Gustawa, czy którego z zamordowanych
przeze mnie,

przysięgam ci, że brata mego wypuszczę z niewoli, i żonę jego, i syna,
że im

oddam wszystkie ich ziemie i skarby, klejnoty, pieniądze, szaty... ale
przestań

mi grozić, duchu tajemniczy! oddal się stąd!

I czoło ku ziemi pochylił, jak gdyby korzył się przed posłannikiem
Bożym; potem

powstał i znowu wzrokiem niespokojnym obiegł komnatę.

— Nie odchodzi! — jęknął. — Odpędźcie go, zabijcie! — począł
krzyczeć znowu, i

drżał i cofał się w głąb' komnaty, aż nareszcie oparł się o ścianę
przeciwległą.

— On mi grozi krwawym mieczem... już dosięga mnie! Ratujcie!
ratujcie!
I z piersi króla wyrwał się krzyk szalonej trwogi; zachwiał się i runął
na
ziemię. Przybiegli do niego rycerze, podjęli go z ziemi, ponieśli do
drugiej
komnaty, która była sypialnią królewską, złożyli na łożu i po lekarzy
posłali.
Eryk znaku życia nie dawał, — był blady, zimny i nieruchomy, jak
trup.

* * *

Nazajutrz rano po owym dniu, w którym Dorota odwiedziła Katarzynę
w Gripsholmie,
dozorca, przyniósłszy więźniom śniadanie, oddał im jednocze-

śnie kosz, pełen róż, mówiąc, iż człowiek obcy, który ani nazwiska
swego, ani
czyim jest posłańcem, nie chciał powiedzieć, prosił go, by kosz ten
zaniósł
księżnie. Katarzyna, ucieszona kwiatami, których tak dawno nie
widziała, pewna,
że to dar Doroty, zbliżyła, się z uśmiechem do koszyka i podziwiać
zaczęła
prześliczne róże, napawając się ich zapachem, — gdy wtem
spozregła wśród
kwiatów coś białego. Zaciekawiona dobyła śpiesznie ów przedmiot;
była to kartka
papieru, a na niej jakieś słowa skreślone. Katarzyna przebiegła je
szybko
wzrokiem, poczem zwróciła na męża jasne, pogodne spojrzenie.
— Oby prawdą były te słowa i dobrą wróżbą dla nas! — rzekła. —
Posłuchaj, Janie:
"Kto dzisiaj łyzy leje,
Ten jutro się śmieje".

— Wróżba pocieszająca; lecz myślałem, że to przepis jakiego
lekarstwa dla
Zygmunta. Wolałbym to, jak czcze słowa — rzekł książę.
Pogodna twarz Katarzyny powlokła się mgłą smutku; biedna matka
przypomniała o
trosce swojej.
— W istocie — rzekła.
— Może kosz jeszcze coś więcej zawiera? — zagadnął Jan.
Katarzyna poczęła szukać.
— Jest! — zawołała naraz, dojrawszy na dnie koszyka jakąś flaszkę.
Dobyła ją i
pokazała mężowi.
Na flaszcze przyklepiona była kartka z napisem: "Ilekróć chory pić
zażąda, poić go
płynem z tej flaszki".

— Bóg wejrzał na niedolę naszą — rzekła Katarzyna, podnosząc
wzrok na męża.
On objął ją ramieniem.
— Może dziecię uratujemy... — rzekł; — może cię ujrzę jeszcze
szczęśliwą i
przestanę żałować, żeś moją małżonką została...

V.

Lekarstwo, przysłane dla chorej dziecińy przez tajemniczego
dobroczyńcę, okazało
się skutecznem, i tydzień minął zaledwie, a mały Zygmuntek znów
śpiewa i skacze,
śmieje się i biega. Choć nic nie zmieniło się w doli Jana i Katarzyny,
— choć
słońce zawsze skąpo udziela im swoich promieni, a izdebka ich ciasna
i nędzna, —
choć strawę prostą i grubą przynoszą im codziennie dozorczy, — choć
brak im

najniezbędniejszych potrzeb, — oni jednak weseli, i to, co troską
gnębiącą
dawniej się im zdawało, dziś fraszką jest dla nich... Najcięższe
obowiązki
spełnia księżna z ochotą i z twarzą pogodną; on nie ubolewa nad jej
dolą, i
oboje patrzą tylko na Zygmunta i dziękują Bogu, że im syna uchował.
I teraz oto Katarzyna z uśmiechem na twarzy pierze bieliznę swemu
synkowi; jedną
ma tylko koszulkę Zygmuntek, a zbrudził ją, więc mu ją zdjęła,

dziecię zaś położyła na tapczanie, a ojciec je własnym kaftanem
osłonił. Usiadł
przy synu i opowiada mu o Finlandyi, o stolicy jej, Abo, o pięknym w
niej zamku,
o piękniejszych jeszcze kościołach, o Sztokholmie, o dziadku, królu
Gustawie,
który za dzielne czyny został obrany monarchą. Chłopiec słucha
ciekawie, — to
pytania rzuca, to dziwi się i zachwyca; on, prócz tej izdebki, nic
więcej nie
zna, więc opowiadań ojca słucha ze zdumieniem. O, jakżeby rad
wyrwać się stąd,
zobaczyć świat szerszy, piękniejszy! Prócz ojca, matki, dozorczy,
nikogo więcej
nie zna, — a na ziemi tylu ludzi, tyle na niej cudów!...
Ojciec przestał opowiadać; Zygmus teraz szczebiocze: marzy o tem,
jak wróćą do
Abo, jak zobaczy te cuda, tych ludzi różnych... Za oknami świergocą
wróble; to
dobrzy znajomi Zygmuntki, tych on widuje często przez okno, — a
one go też znają
i lubią, bo Zygmus często rzuca im okruchy chleba. I teraz oto,
posłyszawszy ich
świergot, podniósł się, siadł na tapczanie.

— Tatku, ja pójdę dać im jeść — rzekł, patrząc na ojca wzrokiem prośby.

— Chodźmy — rzekł książę Jan i, wzięwszy syna na rękę, otulił go kaftanem, do

okna zaniósł, chleba, co leżał na oknie, dał mu kawałek, otworzył okno, a Zygmus

rzucił wróblom garść okruchów.

Z krzykiem i hałasem, trzepocąc skrzydłami, zleciała się z różnych stron mała

gromadka na żer; jeden drugiego odpędza, jeden drugiemu odbiera kąsek.

— Niegrzeczne wróble! prawda, tatku? — rzecze Zygmus; — jeden drugiemu nie chce

ustąpić, a ten największy wszystko chciałby sam zjeść...

I paluszką wskazał większego od innych wróbla, który w istocie zajadle

odpędzał mniejsze od siebie.

Książę Jan westchnął.

— Nie dziw się ptakom, synku — rzekł; — one maluczkie, to i maluczkie serca i

rozum maluczki mają. Ludzie więksi, ludziom większe serca i rozum Bóg dał, a

jednak i oni wiecznie coś sobie wydzierają, czegoś zazdroszczą jeden drugiemu,

waśnią się z sobą i szkodzą sobie wzajemnie.

Zygmus zamyślił się.

— Ja nigdy nic nikomu wydzierać nie będę — rzekł.

I znowu rzucił garść okruszyn ptakom, i znowu z wrzaskiem rzuciła się na żer

mała gromadka. Świergocą wróble, Zygmus się śmieje, wtórują mu ojciec i matka, i

tak tutaj wesoło w tej małej, nędznej izdebce, jak pewno w złoconej komnacie nie

często bywa.

Lecz cóż to za gwar doleciał naraz z dziedzińca?... Książę śpiesznie
syna
zaniósł na tapczan, położył go na słomie i kaftanem okrył.
— Cicho, Zygmusiu! — szepnął; — cicho, dziecinko moja!
Na pogodną twarz jego cień smutku zstąpił, na czole ukazały się
podłużne brózdki.
Katarzyna przerwała robotę, otarła ręce fartuchem. Spojrzeli na siebie;
w oczach
obojga, niepokój się maluje. Zbliżyli się do okna, wyjrzeni przez nie,
— lecz
nic nie widzą: na

dziedzińcu pusto. Gwar leci od bramy; słyhać głosy ludzi, rzenie
koni,
szczekanie psów... Ktoś przyjechał do Gripsholmu; lecz kto? — nie
wiedzą;
domyślają się tylko, że ktoś z zamku królewskiego. Gwar mówi, że to
goście, co
nie lękają się nikogo i nie dbają o zakłócenie komuś spokoju...
Zygmuntek
skurczył się, leży cicho, — lecz oczyma, z których ciekawość tryska,
wpatruje
się w rodziców i wsłuchuje w gwar, który ciągle się wzmaga. Głosy
ludzkie stają
się coraz wyraźniejsze; już teraz słyhać kroki na korytarzu,
wiodącym do ich
izdebki.
Nareszcie drzwi się rozwarły i w progu stanęło dwóch dorodnych
młodzieńców w
jedwabkach, złocie, klejnotach, — za nimi kilku mężczyzn,
poważnych wiekiem, i
kilka niewiast, między którymi widać Dorotę; — na końcu zaś
orszaku dwóch
pachołków, którzy dźwigają jakąś ciężką skrzynię.
Oczy Zygmunta rozszerzyły się ze zdumieniem; wpatrzył się w
przybyszów, jak w

cudowne zjawisko, a z piersi Jana i Katarzyny wyrwał się okrzyk.
— Magnus! Karol! — zawołał Jan.
— Dorotka! — zawtórowała mu Katarzyna. Goście weszli, skłonili się
księciu i
żonie jego,
na pachółków skinęli, by skrzynię wnieśli do izdebki, poczem jeden z
braci
księcia Finlandyi, Magnus, wystąpił na przód i rzekł:
— Radosną nowinę przyszliliśmy wam zwiastować: Eryk wzywa was
do Sztokholmu.
Przywdziejcie szaty stosowne; za godzinę powrócimy po was i razem
wrócimy do
stolicy. Eryk przekonał się, żeś niewinny, bracie; wolność i mienie
chce ci
przywrócić.

To powiedziawszy, skłonili się powtórnie księstwu i wyszli, zanim
Jan i
Katarzyna zdołali ochłonąć z pierwszego wrażenia. Wyszli wszyscy,
prócz Doroty.
Gdyby nie jej obecność i gdyby nie wielka skrzynia, co stała po
środku izdebki,
sądzić byliby mogli, że to był sen, — lecz Dorota upewniła ich, że to,
co mówił
Magnus, jest prawdą.
— Eryk rozchorował się śmiertelnie — mówiła, — i lekarze nie robili
nadziei, by
przyszedł do zdrowia. Gorączka była silna; przytomność umysłu
całkiem go
opuściła... Lecz wczoraj podniósł się raptem z łoża, kazał podać sobie
suknie,
ubrał się, potem przywołał braci i rzeki im: — "Jedźcie do
Gripsholmu,
przywieźcie mi Jana, żonę jego i syna. Przyrzekłem posłannikowi
Boga. iż wrócę

im wolność i mienie; słowa chcę dotrzymać.. Wszystko, co było
własnością Jana i
co mojem jest: koronę, skarby, oddam mu i ustąpię z tronu; niechaj
panuje nad
całą Szwecją. "

— Dorotko, czyś ty sama słyszała to? — spytała drżącym od
niepokoję głosem
Katarzyna.

— Nie słyszałam, ale mówili mi inni, co to słyszeli. Eryk ma dobre
względem was
zamiary — odparła Dorota. — Na zamku sztokholmskim ucza was
czeka, na którą
Eryk sprosił moc gości.

Jan i Katarzyna zbliżyli się do skrzyni i przeglądać zaczęli stroje, jakie
się w
niej znajdowały: wspaniałe były, prawdziwie książęce.

Zygmuś na ich widok klaskał w dłonie z radością, a gdy matka
włożyła nań
błękitną, perłami haftowaną sukienkę, rozśmiał się wesoło i począł
biegać wokoło
izdebki, skakać i wołać:

— Mamo, tato! patrzcie, jaki Zygnuś ładny!

Jan i Katarzyna z uśmiechem patrzyli na szczęśliwe dziecko. Sami też
zmienili

nędzne swoje łańchmany na jedwabne, błyszczące od klejnotów suknie.
— Wiesz, Janie — odezwała się Katarzyna, gdy już oboje po
książęcemu byli

wystrojeni, — tak przywykłam do naszej niedoli, iż trudno mi
uwierzyć, że
opuszcza nas ona. Ciągle pytam siebie, czy to nie sen...

— Nie sen, najmilsza; to rzeczywistość — odparł poważnie książę. —
Lecz ja się
lękam czego innego: czy to nie kaprys chwilowy chorego umysłu
Eryka, lub, co
gorsze, czy to nie podstęp?

Katarzyna, blednąc nagle, zwróciła się do dziecka, które właśnie przybiegło do niej z jakimś pytaniem, objęła je ramieniem i do piersi przytuliła. Wejście Magnusa i Karola, oraz panów i pań szwedzkich, które z nimi tu przybyły, przerwało tę rozmowę. Książęta, ujrawszy, iż więźniowie już przebrani, wezwali ich, aby szli za nimi. Katarzyna, drżąca, pełna niepokoju, ujęła syna za rękę, na ramieniu męża się wsparła, i tak wszyscy troje, razem się trzymając, otoczeni przez tych, co przyjechali po nich, opuścili ciemną, nędzną izbę i długim korytarzem, a potem krętymi schodami przeszli do sieni zamkowej, następnie na dziedziniec, a stąd na brzeg jeziora. Zygmus, idąc, wydawał ciągle okrzyki zdziwienia. Dla niego wszystko tu było nowością: te stare, olbrzymie, szumiące drzewa, które po drodze spotykali, wonne kwiaty, jakie mijali. Urodził się w ciasnej izdebce Gripshol-

mu i w niej lat pięć przebył; ona mu była dotychczas światem. Nareszcie dotarli do jeziora. U przystani czekała galera, ustrojona wieńcami z liści zielonych. Świątecznie przybrani majtkowie powitali księcia okrzykami radości. Jan i Katarzyna wstąpili na galere, a z niemi Zygmuntek, który, coraz bardziej zdumiony, ucichł teraz i w milczeniu przypatrywał się wszystkiemu. Panowie i panie, oraz Dorotka weszli również na galere. Majtkowie ujęli wiosła, plusnęły wody jeziora Melar, i galera pomknęła zwolna ku stolicy Szwecyi. Coraz

jaśniej robiło się w duszy Katarzynie; obawy, które obudziły się w
więzieniu w
jej sercu, tu, pod tem pogodnem niebem, pierzchły zupełnie. Jan
zdawał się też
ufać dobrej gwiazdzie, która po tylu latach niedoli zabłysła im znowu;
był
widocznie dobrej myśli i swobodnie rozmawiał z braćmi. Magnus i
Karol otaczali
go uszanowaniem; panie ubiegały się w usługach dla Katarzyny;
Dorotka zajęta
była wyłącznie Zygmuntkiem. Dawne czasy, czasy, gdy miłość i cześć
poddanych ich
otaczały, przypomniały się Katarzynie i Janowi; zdało się im, że są
znowu w Abo,
że władzę dzierżą. Przebyte przykrości, jak sen, stawały im teraz w
pamięci.
Nakoniec galera dobiła do brzegu. Mieszkańcy stolicy byli widocznie
uprzedzeni,
że księżę ma przybyć do Sztokholmu, gdyż tłumy czekały u przystani.
Gdy Jan,
zszedłszy z galery, ukazał się im wraz z żoną i synem, radosne
okrzyki: "Niech
żyje księżę Jan" — obłyły się o pogodne błękity... Kapelusze, strojne w
strusie
pióra, powiały w powietrzu. — "Niech żyje!" — powtarzał tłum, a Jan
i Katarzyna
uśmiechem

i skinieniami głowy dziękowali za oznaki przychylności, zaś mały
Zygmuntek,
namówiony przez Dorotkę, ręką słał pocałunki...
Lecz czemuż ten tłum nagle ucichł? co spłoszyło jego radość? Szept
jakiś
nieprzychylny przebiegł wśród ludzi; rozstąpili się na dwie strony,
jakby komuś

drogę torowali. Jan i Katarzyna spojrzeli w głąb' tego szpaleru żywego
i naraz
oboje pobledli... Tam, na końcu owej drogi, którą utworzył tłum,
zebrany nad
brzegiem jeziora, ujrzeli Eryka: szedł krokiem powolnym, otoczony
panami,
chmurny, blady, milczący. Katarzyna przytuliła się do męża, drżąca,
wylękała;
syna ścisnęła tak mocno za rękę, że chłopczyna nastroił minę do
płaczu. Jan
czoło zmarszczył na widok swego dręczyciela, tyrana; gniew zakipiał
w jego
sercu. Stłumił go jednak i, zdjawszy z głowy kapelusz, poszedł na
przód
spokojny, lecz z hardo podniesionem Czołem. Mierzyli się obaj
wzrokiem; oczy
Eryka pełne były niepokoju, chwilami błyszcząły ponuro, — w
oczach Jana świecił
spokój i duma.
Już tylko kilka kroków dzieliło braci od siebie, — jeszcze parę, a będą
mogli
podać sobie dłonie i uścisnąć się, przebaczyć, pojednać.
Nagle Eryk zatrzymał się i wyciągnął ręce przed siebie.
— Janie! przebacz mi! — rzekł głosem drżącym. — Grzesznikiem
jestem, lecz
żałującym... Podaj mi rękę do zgody.
Książę Finlandyi, zdumiony tem zachowaniem się króla, przystąpił do
niego i
rzekł:
— Panie, niechaj Bóg cię rozgrzeszy!

— Bądź błogosławiony za te słowa! — zawołał Eryk i schwycił Jana
za rękę. Potem
powitał Katarzynę, która na niego patrzyła ze strachem i odrazą, a
małego

Zygmunta, chociaż się wyrywał, objął ramieniem i w czoła pocałował.
Wreszcie

podał ramię drżącej, wylękłej Katarzynie i powiodł gości
gripsholmskich do swego
zamku.

Lud, widząc zgodę zwaśnionych braci, znowu podniósł radosne
okrzyki. "Niech żyje

Jan! niech żyje Eryk!" — leciało za nimi aż do zamku samego.

Wspaniała uczta zakończyła ten dzień radosny dla Jana i Katarzyny.

Przy

wieczerzy Eryk posadził brata i bratową obok siebie i czynił im
honory

największe; serdecznym i wesołym był przez cały wieczór i takim też
nazajutrz

się okazał.

Gdy Jan, który jeszcze nie dowierzał swemu szczęściu, zapytał go,
kiedy będzie

mógł powrócić do Abo, Eryk odparł mu:

— Kiedy tylko zechcesz.

Jan pragnął jak najprędzej wracać do siebie, więc król kazał poczynić
przygotowania do podróży, i na trzeci dzień rano księstwo,

pożegnawszy Eryka,

żonę jego i dwór cały, puścili się w podróż z synem, Dorotą i kilku
panami,

których im dał król Szwecyi, aby orszak książęcy tworzyli, bo dawni
ich

dworzanie prawie wszyscy byli wymordowani.

— Czy w istocie złe bezpowrotnie minęło? czy troski, co nas gnębiły,
nie

nawiedzą nas więcej? — pytała Katarzyna męża, kiedy wsiedli na
okręt i, Stojąc

na pokładzie, patrzyli razem na ciemne wody zatoki Botnickiej,
szumiące ponuro

wokoło nich.

— To samo pytanie stawię sobie i ja — odparł Jan; — a jedyną
odpowiedzią, jaką w
duszy znajduję na nie, jest: "Ufajmy Bogu... Ufaliśmy, iż dziecię nam
uratuje,
ufajmy i teraz, że więcej doświadczać nas nie będzie".
To mówiąc, poszukał wzrokiem Zygmunta, który stał opodal z
Dorotą na pokładzie.
Katarzyna pobiegła oczyma w tę samą stronę i obawy jej pierzchły.
— Ufajmy! — szepnęła, kładąc dłoń na ramieniu męża.

* * *

Niestety, złe przeczucia Jana i Katarzyny nie były bezzasadne, — nie
próżno
wątpili o stałości przychylnego losu. Eryk niebawem pożałował tego,
co uczynił;
postanowił pozbyć się brata i nasłać nań morderców. Zbrojny napad
miał być
dokonany na zamek Abo. Szczęściem ktoś z przyjaciół Jana
dowiedział się o
uknutym spisku i uprzedził go, lecz uprzedził w ostatniej chwili, tak,
iż książę
w ucieczce tylko mógł szukać ratunku. W noc ciemną książę z
przyjaciółmi swymi,
oraz panowie i panny dworskie tajemnie uciekli konno w otaczające
Abo wzgórza, a
księżnę z synem służba w lektyce uniosła. Przebywszy góry i
przepłynąwszy rzekę
Aurajaki, schronili się wszyscy do obronnego zamku Wadsten,
rankiem zaś książę,
pożegnawszy żonę i zostawiwszy ją pod opieką załogi zamkowej oraz
Doroty i pań
dworskich, udał się ze zbrojnym oddziałem na wyprawę przeciw
bratu. Pokonany
Eryk dostał się w moc brata, a Jan, ulegając woli narodu, odebrał mu
władzę i
sam wstąpił na tron. Eryk, jako obłąkany, oddany został pod

straż. Otoczono go wszelkimi wygodami, a nawet zbytkiem, lecz
pozbawiono
wolności, aby nie szkodził więcej innym.
Pokonawszy nieprzyjaciela, Jan sprowadził żonę i syna do
Sztokholmu i odbył
uroczystą koronację.
Tak to po długich latach niedoli Katarzyna Jagiellonka została
królową Szwecyi.

IX.

SZLACHETNY ZAMIAR.

Znaj samego siebie i unikaj
tego, co cię z wyżyn strąca.
T. J.

I.

W okolicach miasta Avilla, w Hiszpanii, wznosił się w wieku XVI
wspaniały zamek
don Alfonsa Sanchez Zepede, bogatego granda, który słynął z cnót i
rozumu, a
przytem, jak mówiono powszechnie, i ze szczęścia. Miał on żonę
zacną, którą
miłował nad wszystko, miał dwoje dzieci drobnych, które obiecywały,
iż mu na
chlubę jego i pociechę wyrosną. Teresa — było imię córki, — syna
nazwał
Rodrygiem. Grand Zepede miał przyjaciół i posiadał szacunek ludzki.
Czegóż
jeszcze braknąć mu mogło do szczęścia? To też Alfons Sanchez
Zepede w chwilach
wesołości mawiał zwykle: "Gdyby nie Krezus, rzekłbym: Niema

szczęśliwszego nade mnie człowieka. Lecz, dzięki temu królowi,
wiem, że fortuna
jest zmienną; mówię przeto: Dotychczas byłem najszczęśliwszym z
ludzi, co zaś
jutro przyniesie, nie wiem. "

Cienisty ogród otaczał pałac granda Zepede. Był to ranek. Słońce
złociło posępne
cyprysy, pękate pomarańcze i białem kwieciem osypane mirty ogrodu.
Wesoły

szczebiot ptactwa mieszał się z głosami ludzkimi, z głębi ogrodu
dochodzącymi. W

alei, którą tworzyły rozłożyste akacje, ukazało się dwoje dzieci:
dziewięcioletnia dziewczynka i starszy o rok od niej chłopczyk.

Trzymając się za

ręce, biegli, jak gdyby śpieszyły do jakiegoś celu.

Na końcu alei rosły dzikie rozłożyste krzewy. Gdy dotarli do nich,
chłopiec

puścił rękę swej towarzyszki i, postąpiwszy na przód, rozchylił
gałęzie krzewów.

— Tego namiotu wiatr nie zburzy — rzeki pewnym siebie tonem; —
umocowałem go
sznurami.

— I nikt go nie odkryje — dodała dziewczynka, wsunawszy główkę
pomiędzy

rozchylone gałęzie. — A czy wewnątrz jest on już skończony? —
zapytała po

chwili.

— Chodź, zobacz! — odparł chłopiec i, wyjąwszy znowu
towarzyszkę za rękę,

wprowadził ją do chróścianego namiotu;

— Jak tu ślicznie! — wykrzyknęła Teresa. — Czyś ty, braciszku, sam
to wszystko

urządził?

— Pracowałem tu wczoraj i onegdaj całe popołudnie — odparł
Rodryg.

— Teraz będziemy się tu modlili, rozmyślali i snuli swoje plany.

Z temi słowy córka don Alfonsa Zepede rozejrzała się po chróścianej kapliczce. W głębi jej znajdował się ołtarz, biało przykryty, na którym stał bogaty krucyfiks z kości słoniowej. Kilka stopni ' prowadziło do owego ołtarza. Teresa uklękła i cicho zaczęła się modlić; Rodryg poszedł za jej przykładem. Głosy ptasząt zlewały się z szeptem drzew, a słońce, zakradłszy się przez szczeliny namiotu, złotą jasnością oblało tych dwoje pobożnych dzieci. Zmówili ranne pacierze, poczem usiedli oboje na stopniach ołtarza.

— Cóż, Rodrygu? czy trwasz zawsze w powziętym zamiarze? — zapytała Teresa.

— Obyś ty tylko wytrwała, a ja myślę o tem, kiedy go wykonać — odparł chłopiec.

— Piętnastego maja... tak już sobie postanowiłam; nie wiem wszakże jeszcze, o jakiej porze dnia: rano, czy po obiedzie.

— Mnie się zdaje, że po obiedzie; lepiej się to uda — rzekł Rodryg.

— Ranki mamy

zawsze zajęte, łatwiej przeto spostrzegą naszą nieobecność. Ot. za chwilę rozlegnie się dzwon, wzywający na mszę; gdybyśmy którego ranka głosu

jego nie usłuchali i do kaplicy pałacowej nie przyszli, natychmiast rozesłanoby

po nas ludzi na wszystkie strony. Pomszy znów zajęcia obowiązkowe.

Nie, rano się

nie uda ucieczka. Po południu całe godziny nieraz nikt o nas nie pyta; sąsiedzi

się zjeżdżają, rodzice przyjmują ich, a Anna, twoja ochmistrzyni, i uroczyście

Pedro, mój nauczyciel, lubią w tej porze ze sobą porozmawiać. Teresa zamyśliła się poważnie.

— Masz słuszość — odezwała się po chwili. —

A więc piętnastego maja o godzinie piątej po południu spotkamy się tu...

Dzwon, wzywający na nabożeństwo do kaplicy pałacowej, przerwał ich rozmowę;

podnieśli się oboje i podążyli aleją akacyową.

W pięknej kaplicy gotyckiej, której wązkie malowane okna niewiele światła

dawały, don Alfonso i żona jego klęczeli już na stopniach ołtarza.

Teresa

stała obok matki, a Rodryg obok ojca, i wnet zabrzmiał uroczysty głos organów.

Po nabożeństwie nauczyciel zawołał Rodryga do lekcji, a Teresa z matką, Anną i

pannami dworskimi poszła do komnat niewieścich i zasiadła do szycia.

Tak ubiegł im czas do południa. Obiad znów. zgromadził wszystkich.

Don Alfonso

przy stole zaczął mówić o szerzącym się wśród ludzi zepsuciu, o tem, jak słabnie

wiara, jak moralność upada, jak potrzebni są tacy, którzyby, wyrzekłszy się

świata i jego rozkoszy, oddali się, jak owi Chrystusa apostołowie, tylko

rozszerzaniu światła wśród zepsutych, cnót wśród obojętnych.

Z błyszczącymi oczyma słuchała tych słów Teresa, od czasu do czasu przenosząc

wzrok z ojca na brata, jak gdyby porozumiewając się z nim spojrzeniem.

— Widziałam, z jakim zajęciem słuchałaś ojca podczas obiadu — rzekła do niej

ochmistrzyni, gdy wstały od stołu; — przeczytam ci dzisiaj coś z życia dawnych krzewicieli wiary Chrystusa. Zajmie cię to z pewnością.

— Czy nie mogłabym sama przeczytać? — zapytała Teresa.

— Dlaczego nie? wszak czytasz tak biegle! Z ochotą sama posłucham

— odparła

Anna. — Chlubię się tobą, boć dziewczeczki w twoim wieku często liter nie znają, a

ty nie tylko czytasz, lecz i piszesz.

— Matce to i tobie zawdzięczam — odrzekła skromnie Teresa.

Anna ją uścisnęła.

— I swej pilności — dodała, całując ją w czoło. I poszły razem do swych pokojów,

gdzie na

pobożnem czytaniu upłynęło im kilka godzin. Rodryg tymczasem harcował na koniu,

do celu strzelał, ucierał się z szablą z dworzanami, jednym słowem — przysposabiał się na przyszłego obrońcę Hiszpanii. Dopiero o godzinie -ej

zeszły się znowuż dzieci w ogrodzie. Teraz mogły już używać swobody; nie

korzystały z niej wszakże stosownie do swego wieku, usiadły bowiem poważnie w

cieniu drzew i rozmawiać zaczęły o życiu apostołów i męczenników.

Teresa z

zapalem powtarzała bratu to, co czytała z Anną i matką.

— Jacy oni byli szczęśliwi! jak ja im zazdroszczę, bracie! — zawołała naraz.

— Może i my oddamy kiedyś życie za Chrystusa — odparł Rodryg.

Wtem w ogrodzie rozległo się wołanie:

— Tereso! Rodrygu!

Dzieci poznały głos matki, więc zerwały się z ławki i pośpieszyły do niej. Matka

rzekła:

— Jest od wuja Castello posłaniec z wiadomością, że jakiś znakomity torreador

przybył do Avillaj zobaczycie więc walkę z bykiem.

Czarne oczy Teresy rozgorzały.

— A jak się mam ubrać? — zapytała.

— Idź do Anny; już wydałam rozporządzenia — odparła matka poważnie. — A ty,

Rodrygu, idź do

Pedra.

W godzinę potem z pałacu don Zepede wyruszyła kolasa, otoczona jeźdźcami,

podążając do miasta.

Teresa jechała razem z rodzicami; obok nich konno jechał Rodryg.

Gdy przybyli do

Avilla, ujrzeli na ulicach tłok wielki. W pałacu don Castella czekano na gości,

i gospodarz poprowadził ich zaraz cienistą aleją wprost do cyrku, którego

rozległy plac żwirem był wysypany i wysokim parkanem otoczony.

Amfiteatr

zapełniali już widzowie. Najbliższą areny lożę dolnego piętra

zajmowała rodzina

don Castella. Dwunastoletnia jego córka, piękna Klara, strojna w

kwiaty i

klejnoty, ujrzawszy przybyłych, podniosła się uprzejmie. Don Castello wprowadził

brata z rodziną.

— Ach, jak to dobrze, żeście przybyli! — zawołała Klara do ciotecznych brata i

siostry; — wspaniale będziemy mieli widowisko!

Teresa obiegła wzrokiem arenę.

Pod ogrodzeniem, otaczającym plac, stał młody człowiek o twarzy bladej i

smutnej, w pięknym stroju hiszpańskim, z czerwoną banderą w ręku; znać, że

walczyć miał za chwilę ze strasznym potworem, którego ryk
dochodził z
drewnianego budynku, co

tuż przy arenie się wznosił. Zagrały trąby, dające hasło rozpoczęcia
widowiska.

Do loży dolnej przystąpił stróż porządku, pokłonił się nisko i poprosił
o klucz.

Don Castello podał mu wielki srebrny klucz. Stróż zwrócił się do
owego budynku,

w którym zamknięty był byk; klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się
rozwarły i na

arenę wypadł zwierz olbrzymi. Znalazłszy się po środku, zatrzymał
się nagle,

podniósł łeb rogaty, krwawem okiem potoczył w około; groźny ryk
zagrzmiał,

dreszczem przejmując widzów.

Błady, lecz spokojny, postąpił ku niemu torreador i czerwoną banderą
powiał

przed jego oczyma. Potwór zaryczał wściekle i, zwiesiwszy Jeb z
nastawionymi

rogami, rzucił się na przód. Walka się rozpoczęła. Błyszczącemi
oczyma

przypatrywała się jej Teresa. Na usta jej wybiegał uśmiech zachwytu;
ilekroć

torreador zręcznie wyminął nieprzyjaciela i ciosu uniknął, biła w
dłonie i

wtórowała innym w okrzykach radości, — ilekroć zaś rozjuszone
zwierzę zdawało

się grozić życiu dzielnego młodziana, wstrzymywała oddech,
zaciskała drobne

piąstki i, zdawało się, gotowa była biedz na pomoc zagrożonemu.

Donna Elwira nie

spuszczała z oka córki; w spojrzeniu matki malował się smutek. Ona
nie

przyklaskiwała walce i ze wstrętem widocznym odwracała od niej
oczy. Nareszcie
losy walczących rozstrzygnęły się: rozległ się ryk bolesny, do głosu
rozpaczy
podobny, i potwór, krwawą posoką oblany, legł na piasku areny.
Krzyki radości,
oklaski, głosy trąb i bębnów uczciły tryumf zwycięzcy, głuszac ryk
konającego
byka. Moc kwiatów posypała się

zawszad na młodego torreadora... Teresa nachyliła się do Klary i czuły
pocałunek
złożyła na jej ustach.
— Ach, jak to ślicznie! — zawołała. — Chciałabym codzień bywać
na takich
przedstawieniach.
Te słowa zwiększyły smutek na twarzy matki. Lecz zajęta
widowiskiem Teresa nie
patrzyła na nią.
Wybiegło teraz kilku pikadorów, drugi byk wypadł na arenę i nowa
walka się
rozpoczęła. Pikadorowie drażnili nieszczęsne zwierzę czerwonymi
banderami, kłuli
ostremi włóczniami, a krwią oblany byk rzucał się to w jedną, to w
drugą stronę,
aż wreszcie, jak i poprzedni, legł na piasku z raną śmiertelną. I znowu
klaskała
w dłonie Teresa, znowu wraz z Klarą rzucała kwiaty zwycięzcy.
Późnym wieczorem wracała rodzina Zepede do domu z widowiska.
Teresa, ożywiona,
dzieliła się wrażeniami z rodzicami.
— Co też może skłaniać tych ludzi do tak niebezpiecznej walki? —
odezwała się
donna Elwira. — Toż przecie nieraz podobne zapasy śmiercią się
kończą.

— Co ich skłania, pytasz? — odparł don Alfons; — powiem ci zaraz:
próżność, lub
najczęściej nędza. Mówił mi Castello, że ów torreador, który sam
jeden walczył z
bykiem, ma starych rodziców i pięcioro drobnego rodzeństwa, które
karmi i uczy,
dzięki swemu niebezpiecznemu rzemiosłu.
Teresa spojrzała zdziwiona na ojca i wesołość uciekła z jej twarzy: po
raz
pierwszy usłyszała, iż są ludzie, co z nędzy, a nie dla sławy narażają
swe
życie. Póki patrzyła na walkę, bawiła się widowiskiem, — teraz
dopiero przyszło
jej na myśl, iż mogło się

ono skończyć śmiercią człowieka, śmiercią syna starych,
niepełnych rodziców i
brata małych chłopiąt, I już tego wieczora nie rozjaśniła twarzy;
smutna i
zamyślona udała się na spoczynek.

— Czyś nie uważał, jaka wrażliwa jest nasza Teresa? — rzekła Elwira
do męża, gdy
wrócili do domu. — Przejmuje się tak żywo wszystkim; z zapalem
przyklaskuje
torreadorom, a płacze, słysząc o męczennikach, na stosy
wstępujących. Z równą
gorliwością modli się, bawi, stroi i pracuje. Niespokojna jestem o nią,
gdyż
niepewnym jest, jakie zamiłowanie weźmie w niej górę: czy
lekkomyślną niewiastą,
czy bogobojną panią będzie w przyszłości?

— Jak ją wychowamy, taką będzie — odparł spokojnie don Alfons.

— Serce ma
gorące, a od nas zależy, co ukocha to serce, ku czemu się zwróci, jaki
cel życia
sobie obierze.

Teresa źle spała tej nocy. Nazajutrz wstała smutna i szła milcząca obok brata do chróścianego namiotu na zwykłe ranne modlitwy i rozmyślenia. — Co ci jest dzisiaj? — zapytał ją Rodryg, gdy po skończonych pacierzach usiedli obok siebie na stopniach ołtarza. — Myślę o tem, co ojciec wczoraj powiedział, gdyśmy od wuja Castello wracali — odparła z wolna. — Dotychczas przypuszczałam, że nie masz innych nieszczęśliwych na ziemi, jak tylko ci, co chrztu są pozbawieni i nauki Chrystusa nie znają, i że takich nieszczęśliwych trzeba szukać d deko; tymczasem dowiedziałam się teraz, że i w Hiszpanii znaleźć ich można.

— I już chwiejesz się w swem postanowieniu? Oj, słabe wy jesteście, niewiasty! — odparł Rodryg z uśmiechem. Czarne oczy Teresy zapłonęły. — Dziś jeszcze nie piętnasty maja, nie wydawaj więc sądu za wczesnie — rzekła. — Anna powiada, iż o bliźnich źle mówić nie należy, nawet, gdy widzimy, iż źle czynią, a cóż dopiero, gdy tylko przypuszczamy, iż źle postąpią. Nie chwieję się w postanowieniu, tylko pytam serca, gdzie mam szukać nieszczęśliwych. — Wesprzeć biednego każdy potrafi — odparł Rodryg, — lecz przebyć obce kraje, góry, rzeki, morza i umrzeć wśród dzikich ludów, czyniąc z nich wyznawców Chrystusa, na to mało kto się odważy.. Słowa te przekonały Teresę; objęła brata ramieniem i uścisnęła czule. — Pójdziemy razem nawracać murzynów! — zawołała z zapalem.

* * *

Drogą, ciągnącą od miasta Avilla, szło dwoje dzieci. Cienie nocy osłaniały już ziemię. Wieżycy kościołów miasta rysowały się z boku niewyraźnie na ciemnym tle horyzontu. Nad nimi rozpostarte było szafirowe sklepienie, usypane złotymi gwiazdami, pomiędzy którymi królował srebrny sierp księżyca. Głucha cisza otaczała dzieci; od miasta tylko dochodził je niewyraźny gwar. Szły śpiesznie, jak gdyby uciekając. Przytulone jedno do drugiego, oglą-

dały się trwożnie od czasu do czasu za siebie. Odgłosy miejskie coraz cichły, aż wreszcie głuche milczenie nocy dzieci otoczyło. Wówczas zatrzymały się i rozejrzały po rozległej przestrzeni: wszędzie ciemność, wszędzie cisza, pustka, noc czarna, głucha.

— Już ze trzy godziny chyba idziemy — odezwała się dziewczynka; — możemy już odpocząć.

I zaczęła szukać wzrokiem miejsca wygodnego.

— Nie jestem pewny, czyśmy już minęli willę Castello — odezwał się chłopiec, — a bezpieczniej byłoby dopiero za nią odpoczywać. Wuj, co prawda, jest w Madrycie, lecz służba jego nas zna. Chodźmy jeszcze trochę dalej.

Dziewczynka westchnęła.

— Ktoby tam nas poznał po nocy! — szepnęła, idąc jednak.

Po jakimś czasie zatrzymały się dzieci znowu, spostrzegłszy przy drodze coś w rodzaju nasypu. Usiadły na nim, bo już oboje czuły potrzebę odpoczynku.

— Gdzież najpierw się udamy? — zapytała dziewczynka.

— Najpierw do Kadyksu — odparł chłopiec z powagą, — a tam wsiądziemy na okręt i do Afryki popłyniemy. Będziemy pytali po drodze ludzi, którą drogą do Kadyksu, a żyć będziemy z jałmużny. Jako apostołom, dachu i pożywienia nikt nam nie poskapi.
— Cyt! — szepnęła dziewczynka; — słyszę tętent... ktoś jedzie drogą...
Umilkli oboje i wsłuchywać się zaczęli.

— Masz słuszość — odezwał się po chwili głosem niższym chłopiec.
Przytulili się do siebie, zwróciwszy niespokojnie oczy w stronę, skąd hałas dochodził. Tętent coraz wyraźniej słycać było; już rozróżniali turkot kół i rzenie koni, nareszcie dojrzelili czarną masę, ku nim pędzącą.
— Co tam? — rozległ się nagle głos silny na drodze. — Czy to nie dwoje dzieci?
Głos woźnicy potwierdził.
Przerażone dzieci przypadły do ziemi i oczy ze strachu zamknęły.
Naraz rozległo się tuż nad nimi złowrogie wołanie:
— A wy tu co robicie?...
Głos dobrze był dzieciom znany, a jednocześnie z pytaniem uczuły one, że czyjeś dłonie oparły się na ich ramionach. Podniosły nieśmiało spojrzenia i zdrętwiały ze strachu: przed nimi stał don Castello, surowy, gniewny, trzymając je mocno za ramiona
— Co wy tu robicie? — powtórzył pytanie. Teresa i Rodryg zamienili między sobą spojrzenia.

— Idziemy do Afryki murzynów nawracać — odważyła się pierwsza odezwać dziewczynka.

Dźwięczny śmiech rozległ się na drodze.

— Czy i Klara jest tutaj? — zapytał zmieszany Rodryg.

— Czeka w powozie — odparł don Castello. — Oj, dzieci, dzieci! co też to wam

strześciło do mózgu? — dodał, siląc się, by także śmiechem nie wybuchnąć. —

Chodźcie do powozu; odwiozę was stro-

skanym rodzicom... Pieszko wybrały się do Afryki i bez pieniędzy w kieszeni!..

Słyszaneż to rzeczy?

I ująwszy oboje za ręce, do powozu je prowadził. Rodryg i Teresa nie śmieli

oporu stawiać. Byli zgnębieni; śmiech Klary i słowa stryja stokroć im większą

przykrość sprawiły, niżby łajanie najgorsze sprawić mogło.

Wyszyszono zamiary,

które wzniosły się im wydawały... Woleliby znieść karę najsurowszą... Smutni,

z głowami opuszczonemi, stanęli przed kolasą.

— Wniwecz obróciłaś wszystkie moje piękne plany — odezwała się Klara, zwróciwszy

się do Teresy. — Wstąpiliśmy do was, wracając z Madrytu; miałam cię zabrać do

Castello na kilka dni wesołych, a teraz pewno stryj nie pozwoli.

— Mniejsza o rozwiane twoje rojenia! — rzekł don Castello; — lecz ileż niepokoju

nabawili oni rodziców! Nie zastanowiliście się widocznie, jak zraniliście ich

serca swem zniknięciem; a łzy rodziców nie przynoszą

błogosławieństwa Bożego

żadnym zamiarom dzieci...

Teresa i Rodryg w milczeniu słuchali tych wymówek. Konie pędziły
tymczasem
rażno, i niebawem ukazały się znane mury. Dzieci zadrżały na myśl,
jak staną
przed rodzicami.

W pałacu Zepede nikt nie spał. Don Alfons, dowiedziawszy się o
zniknięciu
dzieci, rozesał dworzan na wszystkie strony. Annę i Pedra zarzucił
wymówkami,
iż nie czuwali dość troskliwie nad dziećmi. Zamknawszy się potem z
żoną, radził
z nią, co czynić, jeśli nawet w mieście dzieci się nie znajdą.

Anna, czując swą winę, płakała w swoim pokoju i modliła się, by Bóg
wrócił
działwę rodzicom; Pedro klął los swój nieszczęśliwy, a ci z dworzan i
służby,
którzy w domu pozostali, skupiwszy się na dziedzińcu, szeptali różne
przypuszczenia i wyczekiwali niecierpliwie powrotu towarzyszków.
Wtem ukazała się
kolasa don Castella, a krzyki radości, jakie się rozległy na jej widok,
dobiegły
do pokoju donny Elwiry.
— Są! są! — wołali dworzanie, ujrawszy w kolasie dzieci.
Po chwili z bijącym i sercami weszli Rodryg i Teresa do pokoju matki
i z głośnym
szlochaniem rzucili się do nóg rodziców. Słowa stryja zbudziły w nich
wyrzuty
sumienia, i dzieci szczerze błagały przebaczenia. Don Castello stał za
niemi z
Klarą. Oboje weszli uśmiechnięci, lecz smutne twarze don Alfonsa i
Elwiry
zmusiły ich do powagi.
— Wędrowali do Afryki — odezwał się don Castello; — chcieli...
Zresztą niech
mówią sami.

— Jam winna, ojcze! — zawołała pierwsza Teresa; — w mojem sercu
zrodziło się

pragnienie iść do pogan i nawracać ich.

— A czy zapytałaś siebie: "Jestemże przygotowaną dostatecznie do
tak wielkiego

zadania?" — przemówił surowo don Alfons...

— Zdawało się nam, że umiemy aż nadto wiele dla ciemnych
murzynów — odezwał się

Rodryg. — Czytając, jak są nieszczęśliwi, zapragnęliśmy zbawić ich
dusze.

Przebacz nam, ojcze!

— Przebaczam, boście dzieci! Idźcie teraz każde do siebie i
zastanówcie się nad
nierozsądnym swoim postępkim, a jutro dowiecie się, cośmy
postanowili względem
was.

Dzieci oddaliły się skruszone. Don Castello pożegnał brata i bratową i
do domu z

córką odjechał. Don Alfons z żoną zostali sami.

— Coraz więcej lękam się o Teresę — odezwała się Elwira do męża;
— widzisz, do

czego żywość ją doprowadza.

— To też musimy coś postanowić względem niej — odparł don
Alfons. — Anna

widocznie jest za słabą dla niej przewodniczką, a Teresa za trudną do
prowadzenia; natura to ognista, która silnej i umiejętnej dłoni
potrzebuje.

Całą tę noc Teresa nie zmrużyła oka; myśl o tem, co postanowią
rodzice, nie

pozwaliała jej usnąć. Nazajutrz wstała o zwykłej godzinie, — nie
pobiegła wszakże

z bratem do chróścianej kaplicy, bo czekała na wezwanie rodziców.

Lecz nie

zawołano jej wcale. Gdy zadzwoniono na mszę, poszła z bratem do
kaplicy

zamkowej. Tam dopiero ujrzała rodziców. Ukląkwszy zdala od nich,
modliła się z
pokorą. Po rozwadze zrozumiała całą niedorzeczność swego czynu,
całe
okrucieństwo względem rodziców; to, co wczoraj jeszcze wydawało
się jej
szlachetnym zamiarem, dziś w innym zupełnie świetle przedstawiło
się jej oczom.
Żałowała szczerze i modliła się, by Bóg przebaczył im obojgu
lekkomyślny
postępek.
Po skończonem nabożeństwie rodzice wezwali dzieci do siebie, i don
Alfons rzekł
do nich surowo:

— Dziś jeszcze odwiozę cię, Tereso, do klasztoru Augustyanek; ty
zaś, Rodrygu,
zostaniesz jeszcze czas jakiś w domu.

— Ja już nie chcę jechać do Afryki, ojczy — odezwał się Rodryg. —
Pedro
przekonał mnie: w Hiszpanii się urodziłem, to też Hiszpanii służyć
powinienem;
to mój pierwszy obowiązek.

— Czy ty, Tereso, zmieniłaś przez noc zdanie? — zapytała Elwira.

— O, tak! O murzynach już nie myślę, bo rozumiem, że to za trudne
dla mnie
zadanie — odparła Teresa. — Lecz wdzięczną będę ojcu, gdy mnie
odda do
klasztoru; tam mnie nauczą, gdzie najpożyteczniej Bogu służyć
można.

— Kto Boga i bliźnich kocha, wszędzie znajdzie pole do zacnych
czynów — rzekła
matka. — Życzenie twe spełnimy.

Nazajutrz don Zepede odwiózł córkę do Madrytu i umieścił na pensyi
u
Augustyanek.

II.

Coś niezwykłego działo się w klasztorze Augustyanek. Lekcyje w pensyonacie były przerwane; zakonnice wszystkie zebrały się w refektarzu wraz z pensyonarkami. Na stołach stało mnóstwo koszów, a zakonnice i pensyonarki — jedne zajęte były szyciem ubrań dla różnego wieku i płci, drugie łądowały do

koszów prowianty oraz ubrania; żadna nie siedziała z założonemi rękami. Lecz najczynniejszą ze wszystkich była Teresa Zepede. Twarzyczkę jej oblewały rumieńce, przez zmęczenie wywołane, — oczy świeciły blaskiem zadowolenia. Od kosza do szyjących towarzyszek przebiegała ustawicznie, zbierała skończone roboty i składała je; czasami przysiadła przy której z towarzyszek, aby jej pomódz w robocie, bo swoją już dawno skończyła. Wśród tej rzeszy pracowitej przechadzała się poważnym krokiem przeorysza i pilnie wszystkim się przypatrywała, a wzrok jej najczęściej zatrzymywał się na Teresie. Ilekroć spojrzała na nią, zawsze uśmiechała się przyjaźnie do dziewczęcia.

— Jestem zadowolona z ciebie, Tereso — rzekła wreszcie, przystąpiwszy do dziewczeczki; — widzę, że pobożne uczynki budzą w twem sercu radość.

I z temi słowy pocałowała ją w czoło.

— Dziś dopiero czuję — pomyślała Teresa, — jak niedorzeczną byłam, chcąc do

Afryki uchodzić, by dobrze ludziom czynić, kiedy i tu, w Hiszpanii,
tyle jest
nieszczęśliwych.

— Idziemy — ozwał się nagle głos siostry Agaty; — wszystko
gotowe.

W głębi refektarza powstał ruch; dziewczątka pobiegły do koszów i
rozchwytały

je. Teresa wzięła najcięższy. Wreszcie ustawiły się parami, — dwie
zakonnice

poszły przodem, dwie zamknęły orszak, i ruszono w stronę
najuboższej dzielnicy

miasta, jaką kilka dni temu okropna klęska

dotknęła; straszliwy pożar zniszczył tam świeżo kilkanaście domów i
kilkanaście

rodzin mienia pozbawił. Gdy weszły na ulicę, gdzie odegrał się ten
bolesny

dramat, Teresa stanęła w osłupieniu: wśród zniszcz, popiołów, oraz
zwalonych i

dymem oczernionych cegieł siedziały blade kobiety, tulące nagie
dzieci w

objęciach, — leżał jakiś starzec bezwładny, którego miłość synowska
od śmierci w

płomieniach wyratowała, — stali z ponuremi twarzami mężczyźni,
patrzając posepnie

na ruinę swego mienia... Płacze, jęki, narzekania leciały zewsząd, a
mało się

kto modlił.

Te jęki i skargi otrząsnęły z zamyślenia Teresę. Zbliżyła się do jednej
z

kobiet, na ruinach domu siedzącej, którą pięcioro drobnej dziatwy
otaczało i

wolało: "Mamo jeść!" Teresa, otworzywszy koszyk, rozdzielać
zaczęła chleb, mięso

i owoce pomiędzy zgłodniałą rzeszę. W oczach dzieci łyzy oschły w
jednej chwili i

uśmiech ukazał się na ich ustach.

Teresa zwróciła się potem do matki, dobieła z kosza suknie oraz bieliznę i,

podawszy je nieszczęśliwej kobiecie, rzekła głosem wzruszonym:

— Pożar, jak widzę, nawet ubranie wam zniszczył...

— W nocy wybuchnął, panienko. Spaliśmy wszyscy. Gdym się zbudziła, już za późno

było myśleć o tem, by rzeczy zbierać; za ledwo zdążyłam dzieci wynieść- -odparła

kobieta.

To mówiąc, pochyliła się z podziękowaniem do ręki Teresy.

— O, są anioły na ziemi! — dodała; — nie potrzeba ich w niebie szukać.

Poważnie zamyślona, wracała z tej wycieczki Teresa do domu.

Przybywszy do klasztoru, udała się natychmiast do swej celi. Lecz jeszcze progu

nie przestąpiła, kiedy usłyszała, iż siostra Agata ją woła; pośpieszyła więc ku

niej.

— Don Alfons Zepede przyjechał — rzekła Agata; — przewielebna przeorysza wzywa

cię do siebie.

Dziewczynka zmieszała się i nieokreślony niepokój ścisnął jej serce.

Pośpieszyła

natychmiast do ojca. Don Alfons powitał córkę poważnie.

— Pojedziesz ze mną zaraz do domu, Tereso — rzekł smutno; — matka twoja chora.

Z oczu Teresy potoczyły się łzy gorące; nie mogła stłumić łkania.

— Zbyt gwałtownie przyjmujesz to do serca — dodał spokojnie don Alfons. — Niema

tak wielkiego niebezpieczeństwa, tylko lekarze przypuszczają, że tęsknota za

córką złe pogarsza, gdyż chora ciągle mówi o tobie; doradzili przeto, bym cię

sprowadził do domu na jakiś czas.

— Zamiast płakać, przygotuj się do drogi — dorzuciła przeorysza; —
im prędzej
matka cię uściśnie, tem prędzej zdrowie odzyska.
W godzinę potem don Alfons śpieszył z córką do domu. Inne myśli
obiegiły teraz
główkę dziewczęcia: niepokój, czy matkę zastanie przy życiu, rozsiadł
się w jej
sercu. Zapomniała o pożarze, o nieszczęśliwych rodzinach, w nędzy
pograżonych, —
o matce myślała tylko. Lecz Bóg dobrym był dla Teresy; zastała
matkę przy życiu.

Powrót córki okazał się zbawiennym. Zaraz nazajutrz po przybyciu
Teresy do domu
rodzicielskiego lekarz oznajmił don Alfonsowi, że żona jego ma się
znacznie
lepiej, a po kilku dniach chora dźwignęła się z łóżka; jeszcze po
tygodniu,
wsparta na ramionach córki i syna, przechadzała się donna Elwira po
ogrodzie. O
powrocie Teresy do klasztoru nie było więcej mowy; don Alfons nie
śmiał
wspominać żonie o rozstaniu się z jedynaczką, lękając się, by znowu
nie
zachorowała.
Teresa, oddana usługom matki, nie wspominała też o pensyi; klasztor
coraz
grubsza mgła zasłaniała w jej pamięci. Gdy radosna wieść o powrocie
do zdrowia
donny Elwiry rozeszła się po okolicy, przyjaciele i krewni zaczęli
nawiedzać dom
don Alfonsa, Pewnego ranka przybył i don Castello z córką, a Klara
zaraz na
wstępie oświadczyła, że przyjechała na cały tydzień, by rozerwać
Teresę po
dniach smutnych, jakie przeżyła.

Wesoło upłynął tydzień dziewczętom; nie było dnia, by Klara jakiej rozrywki nie obmyśliła: jeździły na łowy z Rodrygiem i jego przyjaciółmi, strzelały z nimi do tarczy i t. d., a Teresa całą duszą oddawała się tym zabawom. Pewnego ranka, gdy wracała z wesołą drużyną z łowów, ujrzała na drodze, od lasu do miasta wiodącej, jakąś kobietę z niemowlęciem na ręku, która szła chwiejnym krokiem, jak gdyby chorą była. W jednej chwili stanął w jej pamięci ów ranek, gdy z towarzyszkami wspierała nędzę Madrytu, i serce jej drgnęło.

— Może to jaka nieszczęśliwa matka? — rzekła sama do siebie.

I nie wołając na towarzyszków, zwróciła konia do niej.

— Czyś chora, biedna kobieto? — spytała. Kobieta podniosła na nią przygasłe oczy.

— Głodna jestem — odparła; dziecko mi umiera, gdyż nie mam go czem nakarmić.

— Idź do pałacu Zepede; tam cię wesprą. Gdy wejdiesz w bramę dziedzińca, powiedz straży, że córka don Alfonsa kazała ci przyjść.

— Bóg zapłać, aniele! — odparła kobieta.

Nadzieja dodała jej sił, i kobieta z wawiej podążyła ku celowi. Lecz Teresa ją

wyprzedziła; koń jej dopędził niebawem towarzyszków, i wśród śmiechów i żartów

wjechali na dziedziniec. Lecz jakże się zdziwili, ujrawszy kilka kolas zaprzęzonych, a tuż obok stali don Castello i don Alfons.

Gdy rumaki myśliwych zarżały na dziedzińcu, don Caitello, skinąwszy przybyłym

uprzejmie głową, krzyknął:

— Damy niech siadają do czekających kolas, młodzież z koni niech nie zsiada;

zabieram wszystkich do siebie na cały tydzień. Szereg uciech
przygotowałem dla
łaskawych gości.

— Niech żyje don Castello! — wykrzyknęła młodzież.

I wnet rozkaz dany spełniono, poczem wesoła drużyna ku willi
Castello podążyła.

Głodna kobieta wyszła całkiem z pamięci córki don Zepede; nawet
służbie Teresa
nie powiedziała, że kazała jej przyjść do pałacu.

Czas leciał gościom willi Castello jak na skrzydłach Uprzejmy
gospodarz wraz z
córką starał się każdą chwilę im uprzyjemnić. Otwierając oczy, Teresa
myślała o

tem, gdzie pojedą dzisiaj i jak bawić się będą, a kładąc się spać, śniła
o

rozkoszonym dniu, iaki przeżyła. Klara szeptała jej codzien, iż uprosi
don

Alfonsa, by ją zostawił na dłużej w Castello, a Teresa z uśmiechem
słuchała; tak

jej tu było dobrze, iż do domu nie miała ochoty wracać.

— Więc dziś wieczorem staniemy obie w pokornych postawach przed
don Zepede i

powiemy mu: "Pozwól nam, łaskawy ojciec i wuju, jeszcze tydzień
spędzić razem" —

rzekła pewnego popołudnia Klara do przyjaciółki.

Teresa roześmiała się.

— Po co czekać wieczora? — odparła; — w tej chwili ojciec
odpoczywa w ogrodzie

po przechadzce; chodźmy zaraz do niego.

— Dobrze — rzekła Klara.

I powstały obie. Lecz w tej samej chwili na progu pokoju, w którym
rozmawiały,

ukazał się Rodryg.

— Tereso — rzekł głosem wzruszonym, — ojciec cię wzywa.

Rodryg był blady niezwykle, a w oczach jego znać było pomieszanie.

Spostrzegła

to Teresa

— Czy matka znowu zasłabła? — zapytała. Rodryg postąpił ku

siostrze i ujął ją za

rękę.

— Nie traćmy nadziei! — odparł zniżonym tonem; — wszak było już raz bardzo źle.

Spiesz do ojca, który jest zgnębiony niezmiernie.

Teresa wsparła się na ramieniu brata i poszli razem do ojca.

Zgnębiony był w

istocie don Alfons, otrzymał bowiem niepokojącą wieść o żonie.

Jeden z jego

dworzan przybył właśnie do Castello, by go wezwać do domu. Elwira

była

umierającą; w nocy dostała niespodzianie krwotoku, i doktor zwątpił,

czy

wieczora doczeka. Don Alfons czynił sobie wyrzuty, iż ją odjechał;

lecz zdawała

się być tak dobrze, a chciał dzieciom wynagrodzić smutne dni, jakie

przeżyli

podczas choroby matki, — tymczasem okrutny los znowu w smutek je

pograżał.

Wsiedli do pojazdu wszyscy troje smutni; wszystkich troje dręczyła

jedna myśl:

czemu odjechali matkę. Obawy doktora okazały się wszakże

przesadzone: donna

Elwira powitała dzieci i męża uśmiechem i zapewniła ich, że jest jej

lepiej

znacznie. Przez całą noc pozostali jednak przy niej, czuwając

troskliwie. Ranek

upewnił ich, że nie mają się czego obawiać. Po tygodniu chora

podniosła się z

łóżka i mogła wyjść znów do ogrodu, by w cieniu mirtów i pomarańcz

zaczepnąć

świeżego powietrza.

Zmęczona wrażeniami i nocami bezsennymi, Teresa poszła do siebie, a rzuciwszy się na łóżko, próbowała usnąć. Lecz sen nie kleił jej powiek; wspomnienia uciech w Castello zaczęły cisnąć się do jej mózgu, a w sercu zbudził się żal, iż minęły tak prędko. Wśród takich marzeń uczuła, iż senność ją наконец ogarnia, i powieki jej opadły. Wspomnienia coraz niewyraźniej snuły się w jej myśli, — nareszcie usnęła. Sen przyniósł zupełnie inne widzenia: zdało się jej, że z wieloma innymi towarzyszkami z pensjonatu Augustyank idzie na pogorzelsko i tu

naraz spostrzega o kilka kroków przed sobą kobietę w łachmanach, leżącą bez życia na ziemi; zbliża się więc do niej, pochyla, — kobieta otwiera oczy i z wyrzutem na nią spogląda: — "Miałaś mnie wesprzeć, a służba twoja wygnała mnie z pałacu — mówi, — i oto ja i dziecię pomarłyśmy z głodu. " — I oczy znowu zamyka i leży martwa. Z ust Teresy wyrwał się krzyk przeraźliwy. Zbudziła się, zerwała i, padłszy na kolana przed obrazem Chrystusa, który wisiał nad jej łóżkiem, płacząc gorzko, mówiła: — O, winną jestem bardzo! nie godnam przebaczenia, Panie! Wtem drzwi pokoju rozwarły się i w progu stanął don Alfons: — Tereso, idź do matki; jej znowu gorzej — rzekł smutnym głosem. Płacz córki nie zadziwił go: don Alfons był pewien, iż Teresa modli się tak gorąco o zdrowie dla matki.

Otarła łzy i powstała; on objął ją ramieniem.
— Staraj się pokazać jej twarz pogodną — dodał; — nie powinniśmy zdradzać, że
lękamy się o jej życie. Matka zażądała spowiednika. Święty ksiądz
Piotr,
przybyły trafem z Alkantary, już ją wyspowiadał i komunii udzielił, a
teraz
matka pragnie z tobą pomówić.
Teresa pośpieszyła do chorej.
— Chciałam, by cię poznał, Tereso, nasz przyjaciel, ksiądz Piotr —
odezwała się
ta słabym głosem do córki; — świątły to mąż, pełen łaski Boga!
Najszczęśliwszy
człowiek na ścieżce swego życia napo-

tyka kolce, które go ranią boleśnie; gdy cierpieć będziesz, udaj się
zawsze do
naszego ojca duchownego, a on cię pocieszy.
To rzekłszy, ujęła dziewczynkę za rękę i posunęła ją ku siedzącemu
obok niej
księdzu. Teresa uklękła przed nim i zawołała, jak gdyby
nieprzytomna:
— Ojcze! zawiniłam ciężko; lękam się, czy na mem sumieniu śmierć
bliźniego nie
cięży...
— Co ty mówisz? — krzyknęła chora, załamując rękę.
Teresa nie zwróciła się do matki, nie uspokoiła jej ani jednym
słowem;
nieruchoma, z oczyma spuszczone mi klęcząc przed księdzem,
zniżonym głosem
opowiedziała mu o spotkaniu z biedną kobietą, o obietnicy jej danej a
nie
spełnionej, i powtórzyła sen, jaki miała przed chwilą.
Na bladą śmiertelnie twarz Elwiry w miarę opowiadania wracało
widocznie życie.

— Uspokój się, dziecię; na twem sumieniu śmierć tej kobiety nie
cięży — odezwała
się łagodnym głosem, gdy Teresa skończyła swoją spowiedź. — Ja tę
kobietę za
ciebie wsparłam i nakarmiłam. Gdyście odjechali do Castello, służba
dała mi
znać, iż żebraczka jakaś stoi u bramy i powołuje się na to, że córka
don Alfonsa
kazała jej przyjść tu po wsparcie; uwierzyłam, wysłałam jej parę sztuk
złota i
nakarmić kazałam.
— O, jakże wdzięczną ci jestem, matko! — odparła Teresa z płaczem
i przypadła do
matki.
— Śmierć bliźniego nie ciąży na twem sumieniu, Tereso, bo masz
zaczynając matkę —
odezwał się

surowo ksiądz Piotr, — lecz mogła zaciężyć, Strzeż się, by kiedyś
grzech podobny
nie zwał ci się, kamieniem na serce i nie pozbawił je na zawsze
spokoju!
Lekkomyślność niebezpieczna to wada; pracuj, by ją z serca wyrwać,
a grzech
popelniony staraj się dobrymi uczynkami zmazać. Spotkanie z tą
nieszczęśliwą
nauczyło cię, że są tacy, którzy z głodu umierają. Bóg różnymi
sposobami nas
oświeca; On tę kobietę nasunął ci na oczy, by ci powiedzieć: "Jesteś
bogata,
lecz nie o samych rozrywkach pamiętać winnaś. "
— Dzięki ci, ojczu! — rzekła pokornie Teresa, powstając z kolan.
I wedle rady tej istotnie czas jakiś postępowała. Biedni miasta Avilla z
chwilą
tą przekonali się, że don Alfons Zepede ma dobrą i hojną córkę.
Każdego ranka

śpieszyła ona do najuboższych i wspierała ich w niedoli. Życie jej było pasmem dobrych uczynków.

Elwira patrzyła z radością na tę zmianę w charakterze córki, i chociaż czuła

swój blizki koniec, nigdy jej nie zatrzymywała, widząc, że śpieszy z jałmużną do

głodnych lub z lekarstwem do chorych; za to uśmiechem radości zawsze witała

córkę.

Wreszcie spełniły się wróżby lekarzy; donna Elwira Zepede wkrótce umarła.

Posepnym gwarem zawrzał pałac: zbiegli się znajomi, krewni, przyjaciele don

Alfonsa, by oddać ostatnią posługę powszechnie czczonej kobiecie.

Przybył też

don Castello z córką. Teresa zmuszona była przerwać swe odwiedziny ubogiej

dzielnicy miasta.

Don Alfons wyprawił żonie wspaniałą pogrzeb, gdy zwłoki jej spoczęły w grobach

rodzinnych,

pojechał na kilka dni z synem i córką do willi Castello, uciekając od bolesnych

wspomnień. Klara czułą troskliwością otoczyła spłakaną Teresę.

Pierwsze dni

spędzały dziewczęta ciągle razem na modlitwie i czytaniu, gdy zaś tydzień minął,

Klara zaczęła namawiać kuzynkę do różnych poważnych rozrywek, któreby licowały

ze świeżą jej żalobą.

Tak zbiegło kilka tygodni, aż dnia pewnego don Alfons oświadczył, iż pora wracać

do domu, Klara zmartwiła się, bo przywiązana była szczerze do Teresy i pragnęła

dłużej ją zatrzymać, — zaczęła przeto namawiać, aby została jeszcze parę tygodni w Castello; lecz Teresa nie chciała odstąpić ojca w ciężkim smutku, w jakim był pogrążony.

— No, to ja pojedę z tobą do Avilli — rzekła Klara.

Uścisnęła ją za to postanowienie Teresa, i pojechały razem. W pałacu Zepede

Klara przybrała rolę starszej córki don Alfonsa, z czego don Alfons, jak i

Teresa, zgnębieni moralnie, radzi byli i wdzięczni, gdyż Klara istotnie troskliwą opieką ich otoczyła.

Poważne jednak rozrywki powoli zamienione zostały hałaśliwzszymi: Klara i Teresa

zaczęły jeździć na łowy, na wyścigi, nawet na przedstawienia cyrkowe.

Wspomnienie matki w młodym i żywym umyśle Teresy powoli się zacierało; zaczęła

odzyskiwać wesołość i z całą ochotą brała udział w zabawach. Dnie upływały jej

swobodnie, bez myśli o jutrze, gdyż nawet o tem, by głodną nie była, myśleli za

nią inni.

Ksiądz Piotr odwiedzał parę razy pałac Zepede, lecz jej nie zastawał w domu.

Pewnego ranka Teresa zbudziła się z silnym bólem głowy i nie mogła nawet

towarzyszyć Klarze na wycieczkę, którą dnia poprzedniego ułożyły. Klara chciała

pozostać przy niej, lecz Teresa czuła, iż samotność prędzej ją uleczy, niż słowo

pociechy, i zmusiła siostrę, by pojechała sama. Zapowiedziawszy, iż w ciszy

zupełnej chce pozostać, położyła się; usnąć jednak nie mogła, — marzyła. Przed

oczyma jej duszy snuć się poczęły dawne wspomnienia; jakby je kto cudem wskrzesił, stawały one żywe, wyraźne przed nią, jedne drugim ustępując: marzenia wspólne z Rodrygiem, chróściana kapliczka i ucieczka z domu, potem klasztor Augustyanek, dnie pracowite, jakie tam wiodła, odwiedziny spalonej dzielnicy Madrytu, powrót do domu, poznanie księdza Piotra, wycieczki do ubogich mieszkańców Avilli. I w sercu jej zrodziło się przykre uczucie: te jasne, piękne obrazy była to tylko przeszłość, a jakiś głos tajemniczy mówił do niej: "Byłaś dawniej o wiele lepszą! Cóż teraz czynisz dobrego dla bliźnich? jakie szlachetne zamiary ożywiają dziś twe serce?" Te pytania rumieńcem jej twarz oblały. Mając lat dziewięć, chciała udać się do Afryki, by nawracać pogan; gdy miała lat dwanaście, co sobota z siostrami klasztoru Augustyanek roznosiła biednym miasta Madrytu uszyte własnymi rękami odzienie; nawet matkę chorą pielęgnując, znalazła zawsze czas i ochotę, by zanieść jałmużnę ubogim miasta

Avilla. A teraz cóż czyni? Od ranay do noy pędzi życie wśród rozrywek.

— To Klary wina — rzekła sama do siebie chcąc zagłuszyć wyrzuty sumienia; — ona mnie sprowadza z drogi, jaką, dzieckiem jeszcze będąc, iść chciałam. I rozmyślać poczęła, co czynić... Możeby wrócić do klasztoru? może powiedzieć Klarze, by jechała do domu? Rozmyślania te przerwał don Alfons, który,

dowiedziawszy się, że Teresa jest niezdrową, przyszedł ją odwiedzić.

Upewniwszy

się, iż to tylko ból głowy, oznajmił jej, że ksiądz Piotr przyjechał i

pyta o

nią.

Teresa dźwignęła się z pościeli, i uśmiech radości smutną twarz jej rozjaśnił.

— Bóg mi go zsyła! O, przyprowadź go, ojcze, i zostaw nas samych

— rzekła z

ożywieniem.

Don Alfons natychmiast spełnił życzenie córki.

I Teresa ze spuszczonei oczyma wyspowiadała się z wyrzutów

sumienia, jakie

zbudziły się w jej sercu. Ksiądz słuchał, poważny i smutny, ani

jednem słowem

nie przerywając, — słuchał cierpliwie i wyrozumiale: znał naturę

ludzką,

wiedział, że człowiek to słaba, ułomna istota.

— Ojcze! com czynić powinna? — zakończyła swe wyznanie Teresa.

— Mamże zamknąć

się w klasztorze i żyć tylko w modlitwie?

— A ojca zostawisz samego? — przerwał jej surowo ksiądz Piotr. —

Po świeżej

stracie, jaką poniósł, tyś mu jedna pociechą i osłodą samotnych dni.

Jest inna

rada: pogodzić obowiązki córki z pragnieniami możnej pani i z

obowiązkami

chrześcijanki... Ułóż dnie twego życia tak, abyś światowe rozryw-

ki z dobrymi uczynkami pogodziła. Dzień jest tak długi! starczy ci

czasu i na

zabawę i dla biednych. Uciechy światowe nie są ziem; lecz kto o sobie

tylko

myśli, a dla biednych nic nie czyni, i dogadza tylko sobie, a z siebie

nic

drugim nie daje, ten zniża się do stanu zwierzęcia. Chrystus ludzkości się oddał. Na taką doskonałość człowiek się nie zdobędzie; lecz naśladowaj Chrystusa choć w części, choć cząstkę siebie oddaj bliźnim, choć parę godzin dnia każdego im poświęć, choć odrobiną swych bogactw podziel się z nimi.

— Będę się starała — odparła pokornie Teresa.

Długo jeszcze ksiądz Piotr badał, rad udzielał, i to taki wpływ wywarło na Teresę, iż po odejściu jego uczuła się zdrowszą i spokojniejszą, a gdy Klara, wróciwszy, przyszła do niej, by ją zapytać, jak się miewa, zastała kuzynkę ubraną.

— No, dzięki niebu! przeszedł ból głowy — rzekła wesoło, całując ją na powitanie. — Chodźże do ogrodu; czekają tam na nas wszyscy. Opowiemy ci, jak się łowy powiodły.

— Pójdę chętnie, lecz pierwszej prośbę zaniosę do ciebie — odparła Teresa.

— Jaką? — spytała zdziwiona Klara.

— Od jutra codzień rano po mszy odwiedzać będziemy dawnych moich znajomych — rzekła Teresa, — biednych miasta Avilla, których za życia matki wspierałam codzień, a teraz zaniedbałam zupełnie.

— Z największą ochotą! Będzie to coś nowego, a ja wszystko, co nowe, bardzo lubię — odparła Klara. — Napiszę zaraz do ojca, by mi pieniędzy przysłał.

I nazajutrz rano poszły obie do ubogiej dzielnicy miasta, którą Teresa już

znała. Radosne okrzyki powitały córkę Zepede: biedacy cieszyli się, że ich sobie przypomniała, i błogosławili ją głośno. Obie panienki wróciły z tej wycieczki zadowolone.

— Jutro pójdziemy tam znowu — rzekła Klara, całując kuzynkę. — Dziękuję ci,

Tereso, żeś mi wskazała źródło nowych, nieznanych mi dotychczas przyjemności.

Nazajutrz pierwsza Klara wstała z łóżka i zbudziła Teresę wołaniem: — Chodźmy do biednych.

* * *

Żałoba minęła i don Alfons otworzył dom na nowo. Wypadało tak uczynić, gdyż

Teresa była już dorosłą panną, a Rodryg dojrzałym młodzieńcem.

Uroczystości za

uroczystościami szły w pałacu Zepede, a Klara przyjeżdżała na nie, bogata w

pomysły rozrywek. Najczęściej o świcie dopiero udawały się obie na spoczynek, a

po południu wstawały. To też biedni miasta Avilla znowu próżno wyczekiwali swego

aniola opiekuńczego.

Ranka jednego, wróciwszy z zabawy rozmarzona, a nie mając ochoty kłaść się do

łóżka, poszła Teresa do

ogrodu, aby orzeźwić się świeżym powietrzem. Błądząc po cienistych alejach,

zadumana głęboko, z głową pełną wspomnień o uciechach

różnorodnych, jakich

niemal do przesyty używała, zaszła bezwiednie w aleję akacyową.

Dziwna rzecz!

marzenia rozpieczęły się w jednej chwili, jak gdyby pod wpływem czarodziejstwa,
a ich miejsce znów zajęły wspomnienia z lat dziecińczych. I w sercu Teresy
zbudziło się pragnienie odwiedzenia chróścianej kapliczki, w której niegdyś
codziennie modliła się i snuła wraz z Rodrygiem szlachetne zamiary.
— Czy też istnieje jeszcze? — zapytała siebie, idąc ku niej.
Mocno zbudował ją widać Rodryg: nie zawały jej burze i wichry.
Ujrzała ją
tylko Teresa bardziej krzewami zarosła; ołtarzyk stał jeszcze wewnątrz, krzyża
tylko brakowało. Wzruszona wspomnieniami lat dziecińczych, cisnącemi się do jej
myśli, usiadła Teresa na stopniach ołtarza i utonęła w zadumie. Była bardzo
znużoną; wkrótce senność poczęła ją ogarniać. Niebawem głowa jej spadła na
piersi, przeszłość i terażniejszość zwały się w jedno z marzeniami sennemi. I
zdało się jej, że ma na sobie szatę złotą, brylantami usianą, że tłum pokornych
sług ją otacza, że idzie drogą, szkarłatnem sukniem wysłaną, pod baldachimem
jedwabnym, który ją osłania od gorących promieni słońca. Wtem na końcu drogi
spozstrzega grupę ludzi, których ubiór świadczy, iż z obcych stron pochodzą;
szerokie, powłóczyste szaty mają na sobie, włosy ich ramion sięgają. Idą na jej
spotkanie; oto jeszcze kroków kilka zaledwo od nich ją dzieli.
ogarnęła Teresę
dzi-

wna nieśmiałość; zatrzymała się, czekając, by ją wyminęli. Przodem

cudzoziemskiej drużyny szedł mąż o bladej, smutnej, lecz przedziwnie
słodkiej

twarzy. Zdawał się jej nie widzieć, — patrzył w przeciwną stronę.

Dotarli

wreszcie do niej, a gdy ją mijali usłyszała rozmowę.

— Mistrzu — pytał jeden z otaczających tego, który szedł przodem,

— czemuś taki

smutny?

— Azaliż nie zgadujesz, Janie, przyczyny? — odparł ten. — Ja oto w

koronie

cierniowej dla nich chodziłem, śmierć poniosłem sromotną, by w ich
serca wlać

miłość bliźniego, a spójrz na tę kobietę: z szat jej złoto kapie, a tam...

Tu ręką wskazał w dal, w którą przedtem wpatrywał się ze smutkiem.

Teresa

zwróciła wzrok w ową stronę i zadrżała... Dostrzegła tłum ludzi

wynędzniałych,

strasznych; jedni, w łachmany odziani, wołali: "chleba!", — drudzy,

wrzodami

okryci, jęczeli: "miłosierdzia!" — inni, ślepi, krzyczeli: "światła!", —

inni

znów rzucali się z nożami na siebie i wzajemnie mordowali.

Twarz mistrza stała się jeszcze smutniejszą i dwie wielkie łzy stoczyły

się po

jego twarzy, a z ust Teresy wyrwał się jęk niewysłowionego bólu i

padła na

kolana.

— Mistrzu, co mam czynić, bym pokusom nie ulegała? — zapytała,

chyląc czoło do

ziemi.

— Unikać ich — odparł głos łagodny.

Ona podniosła głowę, chcąc mu podziękować, lecz już nikogo nie

było. Zerwała się

i rozejrzała wokoło, przecierając oczy: wszystko gdzieś znikło...

Wkrótce echo

czyichś kroków ją dobiegło. Wzruszona rozchyliła gałęzie krzewów.

Słuch jej nie

mylił: ktoś

idzie aleją akacyową... Ach, to ksiądz Piotr!... Spostrzegł ją,
przyśpieszył
kroku, zbliżył się do niej. Rumieniec wstydu oblał twarz Teresy;
słońce jasno
świeci, a ona strój wczorajszy jeszcze ma na sobie. Ksiądz Piotr stanął
przed
nią i smutnym wzrokiem ją objął, a ona nie miała odwagi spojrzeć na
niego.
— O, jakże słabą istotą jesteś! — rzekł z wyrzutem. — Więc znowu
dusza twa tylko
sobie oddana, tylko samolubnym rozkoszom?..
— Słabą, słabą iestem! — krzyknęła Teresa i padła na kolana z
płaczem, kryjąc
twarz w dłoniach. — Ratuj mnie, ojcze!
Surowy wyraz twarzy kapłana złagodniał; starzec położył rękę na jej
głowie i
chwilę zdawał się namyślać, jaką dać radę, — zdawał się wzywać
łaski nieba, by
go oświeciło, co ma jej powiedzieć. Wreszcie rzekł:
— Jest w Avilli klasztor, którego mieszkanki oddały swe serca
bliźnim, siebie
zapałszy się zupełnie. Tam pokus nie spotkasz; tam nic ci nie będzie
przysłańiało szlachetnego zamiaru, jaki twe serce żywiło jeszcze w
latach
dziecinnych: "nieść pomoc nieszczęśliwym"; tam nic pokoju ducha
twego nie
zakłóci, nic myśli twej od celów wzniosłych nie oderwie. Schroń się
do klasztoru
Karmelitanek. Serce masz dobre, szlachetne pragnienia w niem
goscza, lecz słabą
jesteś; poznałaś siebie i powinnaś usunąć się od wszystkiego, co staje
na
przeszkodzie zacnym poglądom twej duszy.
Teresa powstała i zwolna oddaliła się do pałacu. Przez cały dzień nie
pokazała

się nikomu z rodziny pod pozorem, iż czuje się niezdrową,

i w samotności rozmyślała i walczyła ze sobą. Słowa Chrystusa, we
śnie

usłyszane: "unikaj pokus", nakazywały usłuchać księdza Piotra, — a
świat, pełen

uciech, wesołości, rozrywek, wabił ją do siebie. Pod wpływem
rozkosznych

wspomnień mówiła: "Świat taki piękny, ponętny, a ja takam młoda,
mam prawo do

szczęścia; mamże się skazać na życie klasztorne, kiedy mogę żyć dla
siebie i

kochać bliźnich i czynić im dobrze jednocześnie?" To znów zwieszała
z pokorą

głowę i, płacząc rzewnie a łkając, wołała: "Słabą, słabą istotą jestem; a
On

powiedział: Unikaj pokus. "

Nazajutrz, wstawszy o świcie, Teresa udała się najpierw na modlitwę
do kaplicy,

a potem do pokoju ojca.

— Przyszłam z wielką prośbą do ciebie, ojczy — rzekła. —

Postanowiłam wstąpić do

klasztoru Karmelitek; pozwól mi spełnić to postanowienie.

Don Zepede popatrzył surowo na córkę.

— Zmienną jesteś, Tereso — rzekł; — nie wierzę w trwałość tego
postanowienia.

Idź do klasztoru, zamieszkaż w nim, gdy tak chcesz, lecz z
wykonaniem ślubów

zakonnych nie śpiesz, bo pewnie wkrótce pożałujesz tego...

— Ufam, że tym razem wytrwam w swem postanowieniu — odparła
Teresa. — Jednakże

zastosuję się do twej woli, ojczy, i póki pewną siebie nie będę, ślubów
nie

wykonam.

W parę dni potem Teresa Zepede przeniosła się do klasztoru
Karmelitek.

I wytrwała tym razem: lat dwadzieścia pięć mieszkała w klasztorze,
oddana
wyłącznie usługom

bliźnich lub modlitwie. Potem założyła własnym kosztem nowy
klasztor, dokąd
przeniosła się z kilkoma siostrami. Żyjąc sama w ubóstwie, dzieliła
cały swój
majątek z biednymi; głodny i smutny śpieszył do niej z ufnością po
pociechę,
której nigdy nikomu nie odmówiła. Słysnęła przytem Teresa jako
autorka wysoko
cenionych dzieł pobożnych, które wierszem i prozą pisała, a w
których dawała
rady, jak żyć, by zdobyć sobie pokój ducha i zadowolenie
wewnętrzne.

"W każdym uczynku i każdej chwili pytaj sądu sumienia, aby
najmniejsza twoja
wina nie uszła przed jego uwagę, abyś mogła się z niej poprawić
natychmiast i
uniknąć jej w przyszłości" — oto jedna z pięknych myśli, zawartych
w jej
dziełach.

W klasztorze, przez siebie założonym, roku umarła Teresa, a w
czterdzieści
lat po jej śmierci papież Grzegorz XV, oddając cześć jej zasługom,
kazał ją
kanonizować.

Pisma Teresy Zepede przetłumaczone zostały na wszystkie języki.

X.

ZWYCIĘŻYŁA.

Od pogrzebu Kazimierza Sapiehy dwa lata już minęły. W jednej z najskromniejszych izdebek dworu siemiatyckiego siedziała Anusia Sapieżanka. Pomimo lat niemal dziecięcych, jakie liczyła, na jej twarzą wyryta była powaga, a w oczach smutek głęboki. Czyżby sieroctwo pozbawiło ją na zawsze młodzieńczej swobody? bo kiedyż patrzeć wesoło na świat, jeśli nie w czternastym roku życia?..

Z oddalonych komnat dochodzą jakieś gwary, a smutek w nich nie dźwięczy; z dziedzińca również leci hałas wesoły: tam rżą rumaki, służba śmieje się i żartami rzuca. Ktoś z gości widocznie przyjechał, gdyż po środku dziedzińca widać kolasę jakąś. Dziewczę jednakże do gości nie śpieszy, lecz siedzi samotne, zadumane, tęskne.

Wtem na drodze, wiodącej do dworu, ukazała się bryczka. Anusia, usłyszawszy turkot, wychyliła się przez okno.
— Ksiądz proboszcz — rzekła do siebie i uśmiech ukazał się na jej ustach. Snadź ten gość był jej miły, bo wstała i podążyła na jego spotkanie. Gość zajechał przed dwór i, ledwo wysiadł, zwrócił się do Anusi:
— Czy jaśnie wielmożna pani Sapieżyna w domu? — zapytał.
— W domu — odparła dziewczynka. — Pan Jabłonowski jest u nas.
— Poznałem konie i kolasę — rzekł proboszcz. — Właściwie do ciebie dziś głównie przyjechałem, więc, zanim pójdę do matki, z tobą pogawędzę chwil parę. Przywożę ci list od stryja.
— Chodźmy więc do gabinetu ojca — odparła Anusia i poprowadziła gościa do

pokoju, którego umeblowanie stanowiło olbrzymie mahoniowe biurko i kilka

krzesel, skórą obciągniętych.

Proboszcz rozsiadł się wygodnie na jednym z nich, — Anusia skromnie usiadła na drugim.

— Zapewne wiesz już, że matka twoja wychodzi za mąż — zaczął ksiądz, patrząc badawczo dziewczynce w oczy — i że ojczymem twoim będzie pan Jabłonowski?

— Wiem — odrzekła Anusia; — mówiła mi już o tem mama; mówiła, że kobiecie samej trudno utrzymać w porządku tyle majątków i wychować dobrze dwóch synów, więc musiała się zgodzić...

Ksiądz odchrząknął, poczem dobył z kieszeni list i zaczął go czytać głośno:

"Kochana synowico! Doszły mnie wieści, że bratowa moja w powtórne związki małżeńskie wchodzi. Pan Jabłonowski jest pewnie najzaciejszym i najrozumniejszym człowiekiem, lecz może serca twego nie pozyskał, może lękasz się ojczyma? Jeśli tak jest, jeśli ci ojczym nie miły, stryj chętnie dom swój otworzy tobie. Donieś mi tylko, a przyjadę natychmiast do Siemiatycz, zabiorę cię do siebie i chować razem z dziatwą własną będę! Wszakże córką brata mego jesteś... "

Anusia przerwała czytanie:

— Wielce wdzięczna jestem stryjowi za serce, jakie mi okazuje, lecz z łaski jego

korzystać nie mogę.

— Dlaczego?

— Ojciec zapisał mi testamentem Siemiatycze, i z niemi nigdy się nie rozstanę —
stanowczym tonem odparła dziewczynka. — Siemiatycze to moja kolebka, moje gniazdo rodzinne; ja kocham je całą duszą. Mamy też nie opuszczę. Wybrała nam ona opiekuna, bo uważa, że tak lepiej dla nas będzie.
— Ta odpowiedź chlubnie świadczy o tobie — rzekł ksiądz. — Chodźmy teraz do matki, która sama prosiła mnie, bym cię wybadał. Anusia się zarumieniła.
— Dobra mateczka szczęścia mego tylko pragnie — rzekła głosem wzruszonym. — Chodźmy do do niej. I lekko jak ptaszek do salonu pobiegła, a za nią zwolna proboszcz podążył. Gdy stanął na progu, ujrzał matkę i córkę złączone serdecznym uściskiem.

— Nie rozstanę się z tobą, mamuniu; nie porzucę Siemiatycz — mówiła Anusia, okrywając pocałunkami ręce matki. — Będę się starała, by mój ojczym nigdy nie miał przeze mnie powodu do zmartwień, by nie pożałował, że do stryja nie odjechała. Pani Kazimierzowa pocałowała ją czule w czoło.
— Byłam pewną, że córka moja inaczej nie postąpi — rzekła głosem wzruszonym. Powitawszy potem pana Jabłonowskiego, Anusia usiadła poważna wśród starszych i przysłuchiwała się ich rozmowie. Tego samego wieczora modliła się wszakże dłużej, niż zwykle; dziesiąta już była, gdy, podniósłszy się z kolan, poczęła się rozbierać. Wtem drzwi skrzypnęły i do

pokoju wsunęła się cichutko pokojówka Anusi, Elżunia, jej siostra mleczna.

Elżunia kochała nad życie swą panienkę. Dziewczynki od kolebki rosły pod jednym dachem, nigdy się nie rozłączając. Elżunia, zwykle wesoła, dziś miała oczy zapłakane. Spostrzegła to zaraz Anusia.

— Co ci jest? — zapytała troskliwie. Dziewczynka wybuchnęła płaczem.

— A toć panienki mi żal — wyjąkała wśród łkań; — cała służba opowiada, że pani za mąż wychodzi,

— Więc i cóż z tego? Nie widzę powodu, by mnie dlatego żałować.

Będzie mi lepiej może, bo ojczym będzie radził mamie, jak prowadzić interesa, by nam przyszłość zapewnić.

Elżunia głową z powątpiewaniem wstrząsnęła.

— Ojczym toć to samo, co macocha — rzekła. — Nasłuchałam się dosyć o tych złośnicach.

I poczęła opowiadać bajki o złych macochach, a bajki te jedna do drugiej były nieprawdopodobniejsze. W ostatniej macocha potruła pasierbów, by mienie ich sobie zabrać. Na Anusię bajki te czyniły widoczne wrażenie: aż pobladła, słuchając ich.

— Czy wiesz, Elżuniu, że stryj chce mnie zabrać do siebie? — rzekła.

— A, panienko! toć Bóg łaskaw widocznie na panienkę! — wykrzyknęła Elżunia. —

Niechże panienka dziś jeszcze napisze, by JW. ksiązę Sapięha przyjechał do

Siemiatycz po panienkę. U księcia pana, słyszałam, jest kilka córek;
będzie
panience weselej z siostrami; tam też złość ojczyma nie dosięgnie, bo
stryj go
nie dopuści do panienki.

— Lecz może pan Jabłonowski złym ojczymem nie będzie?

— Jeszcze nie było dobrego — mruknęła Elżunia.

— Tak ci się tylko zdaje.

— Nie wierzy panienka, to niema rady. Panna myśli sobie: "Co ona
tam wie...

prosta dziewczyna!" Ale gdy ojczym poskąpi grosza dla pasierbicy,
gdy buciki się

jej zedną, a nowych nie kupi, tylko każe boso chodzić, gdy na obiad da
talerz

czerniny, a na wieczerzę kromkę chleba razowego, to pożałuje
wówczas panienka,

że biednej Elżuni nie wierzyła.

Anusia ukryła twarz w dłoniach.

— Jak ty mnie straszysz! — szepnęła.

— Nie straszę, tylko prawdę mówię i dobrze radzę — odparta
Elżunia. — Niech

panienka jedzie do stryja.

— Kiedy mi żal Siemiatycz.

— I u księcia pięknie.

— Ale ja się tu urodziłam...

— Jak panienka za mąż wyjdzie, to wróci do Siemiatycz.

Anusia westchnęła.

— Idź już i zostaw mnie samą Jutro powiem ci, co zrobię... I ty
mówisz, że każdy

ojczym zły? — spytała.

— O dobrym nikt nie słyszał!..

Elżunia oddaliła się, Anusia, zaś zostawszy samą, zaczęła rozmyślać,

— a im

dłużej się zastanawiała nad tem, co powiedziała jej siostra mleczna,
tem większy

strach budził się w jej sercu, — gotowa była nawet uwierzyć, że pan Jabłonowski zechce ją otuć.

— Za nic nie zostanę tutaj — wykrzyknęła naraz wśród tych rozmyślań. — Jutro rano pošę Elżunię do proboszcza; niechaj piše do stryja, by jak najprędzej po mnie przyjechał.

Z tem postanowieniem udała się Anusia na spoczynek, a sen niebawem skleił jej powieki. Ranne słońce zbudziło ją wcześniej, niż zwykle. Usiadłszy na łóżku, zaczęła sobie przypominać dzień wczorajszy, i smutek wstąpił do jej serca. Więc miała pożegnać, może na zawsze, Siemiatycze ukochane?.. Ubrawszy się zwolna, jak gdyby chciała odwlec chwilę stanowczą, zbliżyła się do okna i otworzyła je na rozcież. Lekka mgła wznosiła się w powietrzu, tajemniczą zasłoną otulając ziemię. Przez ową przezroczystą oponę widać było jednak rozległe kwieci-

ste łąki, a za niemi łany zbóż. Z boku widniały otoczone ogródkami chaty wieśniacze, — dalej, na wzgórzu, kościółek modrzewiowy, blachą kryty, i cmentarz, pełen mogił i krzyżów, a dalej las ciemnem półkolem otaczał ten wdzięczny obrazek. Nad tem wszystkim, w górze, przesuwały się chyżo po błękitnem sklepieniu różowe i białe obłoczki, których brzegi sionko złotem haftowało, a skowronki, rozpostarłszy skrzydła, wlatywały do nich ze śpiewem.

Prześliczny był to obraz!... Anusia wzruszona długo stała w oknie
nieruchomo,
wpatrzona w dal, i nagle z oczu jej puściły się łzy. Wyciągnęła
ramiona do tych
pól, do tych łąk.

— Nie! nie! ja się z wami nie rozstanę, drogie moje Siemiatycze! —
zawołała. —

Chociażby w istocie przyszło mi biegać tu boso, o głodzie i chłodzie,
nie wyjadę
stąd za nic.

I uśmiechnęła się mimowoli do swej ziemi drogiej... Wtem pod
oknem jej pokoiku

przeszła młoda wieśniaczka z niemowlęciem na ręku, niosąc
dwojaczki; za jej

kwiecistą spódnicę trzymała się pyzata i rumiana dziewczynka
pięcioletnia z
pękiem habrów w rączce.

Anusia pełnym miłości wzrokiem za niemi pogoniła.

— Ja się z wami nie rozstanę! — szepnęła znów sama do siebie.

* * *

Dzień chylił się ku zachodowi. Na ogołoconych przez jesień polach z
Siemiatycz
ptactwo gospo-

daruje jeszcze głośno, szukając ziarn, pogubionych przez zniwiarzy, i
witając

zdobycz radosnym świergotem.

W obszernej sali dworu siemiatyckiego siedzi samotna pani domu,
dawna Anusia,

dziś kobieta już dwudziestokilkolletnia. Wierna swemu postanowieniu,
nie opuściła

Siemiatycz, pozostała w nich. I nie pożałowała tego, bo ojczym okazał
się

dobrym, — czuwał nad mieniem i wychowaniem pasierbów, a gdy
Jan Jabłonowski
oświadczył się o rękę Anusi, ojczym nie tylko nie przeszkadzał temu
związkowi,
lecz oddał młodej parze Siemiatycze, pamiętając, iż jestto własność
dziedziczna
pasierbicy, zapisana jej testamentem przez ojca.
Nie rozstała się więc Anna z wioską rodzinną nawet wówczas, gdy
poszła za męża, i
kocha ją zawsze gorąco.
Po ślubie Jabłonowski, który lubił podróżować, zawiózł żonę do
Francji i
przedstawił na dworze wersalskim. Potem byli razem w Dreźnie,
gdzie król August
III przyjmował ich wspaniale. Lecz zbytki, jakie widziała, zabawy, w
jakich
brała udział, zaszczyty, jakich jej nie skąpiono, nie ostudziły jej serca
dla
miłych Siemiatycz.
Już od tygodnia wróciła do domu i po czynnie spędzonym dniu
odpoczywa w tej
chwili w wielkim swoim salonie, zadumanem okiem rozglądając się
po rozległych
polach i łąkach swego dziedzictwa, lub sięgając wzrokiem do chat,
słomą krytych,
w których jej podlani mieszkają. A gdy przypatruje się tym nędznym
chatom, to
jednocześnie stają jej w pamięci niedawno widziane w Saksonii wsie,

i przypomina ona sobie zdrowe i widne mieszkania tamtejszych
wieśniaków, ich
zamożność, ich czerstwe, inteligentne twarze, zdradzające wewnętrzne
zadowolenie. Dziś rano odwiedzała mieszkańców Siemiatycz i jakże
inaczej
przedstawili się jej oni: nędzni, bladzi, smutni i nieśmiali...
Odpoczywa pani

Jabłonowska po dniu, czynnie spędzonym, lecz myśli jej nie próżnuje:
marzy ona o
tem, by w jej Siemiatyczach stanęły z czasem na miejscu dzisiejszych
lichych
chatek domy, podobne do tych, jakie widziała w Saksonii, otoczone
obszernymi
ogrodami, pełnymi drzew owocowych. Pyta siebie, co powinna
uczynić, by
Siemiatycze podnieść pod względem materyalnym i moralnym, by
wygnać na zawsze
nędzę i ciemnotę z pośród ich mieszkańców...
Zmrok coraz grubszą zasłonę rzuca na ziemię, a ona wciąż snuje
plany.
Naraz rojenia jej zaczęte przerwane zostały czyimiś krokami i na progu
ukazał się
pan Jabłonowski. Podróżne ubranie, jakie miał na sobie, świadczyło,
iż powraca z
jakiejś dalekiej wycieczki.
Anna pośpieszyła na powitanie męża.
— A, to niespodzianka! — rzekła.
— Przyjechałem po ciebie — odparł wesoło; — dziś jeszcze jedziemy
do Warszawy.
— Och! co nie, to nie! Nie pojedę za nic! — wykrzyknęła Anna. —
Nie chcę już
opuszczać Siemiatycz.
— Tym razem będziesz je musiała opuścić! — stanowczym tonem
odparł pan
Jabłonowski.
Anna spojrzała na niego, przerażona.

— Dlaczego? — zapytała.

— Warszawa oczekuje posta palatyna Renu — ciągnął dalej

Jabłonowski, — a wiecie

on dla mnie order Ś-go Huberta. Zresztą krewny to mój, będę go więc
musiał

zaprosić do siebie i przyjąć godnie; to też obecność twoja jest konieczną!

Twarz Anny rozjaśniła się nieco.

— A więc to na krótko!... — rzekła. — Pojadę, gdy żądasz, lecz w zamian mam także do ciebie prośbę.

— Spełnię każdą — odparł z galanterią Jabłonowski.

Anna uśmiechnęła się.

— Ile będzie kosztowała uczta, wydana na cześć owego posła, tyle mi nazajutrz ofiarujesz w darze.

— Jako mąż, mam prawo wiedzieć, na co ci taka suma potrzebna...

— By na miejscu ciasnych lepianek naszej wsi kazać postawić suche i wygodne domy

— odrzekła Anna.

Jabłonowski roześmiał się.

— Ręczę, że drugiej, podobnej do ciebie niewiasty na całym świecie niema —

zawołał wesoło.

— Czy dasz mi tę sumę?

— Wszakże powiedziałem, że spełnię każdą twą prośbę — odparł mąż.

Piękne oczy Anny zaświeciły radością; pocałunkiem podziękowała za obietnicę i

pośpieszyła czynić przygotowania do wyjazdu.

Tegoż jeszcze wieczora państwo fabłonowscy puścili się w podróż.

Siemiatycze

leżały na Podlasiu, i w owych-czasach, w których kolei jeszcze nie znano, podróż

taka musiała trwać kilka dni wśród najróżnorodniejszych niewygód.

Zdążyli

wszakże na czas; spodziewany gość dopiero w kilka dni po nich przyjechał do

Warszawy.

Długo rozpowiadano o wspaniałym obiedzie, jaki Jabłonowski
wyprawił na cześć
posła palatyna Renu, lecz dłużej jeszcze zajęła umysły piękna pani
Jabłonowska.

Wywołała ona ogólne zdumienie; urodziwa, młoda, bogata,
zjednawszy sobie
powszechnie uwielbienie, zasypana zaproszeniami na różne
uroczystości, wzgardziła
tem wszystkim i, gdy tylko poseł opuścił miasto, wyjechała z
Warszawy, i to
sama, gdyż sprawy rozmaite zatrzymały jej męża. Tym, którzy
namawiali ją, by
pozostała w mieście, powiedziała, że w żaden sposób uczynić tego nie
może, gdyż
obowiązki wzywają ją na wieś, do Siemiatycz, gdzie musi zastąpić
męża w
zarządzie majątkiem i gdzie czuwać powinna nie tylko nad ziemią, ale
i nad
poddanymi.

— Dziwaczka! — szeptano o niej za plecami, a nawet i w oczy.
Ona słuchała tego obojętnie, a gdy kto ze znajomych poczynął
ubolewać nad jej
dola, odpowiadała:

— Czynię tylko to, czego pragnie serce moje i czego wymaga
sumienie, więc na
litość nie zasługuje.

I puściła się odważnie sama w długą podróż, a osiadłszy w samotnym
dworze
Siemiatycz, rzuciła

wesołe zabawy, by pracować dla dobra bliźnich. Praca ta tak zapełniła
jej życie,
że nawet nie było jej tęskno do rozrywek. Raz mąż ją odwiedzi!, to
znów ktoś z
sąsiadów przyjechał zobaczyć, co "ta dziwaczka" porabia, lecz po tych
przerwach

pani Jabłonowska wracała znów do życia jednostajnego, jakie wiodła. Lecz piękna zrazu jesień zmieniła się powoli: wichry, słoty i złe drogi odstraszały sąsiadów, a i Jabłonowski przestał żonę nawiedzać. Po całych tedy tygodniach siedziała teraz Anna samotna, często nie mogąc wyjść nawet za próg domu, — to też nie dziw, iż tęsknota za mężem, za stosownem towarzystwem nieraz zakolała do jej duszy. Walczyła jednakże z tem uczuciem, bo potrzebną była swoim poddanym. Febra, tyfus, różne inne choroby, grasujące zwykle w jesieni, nawiedziły Siemiatycze, a ona miała apteczkę domową, posiadała zaufanie ludu, więc nie wyjeżdżała, chociaż codziennie większy smutek rozgaszczwał się w jej sercu. Pewnego popołudnia, kiedy Anna Jabłonowska, bardziej niż zwykle, zgnębiona, zajęła się szyciem ciepłych kaftanów dla chorych, stanął przed nią nagle stary sługa rodziny Sapiehów, trzymając w jednej ręce skrzynkę drewnianą, w drugiej list z wielką pieczęcią. — Goniec od J. W. pana Jabłonowskiego przywiózł z Warszawy tę paczkę i pismo — rzekł. Anna wyciągnęła rękę po list, rozpieczętowała go śpiesznie i przebiegła oczyma. Nie wiele w nim było słów:

"Anno, przybywaj do Warszawy! Jesteś zaproszona na bal do księcia Adama. Posyłam ci ozdoby do stroju, które przywiózł mi z Drezna królewicz Karol... " Anna otworzyła pudło: były tam koronki, złotem i perłami haftowane, zausznice brylantowe i także bransolety...

Anna lubiła stroje i zabawy, choć ich sobie teraz odmawiała; to też
oczy jej
ożywiły się, gdy się zaczęła przypatrywać pięknym darom. Smutek
pierzchł z jej
serca; w wyobraźni jej stanęły strojne tłumy, wśród których widziała
siebie w
pysznym i gustownym stroju.

— Jakóbie! — rzekła naraz do starego sługi, — powiedz tam, że
pojadę dziś
jeszcze do Warszawy.

Stary Jakób westchnął, bo nie lubił, gdy w Siemiatyczach nikogo z
państwa nie
było, — lecz poszedł spełnić rozkaz. Jeszcze wszakże nie doszedł do
sieni, gdy

Annie dano znać, że spichrz się pali.

Zerwała się natychmiast z miękkiej kanapki i, pobiegłszy na
dziedziniec, zwołała

całą służbę, kazała ściągać z piwnic beczki, napełniać je wodą,
ładować na wozy

i śpieszyć na ratunek, poczem sama za innymi pojechała na miejsce
nieszczęścia.

Energiczna i przytomna, wydawała rozkazy tak trafne, tak nagliła do
pośpiechu,

że wkrótce siła ludzka opanowała żywioł; połowa zbiorów, jakie
spichrz zawierał,
została ocalona.

Zmęczona wróciła Anna do domu, a gdy jej podano wieczerzę,
odezwała się do
starego Jakóba:

— Powiedz tam, że do Warszawy wcale nie pojadę. Kto ziemię
posiada, powinien nad
nią czuwać... Bóg tylko wie, jakie szkody byłby poczynił pożar,
gdyby mnie tutaj
nie było.

Pocziwa twarz Jakóba rozjaśniła się.

— Pańskie oko konia tuczy — rzekł, chyląc się do nóg Anny.
I nie pojechała Anna na bal; zwalczyła ochotę, pokonała tęsknotę i
strzegła
dalej ukochanych swoich Siemiatycz, pracując wytrwale nad ich
podniesieniem z
nędzy i ciemnoty.

* * *

Zostawszy samodzielną panią majątku po śmierci męża, tem
energiczniej poczęła
Anna rządzić. Były to czasy szalonych zbytków, nieustannych zabaw i
uczty;
panowie tracili olbrzymie fortuny, żyjąc nad stan, — panie miliony
wydawały na
stroje. Ale ona siedziała cicho na wsi, oddana pracy pożytecznej.
Wśród takich
okoliczności umarł August III, a na tronie zasiadł król Stanisław,
daleki krewny
księżny Jabłonowskiej.
Słyszał on nieraz, jak się dziwiono młodej i pięknej Annie, która
wiodła życie
niemal pustelnicze, i zapragnął ją poznać; wybrał się przeto pewnego
razu w
podróż na Podlasie i zajechał niespodzianie do Siemiatycz. Nie
uprzedzona o tych
odwiedzinach, przeraziła się niemal księżna, gdy wbiegł do jej pokoju
stary
Jakób, wołając:
— Król przyjechał do nas!

Nie zdradzając jednak tego przerażenia i wydawszy Jakóbowi
potrzebne rozkazy,
pośpieszyła księżna na spotkanie dostojnego gościa, a gdy go
zabawiała w starej

obszernej sali uprzejmą rozmową, Jakób rozesłał posłańców w różne strony dworu z poleceniami księżny, i zajęto się przygotowaniem uczty. Ujęty uprzejmością i rozumem księżny, król podczas obiadu rzekł do niej:
— Miłoby mi było, kuzynko, za twą gościnność odpłacić się czemś, coby ci przyjemność sprawiło. Jeśli masz jakie życzenie, zechciej je objawić.
— Jeśli łaska Waszej Królewskiej Mości — odparła księżna, — to proszę o przywilej, aby corocznie w Siemiatyczach odbywać się mogły dwa jarmarki.
Na to król roześmiał się wesoło.
— Zaiste, pierwszy to raz młoda kobieta zanoszą do mnie taką prośbę — rzekł.
— Bo ta kobieta całą duszą kocha swoje Siemiatycze, miłościwy Panie — odparła księżna; — bo chce w nich widzieć zamożność; marzy, by je uczynić przybytkiem handlu, największym targiem na Podlasiu; bo ta kobieta wie, miłościwy Panie, że handel podnosi dobrobyt kraju, a dobrobyt szerzy oświatę...
Siemiatycze to cząsteczka wielkiej ziemi; niechaj wszyscy właściciele cząsteczek tak czynią, jak ja, a na całej tej wielkiej ziemi rozszerzy się oświata i dobrobyt.
Małą byłą dziewczynką, gdym słyszała z ust ojca: "Czyń każdy w swem kołku, co każe duch boży, a całość sama się złoży." Słowa te trafiły mi do serca.

Król Stanisław skłonił przed księżną głowę z szacunkiem.
— Przywilej, o który prosiłaś, księżno, podpiszę natychmiast, jak tylko powrócę do Warszawy — rzekł.

I otrzymała go niebawem księżna, a chcąc marzenia swoje
wprowadzić w czyn,
kazała wystawić w Siemiatyczach dwupiętrowy ratusz ze sklepami;
poczem, by
ludność zachęcić do handlu, nadała kupcom różne przywileje. W
lutym i sierpniu,
w dzień: Św. Macieja i Św. Kajetana, ludno bywało zawsze w
Siemiatyczach.

Energiczna księżna zwoływała kupców z różnych stron kraju na
jarmarki, które też
bywały zwykle bardzo ożywione.

Tak, dzięki jej staraniom, Siemiatycze wzrosły powoli do znaczenia
miasta.

Prócz Siemiatycz księżna posiadała inne jeszcze majątki: Kock i
Wysokie, — a
wszystkie te ziemie pod jej rozumną opieką wzrastały w dobrobyt i
światło.

Ignacy Krasicki, biskup warmiński, sławny poeta XVIII wieku, autor
dowcipnych

satyr, podróżując po kraju, w r. odwiedził Wysokie, gdzie właśnie
chwilowo

bawiła księżna. Zachwycony urządzeniem majątku i porządkiem, jaki
w nim znalazł,

pisząc list do księcia Józefa, synowca króla, tak się wyraził;

"I stanęliśmy w Wysokiem,
Gdzie wdowa, a nie modna zgorszeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianej istotnej zabawy,

Podłą się pracą bawi, śmie myśleć o roli
I wpośród kmieci swoich bardziej mieszkać woli,
Niż błyszczeć w wielkim świecie... "

Zmieniwszy w końcu ton, dodaje:

"Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życz?,

Jaki mają Wysokie, Kook i Siemiatycze. "

XI.

DZIELNA STRAŻNICZKA.

Komu los okrutny wydrze szczęście osobiste, niechaj szuka puciechy,
czyniąc
dobrze bliźnim, a znajdzie inne. cichsze, lecz trwalsze szczęście. T. J.

I.

Był wieczór cichy, pogodny i ciepły. Mieszkańcy jednej z wiosek
hrabstwa Durham
w Anglii odpoczywali właśnie po całodziennych trudach; starsi we
wsi gwarzyli na
progach chat, a dzieci zbierały konchy, które morze obficie wyrzucało
na brzeg.
Zachodzące słońce odbijało się w falach morskich, a zarumienione
bałwany,
kołysząc ssie. zwolna, wydawały szmer łagodny.
Pomiędzy młodą gromadką, uwijającą się nad brzegiem morza,
zwracała na siebie
uwagę jasnowłosa dziewczynka, o twarzy dziwnie słodkiej i in-

teligentnej. Zbierała ona razem z innymi dziećmi wyrzucone na piasek
muszle, a
ilekroć ładniejszą znalazła, zwracała się z nią do młodszych swych
towarzyszów i
towarzystek, które wyciągały do niej ręce, a obdarowane wydawały
okrzyk radości.
Słońce gasło powoli, dzieci nie myślały wszakże jeszcze o powrocie
do domu.

Śmiechy, żarty, okrzyki radości dźwięczały wciąż nad brzegiem morza, dobiegając czasami aż do wioski, której chaty rysowały się z dala. Naraz w powietrzu rozległ się głos, brzmiący trwogą.
— Do domu! do domu! — ktoś wołał; — śpieszcie się, śpieszcie! Dzieci skupiły się razem i wylękłe obejrzały w stronę, skąd krzyk pochodził.
— Will! Will! — wzbilo się pod obłoki, i cała gromadka roześmiała się ze swego przestachu, jakiemu chwilowo uległa, a dziewczynka o łagodnej twarzyczce szepnęła z uśmiechem: "Figlarz".
Do gromadki zbliżył się wyrostek szesnastoletni.
— Cóż to? myślicie tutaj całą noc pozostać!? — odezwał się surowo.
— Zabierajcie się natychmiast do domu!
— Zaraz, zaraz, tylko pobaw się z nami, Willu! — wołały dzieci chórem.
Lecz chłopiec ruszył ramionami.
— Nie mam najmniejszej ochoty, by mnie porwał przyplływ morza — rzekł; — a wam radzę śpieszyć,

Do już święty Kubert rozpoczął swą pracę. On nie lubi, gdy mu kto przeszkadza, wyśle więc po was bałwany i porwie w otchłanie morskie, a matki i ojca nie zobaczycie więcej!
Gromadka rozpierzchła się w jednej chwili. Została tylko najstarsza dziewczynka.
— Czemu straszysz dzieci, Willu? — zapytała chłopca z łagodną wymówką.
— Bynajmniej nie straszę — odparł poważnie Will. — Wierz mi, Gracyo, że prawdę mówiłem. Posłuchaj tylko uważnie. Słyszysz ten głuchy huk, który dolatuje od

morza? To odgłos młota św. Kuberta; nie radzę ci więc dłużej tutaj pozostawać.

— Słyszę głuchy huk — szepnęła po chwili dziewczynka.

— A widzisz, że to nie żarty — odparł Will. — Chodź do domu; pójdziemy razem.

To mówiąc, ujął Gracyę za rękę. Ona nie opierała się, — rada nawet była, iż

wziął ją pod swoją opiekę; szmer bałwanów dreszczem ją teraz przejmował.

Wszedłszy w ulicę wsi, rozdzielili się, i każde poszło do swej chaty.

Gracya z

dała jeszcze spostrzegła rodziców, siedzących przed domem, a chcąc ich prędzej

uścisnąć, zaczęła biedz, jak gdyby lękała się, aby rozgniewany św.

Kubert aż

tutaj nie posłał po nią bałwanów.

Istniało w Anglii podanie wśród ludu, że łoskot bałwanów, uderzających o skaty, jest odgłosem miota św. Kuberta, który w podziemnej pracowni kuje na kowadle konchy morskie, zwane z tego powodu perłami św. Kuberta.

— Cóżżeś tak biegła? — zapytał ojciec, gdy Gracya zbliżyła się do niego z powitaniem.

— Bałam się — odparła, spuściwszy oczy.

— Czego? — wykrzyknęli jednocześnie rodzice. Dziewczynka opowiedziała, co Will

mówił jej

o świętym Kubercie.

Tomasz Darling (takie było nazwisko ojca Gracyi) zsunął brew.

— Wstydź się być taką łatwowierną — rzekł; — a któż to wierzy podobnym bredniom?

Gracya, upokorzona, zarumieniła się. Matka przyciągnęła ją do siebie i pocałowała.

— Bądź spokojna — rzekła; — święty Kubert nie jest takim, jak Will twierdzi. On

kocha dzieci, więc nie porywałby ich rodzicom.

— Myślałem, żeś odważniejsza — wtrącił Darling; — toż jeszcze wczoraj prosiłaś,

bym cię zabrał do wieży, a jakże możesz tego żądać, kiedy obawiasz się szumu

bałwanów.

Gracya zwróciła na ojca błagalne spojrzenie.

— Ja nigdy nie bałam się morza — zaczęła się tłumaczyć; — wszakże wdzieram się

codzień na nasze skały, by zobaczyć, czyś, ojcze, zapalił latarnię. O, proszę

cię, weź mnie z sobą do wieży!

To mówiąc, objęła ojca za szyję i całować go zaczęła.

— Mój drogi ojczuniu, nie gniewaj się już na mnie! — mówiła, tuląc się do niego.

— No, no, dobrze. Lecz dziś już za późno — mruknął Darling; — niewielebyś z mej

strażnicy zobaczyła po nocy. Jutro przyjadę po ciebie wczesnym

rankiem. Teraz śpieszyć muszę; czas zapalić latarnię.

Tomasz Darling był strażnikiem wieży sygnałowej na jednej ze skalistych wysepek

grupy Fanie, leżącej przy brzegach Anglii. Chora żona jego mieszkała z córką na

stałym lądzie, a Tomasz odwiedzał je tylko w chwilach wolnych od swych

obowiązków.

Gracya знаła wysoką czarną wieżę tylko z daleka, to też obietnica ojca

niezmiernie ją uradowała.

Rano po szaro-zielonej przestrzeni wód mknęła chyżo mała łódka, w której siedziała milcząca Gracya obok ojca, ciekawie patrząc na pieniaące się wokoło nich bałwany. Ojciec z radością spoglądał na odważne dziewczę i silną dłoń pracował wiosłem, a łódź biegła szparko ku wieży, stojącej na skalistym samotnym cyplu.

Chociaż Tomasz Darling, opowiadając nieraz o swem mieszkaniu na wieży, przedstawił je córce w niewesołych barwach, Gracya znalazła je o wiele jeszcze smutniejszym, niż sobie wyobrażała. Składały je dwie duże izby: w jednej mieszkał ojciec Gracyi, w drugiej stary Kullen, jego pomocnik. Obie izdebki były zaniedbane; ściany pokryte pajęczyną, stoły i krzesła warstwą kurzu, łóżka nie posłane, po kątach porzucone ubrania, śmiecie, skorupy i nie pomyte naczynia.

Gracya, stanąwszy po środku izby ojca, okiem zdumionem obejrzała się wokoło.

— Jak dorosnę, co drugi dzień będę tu przyjeżdżała — rzekła.

Tomasz pocałował ją w czoło,

— Gdy dorośniesz, pójdiesz za męża, będziesz miała swój dom i rodzinę — odparł.

— Chcę, byś była szczęśliwą; młodość ma prawo do szczęścia.

— A ty, ojczy, nie maszże prawa do szczęścia? Ciche westchnienie wyrwało się z ust strażnika.

— Znałem kiedyś szczęście — rzekł zwolna, — ale krótko mi ono świeciło. Zawód rybaka nie wiódł się, choroba twojej matki pociągała rozchody; musiałem przyjąć tę

uciażliwą służbę, by wam chleba nie brakło.

— Dobry mój ojciec! jak mi ciebie żal! Tutaj życie musi być bardzo smutne...

— Mam i ja chwile wielkiej radości, dziecko moje — rzekł Darling.

— Prócz

szczęścia osobistego jest inne jeszcze, poważne, piękne szczęście, które ludziom

samotnym rozjaśnia życie. Chodź ze mną; opowiem ci coś o niem.

To rzekłszy, ujął córkę za rękę i poprowadził ją ze swej izdebki do ciemnej

sieni, a stąd na kręte schody, które prowadziły na szczyt wieżycy. Po chwili

Gracya ujrzała się na otaczającym strażnicę krużganku, z którego rozległy był

widok. Morze bez granic ukazało się jej oczom; dochodził ją ponury mruk

kołyszących się bałwanów, a krzyki mew od czasu do czasu mieszały się z głosami

oceanu. Gracya wpatrywała się z niemem uwielbieniem w ten wspaniały,

majestatyczny obraz, rozpostarty przed nią.

— Jak tu pięknie! — szepnęła po chwili.

— Pięknie, gdy, jak obecnie, słońce świeci na niebie i jasne błękity przeglądają

się w spokojnej toni wód; ale gdy chmury nagromadzą się tam, w górze, gdy wicher

szalony podniesie i zapieni bałwany, gdy poczną one bić o skały rozsianych wśród

morza wysp... o, wówczas tu straszno! — odparł Darling. — Lecz w tych strasznych

chwilach jam nieraz tak bardzo szczęśliwy, iż gorąco dziękuję Bogu, że jestem

strażnikiem...

Gracya, zdziwiona, spojrzała na ojca.

— W takich chwilach — ciągnął dalej Darling — na szerokim oceanie ukazuje się niekiedy okręt; rozszalałe bałwany porywają go i rzucają z wściekłością o skały; okręt rozbija się, a do wieży dolatują krzyki rozpacz i głosy, wołające o pomoc. Wówczas my z Kullenem wsiadamy do łodzi ratunkowej i śpieszymy ku tonącym... I nieraz, Gracyo, udaje się nam... a wtedy... Nie umiem wypowiedzieć, jak błogie uczucie przejmuję serce moje w takich chwilach!... za największe skarby świata nie oddałbym ich, tak jestem szczęśliwy... Gracya słuchała z zachwytem, a gdy skończył, schwyciła rękę ojca i ucałowała ją z niemem uwielbieniem. Dzień ten wywarł na dziewczynie silne wrażenie. Odtąd spoważniała bardzo. Gdy wkrótce burza znowu nad morzem zawyła, Gracya usiadła cichutko w oknie chaty, a kiedy ją matka zapytała, o czym myśli, odpowiedziała: — O ojcu... Modlę się, by Bóg pozwolił mu uratować tonących.

* * *

Minęło lat kilka. Gracya wyrosła na śliczną i dobrą dziewczynę. Spełniły się życzenia Tomasza: córka jego miała iść za mąż. Kochała i była kochaną. Narzeczoną jej był ów Will, którego znała od lat dziecińczych. Na dwa dni przed ślubem Will, jako rybak, wsiadłszy do łodzi, popłynął na morze, podczas gdy Gracya zajęta była przygotowaniem stroju ślubnego. Narzeczonego miał powrócić

przed zachodem słońca. Czynnie zajętej dziewczynie dzień zbiegł szybko, a spostrzegłszy, iż słońce zniża się, pośpieszyła nad morze, by pierwsza powitać Willa. Lecz próżno sięgała wzrokiem w dal: nigdzie na szerokiej przestrzeni wód nie mogła dopatrzeć łodzi narzeczonego. Tymczasem słońce znikło i mrok ogarnął ziemię. Lękając się, by matka nie była o nią niespokojna, Gracya podążyła do domu.

— Will nie wrócił? — spytała Tomaszowa.

— Jeszcze nie. Pewno pojechał do ojca na wieżę i jutro razem przyjadą — odparła

Gracya, udając spokój.

— O, Boże mój! byle go nieszczęście nie spotkało! — szepnęła chora matka i płakać zaczęła.

Tymczasem niebo zasnuło się chmurami i zerwał się wichur szalony; do okien chaty

Tomasza Darlinga dochodził złowrogi ryk wzburzonych bałwanów.

Dzielna Gracya

wciąż udawała spokój, chcąc przekonać matkę, iż jest pewną, że Will schronił się

do ojca. Nareszcie udała się na spoczynek. Lecz sen ani na chwilę nie skleił jej

powiek; wsłuchiwała się wciąż w wycie wichru i groźne głosy morza. Matka

tymczasem, zmęczona gorączką, zdrzemnęła się.

Spostrzegłszy to, Gracya usiadła na łóżku i patrzyła w okna, czekając, czy nie

powróci narzeczonego. Naraz zdało się jej, że widzi poza szybami przesuwające się

cienie ludzkie, że imię swoje słyszy, — ubrała się więc śpiesznie i cicho, na

palcach, wyszła z chaty. Nie myliły ją wzrok i słuch: ujrzała kilku ludzi.

— Kogo szukacie? — spytała.

— Do was przyszliśmy ze smutną wieścią! — odparł John Hanx, przyjaciel Willa. —

Przez wzgląd na chorą nie śmieliśmy wejść do chaty, żeby matki twojej nie

przestraszyć — dodał.

— Cóż się stało? — drżącymi ustami spytała Gracya.

— Will utonął — odparł cicho John.

Krzyk rozdzierającej bólesci wyrwał się z ust nieszczęśliwej narzeczonej, a w

tej samej chwili drugi, równie okropny, dobył się z głębi chaty.

Posłyszała go

Gracya i oprzytomniała natychmiast.

— Matka! — szepnęła i pobiegła do izby. Tomaszowa słyszała krzyk córki i

domyśliła

się, co za cios bolesny ją dotknął, i jękiem na jęk dziecka

odpowiedziała. Lecz

teraz leżała już cicha zupełnie.

Gracya zbliżyła się do łóżka i pochyliła troskliwie nad chorą.

— Co tobie, marno? — spytała.

Nie było wszakże żadnej odpowiedzi. Matka nie podniosła nawet wzroku na nią.

Czyżby spała i przez sen krzyknęła?... Chcąc się o tem przekonać,

Gracya ujęła

ją za rękę, lecz ta była dziwnie chłodna. Pewna, że to zemdlenie,

zaczęła matkę

cucić, lecz chora

nie dawała znaku życia, a ręce jej i nogi stawały się coraz chłodniejszymi.

Straszne przypuszczenie, iż los okrutny zesłał na nią naraz drugie nieszczęście,

zrodziło się w jej sercu. Wybiegła przed dom, wołając głosem rozdzierającym:

— Ratujcie moją matkę!

Lecz nikogo tu już nie było; ludzie owi ze smutną wieścią podążyli do rodziców

Willa.

Chata Tomasza Darlinga stała samotnie w pobliżu morza, i szum jego zagłuszył

wołania Oracyi. Zmęczona w końcu, umilkła, wróciła do domu i, ukląwszy przy

łożku matki, w modlitwie szukała pociechy. Tak ją zastał ojciec, który,

uwiadomiony o wypadku, jaki spotkał Willa, zaraz ze świtem pośpieszył do domu,

nic jeszcze nie wiedząc o stracie, jaką sam poniósł. Gracya, ujrawszy go. z

głośnem szlochaniem rzuciła mu się w objęcia, a płacz ten ulżył jej sercu.

Nazajutrz odbył się pogrzeb Tomaszowej Darlingowej. Gdy wrócili z cmentarza do

domu, ojciec rzekł do córki:

— Powiedz mi szczerze, Gracyo, czy chcesz jechać ze mną, czy też wolisz pozostać

u którego z naszych przyjaciół. Tu, wśród wesołych rówieśniczek, prędzej

otrząśniesz się ze smutku, a w mojem pustkowiu tak posepnie... W nocy budzą

wichry i straszą bałwany swym rykiem ponurym, — w dzień pusto i głucho, niema do

kogo słowa przemówić. Prócz morza i nieba, prócz mew i nas dwóch starych, nic i

nikogo więcej widzieć nie będziesz. Wolałbym, żebyś tu została.

— Gdzie ty, ojczy, tam i ja! Tyś mi jeden pozostał! — odparła Gracya.

Łzy wzruszenia zabłyśły w oczach Tomasza Darlinga; uścisnął córkę czule.

— Zastanów się jeszcze; tam będziesz zawsze sama i sama — rzekł.

— Będę z tobą, ojczy! — szepnęła Gracya.

— Tu szczęście jeszcze mogłoby się z czasem uśmiechnąć do ciebie, bo czas leczy najboleśniej rany...

Dziewczyna potrząsnęła głową przecząco.

— Szczęście osobiste już nie dla mnie — rzekła smutnym głosem; — przy tobie, ojczy, może zdobędę to drugie szczęście, o jakim wspominałeś mi kiedyś.

— A więc jedźmy razem! — odparł Tomasz. Gracya zajęła się pakowaniem rzeczy, potem

poszli pożegnać sąsiadów, a Tomasz mówił każdemu, że pewno nie prędko już do wsi

zawita, gdyż córka jedzie z nim razem. Chatę swą wynajął jednemu ze znajomych, i

o zachodzie słońca, wsiadłszy z córką do łodzi, pośpieszył do wieży Farne.

II.

Kiedy pierwszego dnia rano Gracya otworzyła oczy i spojrzała dokoła, zrobiło się jej niezmiernie przykro: przysła jej na myśl chata, w której do-

tychczas z matką mieszkała, — czyściutka izdebka, do jakiej przywykła od lat

najmłodszych; — pełna gwaru wioska, którą kochała, — wesoły Will, który tak

pięknie malował jej przyszłość, jaką mieli dzielić razem, — i ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi. "Minęło? szczęście i nie powróci" —

myślała, i łzy napęłniły jej oczy. Wtem w przyległym pokoju usłyszała kroki; zlekła się, że ojciec wejdzie i zobaczy jej łzy. "Przyrzekłam sobie być jego starości weselem" — pomyślała i zerwała się z łóżka, a ubrawszy się, sprzątnęła izdebkę, poczem dopiero pośpieszyła do ojca. — Ojczy — rzekła, — oddaj mi klucze od spiżarni i piwnicy; chcę wiedzieć, gdzie czego szukać. — Chcesz się zająć naszym gospodarstwem? — zapytał ją Tomasz; — w takim razie udaj się do Kullena, bo ja dziś straż odbywam. Gracya zwróciła się do towarzysza ojca. — Wszak nie odmówicie mej prośbie, panie Kullen — rzekła; — chcę być wam pomocą, a nie ciężarem. Staruszek wstrząsnął głową z niedowierzaniem, lecz sięgnął za pas skórzany po dwa duże klucze. — Ha, próbuj — rzekł; — lecz pewny jestem, że odbiegiesz nas niedługo, bo młody w pustelni żyć nie potrafi. Gracya uśmiechnęła się smutno. — Los zwarzył moją młodość — odparła. Przez pierwsze dni Kullen ciągle mrucał do siebie: "Nie wytrzyma, ucieknie lada dzień." Lecz, gdy dni i tygodnie mijały, a Gracya nie wspomi-

nała wcale o tem, że pragnie odwiedzić wioskę, przestał jej wróżyć ucieczkę.

Odważna dziewczyna, ukrywszy na dnie duszy cierpienia, pracowała wytrwale w samotnej wieży i z coraz większym zamiłowaniem oddawała się swym codziennym

zajęciom. Mieszkanie strażników wieży Fanie inny zupełnie przybrało teraz
wygląd; nigdzie nie można było dopatrzeć kurzu i pajęczyn, podłoga
była zawsze
zamieciona i czysta, naczynia pomyte, rzeczy pochowane. Gracya
sprzątała,
gotowała śniadanie, obiad i wieczerzę, wyręczała nawet ojca i jego
towarzysza w
ich zajęciach obowiązkowych. W najniższej izbie wieży Farne stało
piętnaście
kadzi kamiennych, zwanych studniami olejowemi, a tuż obok kilka
dzbanków
cynowych. Gracya sama codzień dzbanki te napełniała olejem, by
ulżyć w pracy
dwom starcom. Ojcu, o ile mogła, dotrzymywała towarzystwa; gdy
miał wolny
wieczór, gawędziła z nim o przeszłości lub czytała mu głośno
powieści z historyi
Anglii; często też, gdy na wieży straż odbywał, szła do niego i razem
wypatrywali okrętów na bezbrzeżnem morzu.
Tomasz Darling od czasu, gdy córka z nim zamieszkała, poweselał;
wyrzucał to
sobie, lecz nie mógł się oprzeć uczuciu zadowolenia, jakie w nim
wywoływała
obecność Oracyi.
— Tyś słonkiem mojem! — mawiał nieraz, pieszcząc ją.
A ona całowała ręce ojca i uśmiechała się do niego smętnie.
I płynęło życie tej młodej i dzielnej dziewczynie cicho, ale czynnie i
pożytecznie. Codzień

Gracya nabierała więcej wprawy w obowiązkach, jakie pełniła,
codzień stawała się
poważniejszą i odważniejszą. Nieraz sama spędzała całe wieczory,
gdy ojciec był
na straży przy latarni, a Kullen popłynął do wioski odwiedzić
znajomych. Lecz

nie lękała się samotności, bo praca myśl jej zaprzętała. Kiedy głuchą
ciszę,
panującą w izdebce, zakłóciły nagle przeraźliwe krzyki mew, nie
drżała z
przerażenia; nie bała się też ponurego świstu wichru, wstrząsającego
oknami
wieży, ani głuchego szumu bałwanów, które wspinały się wysoko, jak
gdyby chciały
pochłonąć strażnicę. Często, gdy stary Kullen czuł się słabym,
zastępowała go w
obowiązkach: zapalała za niego latarnię i pełniła straż, z wysokiego
szczytu
wieży patrząc cierpliwie i uważnie dokoła i wzrokiem tęsknym goniąc
snujące się
po morzu łódki. Rybacy, którzy płynęli w tych łodziach, podnosili
czasem w górę
głowy, chustkami posyłali jej znaki powitania, a Gracya tak samo im
odpowiadała.
Była to jedyna rozmowa, jaką dziewczyna prowadziła z ludźmi
obcymi.
Minęło wreszcie lat kilka i umarł stary Kullen. Tomasz Darling,
odwiozłszy jego
ciało na ląd stały, by pochować na cmentarzu, przedstawił
jednocześnie na
żądanie Gracyi do władzy prośbę, żeby córka jego mogła objąć
opróżnioną posadę.
Urzednicy portu, którzy znali Gracyę, poparli prośbę, i córka Darlinga
została
urzędową strażniczką wieży Farne.
Pewnego popołudnia Gracya siedziała samotna w swej izdebce, gdy
wtępnem drzewie się
rozwarły i zdumiona dziewczyna ujrzała na progu obce jakieś

postacie: dwie kobiety, strojnie ubrane, jedna już w wieku podeszłym,
druga

młodziutka jeszcze, weszły do izby, ciekawie po niej się rozglądając;
za niemi
szedł mężczyzna wyniosłej postawy, a na końcu majtek okrętowy.
Nieznajomych
prowadził Tomasz Darling, mówiąc coś z wielkiem uszanowaniem do
siwego pana.
Gracya podniosła się zmieszana i ukłonem powitała gości.
Starsza z kobiet zwróciła się do strażnika i zapytała:
— To wasza córka?
— Tak jest, milady — odparł Tomasz nie bez pewnej dumy, — córka
i towarzyszy
zarazem.
Nieznajoma panienska zwróciła się do Gracyi.
— Jakże mi cię żal! — rzekła z niekłamanem współczuciem. — W tak
młodym wieku
żyć w więzieniu z myślą, że może nigdy z niego się nie wyjdzie!...
ach, to
straszne!
Gracya uśmiechnęła się łagodnie.
— Do prawdy nie zasługuję na litość — odparła, — zupełnie mi
bowiem dobrze w tem
więzieniu.
— Jakto?... więc nie czujesz się nieszczęśliwą, nie nudzisz się?
— Na nudy czasu nie mam, bo pracy mi nie brak — rzekła Gracya
poważnie, — a
myśl, iż osładzam samotną starość ojca, daje mi wiele chwil szczęścia.
Bogata widocznie panna zarumieniła się i spuściła oczy, bo czuła, iż
tego o
sobie powiedziećby nie mogła: nuda strasznie jej dokuczała, — czy
zaś była
osłoda ojcu, wątpiła.

Inni nie słyszeli tej rozmowy, — lecz był ktoś w izbie, co słuchał jej
uważnie;
stał on na uboczu, gotowy na rozkazy naczelnika. Był to ów majtek,
Edward Błat.

Niebawem goście, zwiedziwszy wieżę, odjechali, rzucając Gracyi
wiele pochwał,
którym w prostocie serca dziwiła się biedna dziewczyna.
Po kilku dniach, gdy pewnego ranka Gracya zeszła na dół wieży i,
stanąwszy we
drzwiach, rzuciła okiem na ciche morze, dojrzała niewielką barkę,
kierującą się
ku wieży. Zaciekawiona, co za gość znowu do nich dąży, zaczęła
uważnie
przyglądać się wioślarzowi; twarz jego nie zdawała się jej być obcą,
lecz w
żaden sposób przypomnieć sobie nie mogła, gdzie i kiedy ją widziała.
Łódka
tymczasem dobiła do brzegu skalistej wysepki, a wioślarz wyskoczył
na ziemię i
skierował się wprost ku Gracyi.

— Jestem Edward Blat, majtek okrętowy — rzekł, kłaniając się jej. —
Kilka dni

temu byłem tu z kapitanem Stanleyem. Nie patrzyłaś wówczas na
mnie, panno

Gracyo, ale ja patrzyłem i słuchałem, a wróciwszy na okręt,
powiedziałem sobie:

"Taka towarzyszka życia to skarb największy. " Mam chatę i gruntu
kawał, mam

korzystne zajęcie w porcie; zostań moją żoną, panno Gracyo!

— Nie mogę porzucić ojca — odparła Gracya; — nie zostawię go
samotnym na

starość. Poszukaj sobie, panie Blat, innej towarzyszki.

— Takiej, jak córka Tomasza Darlinga, nie znajdę.

— Nie szukałeś!... Ja nie mogę porzucić starego ojca, powtarzam raz
jeszcze!

— A jeśli ojciec zgodzi się z nami zamieszkać? Pomówię z nim zaraz.

Jeszcze nam

lepiej będzie z nim razem, bo gdy mnie obowiązek powoła na morze,
żona moja nie

pozostanie wówczas sama w chacie. Pójdę pomówić z Darlingiem.
— Nie czyń tego, panie Edwardzie!... proszę cię! — rzekła Gracya.
Lecz on jej nie usłuchał i poszedł na szczyt wieży, gdzie właśnie
Tomasz odbywał
straż.

Staremu uśmiechnęła się myśl rozstania się wieżą Farne i
przeniesienia na ląd
stały, a najwięcej nęciła go nadzieja, że Gracya będzie szczęśliwą, że
będzie
miała własny dom i rodzinę, — więc obiecał majtkowi, iż poprze jego
sprawę.

Przywołał do siebie córkę i tak zaczął na nią nalegać, że ta w końcu
przyrzekła,
iż się jeszcze zastanowi nad uczynioną jej propozycją, i prosiła tylko
o parę
tygodni zwłoki. Tomasz Darling powiedział młodemu, aby przyjechał
do nich za dwa
tygodnie po ostateczną odpowiedź.

Edward odjechał, pełen nadziei, a Gracya, cicha, jak zwykle, wróciła
do
codziennych zajęć. Lecz ojcu się zdawało, że jest teraz smutniejszą,
niż bywała

dawniej; czasami wpadała w tak głębokie zamyślenie, iż, gdy się
odezwał do niej,
wcale słów jego nie słyszała.

Razu pewnego, gdy Tomasz Darling udał się na spoczynek, a Gracya
pełniła
obowiązki strażniczki i, wsparłszy się zadumana o balustradę,
otaczającą ganek,
wodziła uważnym okiem po morzu, które tego wieczoru było bardzo
burzliwe, —
naraż w powietrzu rozległy się jakieś krzyki przeraźliwe.

Dziewczyna zrazu wzięła je za wrzaski mew, lecz wkrótce poznała
omyłkę: były to
krzyki rozbitków. Pobiegnęła do ojca i zbudziła go.

— Jacyś ludzie giną na morzu; trzeba ich ratować! — rzekła.
Strażnik porwał się z łóżka i pobiegł szybko na ganek, aby zobaczyć,
gdzie i
komu zagraża niebezpieczeństwo. Przy świetle błyskawicy Gracya
wskazała mu punkt
na morzu, który to nikł wśród bałwanów, to wzbijał się ponad nie.
— Niema czasu do tracenia! — rzekła. Zbiegli na dół i podążyli na
brzeg wysepki,
gdzie była uczepiona łódź ratunkowa. Lecz tutaj Darling zwrócił się
do córki:
— Pojadę sam... Morze jest zanadto wzburzone; nie chcę cię narażać
na niechybne
niebezpieczeństwo — rzekł do niej.
— Nie zgodzę się za nic, ojcze, abyś sam jechał! — odparła
stanowczym tonem
Gracya. — Jestem strażnikiem, jak i ty; obowiązkiem jest moim,
równie jak i
twoim, śpieszyć z pomocą zagrożonym.
— Niechże się stanie, jak pragniesz — rzekł Tomasz z rezygnacją. —
Jeśli
zginiemy, zginiemy razem!
I wsiedli oboje do łodzi i pośpieszyli na ratunek nieszczęśliwym.
Bałwany rzucały łódź na wszystkie strony; niejednokrotnie rozszalała
fala
przeskakiwała przez nich, oblewając ich wodą, — lecz Gracya
siedziała zupełnie
spokojnie, wiosłując śmiało. Długo mocować się musieli z wichrem i
falami, aż
dotarli do wątej szalupy, w której siedziało kilku rozbitków

w postawach pełnych rozpacz. Ujrawszy zbliżającą się łódź
ratunkową,
nieszczęśliwi wyciągali ku niej ręce błagalnie. Strażnicy wzięli ich do
swojej
łodzi. Rozbitków było niewielu; większość ich wraz z okrętem
pochłonęło morze.

Ocaleni zdawali się być blizki m i śmierci: bladzi, drżący ze strachu i zimna,
płakali lub jęczeli. Najbardziej wzruszył Gracyę widok jednej z kobiet, która,
klęcząc na dnie łodzi, z oczyma, w niebo wzniesionemi, wołała:
"Dzieci moje!
dzieci!"

Nazajutrz statek z portu dobił do wyspy. Rozbitkowie pożegnali strażnika i
dzielną jego córkę, a owa kobieta uratowana, całując Gracyę przy rozstaniu,
rzekła do niej:

— Nigdy nie zapomnę, com ci winna. Mam rodziców, męża i dwie małe córeczki:

wyczekują oni niecierpliwie mego powrotu do domu i, gdyby nie ty, nie ujrzeliby mnie więcej. Łzy wzruszenia zabłysły w oczach dzielnej strażniczki, a kiedy rozbitkowie odjechali, padła na kolana i, złożwszy ręce, długo modliła się serdecznie, poczem pośpieszyła na wieżę.

Darling, ujrzawszy córkę, uśmiechnął się do niej.

— Myślałem w tej chwili o tobie — rzekł wesoło. — Za tydzień zjawi się Edward

Błat po odpowiedź ostateczną.

Gracya wcale na to uśmiechem nie odpowiedziała ojcu, — pobladła nawet i, zbliżywszy się do niego, objęła go ramieniem.

— Ojcze! — rzekła głosem wzruszonym, — morze okrutne wydarło mi szczęście

osobiste, i drugie, tamtemu podobne, już dla mnie zabłysnąć nie może; nic już

nie rozgrzeje mi duszy, nie rozjaśni życia nigdy. Lecz tu, w tej pustej i głuchej wieży, wśród fal morza, jam znalazła szczęście inne, o którym mi kiedyś

mówiłeś, a które przez długie lata słodziło twe życie samotne. O, nie odbieraj mi, ojczy, tego szczęścia! Moje biedne serce to tylko odczuć jeszcze potrafi, tem pocieszyć się jeszcze będzie mogło... Nie żądaj, bym opuszczała wieżę Farne, bo tu jedynie mogę jeszcze doznawać chwil zadowolenia. Tomasz pochylił się do córki i pocałował ją w czoło. — Dobra twego tylko pragnę — odparł; — nie będę cię zmuszał do tego, co ci jest niemiłe. W tydzień potem Edward Blat przyjechał do wieży, lecz z Gracyą się nie widział. Darling powtórzył mu słowa córki, pocieszając go, że znajdzie sobie z pewnością inną towarzyszkę. Odkąd Gracya przestała się lękać, by ją nie zmuszono porzucić wieżę Farne, smutne myśli opuściły ją. Z każdym dniem energiczniej, lepiej i chętniej pełniła swoje obowiązki, a ilekroć podróżnym groziło na morzu niebezpieczeństwo, śpię szyła zawsze odważnie wraz z ojcem na ratunek; ilekroć zaś komu ocaliła życie, zawsze uczucie niewysłowionego zadowolenia napełniało jej serce. Tuląc się do ojca, mówiła: — Jam bardzo szczęśliwa, ojczy! tyle błogosławieństw ludzkich spływa na mnie!...

Błogosławili ją ludzie istotnie; niejednej matce ocaliła syna, niejednym dzieciom ojca lub matkę. Życie jej było ciche, lecz pożyteczne. Choć żyła na pustkowiu, zdobyła sobie miłość i szacunek ogólny, a tak polubiła swój zawód,

że, gdy ojciec jej począł wzrok tracić ze starości i nie mógł już pełnić obowiązków strażnika, ona go zastępowała, — każdego wieczora i każdej nocy odbywała straż, wyręczając się ojcem w zajęciach domowych. Nazwisko dzielnej strażniczki stało się znanem w całej Anglii, a gdy po latach trudu i mozołu umarła, pochowano ją kosztem publicznym i postawiono pomnik, na którym wyryto następujący napis:
"Gracyi Darling,
Dobrej córce i obywatelce.
Ziomkowie. "

XII.

TRZY CHWILE.

Był to dzień popisu na jednej z pierwszorzędnych pensyi miasta Paryża. Uroczysty akt już się skończył; przełożona, pani Le-Guit, serdeczną mową pożegnała swoje wychowawiec Młodsze z nich, uradowane, iż dnie wakacyi nareszcie nadeszły, wesoło opuszczały zakład; najstarsze zaś, te, które już nie miały wrócić, ociągały się z odejściem, jak gdyby teraz, kiedy nadszedł ten dzień, którego tak niecierpliwie wyglądały, żal im było rozstać się z pensją, z nauczycielkami, przełożoną, koleżankami... Potworzywszy gromadki, gawędziły w sali rekreacyjnej to o przyszłości, to o chwilach minionych. Niektóre nauczycielki łączyły się z niemi, inne przechadzały się poważnym krokiem po sali i przysłuchiwały się rozmowie panien, nie wtrącając się do niej.

Pomiędzy młodemi dziewczętami, które świeżo ukończyły nauki i patenty w rękę trzymały, wyróżniała się osiemnastoletnia szatynka o dużych szafirowych, pełnych życia oczach, około której najliczniej gromadziły się koleżanki. Obok niej stała też młoda nauczycielka, panna Henry, nieładna, lecz bardzo sympatyczna.

— Więc, kiedy przyszłość żadnej z nas tobie się nie uśmiecha, to powiedz nam,

Anno, jak ty swoje życie zamierzasz urządzić? — zapytała szatynkę jasnowłosa

Julka Reni.

— Zupełnie inaczej, niż wy — poważnie odparła zapytana; — raz dlatego, iż bogatą

nie jestem, jak wy, powtóre, że nie zadowolniłoby mnie nigdy życie, które wy

wieść zamierzacie... Ty, Julko, marzysz o balach i zabawach, na jakich masz

bywać, o sukniach, jakie sobie sprawisz. Mojem zdaniem, takie przyjemności nie

mogą wypełnić serca kobiety, i gdyby mi kazano tylko się bawić i stroić,

czułabym się najniezwyklejszą istotą na ziemi... Ty, Maryniu, cieszysz się, że

osiądziesz na wsi, że będziesz wiosną siała kwiaty w ogródku, a latem robiła z

nich bukiety, że jeździć będziesz łódką po jeziorze, a jesienią masz zamiar

chodzić do lasu po grzyby, smażyć konfitury, zimą zaś czytywać romanse... I

twoje życie nie dla mnie; może, gdy będę miała lat pięćdziesiąt, zgodzę się

dopiero na nie. Ty, Małgorzato, powiadasz, iż od rana do wieczora będziesz

grywała na fortepianie. Artystką nie jestem, więc pewno dlatego zdaje mi się, że muzyka może zrobić przyjemność wówczas tylko, gdy jej używamy

ako odpoczynku po pracy; lecz grać cały dzień... tego nigdybym nie potrafiła!

— Więc cóż będziesz robiła? — zapytało ją kilka głosów.

— Będę pracowała, a praca moja musi być produkcyjną — odparła Anna, — musi mnie

i drugim przynosić pożytek; taka tylko zadowolnię mnie zdoła...

Przedewszystkiem

praca musi mi dać utrzymanie, żebym nie była ciężarem ojcu, który, oprócz mnie,

odziewa, żywi i wychowuje jeszcze pięć młodszych córek.

— Więc czemże będziesz? powiedzże nareszcie — zapytała tonem trochę

niecierpliwym jasnowłosa Julka.

— Nauczycielką będę — odparła Anna.

Dziewczęta ruszyły ramionami.

— Tak szumnie prawiła — szepnęła Małgorzata; — myślałam, że powie przynajmniej:

"Doktorem będę. "

— Alboż nie piękny mój zawód? — z zapałem odezwała się Anna. —

Kształcić młode

umysły, uszlachetniać charaktery, zasiewać w sercach poczciwe zasady, z istot

biernych robić myślące, zacne i użyteczne kobiety... czyż może być chlubniejszy

zawód na ziemi?

— Ślicznieś to powiedziała! — odezwała się panna Henry; — istotnie zawód

nauczycielski to jeden z piękniejszych i chlubniejszych zawodów, lecz wówczas

tylko, gdy wkładane przez niego obowiązki spełniamy sumiennie.

— Czy pani wątpi, że potrafię je spełniać sumiennie? — z lekką wymówką spytała

Anna.

— Nie wątpię i dlatego ci nie odradzam — odparła panna Henry. —
Myślę, że
cokolwiek w życiu będziesz robiła, zawsze dobrze. Masz serce i
rozum, potrafisz
więc prowadzić dzieci z miłością i rozsądkiem.

— Jak pani! — rzekła Anna i z temi słowy, objąwszy ramieniem
nauczycielkę,
przytuliła się do niej.

Panna Henry pocałowała ją w czoło.

— Przysłowia są mądrością narodu, a przysłowie powiada podobno:
"Lepiej kamienie
tłuc, niż cudze dzieci uczyć" — odezwała się Julka Beni. — Za nic nie
obrałabym
sobie zawodu nauczycielskiego, gdybym potrzebowała pracować na
swoje utrzymanie.

— A ja go się nie lękam — żywo przerwała Anna; — mam głębokie
przekonanie, iż
dzieci takimi bywają dla nauczycielki, jakimi nauczycielka mieć je
pragnie.

Będę je kochała, a więc i one będą mnie kochały nawzajem, a przez tę
miłość
posłusznymi mi będą.

— Mrzonki, mrzonki! — odezwał się tuż za Anną głos pełen goryczy.
Dziewczyna obróciła głowę i ujrzała twarz, dobrze sobie znaną, bladą
i zmęczoną.

Była to panna Seweryna, nauczycielka matematyki.

— Spójrz na mnie... Wszak prawda, że wyglądam na lat
pięćdziesiąt?... a
czterdziestu jeszcze nie mam... Czy wiesz, co mię temi zmarszczkami
tak wcześnie
obdarzyło, co spędziło rumieńce z twarzy, głos goryczą zaprawiło?..
Oto zawód,
który tak ide-

alnie wystawiasz, i dzieci, o których z taką miłością rozprawiasz... —
Rozśmiała

się przykro jakoś, ostro i odeszła.

Wśród młodego grona zapanowało milczenie Panny spoglądały jedna
na drugą.

— Cóż, nie tracisz odwagi? — zapytała Małgorzata po chwili.

Anna podniosła na nią wzrok błyszczący.

— Nie! — odrzekła z energią. — Myślę, iż panna Seweryna winną
jest sama, że

zawód nauczycielski ją złamał. Gdyby łagodniejszą była ze swemi
uczenicami, nie

spotykałyby ją przykrości z ich strony.

— Prawda, prawda! — potwierdziły inne.

— Niewiadomo, jak to tam było — ujęła się za oskarżoną młoda jej
koleżanka. — W

każdym razie chwali ci się, Anusiu, że nie dajesz się odwieść od celu.
Zapewne,

zadanie to wniosło być nauczycielką, lecz ostrzegam, że trudne
bardzo, bo wiele

przykrości nam przynosi. Czyż jednak jest pozycja, któraby i dobrych
i złych

stron nie posiadała. Trzeba tylko umieć znosić złe spokojnie i
cierpliwie, a

dobrego całą duszą używać.

— Tak też czynić zamierzam — odparła Anna, — i pewną jestem, że
mi ten zawód

serca żółcią nie zapełni, jak się to stało z sercem panny Seweryny.

Anna Gros była córką urzędnika jednego z banków paryskich. Pan
Gros pobierał

niewielką pensję, a liczną miał rodzinę do wyżywienia, — to też
Anna zmuszoną

była wziąć się do pracy chlebobdajnej. Nie długo też przebywała w
domu rodziców,

bo przyjęła wkrótce miejsce nauczycielki prywatnej na pro-

wincyi; za ledwie parę miesięcy upłynęło od dnia popisu, a pobłogosławiona przez ojca i matkę, puściła się dziewczyna w drogę do domu obcego.. Powóz toczył się zwolna aleją, wysadzoną kasztanami, które bogato były pokryte owocem. W dali widać było na niewielkiem wzgórzu grupę drzew, ponad które wybiegały wieżycy pałacu, będącego od pięciuset lat gniazdem rodziny Lebertów. Stary i arystokratyczny był to ród. Anna nie zastanawiała się wszakże nad tem; obojętnem jej było nazwisko i pochodzenie tych, u których miała pracować, — ciekawa była tylko tego. czy jej elewki pilne są i zdolne. Oparta o miękkie poduszki powozu, układała teraz właśnie dla nich program dnia na miesiące letnie. Miały według tego programu wstawać o godzinie szóstej rano, razem z nią chodzić codziennie przed śniadaniem na spacer, podczas którego miała zamiar rozmową rozwijać umysły i rzucać w serduszka ziarna cnót chrześcijańskich. "Czasem wstąpimy do jakiej nędznej chaty — myślała sobie; — pokażę im nędzę, obudzę w nich litość, przekonam, jaką człowiekowi daje rozkosz wsparcie niedoli. Wróciwszy ze spaceru, odpoczniemy przy śniadaniu, a potem zasiądziemy do lekcji. Pierwsza godzina poświęconą będzie zawsze matematyce, która wymaga umysłu świeżego; potem nastąpi lekcja historii jednego dnia, geografii drugiego; trzecią godzinę codziennie poświęcimy językowi francuskiemu. Około południa drugie śniadanie, potem jaka godzina wypoczynku, potem z kolei muzyka, język angielski,

lub nauki przyrodnicze. Następnie dziewczynki zasiądą do odrobienia swoich zadań, a ja

czuwać będę nad nimi, opracowując zarazem wykład lekcyi na dzień następny.

Podwieczorek odwoła nas od pracy; po podwieczorku znowu spacer i rozmowa po angielsku o czemś dotyczącem nauk przyrodniczych".

Anna zachwyconą była programem własnym i nie wątpiła, iż okaże się w skutkach

jak najlepszym. Wśród takich rojeń powóz zatrzymał się przed pałacem, i Anna

ujrzała lokaja we fraku koloru brązowego, ze złotymi guzami, w spodniach

obcisłych po kolana, białej kamizelce, kamaszach i rękawiczkach, obok którego

stał kilkonastoletni wyrostek, również w liberyi. Jegomość w brązowym fraku

rzekł do wyrostka:

— Weź kufer tej panny i zanieś go do pokoju guwernantek.

Chłopak spełnił natychmiast otrzymany rozkaz, lokaj zaś zwrócił się do Anny,

która wysiadła właśnie z powozu.

— Jaśnie pani czeka na pannę w swoim gabinecie — rzekł; — proszę iść za mną.

Anna się zarumieniła: obejście lokaja było dziwnie lekceważące... Nie dała

wszakże poznać po sobie, iż przykrość jej to sprawiło, i poszła za przewodnikiem, pozornie obojętna. Minęli milcząc wielką sień, której ściany

starożytne zbroje i głowy dzikich zwierząt zdobiły, potem kilka wspaniałych

salonów, w stylu osiemastego wieku umeblowanych, nareszcie weszli do gabinetu

pani domu. Anna ujrzała przed sobą rozpartą w wygodnym fotelu
kobietę w wieku
podeszłym, ubraną nader elegancko;

siwą jej głowę pokrywały loczki, — czarna atłasowa suknia była
zrobioną do
figury. Przy oczach pani owa trzymała lornetkę ze złotą rączką i przez
szkła

badawczo przypatrywała się nauczycielce, idącej ku niej.

— Panna Gros? czy tak? — spytała, skinąwszy Annie niedbale głową,
gdy ta stanęła
zmieszana przed nią.

— Tak jest— odparła Anna, kłaniając się poważnie.

Pani Lebert wskazała krzesło, naprzeciw niej stojące.

— Jestem babką przyszłych elewek pani — zaprezentowała się. —

Rada jestem z

przybycia pani, gdyż dzieci są bez opieki, a dla panienek to nie
wypada.

Nauczycielkę, która poprzednio tutaj była, zmuszoną zostałam
oddalić, gdyż nie

umiała postępować z dziećmi; skarżyły mi się ciągle na nią, a mnie to
nudziło...

Za stara jestem, by zajmować się wychowaniem wnuczek, i
spuszczam się na

nauczycielkę; nie wtrącam się do jej zajęć, żądam jednak, aby w
naukach kładła

główny nacisk na muzykę i język angielski, oraz, żeby potrafiła
dogodzić

dzieciom.

— Starać się będę pozyskać sobie miłość elewek — odparła Anna.

Położony nacisk na muzykę i język angielski zmieniał trochę jej
program nauk.

Wyniosłe i chłodne obejście wielkiej damy przykrość jej też
sprawiało, — lecz

mówiła sobie: "I cóż ta kobieta mnie obchodzi?"

Zadowolona z otrzymanej odpowiedzi, pani Lebert uśmiechnęła się łaskawie i zadzwoniła. Na ten

znak weszła kobieta, lat liczyć mogąca, w czarnej sukni i białym fartuszk;

oczy jej, pełną wyrazu złości, obiegały najpierw ciekawie całą postać Anny,

poczem zwróciła się do pani Lebert pokornie:

— Co jaśnie-pani rozkaże?

— Odprowadź, Maryo, pannę Gros do jej pokoju.

— Proszę za mną — rzekła służąca lekceważącym tonem.

Anna powstała.

— Za godzinę obiad; mam nadzieję, że dość tego czasu na przebranie się — rzuciła

za odchodzącą pani Lebert.

Anna skłoniła się jej głową w milczeniu i podążyła za swą przewodniczką.

Pokój, przeznaczony dla nauczycielek w pałacu Le-Bert, znajdował się w jednej z

jego wieżyc. Skromnie był on urządzony, ale wygodnie.

Nieprzyzwyczajona do

zbytków Anna była nim zachwyconą. Jedno z okien wychodziło na ogród, w którym

kwitły teraz akacje, woń słodką w powietrzu rozlewając. Byłaby Anna chętnie

usiadła przy niem, by popatrzeć na wspaniałe mirty, magnolie i rododendrony,

tworzące kląby w ogrodzie, gdyby wymówione z naciskiem ostatnie wyrazy pani

Lebert nie brzmiały w jej uszach. Za ledwie się przebrała, zapukano do drzwi, i

wnet na progu stanęły dwie dziewczynki, zupełnie jednakowego wzrostu. Obie

ładne, różowe, z włosami jasnymi i oczyma piwnymi, robiły wrażenie bliźniąt; rok

różnicy dzielił je wszak że. Anna uśmiechnęła się do dzieci.

— Zapewne moje elewki? — rzekła. — Bardzo mi przyjemnie was poznać, moje panienki. A jakże wam na imię?

I, zbliżywszy się, podała każdej z kolei rękę na powitanie.

— Mnie Joanna, a siostrze Luiza — odparła starsza, dygnawszy grzecznie.

Młodsza za jej przykładem też samo uczyniła.

— Zaraz będzie obiad — odezwała się starsza,

— Jestem gotową — odrzekła Anna.

Luiza wysunęła się na przód, przybierając rolę przewodniczki, podczas gdy Joasia towarzyszyła nauczycielce.

— Chodźmy... Pokażę pani po drodze nasz pokój — mówiła Luiza; — znajduje się on

tuż koło wieży. Sypiamy z Ninetą.

— Któż jest ta Nineta? — spytała Anna.

— Dawna nasza piastunka.

Właśnie zeszły z krętych schodów wieżycy i dostały się na korytarz, w którym

kilkoro drzwi się znajdowało. Luiza zatrzymała się u jednych z nich i otworzyła

je.

— Oto nasza sypialnia — rzekła.

Anna ujrzała obszerny pokój, w którym dwa białe zasłane łóżka białymi firankami

były osłonięte; pomiędzy nimi stała wspaniała toaleta, dalej dwa małe biurka,

cacka wyrobu stolarskiego, staroświecka komódka, miękka kanapka, kilka foteli i

stolik z blatem mozaikowym.

— Prześliczny pokój! — rzekła Anna.

Joasia wydeła usteczka.

— Ja tam nic zachwycam się wcale — odparła; — gdy dorosnę,
muszę mieć osobny i
według własnego gustu urządzony.
To powiedziawszy, zamknęła drzwi.
Stosownie do całego domu jadalnia wspaniale była urządzoną; stał tu
rzeźbiony
dębowy kredens, pełny sreber i kryształów, a wysokie krzesła,
również misternie
rzeźbione, otaczały stół o wspaniałej zastawie. Pani Lebert siedziała
na
pierwszem miejscu; obok niej z jednej strony syn jej, ojciec Joanny i
Luizy, z
drugiej brat, stary kawaler, który, roztrwoniwszy własny majątek,
mieszkał u
siostry i zabijał czas grą w karty lub wycieczkami na polowania; uczył
też
wnuczki jeździć konno.
— Panno Gros, pozwól sobie przedstawić mego brata i syna — rzekła
pani domu do
młodej nauczycielki.
Panowie skłonili się jej, lecz żaden miejsca nie ustąpił... W domu tym,
według
ściśle przestrzeganych przepisów etykiety, każdemu naznaczono
miejsce: Joasia
siedziała zawsze obok ojca, Luiza obok dziadka. Wyprzedziwszy
nauczycielkę,
dziewczęta miejsca swoje zajęły; dla Anny zostało ostatnie.
Rumieniec oblał jej
twarzyczkę; zdziwiła ją i oburzyła zarazem niegrzeczność
mieszkańców pałacu.
Pokonała jednakże przykre uczucie, jakiego doznała, i odpowiadała
głosem
spokojnym na liczne pytania, które jej czynił pan domu. Badano, w
jakim
zakładzie nauki ukończyła, ile lat na pensji przebywała, jaki
przedmiot był jej

specjalnością, — a gdy powiedziała, iż zna specjalnie nauki przyrodnicze, ojciec dziewcząt począł ją z lekka egzaminować z botaniki, zoologii i fizyki.

Anna wyszła z egzaminu zwycięsko, a pan domu powiedział żartobliwie, iż mogłaby śmiało zająć katedrę profesora zoologii. Kompliment ten nie złagodził wszakże

wrażień, poprzednio doznanych; wróciła Anna smutna do swego pokoju po skończonym obiedzie i zadumała się poważnie.

— Miała słuszość panna Henry — rzekła naraz półgłosem do siebie; — zawód to

piękny, lecz ma swoje przykre strony. Zdaje mi się, że w stosunku ze starszymi

będzie mi tutaj zawsze obco i chłodno; lecz mniejsza o to, byle dzieci mnie

pokochoły... Trzeba iść spać, by jutro wstać ze świeżą myślą.

Ranne słońce zbudziło Annę w porę. Gdy wchodziła do pokoju dzieci, Joasia i

Luiza jeszcze spały.

— Wstawajcie, śpioszki! Pójdziemy do lasu na spacer; zobaczycie, jak tam pięknie

o tej porze — zawołała, zbliżywszy się do łóżek.

Dzieci obudziły się i ubierać zaczęły; rade były z projektu, bo lubiły nowość, a

tak rano nie były jeszcze nigdy na spacerze. Wtem otwarły się drzwi sąsiedniego

pokoju i weszła do sypialni jakaś kobieta stara, spoglądając groźnie na Annę.

— Po co pani tak wcześnie pobudziła dzieci? — zapytała. —

Słychane to rzeczy...

kazać panienkom o siódmej godzinie wstawać! One śpią zawsze do dziewiątej.

— Nawet latem?

— A cóż to szkodzi, że lato? Chłopkami nie są; z sierpem w pole nie pójdą.

Anna, zmieszana, nie wiedziała, co odpowiedzieć niegrzecznej kobiecie; lecz Joasia ujęła się za nią.

— Ależ, Ninetko, my właśnie rade jesteśmy, że nas pani wcześniej pobudziła;

jeszcześmy nigdy w lesie o tej porze nie byli.

Nineta ręce załamała.

— Do lasu iść o tej porze... na rosę i chłód? No, no, co też to pani na to

powie!... — wykrzyknęła groźnie.

— Nic nie powie — odezwała się z kolei Luiza; — niech Nineta nie wtrąca się do guwernantki!

— Proszę być grzeczną dla niani — upomniała ją poważnie Anna.

— Przecież to sługa — odparła dziewczynka z pogardliwą minką.

— Osoba dobrze wychowana powinna być grzeczną dla wszystkich

— rzekła Anna. —

Jesteście już ubrane, więc chodźmy do lasu — dodała, a w duszy pomyślała: — Ot,

i temat do rozmowy: o uprzejmości wyższych względem niższych będę im dzisiaj mówiła.

Dziewczynki wybiegły z pokoju, Anna podążyła za nimi. Las był niedaleko i

niebawem w nim się znalazły. Słońce nie wypilo jeszcze świecących kropel rosy na

liściach traw i drzew; skrzydlata rzesza śpiewała na cześć Stwórcy.

Dziewczynki

były zachwycone; zrywały kwiaty, goniły motyle, i na próżno Anna próbowała je

przy sobie zatrzymać i zawiązać z nimi rozmowę: co chwila coś nowego wabiło je

i odrywało uwagę.

— Cierpliwości! — myślała sobie Anna. — Pierwszy raz są w lesie o tej porze,
tyle pięknych nowych widoków wabi ich oczy; lecz, gdy się oswoją z podobnemi
wycieczkami, będą słuchały z ochotą.

Zresztą ranek to nie stracony: zobaczyły, jak piękny jest świat Boży. I wróciła zadowolona do domu, również jak i dziewczynki. Pani Lebert, którą
usłużna Marya na żądanie Ninety powiadomiła, że nauczycielka pobudziła dzieci
tak wcześnie, czekała ją gniewna; lecz, widząc uśmiechnięte twarze wnuczek,
zamiast czynić wymówki zbyt gorliwej, według niej, przewodniczce, powitała ją
uprzejmie, gdy zaś zasiedli do śniadania, zaczęła dopytywać dzieci co robiły w
lesie.

Joasia i Luiza z zachwytem opowiadały, jak im dzisiejszy ranek upłynął mile, i
prosiły, aby im wolno było zawsze o tej porze wstawać. Po śniadaniu Anna wezwała uczenice do lekcji. Dziewczynki miały do nauk osobny
pokój, którego ściany stroiły mapy, obrazy, przedstawiające zwierzęta i ptaki;
po środku stał stół, ceratą obity, a na nim przybory do pisania; pod ścianą
tablica czarna. Gdy Anna zaczęła dyktować zadanie arytmetyczne, Joasia
zmarszczyła się:
— Nie cierpię arytmetyki — mruknęła. — I na co mi ona? Kupcową przecież nie
będę...
— Arytmetyka każdemu potrzebna. I pani domu musi umieć liczyć — odparła
spokojnie Anna.

— Babcia nigdy nie liczy — rzekła dziewczynka. — Możebyśmy co innego robiły?

Mówiąc to, oparła na stole oba łokcie.

Anna spojrzała na nią surowo.

— Czy wiesz, jak za podobne gawędy w szkole karzą? — spytała.

— Nie będę nigdy w szkole, nie boję się więc żadnych kar — odparła Joasia.

— Niech pani dyktuje dalej; ja bardzo lubię arytmetykę — odezwała się Luiza.

Anna, panując nad sobą, zwróciła się do niej i zaczęła dyktować.

Luiza

rozwiązała zadanie nieźle, a Joasia, pozycyi nie zmieniając, siedziała wciąż

nadaśana, Gdy nastąpiła godzina historii, Anna zaczęła opowiadać coś z dziejów

ludów wschodnich. Joasia spuściła ręce ze stołu i skupiła uwagę; widoczne było,

że ją ten przedmiot zajmuje. Rada temu Anna zwróciła całą swoją uwagę na starszą

elewkę, starając się opowiadanie swoje uczynić jak najbardziej ciekawem, — gdy

naraz usłyszała głośnie ziewnięcie.

— A to co? — zapytała, zwracając się do Luizy.

— Nie cierpię historii — rzekła Luiza, wcale nie zawstydzona zdziwieniem

nauczycielki; — wszystko to bajki!

— Ucząc się historii, dowiadujemy się, co zgubiło jedne narody, co podniosło

inne — odparła łagodnie Anna.

— Królem nie będę — przerwała Luiza. — Niechaj jednak pani opowiada; przecież

nie przeszkadzam.

Anna westchnęła i wróciła do przerwane go opowiadania; Luiza oczy przymknęła,

udając, że drzemie.

Lekcja angielskiego, którą, by dogodzić pani Lebert, Anna postanowiła miewać codziennie, zamiast języka francuskiego, zajęła obie dziewczynki;

przez całą godzinę nie zrobiły żadnej przykrości nauczycielce. Podniosła się wszakże Anna od stolika smutna i zmęczona, bo zostało jej wspomnienie poprzednich lekcji. Dzwonek wzywał na śniadanie, udała się przeto z elewkami do jadalni, gdzie, jak wczoraj, ostatnie miejsce zajęła i skinieniem głowy przez wszystkich powitaną została. Pani Lebert toczyła z bratem i synem rozmowę o sąsiadach, Anna zaś tymczasem rozmyślała, jakichby tu użyć sposobów dla przełamania oporu swych uczenie. Do babki nie miała zamiaru się udawać, gdyż ta zastrzegła sobie przecież na samym wstępie, aby jej nie nudzono wychowaniem wnuczek. Po śniadaniu i rekreacyi elewki i nauczycielka wróciły do pracy. Obie dziewczynki lubiły muzykę, więc ubiegały się, która pierwej do fortepianu usiądzie. Aby sprawę rozstrzygnąć sprawiedliwie, Anna powiedziała im, że jednego dnia jedna, następnego druga najpierw odbywać będzie lekcyje, i wezwała do fortepianu Joasię, a Luizie poleciła przez ten czas odrobić zadanie arytmetyczne na dzień następny. Pierwsza godzina upłynęła spokojnie, — druga mniej, bo chociaż Luiza grała uważnie, lecz Joasia gniewała się na swoje zadanie, narzekając, że go nie rozumie, i w końcu oświadczyła, iż zrobić go w żaden

sposób nie może. Za to zoologia zachwycała dziewczynki. Anna rozpoczęła naukę od owadów; opowiedziała wiele ciekawych szczegółów z życia mrówek i obiecała, że na spacerze dopełni swe opowiadanie. Dziadek dziewczynek jednak podczas podwieczorka pomieszał jej szyki, gdyż oznajmił sio-

strzenicom, że pojedą z nim zaraz konno na daleki spacer. Anna zapytała, czy nie mógłby odłożyć tej przyjemności na późniejszą godzinę, gdyż chciałyby jeszcze uzupełnić lekcye, — lecz pan Vidal rozśmiał się głośno. — Co im po zoologii? — rzekł. — Niechaj lepiej nauczą się ładnie konno jeździć.

O siódmej byłoby za późno na moją lekcye, gdyż mam zamiar przeciągnąć ją dzisiaj do dwóch godzin; spóźnilibyśmy się przeto na obiad. Zresztą niech dziewczęta decydują.

Dziewczęta zdecydowały prędko.

— Wolimy jechać konno! — zawołały jednogłośnie.

Anna oddaliła się do swego pokoju, gdzie, usiadłszy w oknie, rozmyślała, co ma

robić. Elewki, o ile je poznała, łatwe do prowadzenia nie są.

— Trzeba przedewszystkiem poznać je dokładnie — pomyślała.

Pan Vidal wrócił z panienkami o wiele wcześniej, niż się spodziewała, lecz

wrócił w licznej gronie panów i pań: byli to sąsiedzi, jadący do nich.

Anna

poszła po dziewczynki, ale babka powiedziała jej, iż Joasia i Luiza zostaną z

gośćmi.

Pierwszy dzień, spędzony pod obcym dachem, pokazał młodej nauczycielce wszystkie

kolce zawodu, jaki sobie obrała. Czuła się też głęboko smutną. Nie dość, że czekała ją tu ciężka praca z dziećmi, upartymi i kapryśnemi, lecz jeszcze na każdym kroku znosić musiała lekceważenie. Pomimo jednak tego wszystkiego nie traciła odwagi i nie wątpiła, iż cierpliwością przerobi powoli elewki, a sumienną

pracą pozyska przychylność babki i ojca. Przygotowała się jednakże na to, że jeszcze niejeden dzień w tym domu będzie podobny do dzisiejszego, zanim nastąpi korzystna zmiana, o jakiej marzy.

Jasny dzień zachodził posepnie, chmury pokryły widnokrąg cały, a ona tęsknym

wzrokiem patrzyła w szarą dal i myślała sobie:

— Życie moje będzie, jak to niebo, jednostajne i smutne; lecz chmury wiecznie nie wiszą, pójdą sobie precz, a słońce zaświeci na nowo, i jeszcze tu może doczekam się dni jaśniejszych.

W tej właśnie chwili złoty promień słońca przedarł się przez obłoki i rozjaśnił

widnokrąg. Anna uśmiechnęła się: promień ten zdał się jej dobrą wróżbą.

— Nie dam się złamać przeciwnościom — rzekła z mocą; — nie napełnią one mego serca goryczą i smutkiem wiecznym, tylko mężniejszym je uczynią.

W maleńkim pokoiku, skromnym lecz czystym, w którym najdrobniejszy przedmiot świadczy, iż ci, co w nim mieszkają, lubią porządek, przy oknie, na którym

azalie, białym kwieciami bogato pokryte, łagodną woń rozlewają,
siedzi kobieta
pięćdziesięciokilkoletnia. Na jej twarzy maluje się cichy spokój, jaki
daje
wewnętrzne z siebie zadowolenie; szafirowe jej oczy mgłą cichego
smutku osłania,
jednak goryczy, rozpaczy w nich niema. Wpatrzona w błękitne
niebiosy, które mrok
wieczora osłania, wspomina przeszłość...

Lata dziecięce upłynęły jej błogo i wesoło w domu rodzinnym, w
cieplem,
serdecznym otoczeniu. Znała, co to pieszczota matki i ojca, co uścisk
brata i
siostry, co miła niespodzianka, przez ukochanych zgotowana, co dni
święteczne,
w kółku najdroższych spędzone. O, tak, dzieciństwo miała dobre, to
też wyrosła
zdrowa moralnie i fizycznie... Młodości nie miała wcale, — za ledwie
bowiem lat
siedemnaście skończyła, musiała dla ulżenia ojcu, ciężko pracującemu
na liczną
gromadkę dzieci, wziąć się do pracy chlebobdajnej pod obcym dachem.
Lat
trzydzieści kilka szła tą drogą. Kwiatami nie była ta droga usiana,
jasne i
ciepłe promienie słońca rzadko ją oświecały; częściej o wiele owiewał
ją chłód,
niż przyjaźń ludzka ogrzewała, — częściej cierń zranił jej serce, niż
miła
niespodzianka ucieszyła. Jednak nie zgorzkniała ta kobieta, nie
przestała kochać
ludzi, nie utraciła odwagi ni sił do pracy.
Po trzydziestu kilku latach tułactwa biedna nauczycielka wróciła do
Paryża, by

odpocząć parę miesięcy. Wynajęła więc sobie malutki pokoik na jednym z przedmieść Paryża, zapisała się w kilku kantorach o miejsce i czeka cierpliwie. Siedząc samotna w swym pokoiku, często przebiega myślą domy, w których pracowała przez tak długi przeciąg czasu, — przypomina sobie dzieci, które uczyła, i ze smutkiem wyznaje sama przed sobą, iż więcej przeszła w swym zawodzie nauczycielskim złego niż dobrego. W domu Lebertów raniono ją chłodem i wyniosłością, gdzieindziej wymaganiami nad jej siły lub preten-

syami niesłusznymi; tu spotykała dzieci uparte, tam złośliwe, ówdzie zepsute lub bez zdolności. Jednakże pomimo wszystkiego mogła sobie powiedzieć, iż nigdzie praca jej bezowocną nie była, bo jeśli nie poprawiła w zupełności małych grzeszników, to w każdym razie cośkolwiek zmieniła na dobre, — trzydziestokilkoletnia zatem jej praca nie poszła na marne. To przekonanie dawało sercu jej cichy spokój, który malował się na twarzy, i napełniało otuchą w dalszej pracy. Wprawdzie mogłaby już odpoczywać, gdyż zebrała sobie malutki fundusz, którego odsetki zapewniłyby jej utrzymanie, chociaż bardzo nędzne; lecz tak ukochała swój zawód, iż żal jej było go porzucić. Tymczasem dzień mija po dniu, a nikt się nie zgłasza. Czyżby zapomniano o niej? Postanowiła wreszcie dowiedzieć się, co znaczy to milczenie, i wróciła z

wycieczki, przedsięwziętej w tym celu, smutna i zgnębiona:
powiedziano jej
wszędzie, że trudno o miejsce dla niej, ponieważ każdy chce mieć
nauczycielkę
młodą lub średnich lat, starszych zaś wszyscy się obawiają, jako
zmęczonych,
zgorzkniałych i najczęściej chorych.
Usiadła smutna znowu przy oknie, a troska głęboka maluje się na jej
czole. Co
robić? Nędza wprawdzie jej nie grozi, — lecz czuje ona w sobie zapas
sił,
chciałaby je spożytkować w pracy, przynoszącej korzyść
społeczeństwu, a
społeczeństwo to zmusza ją do bezczynności...
Zachodzące słońce zastało ją jeszcze na tem samym miejscu: tak
utoneła w
myślach, iż nie liczyła godzin. Nareszcie podniosła się i zeszła na
pierwsze
piętro, gdzie mieszkał rządca domu.

— Przyszłam zapytać, czybym mogła zatrzymać jeszcze na jakiś czas
pokoik, który

wynajęłam tylko na miesiąc — rzekła.

— Ależ naturalnie — uprzejmie odparł zapytany; — z pani taka
spokojna
lokatorka...

— Wyjadę dziś lub jutro — ciągnęła dalej, — lecz powrócę wkrótce,
a wówczas

stanowczo już powiem, czy na stałe w domu tym zamieszkam, czy też
opuszczę

Paryż.

— W daleką drogę pani się wybiera? — zapytał.

— Nie, panie. Rodzina mego ojca miała niegdyś majątek o kilka mil
od Paryża; tam

się właśnie wybieram.

— Do krewnych zatem?

— Obecnie obcy tam mieszkają. Niestety! nikogo tu nie mam z rodziny; rodzice pomarli, siostry poszły za mąż i zamieszkały w różnych stronach kraju.

— Taki los czeka każdego, kto sobie własnej rodziny nie tworzy. Uśmiechnęła się smętnie.

— Do widzenia — rzekła i oddaliła się z wolna.

Całe dwa tygodnie nie było jej w domu. Wróciła wreszcie, ale wróciła weselsza i

ożywiona, a blada jej twarz nabrała nawet rumieńców. Natychmiast udała się do rządcy domu.

— Przychodzę oznajmić panu, iż się wyprowadzam — rzekła z wesołym niemal

uśmiechem; — opuszczam po jutrze Paryż i przenoszę się na wieś.

— Czy pani otrzymała posadę? — zapytał. Anna roześmiała się.

— Kupiłam posiadłość — rzekła.

— Nie wiedziałem, że pani jest kapitalistką — odparł wesoło.

— Kupiłam chatę wiejską i kawał ziemi w majątku, który niegdyś do rodziny mego ojca należał.

— A toż po co?

— Powiedziano mi, że jestem już za stara, by uczyć dzieci zamożnych ludzi, będę

więc uczyła dzieci biedaków, bo życia bez pracy znieśćbym nie umiała.

Szaloną nazwał ją rządcą, w duszy, lecz jednocześnie skłonił przed nią głowę ze

szczerym szacunkiem i rzeki:

— Podziwiam panią: tyle zaparcia się siebie, tyle zapału w wieku pani, tyle

gotowości do ofiar i poświęceń!... to rzadko spotkać można...

— Nie sędzę — odparła skromnie.

Wkrótce też osiadła zacna kobieta w wiejskiej chacie, by pracować dalej dla

dobra bliźnich, by siać w młodych sercach ziarna cnoty, z biernych istot czynić myślące, oświecając zarazem ciemne umysły... Proste sprzęty zapełniły jej izdebkę, którą na własny swój użytek przeznaczyła; — w drugiej umieściła stół, ławek kilka i szafkę z książkami, jakie nabyła powoli podczas zawodu nauczycielskiego. Mieszkanie urządzając, zawiązywała zarazem znajomości z sąsiadami. Pozyskawszy zaufanie matek, zapytała je dnia pewnego, czyby nie zechciały, idąc na roboty w pole, powierzać jej opiece małe dzieci. Matki zgodziły się chętnie i odtąd odprowadzały codziennie drobną dziatwę do panny Gros, a same, spokojne

już, szły w pole do pracy. Innym razem zaproponowała swym sąsiadom, żeby w niedziele po obiedzie przychodzili do niej na parę godzin, a ona ciekawe książki będzie im czytała. Gwarno i ludno bywało odtąd, tak w dniu powszednie, jako też i w świąteczne, w mieszkaniu Anny. W ciągu tygodnia zbierała się u niej dziatwa, a w niedziele starsi. Opatrznością swoją nazywały ją matki, dobrą panią dzieci, a ona czuła się zadowoloną ilekroć porównywała terażniejszość z przeszłością. Pewnego razu siedziała sama, zatopiona w myślach, bo dziatwa już rozeszła się do domów. Rozmyślała o chwilach, jakie przeżyła w tej chacie, i przyznała, że na ścieżce, którą szła teraz, jeszcze ani jeden cień nie zranił jej stopy, ani jeden zawód nie zgębił jej serca. Naraz z tych rozmyślań zbudziły ją czyjeś

jęki i szlochy; zerwała się z ławki, pewną będąc, że ktoś nieszczęśliwy śpieszy do niej po pomoc lub radę, i podążyła do furtki. Jeszcze do niej wszakże nie doszła, gdy drzwi się rozwarły, i Jakóbową, żona jednego z włościan, której dziecko leczyła właśnie Anna, wpadła z jękiem, szlochaniem i złorzeczeniem. Z gradu słów, jakie leciały bezładnie z ust kobiety, zrozumiała wreszcie Anna, co się stało: dziecko jej umarło, a matka ją uważała za przyczynę nieszczęścia.. Zarzut ten dreszczem przejął Annę. Dziecko było chore na odrę, i choroba rozwijała się prawidłowo; kazała więc Anna dziecię strzedz od zaziębienia, trzymać je w ciepłe, przyczem poila je wczoraj wieczorem kwiatem lipowym i była pewną, że choroba jak najpomyślniej się zakończy. Cóż mogło spowodować tak nagłe pogorszenie?

— Pójdę do was, zobaczę — rzekła, nie chcąc w śmierć tę uwierzyć. Jakóbową nie protestowała, i poszły razem. Chłopiec leżał przybrany już w czystą koszulkę, gotów do trumienki; w chacie pełno było kobiet. Anna zwróciła się do matki:
— A czyście go ciągle ciepło przykrywali? — zapytała.
— A toć chłopiec gorący był, jak węgiel; byłby się spalił na popiół pod pierzyną
— odparła z oburzeniem kobieta. — Wykapałam go w zimnej wodzie. Anna rękę załamała, a na ustach jej drżały słowa:
— Zabiłaś własne dziecko, nieszczęsna!
Lecz litość nad matką powstrzymała ją.
— Któż wam doradził tę kąpiel? — zapytała.
— A to jedna kobieta umiejąca... — odparła Jakóbową.

Anna westchnęła; wsunęła w rękę Jakóbowej kilka franków, mówiąc,
że to na
pogrzeb, i oddaliła się.
— A więc na drodze, którą obrałam, również ciemnie spotykać będę —
rzekła do
siebie, wróciwszy do domu. — Ciemnota i niesprawiedliwość...
Smutek osiadł na jej pogodnym tak niedawno czole, lecz starała się
otrząsnąć z
niego.
— Trzeba częściej rozmawiać z sąsiadami... Lecz dzień ten
przeznaczony był
widocznie na to, żeby ją ludzie budzili z rozmyślań, gdyż po niejakim
czasie
dobiegł ją znowu jakiś gwar niewyraźny; tym razem jednak nie łyzy i
nie jęki w
nim słychać było, lecz zwadę i gniew. Anna nie ruszyła się

wszakże z miejsca, — czekała. Niebawem usłyszała skrzypnięcie
furtki, potem
ciężkie kroki, — nareszcie stanęło przed nią dwóch włościan, jeden
blady jak
śmierć, drugi jak ogień czerwony, a w oczach obu tlał gniew zacięty.
Znała ich
Anna Gross: Obadwaj byli jej sąsiadami, — mieli własne grunta i
chaty we wsi.
— Oto, spieramy się ze sobą od dawna i pogodzić nie możemy —
rzekł Józef
Montelon, — więc przyszliśmy do pani, byś naszą sprawę rozsądziła,
bo z
pewnością mądrzej to zrobisz, niż wójt, a nawet sędzia.
— Pani wie może o tem, iż ziemie nasze graniczą ze sobą — przerwał
mówiącemu
Wincenty Palban — i że na granicy obu gruntów stoi ogromna
jabłonka, która
pyszne owoce rodzi... Otóż ta jabłonka jest moją własnością, bo
wszyscy mówią,

że zasadził ją mój pradziad.

— Mnie wszyscy mówią toż samo; a jabłonka ta rzuca cień na moje pole, więc, kiedy memu zbożu szkodzi, bo w cieniu nie tak pięknie ono dojrzeje, mam do niej

prawo... A on — tu Józef wskazał na przeciwnika — nie pozwala zrywać owoców moim

chłopcóm, i gdy którego złapie pod drzewem, to bije.

— Bo nie twój pradziad sadził drzewo... a cień pada i na moją stronę!... —

krzyczał Wincenty.

— Uspokójcie się — przerwała surowo Anna, — bo, póki mówić będziecie Obadwaj,

zdania swego wypowiedzieć nie będę mogła.

Sąsiedzi umilkli.

— Czy mógłbyś przysiąc, panie Palban, że twój pradziad sadził to drzewo? —

zapytała Anna. — Czy masz na to niezbite dowody?

Włóścianin zaczął czapkę obracać w rękę.

— Tak ludzie mówią — mruknął.

— Twoi przyjaciele? czy tak? — pytała Anna.

— Wrogowie nie świadczyliby za mną — odparł z gniewem Palban.

— Za Józefem Montelon świadczą również jego przyjaciele.

— Ale oni kłamią.

— A któż nam to dowiedzie? wszak obaj dowodów nie macie, kto sadził drzewo.

Rośnie ono na granicy, niech więc do obu należy; gdy owoce dojrzeją, zbierzcie

je z drzewa wspólnie i podzielcie się sumiennie. To moja rada!

— Rozumna, jak zawsze — odparł Józef. — Tak więc to drzewo ani moje, ani twoje,

tylko nasze. Teraz sam będę ćwiczył chłopców, gdy którego zobaczę pod jabłonią,

ale i ty pilnuj swoich. Za tydzień, dwa najdalej, otrząśniemy we dwóch owoce i

podzielimy się nimi.

— A wy, panie Palban, czyście z mego wyroku zadowoleni? — spytała Anna.

— Za sędziego was obrałem, zgodzić się więc muszę — mruknął zapytany.

— Więc wobec mnie podajcie sobie ręce do zgody.

Józef pierwszy wyciągnął dłoń do sąsiada, a Wincenty ledwo jej dotknął, i

złożywszy ukłon głęboki Annie, obaj się oddalili. Uczuła teraz Anna w sercu

błogie uczucie zadowolenia; myśl, iż do zgody zwa-

śnionych doprowadziła, zacierała w jej pamięci przykre wspomnienie niesprawiedliwych zarzutów, jakie dopiero co nieszczęśliwa matka jej uczyniła.

— Więcej ja spotykam dobrych chwil niż przykrych na drodze, którą idę — myślała

sobie, — a dawniej było przeciwnie.

Ogródek Anny Gros — była to jej chluba. Gdy go kupowała, prócz kilku dziczek nic

w nim nie było, i ona dopiero zasiała w nim kwiaty, poszczepiła śliwy i grusze,

nasadziła krzewów, agrestu i porzeczek, do których sama doły pokopała. Gdy Anna

nazajutrz o świcie wbiegła do ogródka swego, z ust jej wydarł się okrzyk

bolesny; stanęła blada, z rękoma załamanemi, a łzy potoczyły się gradem po jej

twarzy. Ktoś podeptał wszystkie kwiaty, które wczoraj jeszcze tak ładnie stroiły

grządki, pościnał krzewy, połamał śliwy i grusze. Kto i dlaczego dopuścił się

tak niegodnego czynu? — oto pytania, jakie cisnęły się do jej głowy, a na które

odpowiedzi znaleźć nie umiała. Zgnębiona wróciła do chaty.

Zapomniała o

śniadaniu, siląc się zgadnąć, kto był sprawcą złego. Tymczasem we wsi powstał ruch; włościanie na pola wychodzić zaczęli, — kobiety, obarczone małymi dziećmi, zwracały na drogę, wiodącą do chaty panny Gros, i niebawem gwarno zrobiło się w jej sieni. Anna otrząsnęła się ze smutnych myśli i wyszła naprzeciw matek.

— Co wam jest, dobra pani? — zapytała jedna, ujrawszy bladą twarz Anny i oczy czerwone od łez.

— Wielka przykrość spotkała mnie dzisiaj — odparła Anna łagodnie, — a kto jej sprawcą, nie wiem. Chodźcie, pokażę wam.

Kobiety poszły do ogródka za Anną, a na widok zniszczenia ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zgrozy.

— Kto to zrobił? dlaczego? — pytały jedna drugą. — To nie złodziej przecież, bo nic sobie nie zabrał...

Naraz Marya Melet, najbliższa sąsiadka Anny, zawołała:

— Już wiem, kto to zrobił...

— Kto, kto? — zaczęły się dopytywać natarczywie inne.

Anna patrzyła na Maryę pytająco.

— Wincenty Palban... on z pewnością — uparcie powtórzyła wieśniaczka.

— Dlaczego posądzasz go? — zapytała surowo Anna.

— Bo wczoraj wieczór przyszedł do nas chmurny i mówił coś o was do mojego, a

pięścią wygrażał i krzyczał: "Jakem Palban, nie daruję!" Mój go uspokajał, ale

on słuchać nie chciał i jeszcze bardziej się unosił: "Co mi tam gadasz! musiał

Józef ją przekupić i basta!" wrzeszczał. "Pokażę ja jej, jak się przekupstwo

płaci "

Dowiedziawszy się o wszystkim, kobiety, chcąc pocieszyć strapioną, obiecały, że

przyjdą wieczorem zrobić porządek w ogrodzie; jedna przyrzekła przynieść ze sobą

krzew agrestu, druga malin, inna kwiatków trochę. Dobre ich serca złagodziły

niewiele przykrość Annie, — nie otrząsnęła się wszakże ze smutku.

Zabrawszy dzieci

do izby, rozłożyła przed nimi zabawki, pilnując, by jedno drugiemu krzywdy nie

robiło, a jednocześnie rozmyślała nad swą dolą i cięż-

ko jej było na duszy. Wówczas, gdy szła tamtą drogą, była silna, młoda i zdrowa,

— dziś zaś jest starą, złamaną kobietą. Gdy życie — myślała — rozsiewać będzie

coraz więcej takich cierni na mej ścieżce, czyż wytrwam w pracy, jaką sobie

obrałam, czy się nie cofnę z drogi?

* * *

Było to w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym

W skromnej swej izdebce siedziała Anna, głęboko zadumana. Lat sześćdziesiąt pięć

już liczyła. Czuliła się znużoną, — czuliła, iż potrzebuje o wiele więcej wygod, niż

te, jakich dostarczyć sobie może, — widziała, że chatę, w której mieszka,

trzebaby na zimę cieplejszą uczynić, zaopatrzyć w wygodniejsze sprzęty, że

potrzebuje odżywiać się lepiej; lecz wiedziała, że na to wszystko nie ma

pieniędzy. Chociaż reumatyzm dokucza, nie będzie mogła w jesieni częściej palić

w piecu; choć stare kości męczą drewniane stołki, nie stać jej na
wyściełane
krzesło; byłoby dla niej lepiej przenieść się do miasta, lecz w mieście
mieszkanie i życie drogie.
— Ha, cóż robić! — mówiła w końcu sama do siebie, — dokończę
już tu życia. Choć
niewygody je skrócą, mniejsza o to! Coraz mniej pożyteczną ludziom
jestem, na
cóż więc życie przedłużać?...
I przestała rozmyślać nad przyszłością, — cofnęła się w przeszłość. A
wspomnień
miała dużo przyjemnych. Miło jej było przypomnieć sobie, ile razy
sąsiedzi
błogosławili jej imię, ile razy ludzie, szacunku godni, z szacunkiem jej
dłoń
uścisnęli.

— Dobry wieczór, matko Anno! — pozdrowił ją naraz jakiś głos
znajomy.

Obudziła się z zamyślenia.

— Proszę dalej. Kogo to Bóg zsyła? — zapytała wesoło.

Do sypialni wszedł siwy, poważny włościanin.

— A, pan wójt! rzadki gość w mej chacie! — zawołała Anna. —

Proszę siadać.

Wójt skłonił się jej grzecznie.

— Nie tak bardzo; każdej prawie niedzieli odwiedzam sąsiadkę —
odparł spokojnie.

— Dziś, co prawda, tylko w interesie przyszedłem: przysłano z Paryża
na moje

ręce dla pani jakiś papier; ale niech-no pani wprzód to przeczyta... — I
wskazał

Annie artykuł w gazecie.

Anna Gros, zaciekawiona, przebiegła go oczyma, i na bladą jej twarz
wystąpiły

rumieńce, a zgasłe oczy łzami zaszyły. Artykuł był treści następującej:

"Cześć niech będzie cichej a zasłużonej dla społeczeństwa kobiecie!

Lat

trzydzieści pracowała ona jako nauczycielka w domach ludzi
zamożnych. Znam kilka

jej elewek, które mówiły, iż wywierała wielki wpływ na młode
umysły i serca.

Łagodna i cierpliwa, umiała zdobywać serca dzieci i, choć zwolna,
dążyła do

celu. Pełna zaparcia się siebie, umiała znosić przeciwności, nie dając
się

złamać moralnie, a czerpała siłę do pracy w przekonaniu, że drugim
jest

pożyteczną. Gdy na polu tem pracować już nie mogła, bo starej
nauczycielki nikt

nie chciał, nie upadła na duchu, lecz poszukała innego stanowiska, na
którym

stała się jeszcze pożyteczniejszą społeczeństwu. Lat piętna-

ście wytrwała ta i pracowita kobieta była opiekunką, przewodniczką,
dobrym

aniołem ubogich włościan wsi N. Ostatni czyn zacny ciche jej imię
głośnym

uczynił: We wsi tej był chłopiec występny, który kradł, oszukiwał i
znęcał się

nad słabszymi od siebie. Własna matka wygnała go nareszcie z chaty.

Głodny,

zziębnięty, zastukał do mieszkania byłej nauczycielki. Znała go ona i
upominała

nieraz, by się poprawił, — lecz napomnienia jej nie czyniły, jak dotąd,
żadnego

wrażenia na zepsutym chłopcu. Jednakże, ujrawszy go w takim
stanie, ulitowała

się nad nim i dała mu przytułek, dzieląc się z nim skromnym
posiłkiem, na jaki

sama z trudnością się zdobywała, a jednocześnie pracując nad jego
poprawą.

Chłopiec po pewnym czasie zdawał się zmieniać, co cieszyło ją niewypowiedzianie.

— "Zobaczycie — mówiła do sąsiadów, — że jeszcze wyrośnie na człowieka. " —

Sąsiedzi kiwali z powątpiewaniem głowami. — "Z takich, jak on, uczciwi ludzie

nie wyrastają" — odpowiadali. — Minęła zima. Na wiosnę pewnej nocy zaczął

opiekunkę młodego łotra zbudził szmer w sąsiednim pokoju. Wstała przeto cicho i

zajrzała do niego. Księżyc jasno świecił; w pokoiku było widno, jak w dzień.

Przy komodzie, w której pieniądze chowała, ujrzała biedaczka wychowańca swego z

dobrym kluczem w ręku. Spostrzegłszy ją, upuścił klucz i chciał uciekać; ale

ona mu drogę zastąpiła. — Nie bój się, nie oskarżę cię przed nikim — zawołała; —

przyrzeknij mi tylko, że nigdy więcej podobnego czynu się nie dopuścisz i... że

nadal u mnie zostaniesz. — Chłopiec ukląkł, objął jej kolana, a płacząc,

przyrzekł poprawę. I tym razem do-

trzymał słowa: poprawił się w istocie, a dziś pracuje uczciwie.

Wszystkie

powyższe szczegóły z życia tej kobiety on sam mi opowiedział.

"Tyle lat pracy cichej, a pełnej poświęcenia dla dobra bliźnich — przyznacie,

panie i panowie, iż zasługuje to na nagrodę... Tą wytrwałą pracownicą jest Anna

Gros, której obecnie za poczciwą i pełną poświęcenia pracę czterdziestopięcio-

letnią około dobra publicznego rząd przyznał nagrodę w kwocie . franków...

"

Gdy Anna Gros przeczytała artykuł powyższy, papier wypadł z jej rąk, a po zmarszczkami zoranej twarzy potoczyły się dwie wielkie łzy. Złożyła ręce, jak do modlitwy:
— Czym ja się czegoś podobnego, mój Boże, spodziewała! — wyszeptała.
I rzeczywiście niespodziewanem dla niej było to uznanie cichej jej zasługi, które na schyłku życia szare dni zacnej kobiety opromieniło i szczęściem przepełniło duszę.